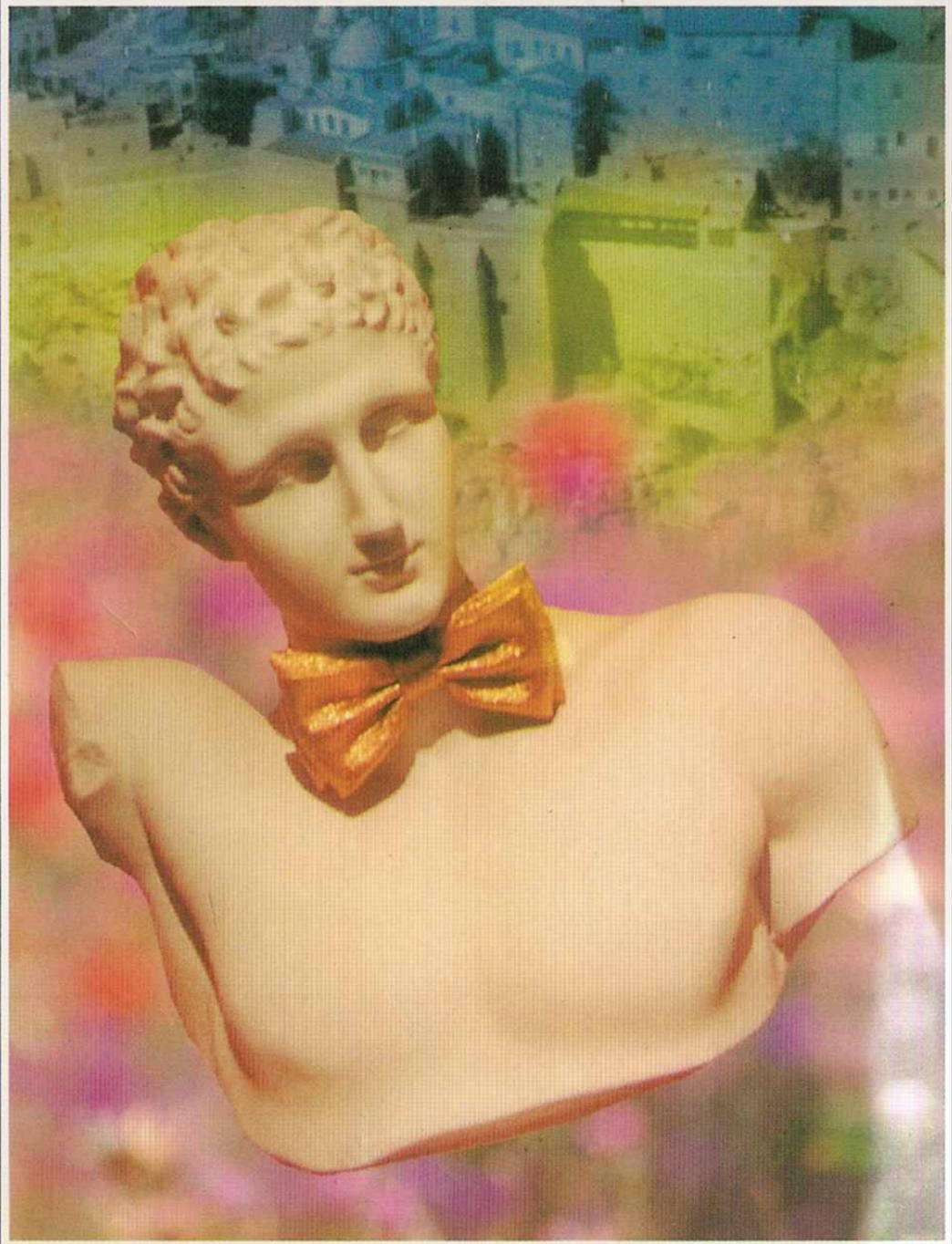


BB

AMOS  
02

Fima



**BB**

**AMOS**  
**OZ**

**Fima**

Przełożyła  
**ANNA ESDEN-TEMPSKA**



## 1

### Obietnica łaski

Pięć dni przed owym smutnym wydarzeniem Fima miał sen, który zanotował o wpół do szóstej rano w brązowym notatniku, który zawsze tkwił pod stertą starych gazet i magazynów leżących w nieładzie na podłodze w nogach łóżka. Kiedy pierwsze blade smużki świtu zaczynały sączyć się przez szczeliny żaluzji, Fima, jeszcze nie wstając, zwykł zapisywać w tym notesie wszystko to, co zobaczył nocą. Nawet jeśli nic mu się nie śniło lub jeśli nie pamiętał swojego snu, zapalał światło, siadał i kładąc sobie na kolanach jakiś gruby magazyn, który miał służyć za blat, pisał na przykład:

„Dwudziesty grudnia – nic”.

Albo:

„Czwarty stycznia – coś o lisie i drabinie, ale nie pamiętam szczegółów”.

Zawsze zapisywał datę słownie. Potem szedł do toalety, po czym kładł się i spał dalej, dopóki do pokoju nie dotarło gruchanie gołębi, szczekanie psa i ptasi świergot, w którym brzmiało zdumienie, tak jakby ptak nie mógł uwierzyć własnym oczom. Fima przyrzekał sobie, że zaraz wstanie, za parę minut, najdalej za kwadrans, ale czasami zasypiał znowu i nie budził się aż do ósmej albo dziewiątej, bo zaczynał pracę w klinice dopiero o pierwszej. Miał wrażenie, że we śnie jest mniej fałszu niż na jawie. A choć dawno już doszedł do przekonania, że prawda jest poza jego zasięgiem, chciał uciec jak najdalej od drobnych kłamstw, które niby miałki pył przenikający do najbardziej intymnych zakamarków wypełniały jego codzienność.

W poniedziałek, wcześnie rano, kiedy w szczelinach żaluzji zaczęły połyskiwać jaskrawopomarańczowe ogniki, Fima usiadł na łóżku, wziął notatnik i zaczął pisać:

Podeszła do mnie kobieta, bardziej pociągająca niż piękna. Zbliżyła się do kontuaru nie z przodu, ale od tyłu, choć jest tam tabliczka *Przejdźcie tylko dla personelu*. Powiedziałem:

– Przepraszam, wszystkie zapisy przyjmujemy od tamtej strony kontuaru.

Roześmiała się mówiąc: – Dobrze, dobrze, Efraimie, nie powtarzaj się.

– Jeśli pani stąd nie wyjdzie, będę zmuszony włączyć dzwonek alarmowy – upierałem się, chociaż nie mam tam żadnego dzwonka. Na te słowa kobieta znowu wybuchnęła przyjemnym, perlistym niczym górski strumień śmiechem. Miała wąskie ramiona, skóra jej szyi straciła już jędrność, ale piersi i brzuch były ładnie zaokrąglone. Jedwabne pończochy ze szwem opinały jej łydki. To połączenie kruchości z kobiecą krągłością było prowokujące i wzruszało zarazem. A może wzruszenie to wywoływał kontrast pomiędzy zgrabną sylwetką a twarzą przepracowanej nauczycielki?

– Mam z tobą córeczkę – powiedziała i teraz już czas, żeby twoja córka poznała ojca.

Chociaż wiedziałem, że nie wolno mi opuszczać kliniki i że niebezpiecznie będzie iść za tą kobietą, zwłaszcza boso, bo nagle zorientowałem się, że jestem bez butów, w moich myślach uformował się swego rodzaju nakaz jeżeli kobieta zgarnie lewą ręką włosy na lewe ramię, bede musiał pójść. Ona to wiedziała. Lekkim ruchem przerzuciła włosy do przodu, aż rozsypały się po materiale sukni, przykrywając lewą pierś, i rzekła: „Chodź”. Szedłem za nią przez wiele ulic i alei, po schodach i przez bramy, i przez wiele kamiennych podwórz przypominających Valladolid w Hiszpanii, a właściwie chyba bardziej podobnych do zaułków dzielnicy



Bucharskiej tu, w Jerozolimie. Choć ta kobieta w dziewczęcej bawełnianej sukience i wyzywających pończochach była mi obca i nigdy przedtem jej nie widziałem, mimo wszystko chciałem zobaczyć tamtą małą dziewczynkę. Szliśmy więc przez bramy, które prowadziły na podwórza pełne sznurów z suszącą się bielizną, i dalej przez następne aleje oraz stary plac oświetlony latarnią w deszczu. Bo zaczęło padać, nie bardzo, nie była to ulewa, zaledwie mżawka, niby gęsta mgła w zapadającym zmierzchu. Po drodze nie napotkaliśmy żywej duszy. Nawet kota. Nagle kobieta zatrzymała się w przejściu, które nosiło ślady dawnej świetności, niby fragment jakiegoś wschodniego pałacu, ale prawdopodobnie była to jedynie łącząca dwa wilgotne podwórza brama z poobijanymi skrzynkami na listy i odpadającymi kafelkami, przypominająca tunel. Zdejmując mi z ręki zegarek, kobieta wskazała na leżący w niszy pod schodami postrzępiony wojskowy koc, tak jakby zdjęcie mojego zegarka było preludium do zupełnego obnażenia i to teraz właśnie miałem jej dać córkę, a ja spytałem, gdzie jesteście i gdzie są dzieci, bo jakoś po drodze córka zmieniła się w dzieci. Kobieta powiedziała: „Rosa”.

Nie wiem, czy miało to być imię dziewczynki, czy też samej kobiety, która przyciskała moją dłoń do swojej piersi, tak jakby było jej zimno, bo jej chude córki były nagie, lub jakby to miała być zachęta, by wziąć ją w ramiona i rozgrzać. Kiedy ją objąłem, jej ciało przeszył dreszcz, ale nie było w nim pożądania, tylko rozpacz.

– Nie bój się, Efraimie – wyszeptała – znam drogę i przeprowadzę cię bezpiecznie na stronę aryjską.

We śnie to zdanie zabrzmiało niby obietnica łaski, więc zaufałem jej i szedłem za nią dalej jak w transie i nie zdziwiłem się wcale, kiedy zmieniła się w moją matkę i nie spytałem jej, gdzie jest ta aryjska strona. Aż doszliśmy do wody. Na brzegu, na szeroko rozstawionych nogach, stał ubrany w czarny mundur mężczyzna z wojskowym blond wąsikiem. Usłyszałem jak mówi: „Rozdzielić!”.

I stało się jasne, że była Rosą z powodu wody i że nigdy więcej już jej nie zobaczę. Obudziłem się ze smutkiem w sercu i nawet teraz, kiedy kończę to zapisywać, czuję nadal ten smutek.

## Fima wstaje do pracy

Fima wstał z łóżka spocony. Uchylił nieco okiennice i wyjrzał na unoszący się nad Jerozolimą zimowy poranek. Sąsiednie budynki robiły wrażenie odległych – od niego i od siebie nawzajem, ze smużkami niskich chmur płynących pomiędzy nimi. Ani śladu życia. Tak jakby sen trwał nadal. Tyle że nie była to już brukowana aleja, ale nędzna ulica na południowo-zachodnim krańcu Kiryat Yovel, rząd niskich, zbudowanych tandetnie w końcu lat pięćdziesiątych bloków mieszkalnych. Większość balkonów osłaniały przed wiatrem przegrody z tynku, aluminium i szkła. Tu i ówdzie na rdzewiejącej balustradzie wisiała pusta skrzynka lub zapomniana doniczka. Na południu szare chmury zlewały się z zarysem wzgórz betlejemskich, które tego ranka wyglądały niezbyt ciekawie, bardziej jak hałdy żużlu niż wzgórze. Z powodu chłodu i wilgoci któryś sąsiad miał kłopoty z uruchomieniem samochodu. Silnik, którego nie mógł zapalić, rzeził raz po raz, niczym płuca śmiertelnie chorego nałogowego palacza. I tym razem Fima miał wrażenie, że jest tutaj przez pomyłkę, że powinien być zupełnie gdzie indziej.

Ale na czym polega omyłka lub gdzie byłoby to właściwe miejsce, tego w owej chwili nie wiedział. Prawdę mówiąc, nie wiedział tego nigdy.

Charkot silnika sprowokował jego własny poranny kaszel, więc odsunął się od okna. Nie chciał zaczynać dnia w sposób tak bezsensowny i żalospny. Powiedział sobie: – Ty leniwy skurczybyku! – i zabrał się do gimnastyki. Zaczął od najprostszych ćwiczeń: skłon – wyprost. Patrzył przy tym w lustro poznaczone ciemnymi plamami, niby mapa wysp i kontynentów. Było ono zamocowane na drzwiach

starej szafy, którą ojciec kupił mu trzydzieści lat temu. Powinien był spytać tamtą kobietę, co trzeba rozdzielić. Ale przepuścił okazję.

Fima nie znosił wystawiania przy oknie. Szczególnie mierzył go widok kobiety odwróconej plecami do pokoju i patrzącej w okno. Przed rozwodem często wyprowadzał Jael z równowagi gderaniem, kiedy tak stała, spoglądając na ulicę lub wzgórze.

– No i co się stało? Czy znowu popełniłam wykroczenie?

– Wiesz, że to mnie drażni.

– To już twój problem, Efi.

Tego ranka nawet ćwiczenia przed lustrem irytowały i nużyły Fimę. Po kilku minutach, znowu wymyślając sobie od leniwych skurczybyków, dał spokój gimnastyce. Zdyszany, przedrzeźniając Jael, powiedział:

– To już twój problem, kolego.

Miał pięćdziesiąt cztery lata i żyjąc długo samotnie nabrał zwyczaju mówienia do siebie samego. Uważał to za jedno ze swoich starokawalerskich dziwactw, podobnie jak gubienie zakrętek od słoików z dżemem, przycinanie włosów w jednej dziurce nosa i zapominanie o drugiej, odpinanie rozporoka w drodze do łazienki dla zaoszczędzenia czasu, a potem nie trafianie strumieniem do miski klozetowej, czy spuszczenie wody w nadziei, że jej plusk pomoże mu odblokować zacinający się pęcherz. Zwykle próbował skończyć siusianie, zanim woda przestanie lecieć, więc starał się prześcignąć spłuczkę, ale w tym wyścigu zawsze przegrywał i stawał wobec doprowadzającej go do białej gorączki alternatywy – w pełnej gotowości czekać, aż zbiornik napełni się znowu i będzie można dać sobie jeszcze jedną szansę albo przyznać się do porażki i zostawić nie spłukany mocz do następnego razu. Nie lubił przyznawać się do porażki, ani też tracić czasu na czekanie, więc niecierpliwie pociągał za rączkę, zanim jeszcze zbiornik był pełny. To wywoływało przedwczesny plusk, który nie wystarczał do spłukania miski, ale



jeszcze raz stawiał Fimę przed nienawistnym dylematem – czekać dalej, czy dać spokój i odejść.

W życiu Fimy było kilka miłości, kilka idei, dobrze rokujący tomik poezji, myśli o sensie istnienia wszechświata i sprecyzowane poglądy na temat błędów Izraela oraz szczegółowo ułożony w wyobraźni plan stworzenia nowego ruchu politycznego. Były też różne tęsknoty i uporczywe marzenie, żeby zacząć wszystko od nowa. I tak oto tkwił w swoim nędznym mieszkaniu w ponury wilgotny poranek, pochłonięty upokarzającym zmaganiem z suwakiem rozporka, aby uwolnić z niego przycięty brzeg koszuli. Tymczasem za oknem jakiś zmoknięty ptak uparcie powtarzał ten sam krótki trel, jakby doszedł do wniosku, że do Fimy i tak nic nie dociera.

Definiując precyzyjnie swoje starokawalerskie nawyki, Fima miał nadzieję zdobyć ironiczny dystans wobec samego siebie i tym samym uchronić marzenia, a także własną godność. Ale czasami wydawało się mu nagle, że to obsesyjne tropienie dziwactw nie jest wcale sposobem obrony przed starokawalerstwem, ale strategią stosowaną właśnie przez owego starego kawalera, aby zdominować go całkowicie.

Zdecydował się znowu stanąć przed lustrem i przejrzeć się w nim. Popatrzeć na siebie bez wstrętu, rozpacz czy litowania się nad sobą, ale spokojnie, godząc się z rzeczywistością. W lustrze zobaczył bladego, siwiejącego, nieco otyłego urzędnika z fałdkami tłuszczu w okolicy pasa, ubranego w niezbyt świeżą bieliznę. Białe nogi, zbyt chude w stosunku do tułowia, porośnięte były rzadkimi, czarnymi włoskami. Ramiona miał wątle, a zwiotczała, nieopalona męska klatka piersiowa pełna była wyprysków, z których jeden był wyraźnie zaczerwieniony. Ścisnął go palcami. Widok pękającego naskórka i żółtawych kropelek ropy sprawił mu dziwną, bolesną przyjemność. Przez pięćdziesiąt lat, długich niby cięża słonia, ten nijaki urzędnik dojrzewał w kokonie dziecka, młodzieńca, a w końcu

dorosłego mężczyzny. Wreszcie czas się dopełnił, kokon pękł i motyl przeobraził się w poczwarkę. W tej poczwarce Fima rozpoznawał siebie.

Wiedział też, że teraz role się odwróciły, że odtąd wewnątrz kokonu będzie się kryło dziecko o wielkich oczach i niezdarnych członkach.

Rezygnacja połączona ze szczyptą ironii czasami ma w sobie własne przeciwieństwo – wewnętrzną tęsknotę za dzieckiem, młodzieńcem, mężczyzną, z których powstała poczwarka. I w ten sposób zdarzało się, że Fima doświadczał przez chwilę tego, co nie mogło już powrócić, a jednak żyło, w najczystszej, odpornej na rozkład postaci, tam gdzie tęsknota i smutek nie miały dostępu. Miłość Jael, niby zamknięta w szklanej kuli, na mgnienie była mu przywrócona, z dotykiem jej ust i języka za uchem i tamtym szeptem: „Tutaj, dotknij mnie tutaj”.

W łazience Fima odkrył, że skończył mu się krem do golenia. To był pewien kłopot, ale rozwiązał go wpadając na błyskotliwy pomysł, aby ogolić się, mydląc grubo twarz zwykłym mydłem. Miało ono zjełczały zapach, przypominający woń potu pod pachami w upalny dzień. Skrobał maszynką po policzkach, aż były gładkie, ale zapomniał ogolić szczecinę pod brodą. Potem wziął ciepły prysznic i zdobył się na odwagę, żeby na zakończenie poleć się zimną wodą. Przez chwilę czuł się rześki, gotów, by zacząć wszystko od nowa, aż ręcznik, wilgotny od poprzedniego dnia, otulił go znowu jego własnym stęchłym zapachem z nocy, niby nieświeża koszula.

Z łazienki poszedł do kuchni i włączył czajnik elektryczny. Umył brudną filiżankę leżącą w zlewie i wsypał do niej dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej, dodając dwie tabletki sacharyny. Potem zabrał się do siania łóżka. Szamotał się z pościelą przez dobrych kilka minut. Kiedy wrócił do kuchni zauważył, że poprzedniego dnia nie domknął lodówki. Wyjął z niej pudełko margaryny, dżem i otwarty jogurt, ale okazało się, że jakiś nierozumny insekt wybrał go sobie

na miejsce samobójstwa. Starając się wyłowić nieboszczyka łyżeczką, Fima zatopił go zupełnie. Wrzucił więc pojemnik z jogurtem do kosza i zadowolił się kawą bez mleka, bo bez próbowania uznał, że musiało skwaśnieć w otwartej lodówce. Miał zamiar włączyć radio i posłuchać wiadomości. Rząd miał późnym wieczorem posiedzenie. Może spadochroniarze zrzuceni nad Damaszkiem porwali prezydenta Asada albo Jasir Arafat chce przybyć do Jerozolimy i wygłosić mowę w Knessecie. Fima miał nadzieję, że wiadomości co najwyżej będą dotyczyły dewaluacji lub jakiejś afery korupcyjnej. Wyobraził sobie siebie jako premiera, zwołującego posiedzenie rządu o północy. Jego lewicowe sentymenty z dawnych lat, kiedy należał do ruchu młodzieżowego, sprawiły, że na miejsce spotkania wybrał jakąś klasę w starej szkole w Katamonie, z poobijanymi ławkami i tablicą zapisaną działaniami matematycznymi. On sam, ubrany w roboczą bluzę i wytarte spodnie, nie siedział za stołem nauczycielskim, ale na parapecie. Odmalowałby okrutny obraz rzeczywistości. Ministrowie byliby wstrząśnięci przedstawioną wizją katastrofy. Przed świtem Fima zapewniłby sobie poparcie większości podczas głosowania nad wycofaniem wszystkich wojsk ze Strefy Gazy, nawet bez podpisanego uprzednio porozumienia. „Jeśli na nasze działania odpowiedzą ogniem, zbombardujemy ich. Ale jeśli będą siedzieli cicho i pokażą, że naprawdę chcą pokoju, wtedy poczekamy rok lub dwa i zaczniemy z nimi negocjacje w sprawie przyszłości Zachodniego Brzegu”.

Fima skończył kawę i włożył na siebie gruby, znoszony brązowy sweter, który zostawiła mu Jael. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że przegapił wiadomości o siódmej. Zszedł więc na dół, żeby wyjąć ze skrzynki poranną gazetę. Ale zapomniał klucza i musiał wyciągnąć ją przez szczelinę, rozrywając przy tym pierwszą stronę. W drodze na górę, czytając nagłówki, doszedł do wniosku, że władza w kraju dostała się w ręce bandy oszołomów, którzy bez przerwy przypominają o Hitlerze i holocauście i tłumią w zarodku wszelkie

nadzieje na pokój, widząc w nich groźny spisek nazistów. Zanim stanął przed drzwiami, Fima zdał sobie sprawę, że jeszcze raz sam sobie przeczy i postanowił nie popadać w tak typową dla izraelskiej inteligencji histerię, ani nie biadolić – musimy wystrzegać się niemądrej pokusy zakładania, że historia wreszcie ukarze winnych. Robiąc sobie drugą filiżankę kawy, wbrew swoim poprzednim postanowieniom, rozwinął w myśli wywód, którym miał zamiar posłużyć się w dyskusji z Urim Gefenem, Cwiką i resztą paczki: „Zamiast dąsać się na rzeczywistość, trzeba w końcu nauczyć się żyć i działać w warunkach tymczasowych, które mogą wlec się latami. Nie umiemy zaakceptować nie wyjaśnionej do końca sytuacji, pragniemy natychmiastowych rozwiązań, chcemy je znaleźć od razu i to są prawdziwe przyczyny naszej impotencji politycznej”.

Kiedy skończył czytać recenzję programu, który zapomniał obejrzeć poprzedniego wieczora w telewizji, było już po ósmej i znowu przegapił wiadomości radiowe. Rozzłoszczony postanowił od razu wziąć się do roboty. Powtórzył sobie słowa ze snu: „Rozdzielić”. Rozdzielić – ale co od czego? Ciepły, pełen współczucia głos, który nie był ani damski, ani męski, powiedział mu: „I gdzież ty się podziewasz, Efraimie?”. „Bardzo słuszne pytanie” – odparł Fima.

Usiadł przy biurku i zobaczył listy, na które jeszcze nie odpowiedział, oraz sporządzoną w sobotę wieczór listę zakupów. Przypomniawszy sobie, że tego ranka miał do kogoś koniecznie zadzwonić w sprawie nie cierpiącej zwłoki, ale za skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, do kogo. Wybrał więc numer Cwika Kropotkina, obudził go, wyjąkał długie, pełne zażenowania przeprosiny, ale mimo wszystko przetrzymał go przy słuchawce przez dobre dwadzieścia minut, mówiąc o taktyce lewicy i zmianach widocznych w stanowisku Stanów Zjednoczonych, a także o bombie zegarowej fundamentalizmu islamskiego, tykającej wokół Izraela. Wreszcie Cwi mu przerwał:

– Fima, przepraszam, nie gniewaj się, ale po prostu muszę się ubrać. Spóźnię się na wykłady.

Fima zakończył rozmowę, tak jak ją zaczął, przesadnie długimi przeprosinami. Nadal nie mógł sobie przypomnieć, czy tego ranka miał do kogoś zadzwonić, czy też czekać na jakiś ważny telefon, który być może przegapił przez swoją rozmowę z przyjacielem, a właściwie raczej monolog niż rozmowę. Porzucił więc myśl, by zadzwonić również do Uriego Gefena i zabrał się do przeglądania nadesłanego przez bank wydruku komputerowego, ale nie mógł dojść, czy sześćset pięćdziesiąt szekli stanowi saldo dodatnie jego konta, a czterysta pięćdziesiąt ujemne, czy odwrotnie. Głowa opadła mu na piersi, a pod zamkniętymi powiekami przemknął obraz tłumu muzułmańskich fanatyków, recytujących w ekstazie sury i wykrzykujących hasła, rozbijających i palących wszystko na swojej drodze. Potem plac opustoszał. Tylko wiatr miotał strzępami pożółkłego papieru rozmakającego pośród bębniącego deszczu, który rozpadał się wszędzie aż do wzgórz betlejemskich zasnutych siwą mgłą. Gdzież ty się podziewasz, Efraimie? Gdzie jest strona aryjska? A jeśli jest ona Rosą, to dlaczego?

Fima zbudził się, czując dotyk ciężkiej, ciepłej dłoni. Otworzył oczy i zobaczył smagłą dłoń ojca spoczywającą na swoim udzie niby żółw. To była stara, kanciasta dłoń z pożółkłymi paznokciami, żłobiona wzgórkami i dolinami ciemnoniebieskich żył, upstrzona plamkami pigmentu i rzadkimi kępkami włosów. Fima przeraził się, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko jego własna dłoń. Oprzytomniał i przeczytał trzykrotnie napisany w sobotę wstęp do artykułu, który obiecał dostarczyć najpóźniej tego ranka. Ale temat, którym zamierzał się zająć, to, co obudziło w nim przekorę polemisty, dziś wydawało się pustym dźwiękiem. Wygasła w nim sama potrzeba pisania.

Błysnęła mu jednak myśl, że może nie wszystko jeszcze stracone. Może to tylko trudność techniczna? Chmury i mgła

sprawiły, że w pokoju było za ciemno. Fima potrzebował światła. To wszystko. Włączył lampę na biurku, mając nadzieję, że w ten sposób zacznie od nowa swój artykuł, swój poranek, swoje życie. Ale lampa była zepsuta. Albo tylko przepaliła się w niej żarówka. Zły pospieszył do szafy w korytarzu, gdzie wbrew najgorszym przeczuciom znalazł zapasową żarówkę i udało mu się wymienić ją w lampie bez większych trudności. Ale najwyraźniej nowa żarówka była wybrakowana albo uległa wpływom swojej poprzedniczki. Fima ruszył więc, aby poszukać trzeciej, ale po drodze przyszło mu na myśl, żeby spróbować zupalić światło w korytarzu i wtedy musiał rozgrzeszyć obydwie żarówki, bo okazało się, że wyłączono prąd. Aby nic siedzieć beczynn timer, postanowił zadzwonić do Jael. Jeżeli odbierze jej mąż, Fima odłoży słuchawkę. A jeżeli usłyszy głos Jael, wymyśli coś naprędce. Jak wtedy, kiedy po żarliwej kłótni ułagodził ją słowami: „Gdybyśmy nie byli małżeństwem, poprosiłbym cię o rękę”, a ona uśmiechając się przez łzy, powiedziała: „Gdybyś nie był moim mężem, to może nawet bym się zgodziła”. Po odczekaniu dziesięciu, dwudziestu sygnałów Fima zrozumiał, że Jael nie ma zamiaru z nim rozmawiać, chyba że to Ted nie pozwala jej podnieść słuchawki.

Poczuł się znużony. Jego nocna włóczęga po hiszpańskich uliczkach Valladolid zmarnowała mu cały poranek. O pierwszej musiał być na stanowisku, za kontuarem prywatnej kliniki w Kiryat Shmuel, gdzie pracował, a już było dwadzieścia po dziewiątej. Zmiał kartki z zaczęty m artykułem, rachunek za elektryczność, listę zakupów i wydruk komputerowy z banku, wrzucił to wszystko do kosza. W ten sposób oczyścił przynajmniej miejsce pracy. Poszedł do kuchni zrobić sobie świeżej kawy. Czekaając, aż woda się zagotuje, stał w półmroku, wspominając pewien wieczór w Jerozolimie, jakieś trzydzieści lat wcześniej, na ulicy Agrippas przed kinem „Eden”, kilka tygodni po wyprawie do Grecji. Jael powiedziała wtedy: „Tak, Efi, kocham cię, cieszę się, że jesteśmy razem, i lubię, kiedy mówisz, ale dlaczego myślisz, że gdybyś przez parę minut był cicho, to



przestałbyś istnieć?”. A on zamilkł, jak skarcone przez matkę dziecko.

Kiedy po kwadransie czajnik nadal był zimny, choć Fima dwa razy sprawdzał, czy dobrze go włączył, dotarło do niego wreszcie, że bez elektryczności nie doczeka się swojej kawy. Położył się więc znowu, ubrany, okrywając się ciepłym kocem, nastawił budzik na za piętnaście dwunasta, wepchnął swoją księgę snów pod stertę gazet w nogach łóżka, podciągnął koc pod brodę i zaczął myśleć o kobietach, dopóki nie zdołał się podniecić. Zacisnął obie dłonie na swoim stwardniałym członku, niby złodziej wspinający się po rynnie, choć – zaśmiał się w duchu – przypominał bardziej tonącego usiłującego przytrzymać się trzciny. Ale zmęczenie było silniejsze od pożądania i Fima dał sobie spokój. Zasnął. Na dworze padało coraz bardziej.

### **Puszka robaków**

Podczas południowych wiadomości usłyszał, że jakiś młody Arab został zabity plastikową kulą wystrzeloną prawdopodobnie z broni żołnierza w obozie uchodźców w Jabeliyeh, w następstwie incydentu z rzucaniem kamieniami. Ciało chłopaka zostało wykradzione ze szpitala przez jakichś zamaskowanych młodych ludzi. Badano okoliczności sprawy. Fima zastanawiał się nad sposobem sformułowania tej wiadomości. Nie podobało mu się szczególnie określenie „zabity plastikową kulą”. I zagotował się po prostu na słowo „prawdopodobnie”. W ogóle złościło go, że w oświadczeniach władz, a w efekcie wszędzie, coraz częściej używa się strony biernej.

Choć może było to tylko zdrowe i chwalebne poczucie wstydu, które nie pozwalało stwierdzić po prostu, że jakiś żydowski żołnierz zastrzelił arabskiego nastolatka. Z drugiej jednak strony to zanieczyszczanie języka sugerowało nam, że wina leży po stronie karabinu, badanych okoliczności, plastikowej kuli, tak jakby całe zło działa się z woli Nieba i było tylko wyrokiem losu.

A tak naprawdę, to kto wie, powiedział sobie w duchu Fima.

Przecież jest jakiś tajemny czar w słowach „wola Nieba”.

Ale po chwili zezłościł się na samego siebie. Nie ma żadnych czarów ani tajemnicy. Nie mieszajmy do tego Nieba.

Przyłożył sobie do czoła widelec, dotknął skroni, tyłu głowy i starał się zgadnąć lub poczuć, jak to jest w chwili, kiedy kula przebija czaszkę i rozrywa się w środku – żadnego bólu, żadnego dźwięku. Może – zastanawiał się – to tylko przeszywający błysk

zdumienia, jak u dziecka, które zamiast karcącego klapsa, dostaje rozgrzanym do białości pogrzebaczem w oko. Czy to możliwe, że przez mgnienie, ułamek sekundy, doznaje się iluminacji, cudownego oświecenia? Kiedy to, co przez całe życie było mętne i nieuchwytnie, staje się nagle jasne, zanim zapadnie ciemność? Tak jakby przez wszystkie te lata szukało się skomplikowanej odpowiedzi na trudne pytanie, a w przebłysku chwili ostatecznej odkrywa się prostą odpowiedź?

Ale zaraz opamiętał się gniewnie: „Przestań bzikować”. Słowa „nieuchwytnie” i „mętne” napęłniły go obrzydzeniem. Podniósł się i wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi i starając się dobrze zapamiętać, do której kieszeni chowa klucz. Na dole zauważył w szczelinie skrzynki na listy jakąś pocztę, ale miał tylko klucz od drzwi wejściowych. Klucz do skrzynki najprawdopodobniej leży na biurku. Chyba że jest w kieszeni innych spodni. Albo na blacie w kuchni. Po chwili wahania wzruszył ramionami. Pewnie to tylko rachunek za wodę albo za telefon, albo jakiś inny. Jedząc wczesny – składający się z omletu z salami, sałatki i kompotu – obiad w małym lokaliku po drugiej stronie ulicy, ze zdumieniem zobaczył, że w jego mieszkaniu pali się światło. Zastanawiał się nad tym chwilę, rozważając mało prawdopodobną możliwość, że znajduje się w obu miejscach naraz, ale doszedł do wniosku, że po prostu usunięto awarię i włączono prąd. Patrząc na zegarek stwierdził, że jeśli wróci do domu, by wyłączyć światło, znaleźć klucz do skrzynki i wydobyć list, spóźni się do pracy, więc tylko zapłacił szybko za posiłek.

– Dziękuję, pani Schoenberg – powiedział.

– Scheinmann, doktorze Nisan – poprawiła go jak zwykle.

– Oczywiście – wycofał się Fima. – Przepraszam. Ile jestem winien? Już zapłaciłem? No to jedyne usprawiedliwienie dla mnie, że chciałbym zapłacić podwójnie, bo pani sznycel... To był sznycel, prawda? Był wyjątkowo smaczny. Przepraszam. Dziękuję. Do widzenia. Muszę bieć. Co za deszcz. Czy pani nie jest trochę

zmęczona? A może ma pani jakieś zmartwienie? To pewnie ta pogoda. Wkrótce się przejaśni. Do jutra.

Dwadzieścia minut później, kiedy autobus zatrzymał się przy Centrum Kultury Binianej Hauma, Fimie wydało się strasznie głupie, że w taki dzień wybrał się bez parasola i że obiecywał właścicielce lokaliku przejaśnienie. Skąd mu to przyszło do głowy? Nagle wspaniała poblask czerwonych promieni przedzierających się spomiędzy chmur rozświetlił jaskrawo jedno z okien hotelu Hilton. Mrużąc oczy, Fima dostrzegł ręcznik powiewający na balustradzie balkonu na dziesiątym piętrze i poczuł wyraźnie zapach kobiety, która przed chwilą się nim wytarła. – No popatrz – powiedział sobie – nic nie jest nigdy stracone na zawsze, nic nie idzie na marne i prawie w każdej chwili staje się jakiś maleński cud. Może wszystko ma jednak jakiś sens?

Fima dostał swoje dwupokojowe mieszkanie na obrzeżu Kiryat Yovel, kiedy żenił się po raz drugi w 1961 roku, w niecały rok po ukończeniu z wyróżnieniem historii na uniwersytecie w Jerozolimie. W owych czasach ojciec wiązał z nim wielkie nadzieje. Inni też widzieli przed nim wspaniałą przyszłość. Dostał stypendium i miał już zdawać egzamin magisterski. Była też mowa o doktoracie i karierze naukowej. Ale w lecie 1960 roku życie Fimy bardzo się skomplikowało. Do dziś przyjaciele z rozbawieniem wspominają tamten „rok amorów”. Wieść niosła, że w połowie lipca, zaraz po egzaminach, Fima zakochał się w przewodniczce katolickiej wycieczki z Francji. Siedział na ławce w ogrodzie Klasztoru Ratyżbońskiego, czekając na uczennicę szkoły pielęgniarskiej, swoją dziewczynę Szulę, która parę lat później wyszła za jego przyjaciela Cwikę Kropotkina. W dłoni trzymał gałązkę oleandra, a nad nim szczebiotały ptaszki. Nicole z sąsiedniej ławki spytała go, czy jest tu jakaś woda i czy on mówi po francusku. Na oba pytania Fima odpowiedział twierdząco, choć nie miał pojęcia, gdzie znaleźć wodę, a francuski znał bardzo słabo. Od tamtej pory chodził za Nicole krok w krok. Mimo grzecznych upomnień, nie odstępował jej ani na chwilę.

Nie dał za wygraną nawet wtedy, kiedy opiekun grupy ostrzegł go, że wniesie na niego skargę. Kiedy Nicole poszła na mszę do klasztoru Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, czekał pod drzwiami przez półtorej godziny jak pies. Kiedy tylko wychodziła z Hotelu Królów naprzeciw gmachu Terra Sancta, spotykała go zawsze już przy obrotowych drzwiach. Jego oczy płonęły. Kiedy szła do muzeum, czaił się w każdej sali. Kiedy poleciała do Francji, podążył za nią do Paryża, a nawet do jej domu w Lyonie. Pewnej księżycowej nocy ojciec Nicole wypalił do Fimy z dwururki, raniąc go lekko w nogę. Leżąc przez trzy dni w szpitalu prowadzonym przez franciszkanów, Fima wypytywał, co trzeba zrobić, aby zostać chrześcijaninem. Ojciec Nicole, kiedy przyszedł prosić o wybaczenie, obiecał pomóc mu w zmianie wyznania. Tymczasem Nicole miała dość również swojego ojca i uciekła od nich obydwu. Najpierw do siostry w Madrycie, a potem do szwagierki w Maladze. Fima, brudny i zaniedbany, ścigał ją zakurzonymi autobusami i pociągami. Dotarł do Gibraltaru, gdzie skończyły mu się pieniądze. Z pomocą Czerwonego Krzyża wsadzono go niemal siłą na pokład panamskiego statku handlowego i odesłano do Izraela. Po przybyciu do Hajfy został aresztowany i spędził sześć tygodni w więzieniu wojskowym, bo sfalszował datę na formularzu uprawniającym żołnierza rezerwy do opuszczenia kraju. Mówi się, że kiedy Fima zakochał się w Nicole, ważył siedemdziesiąt dwa kilogramy, a we wrześniu, w szpitalu więziennym, mniej niż sześćdziesiąt. Zwolniono go z aresztu, kiedy ojciec wstawił się za nim u zajmującego wysokie stanowisko urzędnika, którego żona, znana postać elity towarzyskiej, posiadaczka słynnej kolekcji sztychów, zakochała się potem nieprzytomnie w Fimie. Była o dziesięć lat młodsza od swego męża i co najmniej o osiem lat starsza od Fimy. Jesienią zaszła z nim w ciążę i przeprowadziła się do niego do Musary. Znaleźli się na językach całego miasta. W grudniu Fima znowu wsiadł na statek handlowy, tym razem jugosłowiański, i wylądował na Malcie, gdzie spędził trzy miesiące, pracując przy hodowli ryb tropikalnych i pisząc swój cykl wierszy – *Śmierć Augustyna i jego zmartwych-*

*wstanie w ramionach Dulcynei.* W styczniu właścicielka taniego hoteliku w Valetcie, w którym mieszkał, poczuła do Fimy wielką słabość i namówiła go, żeby się do niej przeprowadził. W obawie, że i ona może zająć w ciążę, Fima postanowił wziąć z nią ślub cywilny. Związek ten nie potrwał nawet dwóch miesięcy, bo w tym czasie ojcu udało się z pomocą przyjaciół mieszkających w Rzymie ustalić miejsce pobytu syna. Poinformował Fimę, że jego ukochana z Jerozolimy poroniła, wpadła w depresję i wróciła do męża i swojej kolekcji. Fima nie umiał znaleźć dla siebie żadnego usprawiedliwienia, czuł się strasznie winny. Zdecydował porzucić natychmiast swoją gospodynię i od tej pory omijać kobiety z daleka. Uznał, że miłość nieuchronnie prowadzi do katastrofy, a związki bez miłości przynoszą jedynie poniżenie i ból. Opuszczał Malteę bez grosza w kieszeni, na pokładzie tureckiego statku rybackiego. Miał zamiar zaszyć się na rok w pewnym klasztorze na wyspie Samos. W drodze wpadł nagle w popłoch, że być może jego porzucona żona również jest w ciąży, i zastanawiał się, czy nie powinien do niej wrócić, ale jednocześnie czuł, że postąpił słusznie zostawiając jej pieniądze, lecz nie adres, dzięki któremu mogłaby go odszukać. Zsiadł ze statku w Salonikach i spędził noc w schronisku młodzieżowym, gdzie śnił słodko i boleśnie o swojej pierwszej miłości, Nicole, której ślad zgubił na Gibraltarze. We śnie miała na imię Teresa i Fima widział swojego ojca z naładowaną bronią, jak więzi ją i niemowlę w piwnicy YMCA w Jerozolimie, tyle że pod koniec snu to Fima okazał się tym trzymanym w niewoli dzieckiem. Następnego ranka wyruszył na poszukiwania synagogi, choć nigdy nie był praktykujący, i miał przeświadczenie, że sam Bóg nie jest specjalnie religijny i tej religijności nie wymaga. Ale nie mając żadnego innego adresu, Fima postanowił spróbować. Pod synagogą spotkał trzy dziewczyny z Izraela, które wędrowały po Grecji i zamierzały udać się na północ, w góry, bo właśnie zaczęła się wiosna. Fima przyłączył się do nich i po drodze, jak powiadają, zakochał się po uszy w jednej z nich, Ilii Abravanel, z Haify. Iliya wydała się mu żywym wcieleniem Marii Magdaleny z obrazu, który



niegdyś widział, ale nie pamiętał gdzie, nie umiał też sobie przypomnieć nazwiska malarza. Ponieważ Ilija oparła się jego zalotom, przespał się kilka razy z jej przyjaciółką Liat Sirkin, która zapraszała go do swojego śpiwora na noce, które spędzali w jakiejś górskiej kotlinie czy świętym gaju. Dzięki Liat Fima zaznał kilku niezwykłych, wyrafinowanych rozkoszy, ale poza pobudzeniem zmysłów z każdym dniem odczuwał też coraz mocniej nieokreślone bliżej uniesienie – wypełniała go jakaś tajemna wysokogórska radość przemieszana z zachwytem, wyostrzając jego zdolność postrzegania – czegoś podobnego nie doświadczył nigdy przedtem ani potem. Tamtej wiosny, w górach północnej Grecji, patrząc na wschód słońca ponad kępą oliwnych drzew, Fima umiał zobaczyć stworzenie świata. Mijając w gorące południe wędrujące po pastwiskach stada, odczuwał z całkowitą pewnością, że nie żyje po raz pierwszy. A siedząc na osłoniętym winoroślą tarasie wiejskiej tawerny, popijając winem sałatę z serem, mógł słyszeć wycie wiatru miotającego śniegiem na polarnych pustkowiach. Grał dziewczętom melodie na fujarce i nie wstydził się skakać przed nimi i płaszać jak dziecko, aż zanosily się śmiechem i były po prostu szczęśliwe. Przez cały ten czas nie widział żadnej sprzeczności w tym, że wzdycha do Ilii, a sypia z Liat, jednocześnie niemal nie zwracał uwagi na trzecią dziewczynę, która zwykle była milcząca. Chociaż to ona opatrzyła mu stopę, kiedy się zranił szkłem. Te trzy kobiety oraz wszystkie inne, które przewinęły się przez jego życie wcześniej, włączając w to jego matkę, która umarła, kiedy miał dziesięć lat, zlewały się w jego świadomości właściwie w jedną postać. Nie żeby myślał, iż kobieta jest tylko kobietą, ale jego wewnętrzna iluminacja dawała mu czasem poczucie, że różnice pomiędzy wszystkimi ludźmi – mężczyznami, kobietami i dziećmi – nie mają żadnego znaczenia, może poza warstwą najbardziej powierzchowną i efemeryczną. Tak jak woda, która raz przybiera formę śniegu, innym razem mgły albo pary, bryłek lodu, chmur albo gradu. Podobnie dzwony klasztorów i wiejskich kościołów różnią się tylko tonem i rytmem, ale wszędzie ich bicie oznacza to samo. O tych myślach opowiadał dziewczynom.

Dwie z nich wierzyły mu. Trzecia tylko nazwała go głuptasem i poprzestała na zacerowaniu mu koszuli. Fimie to również wydało się jedynie innym sposobem wyrażenia tego samego. Ta trzecia dziewczyna, Jael Levin z Yavne, bez oporu brała udział w ich wspólnych kąpielach nago w ciepłe księżycowe noce, kiedy trafili na jakieś źródło lub strumień. Kiedyś podpatrywali z oddali kilkunastoletniego pasterza, który zaspokajał swoje seksualne tęsknoty na kozie. Innym razem widzieli dwie pobożne stare kobiety w żałobie, z dużymi drewnianymi krzyżami, zawieszonymi na piersi. Siedziały na kamieniu pośrodku pola, w upalne południe, nieruchome, ze splecionymi dłońmi. Pewnej nocy słyszeli muzykę z opuszczonych ruin. A któregoś dnia minęli po drodze zasuszonego starca, grającego na zepsutym akordeonie, z którego nie wydobywał się żaden dźwięk. Następnego ranka przeszła krótka ulewa. Powietrze stało się tak czyste, że mogli obserwować, jak po czerwonych dachach domów wiosek w odległych dolinach wędrują cienie drzew i rozróżnić niemal każdą igielkę cyprysów i sosen porastających zbocza gór. Na jednym ze szczytów nadal leżała czapa śniegu, który na tle głębokiego błękitu nieba był bardziej srebrzysty niż biały. Stada ptaków przemykały w górze niby powiewające na wietrze wstążki. Bez żadnego wyraźnego powodu Fima powiedział coś, co rozśmieszyło dziewczyny: Ach, to tu jest pies pogrzebany.

– Czuję się tak, jakby to było więcej niż sen, a jednocześnie więcej niż jawa. Nie umiem tego sprecyzować – powiedziała Ilia.

– To po prostu sprawa światła – odezwała się Liat.

A Jael spytała:

– Komu chce się pić? Zejdźmy do wody.

Prawie miesiąc po tamtej podróży Fima pojechał do Yavne, żeby poszukać trzeciej dziewczyny. Dowiedział się, że Jael Levin jest absolwentką wydziału inżynierii lotniczej politechniki w Haifie i pracuje w górzystej okolicy na zachód od Jerozolimy, w zakładach, których produkcja objęta jest ścisłą tajemnicą. Po kilku spotkaniach

przekonał się, że w jej towarzystwie staje się nerwowy, natomiast ją jego bliskość wprawia w dobry humor. Kiedy z wahaniem spytał, czy sądzi, że do siebie pasują, odpowiedziała, że „podoła jej się jego sposób mówienia”. Pomyślał, że to już pewien dowód uczuć. I poddał się marzeniom. Następnie odszukał Liat Sirkin i przesiedział z nią w małej nadmorskiej kawiarence pół godziny po to tylko, żeby upewnić się, czy aby nie wpędził jej w ciążę. Ale potem dał się skusić i poszedł z nią do łóżka w tanim hoteliku w Bat Yam, i znowu nie miał żadnej pewności. W maju zaprosił wszystkie trzy dziewczęta do Jerozolimy, żeby przedstawić je ojcu. Staruszek oczarował Ilię staromodnymi manierami dżentelmena, anegdotkami i opowiastkami z morałem rozbawił Liat, ale najbardziej podobała się mu Jael, bo uznał, że wyróżnia ją „głęboka osobowość”. Fima zgodził się z nim, choć nie był całkiem pewien, z czego to ojciec wnioskuje. Nadal się z nią spotykał, aż pewnego dnia powiedziała:

– Co ty wyprawiasz z tą koszulą, pół do środka, pół na wierzch. Zaczekaj. Poprawię ci ją.

A w sierpniu 1961 roku Jael i Efraim Nisan mieszkali już jako małżeństwo w małym mieszkanku, które kupił Fimie ojciec na skraju Kiryat Yovel, na przedmieściach Jerozolimy. Przedtem Fima w obecności notariusza podpisał zredagowaną przez ojca umowę, że od tej pory przyrzeka uroczyście nie angażować się w nic, co jego ojciec określiłby jako „poszukiwanie przygód”. Zobowiązał się też podjąć w końcu zmarnowanego roku starania o dyplom magisterski. Ojciec ze swojej strony godził się pokryć koszty studiów syna, a także ostatniego etapu stażu Jael i nawet zapewnił im skromną miesięczną pensję przez pierwsze pięć lat małżeństwa. Od tamtej pory ustały plotki na temat Fimy. Przygody się skończyły. Dobiegł końca „rok amorów” i zaczęła się proza życia. Ale Fima nie wrócił już do nauki, nie licząc jednego czy dwóch pomysłów, które poddał swojemu przyjacielowi, Cwi Kropotkinowi, który tymczasem pisał się po kolejnych szczeblach kariery, zrobił doktorat i kładł fundament pod piramidy przyszłych artykułów i książek z dziedziny historii.

W 1962 roku namawiany gorąco przez przyjaciół, a szczególnie dzięki staraniom Cwiki, Fima opublikował cykl wierszy, które napisał podczas swojego krótkiego małżeństwa na Malcie – *Śmierć Augustyna i jego zmartwychwstanie w ramionach Dulcynei*. Przez rok czy dwa niektórzy krytycy i czytelnicy widzieli w Efraimie Nisanie wielką nadzieję współczesnej poezji. Ale z czasem nadzieje te się rozwiały, bo muza Fimy zamilkła. Nie pisał już wierszy. Każdego ranka wojskowy samochód zabierał Jael w nie znanym Fimie kierunku – do pracy, gdzie zajmowała się rozwiązywaniem jakichś problemów technologicznych, których on nie rozumiał i nie miał zamiaru poznawać. Spędzał całe ranki snując się po mieszkaniu i słuchając wszystkich kolejnych wiadomości radiowych, grzebiąc w lodówce i jedząc na stojąco, głośno spierając się z samym sobą i spikerami. Z wściekłością słał łóżko, bo nie zdążyła tego przed wyjściem zrobić Jael, a tak naprawdę to przecież nie mogła, bo Fima jeszcze w nim spał. Potem kończył czytać poranną gazetę, wychodził kupić to i owo w sklepie spożywczym, wracał z dwiema popołudniowymi gazetami, zagłębiał się w nich do wieczora, rozwlekając je po całym mieszkaniu. W przerwach pomiędzy czytaniem gazet i słuchaniem wiadomości siadał za biurkiem. Przez chwilę zajmował się chrześcijańską księgą, *Pugio Fidei*, ojca Rajmonda Martiniego, która została wydana w Paryżu w 1651 roku i miała obalić raz na zawsze założenia wiary Maurów i Żydów. Fima rozważał możliwość zanalizowania od nowa źródeł chrześcijańskiego antysemityzmu. Ale nie zabrał się do pracy, bo jego myśli pochłonęła idea Ukrytego Boga. Zatopił się w lekturze biografii pustelnika Hieronima ze Strydonu, który poznał hebrajski dzięki żydowskiemu nauczycielowi, osiadł w Betlejem w 386 roku, przetłumaczył Stary i Nowy Testament na łacinę i być może celowo przyczynił się do pogłębienia konfliktu pomiędzy Żydami i chrześcijanami. Ale te rozważania nie wciągnęły Fimy. Znużenie wzięło górę i poddał się lenistwu. Kartkował encyklopedię, zapominał, czego szuka, i spędzał godziny na czytaniu haseł w kolejności alfabetycznej. Prawie co wieczór wkładał na głowę swoją sfatygowaną czapkę i szedł w odwiedziny do

przyjaciół, rozprawiać do świtu o aferze Lavona, procesie Eichmanna, kryzysie kubańskim, naukowcach niemieckich w Egipcie i znaczeniu podróży papieża do Ziemi Świętej. Kiedy Jael wracała wieczorem z pracy i pytała, czy jadł, Fima rzucał jej opryskliwie: „A po co? Gdzie to jest powiedziane, że powinienem jeść?”. A potem, kiedy myła się pod prysznicem, tłumaczył jej przez zamknięte drzwi, kto kryje się za zabójstwem prezydenta Kennedy'ego. Kiedy pytała, czy znowu idzie klócić się z Urim lub Cwiką, odpowiadał: „Nie, idę na orgię”. I zadawał sobie w duchu pytanie, czemu pozwolił, by ojciec związał go z tą kobietą. Ale bywało też, że nagle zakochał się od nowa w Jael, w jej silnych palcach, którymi masowała sobie szczupłe kostki w końcu dnia, w jej zwyczaju pocierania rzęs, kiedy była zamyślona, i wtedy adorował ją niczym nieśmiały, namiętny młodzieniec, aż pozwoliła mu zaspokoić swoje ciało, a wtedy pieścił ją z oddaniem, śledząc każdy jej znak. Czasami, kiedy czuł, że jakaś błaha klótnia znów wisi w powietrzu, mówił jej: „Zaczekaj Jael, to minie, niedługo zaczniemy prawdziwe życie”. Czasami w piątkowe wieczory chodzili razem na długie spacery opustoszałymi uliczkami północnej Jerozolimy, a on, nie kryjąc uniesienia, mówił jej o idei dawnych mistyków, że ciało i światło to jednia. Jael stawiała się wtedy wesoła i czuła, tuliła się do niego i wybaczała mu, że przytył, że znowu zapomniał zmienić koszulę w końcu tygodnia i że stale poprawia jej hebrajski. Potem wracali do domu i kochali się, tak jakby rozpacz nie miała do nich dostępu.

W 1965 roku Jael wyjechała na specjalny kontrakt do centrum badań Boeinga w Seattle. Fima odmówił towarzyszenia jej, tłumacząc, że rozłąka dobrze im zrobi. Został w ich dwupokojowym mieszkaniu w Kiryat Yovel. Miał skromną posadkę w prywatnej klinice ginekologicznej w Kiryat Shmuel jako recepcjonista. Trzymał się z dala od życia uniwersytetu, z małymi wyjątkami, kiedy Cwi Kropotkin zdołał wyciągnąć go na jakąś jednodniową konferencję dotyczącą roli osobowości w historii lub historyka jako świadka

naocznego. W dni wolne bywał u Niny i Uriego Gefenów lub u innych przyjaciół i wdawał się w dyskusje polityczne. Od czasu do czasu zadziwiał wszystkich obecnych zjadliwym podsumowaniem lub paradoksalną prognozą, ale nigdy nie umiał zachować umiaru, kiedy wygrywał. Niczym nałogowy hazardzista brnął dalej, ze swadą spierając się o to, na czym się nie znał, albo na temat drobiazgów zupełnie bez znaczenia, i wtedy nawet jego najwierniejsi przyjaciele tracili cierpliwość. Czasem przychodził do nich z kilkoma książkami i pilnował im dzieci, kiedy chcieli gdzieś wyjść wieczorem. Jeśli pisali jakiś artykuł, z ochotą ofiarowywał swoją pomoc – czytał, robił poprawki lub skróty. Bywał mediatorem zwaśnionych par. Od czasu do czasu publikował w „Ha'arets” jakiś cięty felieton dotyczący współczesnej sceny politycznej. Odpoczywał robiąc samotne kilkudniowe wypadki do prywatnego pensjonatu w jednej ze starych osad północnego Sharon. Każdego lata z nowym entuzjazmem starał się nauczyć prowadzić samochód, a jesienią oblewał egzamin. Od czasu do czasu jakiejś kobiecie poznanej w klinice lub przez przyjaciół udawało się trafić do jego zabałaganionego kawalerskiego mieszkania i do łóżka z od dawna nie zmienianą pościelą. Wkrótce każda z tych przypadkowych partnerek odkrywała, że Fimę bardziej interesuje sprawianie im przyjemności niż własne żądze. Niektóre uważały to za cudowne i wzruszające, ale inne były zaniepokojone i czym prędzej starały się wyplątać z takiego związku. Pełen inwencji i zmysłowego humoru Fima potrafił przez godzinę lub dwie wywoływać w nich różnorodne rozkoszne doznania, zanim mimochodem osiągał własne zaspokojenie, i od razu, zanim jego partnerka zdołała zorientować się, że odebrał już swoją skromną zapłatę, poświęcał się jej bez reszty od nowa. Jeżeli jakaś kobieta próbowała zmienić ich związek w coś bardziej stałego i udawało się jej zdobyć klucz do jego mieszkania, po tygodniu lub dwóch Fima uciekał do starego pensjonatu w Pardes Hanna lub Magdiel i nie wracał, dopóki nie machnęła na niego ręką. Ale od jakichś pięciu, sześciu lat nawet i te epizody należały do rzadkości.



Kiedy na początku 1966 roku Jael napisała mu, że w jej życiu jest inny mężczyzna, Fima aż zaśmiał się na to banalne stwierdzenie. Przygody z jego roku amorów, małżeństwo z Jael, sama Jael wydały mu się banałem, czymś wydumanym i tak samo dziecinnym jak podziemna komórka rewolucyjna, którą starał się założyć jako licealista. Postanowił napisać do Jael parę prostych zdań, życząc szczęścia jej i temu innemu mężczyźnie jej życia. Po południu usiadł przy biurku i pisał bez przerwy do południa dnia następnego. W gorączkowych słowach liczącej trzydzieści cztery strony epistoły wyznawał Jael głęboką miłość. Po przeczytaniu tego dzieła uznał, że jest bez sensu, podarł je i wrzucił do ubikacji, spuszczać wodę. Miłości nie da się wyrazić słowami, a jeśli się to potrafi, to znak, że jej już nie ma. Albo że właśnie przemija. W końcu wyrwał kartkę z bloku milimetrowego i zamasyście napisał: „Nie potrafię przestać Cię kochać, bo to nie zależy ode mnie, ale oczywiście jesteś wolna. Jakże byłem ślepy. Jeżeli potrzebujesz czegoś z domu, daj mi znać. Na razie wysyłam Ci paczkę z trzema koszulami nocnymi i pantoflami obszytymi futerkiem, i zdjęcia. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zatrzymać nasze zdjęcie z Betlejem w Galilei”. Po tym liście Jael uznała, że Fima nie będzie robił żadnych trudności przy rozwodzie. Ale kiedy wróciła do Jerozolimy i przedstawiła mu bezbarwnego, nijakiego mężczyznę o zbyt szerokiej szczęce i gęstych, niby para szczeciniastych wąsików, brwiach, mówiąc: „Efraim Nisan, Ted Tobias, zostańmy przyjaciółmi”, Fima zmienił zdanie i twardo odmówił zgody na rozwód. Więc Ted i Jael polecili z powrotem do Seattle. Poza kilkoma telegramami i kartkami dotyczącymi spraw formalnych nie kontaktowali się więcej.

Kilka lat później, na początku 1982 roku pewnego zimowego popołudnia Ted i Jael pojawili się u Fimy ze swoim trzyletnim synkiem, lekko zezowatym albinosem w grubych okularach, robiącym wrażenie małego filozofa. Miał na sobie strój amerykańskiego kosmonauty z błyszczącą plakietką, na której było

napisane słowo: CHALLENGER. Dimi Tobias wkrótce pokazał, że umie budować skomplikowane wypowiedzi i zadawać niezręczne pytania. Od razu przypadł do serca Fimie, który żałując, że robił tyle trudności, zaofiarował Jael i Tedowi zgodę na rozwód, pomoc i przyjaźń. Jednak Jael nie zależało już na formalnościach i przyjaźni. W minionych latach zdążyła dwukrotnie opuścić Teda i związać się z innymi mężczyznami, zanim podjęła decyzję, żeby do niego wrócić i urodzić Dimiego, wykorzystując swoją ostatnią – według niej – szansę na macierzyństwo. Fima podbił serce wiecznie zamyślnego „Challenger” historią o wilku, który postanowił porzucić życie dzikiego zwierzęcia i przyłączyć się do kolonii królików. Do tego opowiadania Dimi zaproponował własne zakończenie, które wydało się Fimie logiczne, świadczące o wrażliwości i całkiem zabawne.

Dzięki staraniom ojca Fimy, udało się dyskretnie załatwić rozwód. Ted i Jael zamieszkali na przedmieściach Beit Hakarem, znaleźli pracę w instytucie naukowym i dzielili każdy rok na trzy fazy – lato w Seattle, jesień w Pasadenie, a zima i wiosna w Jerozolimie. Czasem w piątkowe wieczory, zapraszali do siebie Fimę, Kropotkinów, Gefenów i resztę paczki. Czasami zostawiali Dimiego w Kiryat Yovel u Fimy i jeździli do Ejlatu lub Górnej Galilei na kilka dni. Fima stał się ich bezpłatną niańką, bo był pod ręką i ponieważ między nim a Dimim zawiązała się prawdziwa przyjaźń. Poddając się jakiejś dziwnej logice Dimi nazywał Fimę dziadkiem. Jego ojca też nazywał dziadkiem. Fima nauczył się budować z zapalek, pudełek i kleju domy, pałace oraz zamki. Kłóciło się to z obrazem Fimy w oczach przyjaciół czy Jael, a nawet jego samego, bo wszyscy, szczerze mówiąc, mieli go za fajtlapę o dwóch lewych rękach, co to nie naprawi kranu ani nie przyszyje guzika.

Poza Dimim i jego rodzicami była jeszcze cała paczka – mili, porządni ludzie. Niektórzy z nich znali Fimę od czasu studiów i byli pośrednio zaangażowani w jego miłosne przygody, niektórzy mieli wciąż nadzieję, że któregoś dnia ten chłopak się ocknie, zbierze do kupy i zadziwi całą Jerozolimę. To prawda, bywa nie do zniesienia,

nie zna umiaru, ale z drugiej strony, jeśli już powie coś błyskotliwego, to jest to naprawdę błyskotliwe. Pewnego dnia zajdzie wysoko. Warto na niego stawiać. W zeszły piątek na przykład, wcześniej wieczorem, zanim zaczął robić z siebie idiotę, małpując polityków, jakże wspaniale podchwycił słowo Cwika „rytuał”, i mówiąc nagle: „Wszystko jest rytuałem” przedstawił w okamgnieniu swoją teorię, a my siedzieliśmy, słuchając go z otwartymi ustami, oczarowani jak dzieci. Stało się to tematem tygodnia. Albo jego niesamowite porównanie Kafki z Gogolem i zestawienie dzieł ich obu z chasydzkimi przypowieściami.

Z upływem lat niektórzy z przyjaciół pokochali w Fimie to dziwne połączenie inteligencji z roztargnieniem, melancholii i entuzjazmu, wrażliwości i bezradności, głębi myśli i błazeństwa. Co więcej, zawsze można go było poprosić, żeby coś przeczytał, albo podyskutować z nim nad szkicem artykułu. Za jego plecami zaś mawiali, nawet życzliwie, że prawda, Fima jest – jakby to powiedzieć – oryginalny i ma dobre serce. Kłopot w tym, że to straszny leń. Bez ambicji. On po prostu nie myśli o przyszłości. A przecież nie robi się młodszy.

Mimo to w jego niewysokiej, tęgawej postaci było coś wyjątkowego. Może właśnie ten brak zdecydowania, roztargniony sposób chodzenia, ładne, wysokie czoło, przygarbione ramiona, rzędzące jasne włosy, dobre oczy, które zawsze robiły wrażenie zagubionych i nieobecnych, patrzących gdzieś w głąb lub w przestrzeń ponad górami i pustynią. W każdym razie coś w jego wyglądzie sprawiało, że cieszyli się i uśmiechali z sympatią, nawet z daleka, kiedy dostrzegli go po drugiej stronie ulicy, błąkającego się po śródmieściu, jak gdyby nie wiedział, kto go tam sprowadził ani jak się stamtąd wydostać. Mówili wtedy: „Popatrz, to Fima. Znowu wymachuje rękami. Pewno spiera się sam z sobą i w tej dyskusji bierze górę”.

Z czasem pewna niezręczna nić przyjaźni, niewolna od napięć i ambiwalencji, połączyła też Fimę z ojcem, znanym producentem kosmetyków, Baruchem Nombergiem, który był weteranem prawicowej partii Herut. Do tej pory, choć Fima miał 54 lata, jego 82-letni ojciec podczas każdej wizyty wsuwał mu do kieszeni parę dziesiątek albo banknot dwudziestoszekłowy. Tymczasem małym sekretem Fimy było wpłacanie co miesiąc 80 szekli na konto syna Teda i Jael, który miał już dziesięć lat, ale nadal rozmarzony i ufny wyglądał na siedmiolatka. Obcy w autobusie zauważali niekiedy lekkie podobieństwo pomiędzy Fimą a chłopcem, coś w zarysie brody lub czoła, lub w sposobie chodzenia. Ubiegłej wiosny Dimi spytał, czy mógłby hodować parę żółwi i jedwabniki na części balkonu wysprzątanej dla niego przez Timę i Teda przy wiecznie zabałaganionej kuchni mieszkania w Kiryat Yovel. I chociaż Fima uważany był przez wszystkich i nawet przez siebie samego za nieuleczalnie roztargnionego lenia, ani razu nie zapomniał o codziennym dogładaniu tego, co zwykł nazywać „puszką robaków”. Teraz, zimą, jedwabniki już nie żyły, a żółwie wypuścił z Dimim na wolność w wadi, wyschniętym korycie rzeki, tam, gdzie miasto Jerozolima się kończy, a zaczyna skalista, dzika okolica.

## Nadzieja na nowy rozdział

Do prywatnej kliniki w Kiryat Shmuel szło się przez ogród na tyłach budynku, ścieżką wyłożoną jerozolimskimi kamieniami. Teraz była zima i dróżkę pokrywały śliskie, nasiąknięte deszczem sosnowe igły. Fimę całkowicie pochłonęło roztrząsanie zagadki, czy zmarznięty ptak, którego przed chwilą zauważył na jednej z niższych gałęzi, mógł usłyszeć grzmot przetaczający się z zachodu na wschód. Ptaszek wtulił łepkę głęboko pod pióra skrzydła. Nagle Fimie przyszło na myśl, że może wcale nie jest to ptak, ale mokra szyszka. Odwrócił się gwałtownie w kierunku drzewa, przez co pośliznął się i upadł na kolana. Przez chwilę pozostał w tej pozycji. Nie z bólu, ale dlatego, że to kłopotliwe położenie sprawiało mu jakąś perwersyjną przyjemność, jakby udało się mu zakpić z samego siebie.

– Bardzo zręcznie, kolego – powiedział cicho.

Miał dziwne wrażenie, że ten upadek mu się należy, jako swego rodzaju logiczna konsekwencja tamtego małego cudu, jakiego doświadczył po drodze.

Kiedy w końcu zdołał się podnieść, stanął bezmyślnie w deszczu, jak ktoś, kto nie wie, skąd przychodzi, ani dokąd ma iść. Patrząc w górę na okna wyższych pięter, widział tylko zamknięte okiennice albo zaciągnięte zasłony. Tu i ówdzie na balkonie stała doniczka pelargonii. Deszcz sprawił, że liście lśniły zmysłowym blaskiem, który kojarzył się Fimie z wyzywająco umalowanymi ustami kobiety.

Obok wejścia do kliniki wisiała skromna, elegancka tabliczka z czarnego szkła, na której srebrnymi literami napisano: *Dr*

*Wahrhaftig Dr Eitan – lekarze ginekolodzy.* Po raz tysięczny Fima zadał sobie pytanie, dlaczego nie ma podobnych specjalistów od męskich dolegliwości. Jednocześnie jeszcze raz nieprzyjemnie zabrzmiało mu to nieprawidłowe dla hebrajskiego sformułowanie. Ale po chwili uznał, że to dziwactwo myśleć w takich kategoriach. I przypomniał sobie z zażenowaniem, jak słuchając wiadomości oburzył się, nie tyle śmiercią arabskiego chłopca, ile formą komunikatu: „zabity plastikową kulą”.

Tak jakby to kule zabijały.

Czy jemu też pomieszało się w głowie?

Zwołał swoich ministrów na następne spotkanie w zniszczonej sali klasowej. Przy drzwiach postawił krzepkiego wartownika w szortach koloru khaki, w arabskiej chuście i włóczkowej czapeczce na głowie. Niektórzy członkowie rządu usiedli na podłodze, inni stali oparci o ściany, na których wisiały jakieś szkolne wykresy. W kilku dobrze wyważonych zdaniach Fima przedstawił im konieczność wyboru między terytoriami, zdobytymi w 1967 roku, a samą tożsamością narodową. Potem, kiedy jeszcze trwał ożywiony gwar, zarządził głosowanie, w którym zdobył poparcie większości i natychmiast przeszedł do przedstawienia szczegółowych wytycznych.

Zanim wygraliśmy wojnę sześciodniową – dumiał – sytuacja narodu była mniej niebezpieczna i destruktywna niż obecnie. Albo może nie tyle była mniej niebezpieczna, ile po prostu mniej demoralizująca i przygnębiająca. Czy rzeczywiście łatwiej nam było znieść groźbę zagłady, niż znaleźć się na ławie oskarżonych pośród zarzutów światowej opinii publicznej? Groźba zagłady dawała nam poczucie dumy i jedności, podczas gdy pozycja podsądnego stopniowo łamie w nas ducha. Ale nie taka powinna być alternatywa. Być może zasiadanie na ławie oskarżonych łamie ducha wśród niereligijnych kręgów inteligencji, wywodzącej się z Rosji lub krajów Zachodu, podczas gdy przeciętne masy bynajmniej nie tęsknią za dumą Dawida, który stawia czoło Goliatowi. W



każdym razie wyrażenie „przeciętne masy” to pusty frazes. Póki co, masz spodnie całe w błocie, ręce, którymi starasz się je wytrzeć, też, a na głowę leje ci się deszcz. Jest już prawie pięć po pierwszej. Nie ma rady, spóźnisz się do pracy.

Klinika składała się z dwóch połączonych mieszkań na parterze. Jej okna, zabezpieczone kratami powyginanymi w fantazyjne arabeski, wychodziły na wilgotny i odludny, ocieniony gęstymi sosnami ogród. Przy pniach widoczna była gdzieś szara skała. Najłżejszy powiew sprawiał, że czubki drzew kołysały się z szelestem. Teraz wiał silny wiatr i Fimie przemknął przez myśl ulotny obraz dalekiej wioski w Polsce albo w jakiejś innej nadbałtyckiej krainie, gdzie lasem targa pędząca przez zaśnieżone pola burza, szarpiąca strzechy domów i wprawiająca kościelne dzwony w ruch. Z oddali słychać wycie wilków. W głowie Fimy ułożyła się już mała opowieść o tej wiosce, niemieckich faszystach, Żydach i partyzantach. Może zaproponuje ją wieczorem Dimiemu zamiast biedronki w słoiku albo statku kosmicznego wyciętego ze skórki pomarańczy.

Z pierwszego piętra dobiegły go dźwięki fortepianu, skrzypiec i wiolonczeli. To grały trzy starsze kobiety, które tam mieszkały i udzielały prywatnych lekcji. Prawdopodobnie dawały też koncerty – na spotkaniach okolicznościowych, na uroczystościach wręczania nagród literackich, otwarciach domu kultury lub klubu seniora. Fima już od lat pracował w klinice, a jednak na dźwięk tej melodii zawsze ścisnęło mu się serce, jak gdyby wiolonczela ukryta gdzieś w jego duszy odpowiadała swoją niemą tęsknotą tamtej z pierwszego piętra. Tak jakby z upływem lat coraz silniejszy był mistyczny związek pomiędzy tym, co robiono za pomocą nierdzewnych szczypców z ciałami kobiet tu na dole, a melancholią dźwięków wiolonczeli na górze.

Widok Fimy – uśmiechającego się głupawo, rozczochranego grubaska, z rękoma i kolanami całymi w błocie – jak zwykle rozbawił

doktora Wahrhaftiga. Lubił Fimę, a jednocześnie miał chęć udzielić mu nagany. Z natury był łagodnym, dość nieśmiałym człowiekiem, uczuciowym i skorym do wzruszeń, zwłaszcza gdy ktoś go przeproszał i prosił o wybaczenie. Być może właśnie dlatego miał szorstki sposób bycia i zawsze próbował terroryzować wszystkich dookoła, strofując ich. W efekcie jego reprimendy nie były zbyt ostre ani napastliwe.

– No proszę! Jego ekscelencja! Herr Major General von Nisan! Prosto z okopów, jak widzę! Powinniśmy dać panu medal!

– Jestem trochę spóźniony – przerwał mu nieśmiało Fima. Przepraszam. Pośliznąłem się po drodze. Jest tak mokro.

– Coś takiego! – ryknął Wahrhaftig. – I znowu to fatalne spóźnienie! Jeszcze raz siła wyższa!

I opowiedział po raz *n-ty* dowcip o nieboszczyku, który nie zdążył na własny pogrzeb. Był krępy męczyzną, o budowie śpiewaka operowego – basa profundo, z zaróżowionymi, wiotkimi policzkami alkoholika, na których rysowała się chorobliwa siateczka naczyń krwionośnych. Żyłki biegły tuż pod naskórkiem, miało się wrażenie, że patrząc na nie łatwo zmierzyć mu puls. Na każdą okazję miał gotowy dowcip, który zaczynał zawsze od zdania: „Jest taka słynna historia”. I zawsze wybuchał śmiechem, zanim doszedł do pointy. Fima, który znał już na pamięć opowieść, dlaczego nieboszczyk nie zdążył na własny pogrzeb, zdobył się jednak na uśmiech, bo bardzo lubił tego dobrodusznego tyrana. Wahrhaftig miał w zwyczaju wygłaszać swoim tubalnym głosem długie przemowy o wpływie sposobu odżywiania na światopogląd albo o gospodarce socjalistycznej, która zachęca do próżniactwa i oszustw, a wobec tego nie jest odpowiednia dla żadnego cywilizowanego kraju. Te ostatnie słowa Wahrhaftig wypowiadał tonem pełnym mistycznego patosu, tak jak głęboko wierzący chwali Wszechmogącego.

– Spokojnie tu dziś – zauważył Fima.

Wahrhaftig odparł, że lada chwila spodziewają się słynnej aktorki, która cierpi na niedrożność jajowodów. To sformułowanie medyczne nasunęło mu na myśl pewną znaną historyjkę, której oczywiście nie oszczędził Fimie.

Tymczasem ze swojego biura wyłonił się cicho jak kot doktor Gad Eitan. Za nim szła pielęgniarka Tamara Greenwich – przywodząca na myśl czasy pionierskie, mniej więcej czterdziestopięcioletnia kobieta w bladoniebieskim fartuchu, uczesana w staranny koczek, który wyglądał jak malutki kłębek wełny przyczepiony z tyłu głowy. Na skutek jakichś zaburzeń pigmentacji jedno jej oko było zielone, a drugie brązowe. Podtrzymując bladą pacjentkę, przeprowadziła ją przez hall recepcji do pokoju pozabiegowego.

Doktor Eitan, zwinny i muskularny, oparł się o biurko. Żuł gumę, wolno ruszając szczękami. Lekkim skinieniem głowy odpowiedział na powitanie Fimy albo na pytanie, które zadał mu właśnie Wahrhaftig, albo może miało to być zarówno jedno, jak i drugie. Swoimi bladoniebieskimi oczami wpatrywał się w jakąś plamkę widniejącą wysoko nad wiszącą na ścianie reprodukcją Modiglianiego. Wyraz samozadowolenia na jego twarzy i jego mizerny blond wąsik sprawiały, że przypominał Fimie butnego pruskiego dyplomate, wysłanego wbrew własnej woli do dalekiej Mongolii. Eitan zaczął aż Wahrhaftig dokończy następną słynną historyjkę. Potem zapadła chwila ciszy i wtedy niby senny lampart, ledwie ruszając wargami, powiedział cicho:

– Kończmy gadanie i bierzmy się do roboty.

Wahrhaftig natychmiast ruszył za nim posłusznie do gabinetu. Drzwi zamknęły się za nimi. Powietrze wypełnił ostry zapach środków dezynfekcyjnych.

Fima umył ręce i zrobił filiżankę kawy pacjentce w pokoju pozabiegowym. Potem nalał kawy Tamarze i sobie, włożył krótki biały fartuch i usiadł przy biurku, aby przejrzeć zeszyt, w którym

notował wizyty pacjentek. Tu również cyfry pisał słownie. Zaznaczał rachunki uregulowane i zaległe, daty testów laboratoryjnych i ich wyniki, a także wszelkie zmiany terminów. Do niego należało też utrzymywanie porządku w szafce z dokumentami, takimi jak karty pacjentek, dokładny rejestr przepisywanych im leków, wyniki badań ultrasonograficznych i rentgenologicznych. To, plus odbieranie telefonów, stanowiło zakres jego obowiązków. Nie licząc robienia co parę godzin kawy dla obu lekarzy, pielęgniarki i czasem również dla pacjentek, jeśli czuły się obolałe po zabiegu.

Naprzeciw jego biurka leżał mały dywanik, stał niski stolik i dwa fotele, nad którymi wisiały dwie reprodukcje obrazów Degasa i Modiglianiego – to była poczekalnia. Czasami Fima starał się umilić pacjentkom nerwowe chwile, nawiązując z nimi niezobowiązujący dialog na jakiś neutralny temat, taki jak wzrost kosztów utrzymania lub program telewizyjny z poprzedniego wieczora. Jednak większość tych kobiet wolała czekać w milczeniu, przerzucając pisma ilustrowane, i wtedy Fima pograżał się w papierach, starając się nie zwracać na siebie uwagi i nie wprawiać pacjentek w zakłopotanie. Co działo się za zamkniętymi drzwiami gabinetów? Co wywoływało te jęki, które czasami słyszał albo wydawało się mu, że słyszał? Co wyrażały twarze tych kobiet, kiedy wchodziły tam i kiedy wychodziły? Jakie historie dobiegały końca w tej klinice? I jakie właśnie się zaczynały? Kim byli mężczyźni, których cień snuł się za tymi kobietami? A dziecko, które nie przyjdzie na świat, jakie było? Na kogo mogło wyrosnąć? Na te pytania Fima starał się czasami znaleźć odpowiedź w domysłach zrodzonych z ambiwalentnych odczuć – odrazy i przekonania, że powinien uczestniczyć, przynajmniej w wyobraźni, w każdej formie cierpienia. Czasami kobiecość jako taka wydawała mu się rażącą niesprawiedliwością, niby okrutna choroba dotykająca połowy ludzkości, skazująca ją na pohańbienie i upokorzenia, których tej drugiej połowie oszczędzono. Ale bywało też, że wzbierała w nim jakaś nieokreślona zazdrość, poczucie dotkliwej bezsilności i utraty, tak jakby odebrano mu

podstępnie pewien tajemny dar, który umożliwiał taką więź ze światem, jaka była dla niego zupełnie niedostępna. Im więcej nad tym myślał, tym trudniej było mu odróżnić własne współczucie od zawiści. Łono, poczęcie, ciąża, poród, macierzyństwo, karmienie piersią, nawet menstruacja, nawet poronienie i aborcja – próbował wyobrazić sobie to wszystko, czego nie będzie mu dane doświadczyć. Czasami, kiedy tak myślał, bezwiednie dotykał palcami swoich sutek. Wydawały się groteskowe niczym żaloszny relikwiarz. Potem ogarniał go bezgraniczny smutek, współczucie wobec wszystkich mężczyzn i kobiet, tak jakby oddzielność płci była okrutnym wybrykiem natury. Miał wrażenie, że nadszedł czas, aby przestać to znosić w milczeniu, lecz kierując się współczuciem i rozsądkiem zaradzić temu raz na zawsze. Lub przynajmniej ograniczyć do minimum cierpienia stąd wynikające. Nie proszony wstawał, brał szklanekę zimnej wody z lodówki i z bladym uśmiechem podawał ją czekającej na swoją kolej kobiecie, mówiąc cicho: „Wszystko będzie dobrze”. Albo: „Proszę się napić, poczuje się pani lepiej”. Zwykle reakcją było tylko lekkie zaskoczenie, ale czasami wywoływał w ten sposób uśmiech wdzięczności, na który odpowiadał skinieniem głowy, jak gdyby chciał powiedzieć, że przynajmniej tyle może zrobić.

Kiedy nie odbierał telefonów ani nie zajmował się dokumentacją, czytywał powieści po angielsku albo biografie mężów stanu. Zwykle jednak nie czytał książek, ale pochłaniał dwa wieczorne wydania gazet, które kupował po drodze. Starał się nie pominąć nawet najkrótszej wiadomości, notatki ani plotki – małwersacja w spółce w Safed, bigamia w Aszkelon, nie odwzajemniona miłość w Kfar Saba. Nic nie wydawało się mu obojętne. Po przewertowaniu prasy, opierał się wygodnie w fotelu i pogrążał we wspomnieniach. Albo zwoływał spotkania gabinetu, ubierając swoich ministrów w kostiumy rewolucyjnych guerillas, prawiąc im kazania, prorokując nadejście czasów gniewu i ukojenia, zbawiając dzieci Izraela, nawet wbrew ich woli, i przynosząc krajowi pokój.

Pomiędzy zabiegami, kiedy obaj lekarze i pielęgniarka przychodzili na kawę, Fima bywał roztargniony. Zastanawiał się, co tu właściwie robi, co łączy go z tymi obcymi ludźmi i gdzie właściwie powinien być, jeśli nie tu. Ale nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Choć czuł boleśnie, że ktoś, gdzieś, na niego czeka i dziwi się jego spóźnieniu. Potem Fima długo grzebał w kieszeniach, odnajdywał tabletkę przeciwko zgadze i biorąc ją do ust znowu zabierał się do przeglądania gazet, na wypadek gdyby przeoczył coś naprawdę ważnego.

Gad Eitan był dawniej zięciem Alfreda Wahrhaftiga – ożenił się z jego jedyną córką, która podczas pracy na jerozolimskich targach książki zakochała się w przyjezdnym poecie i uciekła z nim do Meksyku. Gad Eitan odczuwał wobec swojego zwierzchnika i założyciela kliniki, Wahrhaftiga, dziwny lęk – jego gesty wyrażały posłuszeństwo i szacunek, co kamuflował umiarkowanymi wybuchami gniewu. Doktor Eitan, specjalista od leczenia bezpłodności, ale pełniący też w razie potrzeby funkcję anestezjologa, był oschłym, małowównym człowiekiem. Miał zwyczaj długo, z powagą wpatrywać się w swoje palce. Tak jakby bał się je utracić albo jakby nie mógł nadziwić się ich istnieniu. To były zgrabne, długie palce wirtuoza. Poruszał się jak senny albo dopiero co przebudzony drapieżnik. Czasem na zaciśniętych wargach pojawiał się chłodny uśmiezek, ale stalowe oczy Eitana nie brały w nim udziału. Najwyraźniej ten chłód w pewien sposób pociągał kobiety, a nawet wydawał się im podniecający i prowokował do prób przełamania skorupy obojętności i okrucieństwa. Eitan ignorował jednak wszelkie uwodzicielskie aluzje, odpowiadając sucho na zwierzenia pacjentek: „No tak, ale nie ma innego wyjścia”. Albo: „Co robić, to się zdarza”.

Bywało, że w samym środku opowieści Wahrhaftiga Eitan obracał się na pięcie, robiąc zwrot o 180 stopni, niby wieżyczka czołgu, i kocim susem znikał w drzwiach swojego gabinetu. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety,

budzą w nim lekką odrazę. A ponieważ wiedział, że od lat kocha się w nim Tamara, lubił od czasu do czasu wypalić w jej kierunku zgryźliwie:

– Czym pani dziś pachnie?

Albo:

– Niech pani lepiej naciągnie spódnicę i nie czaruj nas tymi kolanami. Próżny trud. My takie widoki musimy oglądać przynajmniej dwadzieścia razy dziennie.

Tym razem powiedział:

– Niech pani uprzejmie położy na moim biurku pochwę i szyjkę tej artystki. Tak, wyniki badań. A co pani myślała? Chodzi o nią, a nie o panią, pani nas nie interesuje.

Oczy Tamary, zielone lewe i brązowe prawe, zaszklily się łzami. A Fima, niby rycerz wyrywający księżniczkę z paszczy smoka, wstał i położył żądane dokumenty na biurku doktora. Eitan rzucił mu piorunujące spojrzenie, a potem z lodowatą obojętnością skupił się na obserwacji własnych palców. W silnym świetle lampy nabrały one nienaturalnie różowej poświaty – zdawały się niemal przezroczyste. Uznał za stosowne zadać śmiertelny cios Fimie:

– Czy pan przypadkiem wie, co to jest menstruacja? No to proszę powiadomić dzisiaj panią Licht, tak, niech pan do niej zadzwoni, że chcę, żeby przyszła tu dokładnie dwa dni po swojej następnej menstruacji. A jeśli ma to źle zabrzmieć przez telefon, może pan powiedzieć „dwa dni po następnym okresie”. Nie obchodzi mnie, co pan powie. Może pan nawet powiedzieć „po jej świętach”. Najważniejsze, żeby prawidłowo ustalić termin wizyty. Dziękuję.

W tym momencie Wahrhaftig, jak ktoś rzucający się do gaszenia pożaru chlustając na ogień zawartością najbliższego wiadra, bez sprawdzenia, co się w nim znajduje – woda czy benzyna – powiedział:

– Święta, to mi przypomina słynną historyjkę o Beginie i Jasirze Arafacie.

I po raz *n-ty* czepił się opowieści, jak to przebiegły Begin przechytrzył nikczemnego Arafata.

Eitan odparł:

– Powiesiłbym ich obu.

– Gad miał ciężki dzień – wtrąciła Tamara.

– W ogóle są ciężkie czasy – dodał od siebie Fima. – Staramy się panować nad własnymi działaniami na terytoriach okupowanych, a w konsekwencji atmosfera pełna jest nienawiści i agresji, i wszyscy skaczą sobie do gardła.

Na to Wahrhaftig zapytał, jaka jest różnica między Ramal-lah a Monte Carlo, a potem przeszedł do następnej anegdotki. Zaczął się zaśmiewać w połowie drogi pomiędzy Monte Carlo a Ramallah, Potem przypomniał sobie jednak o swoich obowiązkach szefa, nadał się, poczerwieniał, żyły mu nabrzmiały i majestatycznie zagrzmiał:

– Proszę! Przerwa skończona. Przykro mi. Fimo! Tamaro! Zamykamy piwiarnię! Ten nasz kraj jest bardziej azjatycki niż Azja! Co ja mówię, Azja! Afryka! Ale przynajmniej w mojej klinice pracujemy jak na cywilizowanych ludzi przystało.

Cały ten wywód był zbyteczny, bo Eitan wycofał się już do swojego gabinetu, Tamara poszła umyć twarz, a Fima w ogóle przecież nie opuszczał swojego miejsca za biurkiem.

O wpół do szóstej pojawiła się wysoka, złotowłosa kobieta w pięknej czarnej sukni. Zatrzymała się chwilę przy biurku Fimy i prawie szeptem zapytała, czy to widać. Czy wygląda na przerażoną. Fima, który nie dosłyszał pytania, odpowiedział przez pomyłkę na inne.

– Oczywiście, proszę pani. Nikt się nie dowie. Może być pani pewna. Zachowujemy tu pełną dyskrecję – chociaż taktownie spuścił



wzrok, wyczuł, że kobieta ma łzy w oczach. Dodał więc: – W pudełku są chusteczki papierowe.

– Czy pan też jest lekarzem?

– Nie, proszę pani, pracuję tylko w recepcji.

– Od dawna?

– Od samego początku, kiedy otwarto tę klinikę.

– Musiał być pan świadkiem przeróżnych scen.

– Zdarzają się trudne chwile.

– I nie jest pan lekarzem?

– Nie, proszę pani.

– Ile zabiegów przerywania ciąży wykonuje się tu dziennie?

– Niestety nie mogę odpowiedzieć na takie pytanie.

– Przepraszam, że spytałam. Życie zgotowało mi okrutną niespodziankę.

– Rozumiem, przykro mi.

– Nie, nie rozumie pan. To nie była aborcja. Tylko mały zabieg, a jednak upokarzający.

– Bardzo mi przykro. Miejmy nadzieję, że teraz będzie się pani czuła lepiej.

– Prawdopodobnie ma pan w swojej dokumentacji dokładny opis mojego leczenia.

– Nigdy nie zaglądam do kart pacjentek, jeżeli to miała pani na myśli.

– Ma pan szczęście, że nie urodził się pan kobietą. Nie ma pan zielonego pojęcia, co zostało panu oszczędzone.

– Przykro mi. Czy mogę pani zaproponować kawę albo herbatę?

– Stale jest panu przykro. Dlaczego jest panu tak przykro? Nawet pan na mnie nie spojrział. Odwraca pan ciągle wzrok.

– Przepraszam. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Rozpuszczalna czy po turecku?

– Dziwne, prawda? Mogłabym przysiąc, że pan też jest lekarzem. Nie chodzi o ten biały fartuch. Jest pan studentem na praktykach?

– Nie, proszę pani. Jestem tylko recepcjonistą. Może woli pani szklanek wody? Mamy wodę mineralną w lodówce.

– Jak to jest, kiedy pracuje się tak długo w takim miejscu? Cóż to za praca dla mężczyzny? Czy nie nabiera się tu niechęci do kobiet? A może nawet wstrętu fizycznego?

– Nie sędzę. Mogę jednak mówić tylko za siebie.

– A jak to jest w pana przypadku, nie ma pan obrzydzenia do kobiet?

– Nie, pani Tadmor. Wręcz przeciwnie.

– Ach tak? A czymże jest ta odwrotność obrzydzenia?

– Może to współczucie? Zainteresowanie? Trudno byłoby to wyjaśnić.

– Dlaczego pan na mnie nie patrzy?

– Nie lubię nikogo wprawiać w zakłopotanie. O, woda się zagotowała. Co pani sobie życzy? Kawę?

– Chodzi o zakłopotanie moje, czy pana?

– Trudno powiedzieć. Może chodzi o jedno i drugie. Nie jestem całkiem pewny.

– Czy pan ma przypadkiem jakieś imię?

– Fima. Efraim.

– Ja mam na imię Annette. Czy jest pan żonaty?

– Byłem żonaty. Dwukrotnie. Prawie trzy razy właściwie.

– A ja się właśnie rozwodzę. Mówiąc ściślej, mój mąż się ze mną rozwodzi. Czy jest pan zbyt nieśmiały, żeby na mnie spojrzeć? Boi się pan rozczarowania? A może tylko chce pan z czystym sumieniem nie być zmuszony do mówienia mi „dzień dobry”, gdybyśmy się kiedykolwiek spotkali na ulicy?

– Cukier i mleko dla pani, Annette?

– Naprawdę pasowałbyś na ginekologa. Bardziej niż ten stary dziwak, który nie umie wepchnąć mi ubranego w gumową rękawiczkę palca bez prób odwrócenia mojej uwagi jakimś dowcipem o Franciszku Józefie, który postanowił dać nauczkę Bogu. Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Oczywiście. Będę tam, w pokoju z dokumentacją. Kiedy pani skończy, proszę mnie zawołać, to, jeśli pani zechce, ustalimy termin następnej wizyty.

– Fimo, Efraimie. Proszę. Spójrz na mnie. Nie bój się. Nie rzucę na ciebie uroku. Niegdyś, kiedy byłam piękna, nie mogłam się opędzić od mężczyzn, a teraz nie spojrzysz na mnie nawet recepcjonista w klinice.

Fima podniósł wzrok i natychmiast go opuścił, bo na widok cierpienia i ironii malujących się na jej twarzy poczuł nagły przypływ pożądania. Patrząc w leżące na biurku dokumenty, powiedział ostrożnie:

– Przecież nadal jest pani bardzo piękną kobietą. W każdym razie dla mnie. Nie chce pani telefonować?

– Już nie. Rozmyślałam się. I nie chodzi tylko o telefon. Więc nie jestem okropna?

– Przeciwnie.

– Ty też nie jesteś zbyt piękny. Szkoda, że zrobiłeś kawę. O nic nie prosiłam. Nie ma sprawy. Możesz wypić ją sam. I dziękuję.

Zatrzymała się przy drzwiach, dodając:

– Masz mój numer telefonu. Jest w twoich rejestrach.

Fima zastanowił się nad tym głęboko. Słowa „nowy rozdział” wydawały się dość banalne, a jednak wiedział, że w innych czasach mógłby stracić głowę dla tej Annette. Ale właściwie czemu w „innych czasach”? W końcu, używając słów Jael sprzed lat, powiedział sobie: „To już twój problem, kolego”.

I, po uporządkowaniu dokumentów w odpowiednich przegródkach w pokoju z dokumentacją i umyciu filiżanek, był gotów zamykać.

### **Wieczorna ulewa – Fima przemoczony do suchej nitki**

Po zamknięciu kliniki Fima pojechał autobusem do centrum i znalazł tanią restauracyjkę w bocznej uliczce przy Placu Syjonu, gdzie zjadł pizzę z grzybami, popijając coca-colą, a na koniec zażył tabletkę przeciwko zgadze. Ponieważ nie miał ze sobą dość gotówki, zapytał czy może zapłacić czekiem, ale powiedziano mu, że nie. Zaproponował, że zostawi swój dowód osobisty i przyjdzie uregulować należność następnego dnia rano. Ale w kieszeniach nie znalazł żadnych dokumentów – w niedzielę, albo parę dni wcześniej, kupował czajnik elektryczny, bo stary się przepalił, i nie mając dość pieniędzy zostawił w sklepie dowód osobisty jako zastaw. A może było to w księgarni Steimatskiego? Wreszcie, kiedy już stracił wszelką nadzieję, z tylnej kieszeni wypadł mu zmięty banknot pięćdziesięcioszekłowy – pewnie to ojciec parę tygodni temu tam go wetknął.

W czasie tych poszukiwań Fima odkrył w którejś z kieszeni żeton, więc kiedy natknął się na budkę telefoniczną koło budynku Sansur na Placu Syjonu, zatelefonował do Niny Gefen. Przypominał sobie mgliście, że jej mąż, Uri, miał jechać albo już wyjechał do Rzymu. Może Nina da się skusić i wybierze się z nim do kina „Orion” na francuską komedię z Jeanem Gabinem, o której opowiadała mu podczas przerwy na kawę Tamara. Nie pamiętał tytułu filmu.

Ale w słuchawce odezwał się obojętny głos Teda Tobiasa, który zapytał oschle z silnym amerykańskim akcentem:

– Co się znowu dzieje, Fimo?

– Nie, nic. To tylko ten deszcz – wymamrotał Fima, nie mogąc zrozumieć, co też Ted robi u Niny. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że w roztargnieniu nakręcił numer Jael zamiast Gefenów. Dlaczego skłamał i powiedział, że pada? Od południa nie spadła ani kropelka. W końcu odzyskał przytomność umysłu i spytał, jak się czuje Dimi i jak sobie radzą z zabudową balkonu. Ted przypomniał mu, że ukończyli prace już na początku zimy. Jael wzięła Dimiego do teatru na jakieś przedstawienie dla dzieci i pewnie nie wróci przed dziesiątą. Czy ma jej coś przekazać? Fima zerknął na zegarek, domyślił się, że nie ma jeszcze ósmej i nagle, zupełnie bezwiednie spytał Teda, czy może go napaść, oczywiście w cudzysłowie. Chciał z nim o czymś pomówić. Pospieszenie dodał, że jest już po kolacji i w żadnym wypadku nie zostanie dłużej niż pół godzinki.

– OK! – odparł Ted. – Wspaniale. Przyjdź zaraz. Miej tylko na uwadze, że jesteśmy dziś wieczór trochę zajęci.

Fima odebrał to jako delikatną aluzję, że jego wizyta jest niepożądana, a w każdym razie, że nie wolno mu będzie siedzieć u nich – jak to miewał w zwyczaju – dłużej niż do północy. Nie czuł się urażony, uprzejmie zaproponował nawet, że może wpaść kiedy indziej. Jednak Ted stanowczo i grzecznie podtrzymał swoją propozycję.

– Na pół godziny mogę sobie pozwolić.

Fima był szczególnie rad, że nie ma deszczu, nie miał przecież parasola, a nie chciał odwiedzać ukochanej kobiety zmoknięty jak pies. Zauważył też, że się ochładza i może zacząć padać śnieg. Przez okno autobusu, niedaleko bazaru Mahane Yehuda, w świetle latarni zobaczył nabazgrany czarną farbą na murze napis: PRECZ Z ARABAMI. Kiedy przełożył to na niemiecki, podstawiając Żydów zamiast Arabów, ogarnęła go wściekłość. Niezwłocznie ogłosił się prezydentem i podjął radykalne środki. Złożył oficjalną wizytę w arabskim miasteczku Deir Yassin w rocznicę tamtejszej masakry i

wśród ruin złoży proste, stanowcze oświadczenie: „Nie wnikając w to, po czyjej stronie leży większa wina, my, Żydzi Izraela, rozumiemy ogrom cierpienia, którego doświadczyli Arabowie palestyńscy w ciągu tych minionych czterdziestu lat, i aby położyć mu kres, jesteśmy gotowi uczynić wszystko, poza samobójstwem”. Ta mowa odbija się echem w każdej arabskiej lepiance. Rozpali wyobraźnię i może zapoczątkować szczery dialog pomiędzy stronami. Przez chwilę Fima zawahał się, czy lepiej określać to „początkiem szczerego dialogu”, czy też „osiągnięciem przełomu we wzajemnych stosunkach”. Co lepiej nadawałoby się na nagłówek krótkiego artykułu, który chciał napisać następnego ranka dla gazety. Potem zrezygnował z obu sformułowań i z samego pomysłu na artykuł.

W drodze do mieszczącego się w Beit Hakerem mieszkania Jael, jadąc windą na szóste piętro, postanowił, że tym razem będzie opanowany i serdeczny, postara się rozmawiać z Tedem jak równy z równym, nawet na tematy polityczne, choć zwykle bardzo szybko wyprowadzał go z równowagi sposób mówienia Tobiasa, powolne i rozważne formułowanie zdań, ten jego amerykański akcent i sucha logika wywodów, ten jego zwyczaj zapinania i rozpinania drogiego wełnianego blezera, który nosił, niby jakiś przedstawiciel Departamentu Stanu.

Przez kilka minut Fima stał pod drzwiami nie naciskając dzwonka. Wycierał dokładnie podeszwy butów o wycieraczkę, żeby nie nanieść błota. Kiedy był w trakcie tego dryblowania bez piłki, drzwi się otworzyły i Ted pomógł Fimie wypłatać się z płaszcza, który zawsze się zahaczał, przez podartą podszewkę.

– Co za wstrętna pogoda – powiedział Fima.

Ted zapytał, czy pada.

– Pada? To raczej istny potop – odparł z emfazą Fima, choć przecież deszcz ustał, zanim opuścił klinikę.

Nie czekając na zaproszenie ruszył wprost do pracowni Teda, pozostawiając za sobą wilgotne ślady w korytarzu. Przeszedł zdecydowanym krokiem wśród stosów książek, wykresów, szkiców i wydruków leżących na podłodze. Zatrzymał się dopiero przed biurkiem, na którym stał komputer Teda. Przyjrzał się bez pytania o zgodę tajemniczemu zielono-czarnemu wykresowi migającym na ekranie. Żartując na temat własnej tępoty, jeśli chodzi o komputery, zaczął, jakby to on był tu gospodarzem, zapraszać uprzejmie Teda:

– Siadaj, siadaj, rozgość się.

I bez wahania sam zajął miejsce w fotelu za biurkiem, naprzeciw ekranu.

Ted spytał, czego się napije.

– Czegokolwiek. Może być szklanka wody. Nie trać czasu. Albo jakieś brandy. Albo coś ciepłego. Naprawdę nie ma znaczenia. Wpadłem tylko na chwilę.

Ted, obojętnie niczym pracownik centrali telefonicznej, wolno cedząc słowa z tym swoim silnym obcym akcentem bez żadnych znaków zapytania zawyrokował:

– OK! Należę ci brandy. Na pewno jadłeś już kolację?

Fima miał nagle chęć skłamać, powiedzieć „nie”, chociaż właściwie naprawdę umierał z głodu. Ale zdecydował się pohamować.

Ted, siedząc w bujanym fotelu, pograżył się w milczeniu i kłębach dymu. Na przekór samemu sobie Fima z przyjemnością wdychał zapach świetnego tytoniu jego fajki. Zauważył, że Ted obserwuje go chłodno z ciekawością antropologa. Wydawało się, że nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby jego gość nagle zaczął śpiewać. Albo płakać. Tymczasem jednak Fima po prostu powiedział:

– Więc Jael wyszła z Dimim. Zapomniałem mu przynieść czekoladki.



- No tak - potwierdził Ted, powstrzymując ziewnięcie i wypuszczając kolejny obłoczek przyjemnego niebieskiego dymu.

Fima zatrzymał wzrok na stercie planów komputerowych, przerzucił je, jakby były jego własnością, ze szczególną uwagą porównując stronę szóstą z dziewiątą, jak gdyby w tej chwili sam zdecydował się zostać inżynierem.

- Co ty tu dla nas kombinujesz? Statek kosmiczny, który strzela plastikowymi kulami? Czy latającą strzelbę na żwir?

- To opracowanie dla brytyjskiego pisma. Rzeczywiście coś zupełnie eksperymentalnego, pojazdy odrzutowe. Jak pewnie wiesz, ja i Jael pracujemy nad tym od dobrych kilku lat. Parę razy prosiłeś mnie, żebym ci to wyjaśnił, ale zawsze po paru minutach błagasz, żebym przestał. Zobowiązałem się skończyć tę pracę do końca tygodnia. To „deadline”. Nie podsunałbyś mi przy okazji hebrajskiego odpowiednika słowa „zobowiązać” i „deadline”? Jako poecie na pewno przyjdzie ci coś do głowy. Jak myślisz?

Fima zastanowił się, już miał na końcu języka odpowiednie hebrajskie słowa. Zdawały się jednak drwić sobie z niego gdzieś na progu świadomości, wymykając się mu pomiędzy palcami niby figlarne kocięta, kiedy tylko starał się je pochwycić. Wreszcie przypomniał je sobie i już miał je wymówić głośno, ale wtedy wyleciały mu z głowy i zatopily się znowu w ciemności. Zakłopotany powiedział:

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Dziękuję, Fimo - odparł Ted. - Myślę, że nie ma potrzeby. Na pewno będzie ci wygodniej poczekać w salonie, zanim wrócą. Możesz pooglądać wiadomości.

- Daj mi klocki Dimiego, zbuduję mu wieżę Dawida. Albo grób Racheli. Albo coś innego. Nie będę ci przeszkadzał w pracy.

- Nie ma sprawy - powiedział Ted.

– Jak to nie ma sprawy! Przyszedłem tu, żeby z tobą porozmawiać!

– No to mów – zgodził się Ted. – Czy coś się stało?

– Chodzi o to, że... – zaczął Fima, nie mając zielonego pojęcia, co powiedzieć dalej. Ku własnemu zaskoczeniu, usłyszał jak mówi: To, co dzieje się na terytoriach okupowanych jest niedopuszczalne.

– Na to wygląda – powiedział spokojnie Ted i w tej chwili w wyobraźni Fimy pojawił się druzgocąco wyraźny i realistyczny obraz. Zobaczył jak ten bałwan o krzaczastych brwiach gładzi swoimi ciężkimi dłońmi Jael, jak pochyła się nad nią i pociera penisem pomiędzy jej jędrnymi małymi piersiami w pracowitym, niezmiennym rytmie, jak ktoś piłujący deskę. Aż w końcu oczy Jael zasły łzami i nagle Fima poczuł, że i on zaraz zacznie płakać, więc pospiesznie zatopił nos w wymiętej chusteczce, którą wyciągnął z kieszeni, upuszczając przy tym na podłogę jeszcze jeden banknot, tym razem dwudziestoszeklowy – najprawdopodobniej resztę z restauracji koło Placu Syjonu lub poprzedni datek ojca.

Ted podniósł banknot i podał go Fimie. Potem nabił fajkę i zapalił ją znowu, roztaczając wokół siebie przejrzysty welon dymu, który Fima, wbrew wszelkim swoim wysiłkom, wdychał z prawdziwą przyjemnością.

– Więc – nawiązał Ted – mówiłeś o sytuacji na terytoriach okupowanych. Oczywiście to jest bardzo skomplikowane.

– Co ty u diabła mówisz, sytuacja na terytoriach! – wybuchnął Fima. – To jeszcze jeden sposób na mydlenie sobie oczu. Nie miałem na myśli terytoriów okupowanych, ale sytuację tu, w Izraelu, W obrębie zielonej linii. Wewnątrz społeczeństwa izraelskiego. Terytoria to nic innego, jak ciemna strona nas samych. To, co tam się dzieje, unaocznia tylko proces degeneracji, której podlegamy od czasu wojny sześciodniowej. A może nawet i dłużej. Jeśli nie od samego początku. Tak, codziennie czytamy gazety, słuchamy wiadomości,

oglądamy dziennik, wzdychamy, mówimy sobie nawzajem, że to nie może tak trwać, od czasu do czasu podpisujemy petycje, ale naprawdę nie robimy nic. *Zero. Zilch...*

– Masz rację – powiedział Ted, a po zastanowieniu, kiedy znowu powoli i starannie nabił i zapalił fajkę, wtrącił oględnie: – Jael pracuje społecznie dwa razy w tygodniu w Radzie Promowania Tolerancji. Ale podobno ma być u nich rozłam.

I, niepewny znaczenia hebrajskiego słowa, zapytał:

– Co to jest „petycja”?

– Petycja? – odparł Fima. – Kawalek papieru. Masturbacja.

Był tak wściekły, że niechcący walnął pięścią w klawiaturę komputera.

– Hej, uważaj – upomniał go Ted. – Jeżeli rozwalisz mi komputer, to nie pomoże to Arabom.

– A kto u diabła mówi o pomaganiu Arabom? – wybuchnął urażony do żywego Fima. – Chodzi mi o to, żebyśmy sami sobie pomogli... To tylko oni, szaleńcy z prawicy, mówią, że pomagamy Arabom!

Fima, z trudem pokonując ogarniającą go wściekłość, zaczął wyjaśniać od samego początku, używając prostych hebrajskich zdań, swój pogląd na czynniki taktyczne i psychologiczne, które sprawiają, że w świadomości mas umiarkowana lewica utożsamiana jest z wrogiem. Znowu zdenerwował się sam na siebie, że użył tak paskudnego określenia jak „masy”. W czasie swojego wykładu zauważył, że Ted rzuca ukradkiem spojrzenia na wykresy rozrzucone po dywanie, nie przestając jednocześnie ubijać tytoniu w fajce owłosionym palcem, na którym połyskiwała obrączka.

Na próżno Fima starał się odegnać od siebie natrętny obraz tego samego palca wsuwającego się tam i z powrotem, tym samym gestem, pomiędzy wargi sromowe Jael. Nagle nabrał podejrzeń, że

został zdradziecko oszukany, że Jael chowa się przed nim w sypialni, jej ramiona wstrząsa niemy szloch, a twarz wtulona jest w poduszkę, tak jak bywało czasem, kiedy się kochali, i tak jak czasem płakał Dimi, kiedy czuł się skrzywdzony lub uważał, że ktoś skrzywdził jego ojca lub matkę, albo Fimę.

– W każdym cywilizowanym kraju – ciągnął Fima, nieświadomie zapożyczając ulubione sformułowanie doktora Wahrhaftiga – taka sytuacja wywołałaby falę protestów. Robotnicy i studenci solidarnie zmusiliby rząd, aby natychmiast położył kres tym potwornościom.

– Pozwól, że doleję ci brandy, Fimo. To cię uspokoi.

Fima nerwowo, jednym haustem wypił zawartość kieliszka, odrzucając do tyłu głowę, tak jak na filmach robią to czasem Rosjanie przy picciu wódki. Wyobraził sobie ze szczegółami, jak ten młot o krzaczastych, srebrzystych brwiach przynosi Jael szklanekę soku pomarańczowego w sobotni rano, a ona, sennie, preżąc się jak kot, wyciąga rękę i pieści miejsce, gdzie rozchyła się jego piżama, która na pewno jest z czystego jedwabiu. Ten obraz nie wywołał w Fimie zazdrości, gniewu, ani też nie doprowadził go do szewskiej pasji, ale o dziwo sprawił, że Fima poczuł głęboką litość dla tego pilnego, prostolinijnego człowieka, który niby cierpliwe zwierzę w kieracie tkwi dzień i noc przed komputerem w poszukiwaniu ulepszeń napędu odrzutowego. Przecież poza Fimą Ted nie ma w Jerozolimie właściwie żadnych przyjaciół.

– Najsmutniejsze w tym wszystkim – powiedział Fima – to że lewica jest zupełnie niezdolna do działania.

– To prawda – zgodził się Ted. – Masz rację. Podobnie działo się u nas, w czasach Wietnamu. Kawy?

Fima ruszył za nim do kuchni i dalej perorował.

– Porównywanie tego z Wietnamem to nasz największy błąd, Ted. To nie Wietnam, a my to nie dzieci-kwiaty. Innym wielkim

błędem jest nadzieja, że Amerykanie pomogą nam poradzić sobie z problemem terytoriów okupowanych. Co ich to obchodzi, czy nas w końcu trafi szlag?

– No dobrze. Masz rację – powiedział Ted takim samym tonem, jakim chwalił Dimiego za dobrze rozwiązane słupki – aż za nadto. Nikt nikomu nie daje nic darmo. Każdy pilnuje swoich interesów. Ale i na to czasem nie mają dość oleju w głowie.

Włączył czajnik i zaczął opróżniać zmywarke.

Fima nerwowo odepchnął go i zaczął mu pomagać, tak jakby chciał dowieść, że Ted się myli. Wyjął z maszyny spore naręczce noży, widelców i łyżek i zakrzętnął się po kuchni otwierając szafki, wyciągając szuflady, szukając miejsca, gdzie mógłby złożyć swój łup, ale ani na chwilę nie przerwał wykładu na temat różnic pomiędzy Wietnamem a Gazą, i pomiędzy syndromem Nixona a syndromem Szamira. Kilka sztuców wyslizgnęło mu się z rąk i upadło z brzękiem na podłogę. Ted schylił się, aby je podnieść, jednocześnie przyznając się do nieznajomości hebrajskiego znaczenia słowa syndrom – czy to nowe słowo?

– Syndrom, to tak jak syndrom wietnamski, przez który przechodziliście w Stanach.

– Czy nie mówiłeś przed chwilą, że porównanie z Wietnamem to pomyłka?

– Tak. Nie. W pewnym sensie tak. To znaczy pewnie powinniśmy rozumieć różnice pomiędzy syndromem a symptomami.

– Tutaj – powiedział Ted – odłóż je, proszę, do środkowej szuflady.

Ale Fima dał już za wygraną i zostawił sztuce na kuchence mikrofalowej. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i jeszcze raz wytarł nos, a potem bezwiednie zaczął przecierać nią również blat stołu,

podczas gdy Ted nadal sortował talerze według wielkości i rodzaju i odstawiał każdą partię na właściwe miejsce do szafki nad zlewem.

– Fimo, czemu nie napiszesz o tym do prasy? Powinieneś to opublikować, żeby więcej ludzi mogło to przeczytać. Masz taki bogaty język. I byłoby ci lżej na duszy, każdy widzi, że cierpisz. Traktujesz sprawy polityki zbyt osobiście. Za bardzo to bierzesz do serca. Jael wróci z Dimim za jakieś czterdzieści pięć minut. Teraz muszę trochę popracować. Powiedz mi jeszcze, jak będzie po hebrajsku „deadline”? Najlepiej byłoby, gdybyś wziął sobie kawę do salonu. Włączę ci telewizję. Możesz obejrzeć sobie jeszcze połowę wiadomości. OK?

Fima natychmiast na to przystał – przecież nie ma zamiaru zajmować Tedowi całego wieczoru. Ale zamiast zabrać kawę i odejść, zostawił kubek na zlewie i szedł za Tedem krok w krok, aż wreszcie tamten przeprosił go i zamknął się w łazience. Jeszcze przez drzwi Fima kończył mu swój wywód:

– Dla was to nie problem. Macie paszporty amerykańskie. Zawsze możecie stąd odlecieć, korzystając z tego waszego napędu odrzutowego. Ale co stanie się z resztą nas? OK. Idę pooglądać wiadomości. Nie będę ci się więcej naprzykrzał. Tyle że nie umiem włączyć waszego telewizora.

Zamiast iść do salonu, skierował się do sypialni Dimiego. W jednej chwili poczuł straszliwe zmęczenie. Nie mogąc znaleźć włącznika, położył się po ciemku na małym łóżku, otoczonym cieniami robotów, aeroplanów i nakręcanych zabawek. Nad nim kołysał się wielki, fosforyzujący pojazd kosmiczny, zwisający z sufitu na niewidzialnej nitce, przy każdym najlżejszym powiewie kiwając na niego wolno i groźnie, niby oskarżycielski palec. Aż wreszcie Fima zamknął oczy i powiedział do siebie:

– Jaki sens mają te wszystkie rozmowy? Kości rzucone, a co się stało, to się nie odstanie.

Potem zapadł w sen. Kiedy odpływał w nieświadomość, jak przez mgłę poczuł, że Ted okrywa go miękkim, wełnianym kocem. Wymamrotał:

– Chcesz znać sekret, Teddy? Arabowie najwyraźniej zrozumieli, że nie uda się im zepchnąć nas do morza. Smutne tylko, że Żydom trudno jest żyć bez kogoś, kto chce ich zepchnąć do morza.

– Rzeczywiście sytuacja nie wygląda najlepiej – szepnął Ted i wyszedł.

Fima zwinął się w kłębek pod kocem. Chciał poprosić, żeby Ted zbudził go, kiedy tylko wróci Jael. Ale był tak zmęczony, że zamiast tego bąknął:

– Nie budź Jael.

Spał jakieś dwadzieścia minut, a kiedy w sąsiednim pokoju zadzwonił telefon, wyciągnął rękę i zwałił jedną ze stojących obok wież z klocków lego. Próbował złożyć koc, ale dał spokój, bo chciał jak najszybciej znaleźć Teda. Nadal nie wyjaśnił mu, po co tu właściwie przyszedł. Zamiast jednak pójść do pracowni, zabłąkał się do sypialni, jarzącej się ciepłym, czerwonym światłem nocnej lampki. Zobaczył, że szerokie małżeńskie łóżko jest posłane. Dwie identyczne poduszki, dwa granatowe koce obłożone jedwabistymi prześcieradłami, dwa stoliczki nocne, na każdym z nich leżała grzbietem do góry otwarta książka. Fima wtulił twarz w koszulę nocną Jael. Zaraz jednak wziął się w garść i szybko wyszedł, żeby odnaleźć płaszcz. Przeszukał całe mieszkanie z uporem lunatyka, ale nie znalazł ani Teda, ani płaszcza, choć pilnie sprawdził wszędzie, gdzie paliło się światło. W końcu opadł na stołek w kuchni i rozejrzał się za sztucami, których wcześniej nie zdołał odłożyć na właściwe miejsce.

Z ciemności wyłonił się Ted z suwakiem logarytmicznym w rękę i wolno, z namaszczeniem, niby żołnierz nadający wiadomość przez krótkofalówkę, zaanonsował:

– Zasnąłeś. Widocznie byłeś zmęczony. Mogę podgrzać ci kawę w kuchence mikrofalowej.

– Nie trzeba, dziękuję – odparł Fima. – Muszę lecieć. Jestem spóźniony.

– Ach, tak. A gdzie?

– Mam randkę – ku własnemu zaskoczeniu powiedział konfidencyjnie Fima. – Zupełnie zapomniałem, że mam dziś spotkanie.

Ruszył do drzwi i zaczął szarpać się z zamkiem, dopóki nie ulitował się nad nim Ted, który podał mu płaszcz i otworzył drzwi, mówiąc łagodnie i, jak się Fimie wydawało, z pewnym smutkiem:

– Słuchaj. To nie mój interes, ale myślę, że przydałoby ci się trochę zwolnić tempo. Chyba jesteś wyczerpany. Co mam powtórzyć Jael?

Fima włożył lewą rękę do rękawa i zastanawiał się, czemu rękaw stał się pułapką. Wyprowadziło go to z równowagi, tak jakby to Ted był winien, że podszewka się poplątała.

– Nic nie powtarzaj – syknął. – Nie mam jej nic do powiedzenia. Nie przyszedłem tu przecież do niej. Przyszedłem, żeby z tobą pomówić, Teddy, ale z ciebie taki zakuty łeb.

Ted Tobias nie obraził się. Możliwe, że nie zrozumiał do końca słów Fimy. Odpowiedział ostrożnie po angielsku:

– Czy nie byłoby lepiej, gdybym wezwał dla ciebie taksówkę?

Fima od razu zawstydział się głęboko i pożałował, że był taki opryskliwy.

– Dziękuję – odparł. – Nie. Przepraszam, że się uniosłem. Miałem zły sen w nocy i cały dzień jestem nie w sosie. Tylko oderwałem cię od pracy. Powiedz Jael, że mogę zająć się Dimim, kiedy tylko trzeba. Powiem ci, jak będzie po hebrajsku



„zobowiązanie”, ale nie przychodzi mi do głowy dobry odpowiednik „deadline”. Może trzeba to tłumaczyć dosłownie. A przy okazji, po co nam te napędzane odrzutowo pojazdy? Czy nie dość stale pędzimy? Może byście lepiej wynaleźli coś, żeby było więcej spokoju? Przepraszam. Cześć, Teddy. Nie powinieneś był dawać mi brandy. I tak plotę dość głupstw.

Kiedy wysiadał z windy, w ciemności wpadł na Jael. Niosła owiniętego w swoją kurtkę lotniczą śpiącego mocno Dimiego. Jael wyrwał się okrzyk strachu, omal nie upuściła chłopca. Kiedy poznała Fimę, zmęczonym głosem powiedziała:

– Ależ z ciebie bałwan.

Zamiast przeprosić, Fima objął ich niezdarnie wolną ręką i nieszczęsnym rękawem, obsypując pospiesznie, niby wygłodzone kurczę dziobiące ziarno, czoło Dimiego tysiącem cmoknięć. Ucałował także na oślep Jael. Nie trafił na jej twarz, ale pochylając się w ciemności dotknął ustami jej mokrych ramion i całował je rozpaczliwie raz za razem. Potem szybko wyszedł szukać przystanku wśród nocy i strug deszczu. Bo tymczasem spełniło się jego proroctwo: „Pada? To raczej istny potop”. I w jednej chwili przemókł do suchej nitki.

**Tak jakby była mu siostrą**

I rzeczywiście tego wieczora miał coś w rodzaju randki. Wkrótce po wpół do jedenastej, zmarznięty i przemoczony, z wodą chlupiącą w butach, zadzwonił do bramy ogrodu Gefenów. Mieszkali w dzielnicy niemieckiej, w solidnym murowanym starym domu pośród starych sosen. Ich duża posiadłość była osłonięta od ciekawskich oczu kamiennym murem.

– Właśnie przechodziłem i zobaczyłem światło – wyjaśnił Ninie niepewnie – więc pomyślałem, że zajmę wam kilka chwil. Chciałbym tylko wziąć od Uriego tę książkę o Leibowitzu i powiedzieć mu, że po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że obaj mieliśmy rację, jeśli chodzi o wojnę irańsko-iracką. Czy lepiej, żebym wpadł kiedy indziej?

Nina roześmiała się i chwytając go za rękę wciągnęła do środka.

– Przecież Uri jest w Rzymie – powiedziała. – Sam dzwoniłeś w sobotę wieczór, żeby się z nim pożegnać i zrobiłeś mu cały wykład przez telefon, czemu byłoby lepiej dla nas, gdyby Irak zwyciężył. Ależ ty wyglądasz! Naprawdę mam ci uwierzyć, że tak po prostu spacerowałeś sobie naszą ulicą o jedenastej w nocy? Co z tobą będzie, Fimo?

– Miałem spotkanie – wymamrotał, usiłując wyplatać się z ociekającego wodą płaszcza. Dla usprawiedliwienia dodał: – Rękaw się zahacza.

– Chodź, zagrzej się – powiedziała Nina. – Musisz wyschnąć. Pewno też nic nie jadłeś. Myślałam dzisiaj o tobie.

– Ja też o tobie myślałem. Chciałem cię namówić, żebyś poszła ze mną do kina. Na komedię z Jeanem Gabinem do „Oriona”. Dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie odpowiadał.

– Tak? A sądziłam, że miałeś randkę. Musiałam zostać do dziewiątej w biurze. Importer różnych cudów erotycznych zbankrutował i załatwiam jego sprawy prawne. Udzielili mu kredytu dwaj żarliwie religijni szwagrowie. Wyobrażasz sobie, jakie to śmieszne. Niepotrzebny mi Jean Gabin. No nic. Chodź, rozbierz się. Wyglądasz jak zmoknięty szczur. Czeka! Strzel sobie najpierw whisky. Szkoda, że siebie nie widzisz. Zaraz zrobię ci coś do jedzenia.

– Dlaczego dziś o mnie myślałaś?

– Dobry był twój artykuł w piątkowej gazecie. Może odrobinę zbyt histeryczny. Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale Cwi Kropotkin knuje tajemny spisek, żeby włamać się do twojego mieszkania i przetrząsnąć szuflady w poszukiwaniu wierszy, które według niego z całą pewnością piszesz nadal. On chce je wydać. Żebyś nie poszedł w zapomnienie. Z kim ty się dziś spotykałeś, z syreną? Nawet bieliznę masz przemoczoną.

Fima, rozebrany do długich kalesonów i pożółkłego, zimowego podkoszulka, roześmiał się.

– Jeśli o mnie chodzi, to niech tam, mogę pójść w zapomnienie. Ja sam już o sobie zapomniałem. Co, mam zdjąć też bieliznę? To dalszy ciąg akcji likwidowania „sex shopu”? Mnie też chcesz oddać w ręce swoich ortodoksyjnych wierzycieli?

Nina była prawnikiem. Koleżanką i rówieśnicą Jael. Paliła papierosa za papierosem, a okulary nadawały jej nieco ponury wygląd. Jej cienkie, siwiejące włosy były króciutko przystrzyżone. Mała i chuda robiła wrażenie niedożywionej lisicy, a jej trójkątna twarz nasuwała Fimie myśl o zapędzonym w kozi róg zwierzątku. Ale miała też pełne, ponętne piersi i piękne dłonie, niby tancerka z

Dalekiego Wschodu. Podała mu narecze świeżo wyprasowanych, pachnących czystością ubrań Uriego.

– Włóż to – rozkazała. – I napij się. Chodź, siadaj przy kominku. Postaraj się przez chwilę nic nie mówić. Irak poradzi sobie i bez ciebie. Przygotuję ci omlet i sałatkę. A może zagrzać ci trochę zupy?

– Nie, nic nie rób – powiedział Fima. – Za pięć minut wychodzę.

– Następna randka, co?

– Rano zostawiłem światło w mieszkaniu. No i w ogóle...

– Odwiozę cię do domu – zdecydowała Nina. – Jak tylko wyschniesz, zagrzejesz się i coś zjesz.

– Dzwoniła Jael – dodała po chwili. – Podobno nic u nich nie jadłeś, tylko zawracałeś głowę Tedowi. Jesteś Eugeniuszem Onieginem Kiryat Yovel, Cicho bądź. Nic nie mów.

Uri Gefen, mąż Niny, był niegdyś znanym pilotem bojowym, a potem zaczął latać samolotami El Alu. W 1971 roku zajął się interesami, zakładając sieć prywatnych importerów. W Jerozolimie miał opinię łowcy mężatek. Całe miasto wiedziało, że Nina pogodziła się już z jego przygodami i że od wielu lat ich małżeństwo jest wyłącznie platoniczne. Z czasem wiele kochanek Uriego zaprzyjaźniło się z Niną. Uri i Nina nie mieli dzieci, ale za to ich uroczy dom był w piątkowe wieczory stałym miejscem spotkań grupy prawników, oficerów, urzędników państwowych, artystów i wykładowców uniwersyteckich. Fima ogromnie lubił tę parę, bo każde z nich na swój sposób wzięło go pod swoje skrzydła. A on ślepo wielbił wszystkich, którzy potrafili z nim wytrzymać i był bezgranicznie oddany tej garstce ukochanych przyjaciół, którzy nadal w niego wierzyli i usiłowali go zmobilizować do działania, załamując ręce, że tak marnuje swój talent.

Na kredensie, nad kominkiem i na półkach stały różne fotografie Uriego, w mundurze i po cywilnemu. Był wysokim, barczystym mężczyzną, trochę hałaśliwym, stwarzającym wokół siebie atmosferę bezpośredniej, szorstkiej serdeczności, która budziła ufność zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Z rysów twarzy przypominał nieco Anthony'ego Quinna. Jego sposób bycia był szczery i nieokrzesany. Miał zwyczaj dotykać swoich rozmówców, niezależnie od płci, czasem szturchając ich w brzuch, obejmując ramieniem albo kładąc swoją dużą piegowatą dłoń na ich kolanie. Kiedy miał dobry nastrój, potrafił naśladować handlarzy z rynku albo Abbe Ebana przemawiającego do imigrantów w obozie przejściowym, lub analizować od niechcienia wymowę artykułu Fimy o Albercie Camusie, aż wszyscy pokładali się ze śmiechu. Czasami zwierzał się im szczerze, w obecności żony, ze swoich podbojów. Był wesoły i taktowny, nie stroił sobie żartów ze swoich ukochanych ani też nie zdradzał, kim są. Przechwałki były mu obce, jak komuś, kto od dawna rozumie, że miłość i śmieszność są ze sobą nierozzerwalnie związane, a uwodziciel i jego ofiara kierują się określonym rytuałem. Jego własna potrzeba nieustannych podbojów, w której zaspokojenie zmysłów odgrywało bardzo niewielką rolę, wydawała się mu absurdalnie dziecinna. Wiedział, że nawet najprawdziwsza miłość nie może uniknąć kłamstw, rutyny i wzajemnych pretensji, a upływ lat odbiera siłę pożądaniu i tęsknocie, które tracą świeżość i ścierają się jak wszystko w życiu. W tych piątkowych opowieściach przedstawiał samego siebie z ironicznym przymrużeniem oka, niby jakąś postać z Dekameronu – kochanek Uri Gefen był brany pod lupę przez Uriego Gefena narratora, który patrzył trzeźwo i widział cały komizm sytuacji. Czasami mawiał: „Zanim zaczniesz się cokolwiek rozumieć, okazuje się, że nasza kadencja dobiegła końca”. Albo powoływał się na bułgarskie przysłowie: „Stary kocur zawsze pamięta, jak zamiauczeć”.

To raczej w obecności Uriego, a nie w ramionach Niny, Fima odczuwał zawsze przyprawiającą o zawrót głowy burzę zmysłów. Za

wszelką cenę pragnął zrobić wrażenie na tym wspaniałym mężczyźnie albo go zaszokować. Chciał zabłysnąć w dyskusji. Poczuć uścisk mocnej dłoni Uriego na swoim łokciu. Ale nie zawsze udawało mu się to, bo Uri miał nie mniej analityczny umysł niż on. Obu ich cechowała zdolność do swobodnego przechodzenia od kpiny do tonu pełnego powagi i odwrotnie, obaj też potrafili w kilku zdaniach obalić wywód, który przedtem budowali przez pół godziny.

Na wieczorkach u Niny i Uriego Fima był u szczytu formy. Jeżeli chciał, umiał oczarować towarzystwo i zabawiać je do świtu mnożąc paradoksy, zadziwiać wszystkich wnikliwą oceną sytuacji politycznej, prowokować śmiechy i żywe reakcje swoich słuchaczy.

– Jest tylko jeden taki Fima na świecie – mawiał Uri.

– A to już o jednego za dużo – dopowiadał mu Fima.

– Patrzcie no na nich – odzywała się Nina – Romeo i Juliusz. Albo raczej Flip i Flap.

Fima nie miał wątpliwości, że Uri od dawna wie o jego sporadycznych zbliżeniach z Niną. Może uważa to za zabawne. Albo wzruszające. Może od samego początku to on był autorem, reżyserem i producentem tej małej komedii. Czasami Fima wyobrażał sobie, jak Uri Gefen wstaje rano, goli się swoją najwyższej jakości maszynką, siada do śniadania, kładąc czystą białą serwetkę na kolanach, rzuca okiem do notesu i widząc w nim jeden z dwóch małych krzyżyków, którymi zaznaczone są dwa dni w miesiącu, zza gazety, popijając kawę, upomina Ninę, że czas znowu zatroszczyć się o Fimę, żeby upewnić się, czy nie wysechł na dobre. To podejrzenie w najmniejszym stopniu nie umniejszało sympatii Fimy do Uriego, ani tej fizycznej przyjemności i uniesienia, jakie odczuwał w towarzystwie charyzmatycznego przyjaciela.

Co kilka tygodni o dziesiątej lub jedenastej rano Nina zjawiała się bez ostrzeżenia, zostawiając swojego zakurzonego fiata na parkingu pod niskimi blokami Kiryat Yovel. Przynosiła dwa kosze

pełne jedzenia i środków czyszczących, kupionych po drodze z biura. Wyglądała jak pracownica społeczna, która dobrze wie, na co się naraża, ruszając do walki z niedolą. Po wypiciu kawy wstawiała i metodycznie zdejmowała z siebie ubranie, niemal bez słowa. Potem kochali się pospiesznie i wstawali natychmiast, kiedy skończyli, niby żołnierze na chybcika pochłaniający jedzenie w okopie pomiędzy kolejnymi atakami artylerii.

Wtedy Nina zamykała się w łazience. Najpierw szorowała swoje chude ciało, a potem dodatkowo – ubikację i umywalkę. Dopiero wtedy siadali do następnej filiżanki kawy i rozmawiali o poezji zaangażowanej lub koalicji jedności narodowej. Przy tym Nina paliła papierosa za papierosem, a Fima połykał kolejne kromki czarnego chleba z dżemem. Nigdy nie umiał się oprzeć pokusie, kiedy Nina przynosiła mu z gruzińskiej piekarni ten ciężki, jeszcze ciepły chleb.

Kuchnia Fimy wyglądała zawsze tak, jakby opuścił ją w pośpiechu. Pod zlewem wały się puste butelki i skorupki jajek, na blacie stały otwarte słoiki, plamy dżemu zdażyły już zaschnąć na lepiącym się z brudu stole obok nie dojedzonych jogurtów, skwaśniałego mleka i okruchów. Czasami Nina w przyływie misjonarskiego zapachu zakasywała rękawy, wkładała gumowe rękawice i, z palącym się papierosem przyklejonym do dolnej wargi w kąciku ust, brała się do czyszczenia szafek, lodówki i kafelków. W pół godziny potrafiła przemienić Kalkutę w Zurych. Podczas tej akcji Fima krążył przy drzwiach, nieużyteczny, choć pełen dobrej woli, pogrążony w dyskusji z Niną i samym sobą na temat upadku komunizmu lub kierunku odrzucającego lingwistyczne teorie Chomskiego. Kiedy wychodziła, Fimę przepelniały mieszane uczucia – wstyd, tkliwość, tęsknota i wdzięczność. Chciał biec za Niną ze łzami w oczach i wołać: „Dziękuję ci, ukochana, nie jestem wart takiej troski”. Ale po chwili brał się w garść i pospiesznie otwierał okna, żeby pozbyć się z kuchni dymu po jej papierosach. Czasami myślał sobie, jakby to było, gdyby on leżał w łóżku, a Nina by się

nim opiekowała, albo gdyby to on zwilżał jej wargi i wycierał pot z czoła na łożu śmierci.

Dziesięć minut po ucieczce spod strug deszczu Fima siedział w zmyślnym fotelu Uriego, który nazywał skrzyżowaniem hamaka z kołyską. Nina podsunęła mu miseczkę parującej pikantnej zupy fasolowej, dołała mu więcej whisky i dała koszulę, spodnie oraz czerwony sweter Uriego. Ubrania były za duże, ale mimo to przyjemnie było je włożyć. Nina wsunęła mu na stopy futrzane kapcie, które Uri przywiózł z Portugalii. Na krześle przed kominkiem rozwiesiła jego własne, mokre rzeczy. Mówili o współczesnej literaturze latynoamerykańskiej, o realizmie magicznym, w którym Nina widziała kontynuację tradycji kafkowskiej, podczas gdy Fima był skłonny uznać ją za wulgaryzację spuścizny Cervantesa i Lope de Vegi i zdołał urazić Ninę stwierdzeniem, że jeśli o niego chodzi, to oddałby cały ten latynoamerykański cyrk, z wszystkimi fajerwerkami i cukrową watą za jedną stronicę Czechowa. *Sto lat samotności* za jedną *Panią z pieskiem*.

Nina zapaliła następnego papierosa.

– Paradoksy. W porządku. Ale co będzie z tobą? – powiedziała, dodając po chwili: – Kiedy ty się weźmiesz w garść? Kiedy przestaniesz w końcu uciekać?

A Fima powiedział:

– Ostatnio ze dwa razy miałem wrażenie, jakby Szamir zaczynał wreszcie zdawać sobie sprawę, że bez OWP nie da się nic załatwić.

Na co Nina zza swoich grubych okularów i tytoniowej mgiełki westchnęła:

– Czasami wydaje mi się, że jesteś przypadkiem nieuleczalnym.

– Ale czy to nie dotyczy nas wszystkich? – zapytał Fima.

I wtedy ogarnęła go fala tak wielkiej czułości wobec siedzącej naprzeciw niego kobiety, ubranej w znoszone męskie dżinsy z



suwakiem i obszerną męską koszulę, jak gdyby była jego rodzoną siostrą – krew z krwi i kość z kości. Jej brak urody i kobiecego wdzięku wydał mu się nagle boleśnie kobiecy i pociągający. Duże, miękkie piersi zdawały się wołać do niego, aby wtulił w nie głowę. Jego palce zapragnęły dotknąć krótkich, siwych włosów Niny. Dobrze wiedział, jak zetrzeć z jej twarzy ten grymas zaszczutego lisa i zastąpić go minką rozpieszczanej dziewczynki. Poczuł, jak gdzieś w głębi spodni Uriego jego członek zaczyna budzić się ze snu. Czułość, wzruszenie i litość zawsze były u niego zwiastunem pożądania. Lędźwia rozpierał mu zmysłowy ogień aż do bólu – od dwóch miesięcy nie spał z kobietą. Zapach wilgotnej wełny, który poczuł od Jael, kiedy całował jej ramiona na ciemnej klatce schodowej, zmieszał się teraz z zapachem ubrań schnących przed kominkiem. Jego oddech stał się szybszy, usta rozchyliły się i drżały jak u dziecka. Nina zauważyła to i powiedziała:

– Zaczekaj. Niech tylko skończę papierosa. Daj mi jeszcze minutkę albo dwie.

Lecz Fima, pełen wstydu, ale rozpalony namiętnością i współczuciem, nie posłuchał, uklęknął przed nią i pociągnął ją na dół, aż znalazła się w jego objęciach na dywanie przy nogach stołu. Doszło do niezdarnej szamotaniny z ubraniami. Z pewnym trudem Fima zdołał odłożyć gdzieś papierosa i okulary Niny, jednocześnie ocierając się stale o jej udo i zasypując twarz pocałunkami, tak jakby chciał odwrócić jej uwagę od coraz bardziej szaleńczego natarcia. W końcu Ninie udało się go odepchnąć i rozebrać ich oboje.

– Delikatnie, Fimo. Zjesz mnie żywcem – wyszeptała. Ale on, głuchy na wszystko, położył się na niej całym ciężarem, dalej całując jej twarz, mrucząc zaklęcia i prosząc o przebaczenie. Kiedy w końcu uległa, mówiąc: „Dobrze, już dobrze, chodź”, jego członek znów zrobił się malutki. Wycofał się do swojej skorupy niczym spłoszony żółw.

Ale nawet wtedy Fima nie przestał całować i tulić Niny, przepraszając ją za swoje zmęczenie. Tej nocy miał zły sen, a wieczorem Ted najpierw napił go brandy, a potem wyrzucił, a teraz ta szkocka. To chyba naprawdę nie jest jego dzień.

W kącikach krótkowzrocznych oczu Niny pojawiły się dwie łzy. Bez okularów wydawała się taka krucha i rozmarzona, tak jakby jej twarz stawiała się bardziej naga niż ciało. Leżeli długo, tuląc się mocno do siebie. Upokorzeni i połączeni tym wspólnym upokorzeniem. Aż wreszcie Nina wyswobodziła się, namacała papierosa, zapaliła i starała się przetłumaczyć Fimie jak dziecku, że nie ma się czym martwić i że w tej chwili jest jej bliższy niż kiedykolwiek dotąd. Jeszcze raz nazwała go dzieckiem i powiedziała:

– Chodź, umyjesz się i położymy cię do łóżka.

Fima ukojony w swym smutku położył głowę w zagłębieniu jej ramienia, ale odsunął dalej jej okulary, wstydząc się nagości ich ciał, swojego skurczonego członka, pragnąc tylko tulić się do niej, nie widzieć i nie być widzianym. Spleceni ze sobą w milczeniu leżeli na dywanie w gasnącym świetle kominka, słuchając szalejącego na zewnątrz wiatru, deszczu bijącego o szyby okien i szmeru wody w rynnie. Oboje rozprężeni i szczęśliwi, jak gdyby przed chwilą kochali się tkliwie i zaspokoili siebie nawzajem. Nagle Fimie przyszło do głowy, aby zapytać:

– Jak myślisz, czy Jael i Ted to zrobili?

Czar prysł. Nina wyrwała się gwałtownie z jego ramion, złapała okulary, zawinęła się w serwetę i zapalając nerwowo następnego papierosa, rzuciła:

– Powiedz, czy ty nigdy nie możesz zamknąć się choć na pięć minut?

Wtedy zapytał, co jej się tak podobało w jego piątkowym artykule.

– Zaczekaj – odparła. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Po chwili dobiegł go dźwięk napełniania do wanny wody. Przeszperał kieszenie swoich ubrań w poszukiwaniu tabletki przeciwko zgadze. Kpiąco powtórzył sobie słowa Teda:

– Chyba jesteś wyczerpany.

I Jael:

– Ależ z ciebie bałwan.

Kiedy dwadzieścia minut później Nina ubrana w brązowy szlafrok, wymyta i wypachniona, wyszła z łazienki gotowa do zgody, zastała ubrania swojego męża rozrzucone na podłodze, dogasający ogień na kominku, a przy drzwiach portugalskie futrzane kapcie, leżące niby martwe kotki. Po Fimie ani śladu. Ale zauważyła, że dokończył swoją whisky i zapomniał książki o Leibowitzu, a także jednej ze skarpetek, która teraz wisiała na oparciu krzesła naprzeciw ognia, który przez chwilę zamigotał resztkami sił i zgasł. Nina podniosła ubrania i kapcie, wyniosła szklanki, miseczkę po zupie i skarpetkę. Wygładziła brzeg dywanu. Jej smukłe, piękne jak u młodej Chinki palce sięgnęły odruchowo po papierosa. Uśmiechała się przez łzy.

## Małymi piastkami

Piętnaście po szóstej rano zapisał w swojej brązowej księdze snów to, co zobaczył w nocy. Służący zwykle za stolik do kawy album poezji hebrajskiej o Jerozolimie, oparty ukośnie na kolanach, stanowił tym razem biurko. Jak zawsze datę zapisał słownie, nie cyframi.

W tym śnie wybuchła wojna. Sceneria przypominała wzgórza Golan, ale była jeszcze bardziej pustynna. Niby księżycowy krajobraz. Ubrany w mundur, ale bez pasa i karabinu szedł odludną polną drogą. Wiedział, że po obu jej stronach ciągną się pola minowe. Szczególnie mocno zapamiętał, że w powietrzu wisiała duchota i szarość, tak jakby nadchodziła burza. Gdzieś w oddali bił dzwon, powoli, z długimi przerwami pomiędzy jednym a drugim uderzeniem. Jego dźwięk roznosił się echem po niewidzialnych dolinach. Na drodze nie było żywej duszy. Nawet ptaka. Żadnych śladów cywilizacji. Znowu daliśmy się zaskoczyć. Uzbrojona kolumna wrogich wojsk zbliżała się nieubłaganie do wąskiej przełęczy przypominającej jar, który Fima dostrzegł na końcu drogi, tam gdzie zaczynała się strzępiasta linia wzgórz. Uświadomił sobie, że powietrze jest tak szare od pyłu, który wzbijają nadjeżdżające pojazdy. Poza dźwiękiem dzwonów dochodził go także niewyraźny jeszcze łomot silników. Wiedział, że jego zadaniem jest czekać na przełęczy, tam gdzie droga przechodzi przez góry. Będzie musiał zagadać wroga, zanim zdołają nadciągnąć posiłki i zablokować kanion. Zaczął biec co tchu. Dyszał ciężko, w piersiach czuł ból. Dudniło mu w skroniach. Kłuło w boku. Ale choć przyspieszał z całych sił, nie ruszał się niemal z miejsca. Tak jakby biegł nie posuwając się wcale do przodu. A cały ten czas rozpaczliwie

poszukiwał w myśli słów, które mogłyby opóźnić pochód wroga. Musiał po prostu wpaść na jakiś pomysł, znaleźć zdanie, wiadomość, może nawet coś śmiesznego, słowa, które zdołałyby zatrzymać nadciągającą kolumnę, sprawić, że z wieżyczek czołgów wychyła się głowy, żeby go wysłuchać. Jeśli nie zdoła skruszyć ich serc, musi przynajmniej zyskać na czasie. To była jedyna nadzieja. Ale opadał z sił, potykał się w biegu, a w głowie miał pustkę. Żadne słowo nie przychodziło mu na myśl. Dudnienie maszyn stawało się coraz bliższe, głośniejsze. Słyszał już grzmot dział i terkot karabinów maszynowych za zakrętem drogi. Widział też rozbłyski w chmurze dymu czy pyłu, który wypełniał przełęcz i szczypał go w oczy i w gardło. Było za późno. Nigdy nie uda się mu dobiec na czas. Nie było takich słów na świecie, które mogą powstrzymać pędzącą naprzeciw niego wściekłą bestię. Za chwilę lub dwie zostanie starty na pył. A najstraszniejszy w tym był nie tyle strach, co wstyd porażki, wstyd, że nie umie znaleźć odpowiednich słów. Biegł coraz wolniej, powłócząc nogami, bo na jego ramionach spoczął jakiś straszliwy ciężar. Kiedy zdołał spojrzeć w tył, zobaczył, że trzyma na barana dziecko, które wściekle okłada jego głowę chudymi piąstkami, nie pozwalając mu uwolnić się spomiędzy swoich kolan. Wtedy zaczął się dusić.

Do swoich zapisków Fima dodał:

„Moja pościel śmierdzi. Muszę zanieść dziś rzeczy do pralni. Jednak coś w tym jest – pozostała we mnie tęsknota za tymi pustynnymi górami i dziwnym światłem, a zwłaszcza za dźwiękiem dzwonów odbijającym się echem po opustoszałych dolinach, z tymi długimi przerwami pomiędzy każdym uderzeniem, tęsknota za melodią, która zdawała się docierać do mnie z niewyobrażalnej dali”.

## Spór na temat Hindusów

O dziesiątej rano, kiedy stał w oknie licząc krople deszczu, zobaczył wysiadającego z taksówki Barucha Nomberga. Ojciec Fimy był wytwornym starszym panem ze spiczastą białą bródką, zawiniętą do przodu niby saraceńska szabelka, noszącym zwykle garnitur i muszkę. W wieku osiemdziesięciu dwóch lat nadal mocno trzymał stery fabryki kosmetyków, którą założył w latach trzydziestych.

Ojciec nachylił się do okna taksówki, najwyraźniej pouczając szofera. Siwe włosy rozwiewał wiatr, w lewej ręce tkwił kapelusz, a w prawej rzeźbiona laska ze srebrną gałką. Fima wiedział, że staruszek nie targuje się o cenę ani nie czeka na resztę, ale kończy jakąś anegdotę, którą zaczął opowiadać po drodze. Od pięćdziesięciu lat ojciec prowadził to długie seminarium dla taksówkarzy w oparciu o chasydzkie religijne przypowieści. Był gawędziarzem z zamiłowaniem. I miał zwyczaj komentować każdą anegdotę i podkreślać znaczenie płynącej z niej nauki moralnej. Ilekroć opowiedział dowcip, wyjaśniał potem jego pointę. Czasami nie poprzestawał na tym, ale do pointy najbardziej oczywistej dodawał interpretację głębszą – wyjaśniał, na czym polega prawdziwa wymowa przytoczonej historii. Jego uwagi rozśmieszały słuchaczy, co zachęcało go do snucia dalszych opowieści i tłumaczenia z kolei ich wymowy. Był przekonany, że nikt nie jest w stanie zrozumieć ich samodzielnie, więc jego obowiązkiem jest otwieranie im oczu na istotę rzeczy.

W młodości. Baruch Nomberg uciekł przed bolszewikami z Charkowa, studiował chemię w Pradze, a potem przybył do Jerozolimy i zaczął produkcję szminek i pudrów do twarzy w małym

domowym laboratorium. Z tych skromnych początków wyrosła dobrze prosperująca fabryka kosmetyków. Gadatliwy starszy pan lubił sobie poflirtować. Wdowiec od kilkadziesiątu już lat miał w swoim otoczeniu wiele przyjaciółek i pań, które się z nim spotykały. W Jerozolimie krążyły plotki, że kobiety te lecą tylko na jego majątek. Fima był innego zdania – uważał, że jego ojciec mimo natury zawadiaki jest człowiekiem dobrym i wielkiego serca. Przez wszystkie te lata miał zwyczaj wspierać finansowo różne przedsięwzięcia, które uważał za słuszne lub które go wzruszały. Był członkiem niezliczonej ilości komitetów, rad, towarzystw i ugrupowań. Angażował się w każdą zbiórkę pieniędzy na rzecz bezdomnych lub w ruch ułatwiający asymilację nowych imigrantów. Pomagał ludziom potrzebującym skomplikowanych operacji medycznych za granicą, a także włączał się w akcje kupna ziemi na terytoriach okupowanych, łożył na różne wydawnictwa pamiątkowe, restaurację zabytków, tworzenie domów dziecka i schronisk dla kobiet zmuszonych do ucieczki przed brutalnością mężów. Wychodził z inicjatywą pomocy dla ubogich artystów, działał na rzecz zaprzestania eksperymentów medycznych na zwierzętach i ochrony środowiska, finansował zakup wózków inwalidzkich. Nie widział żadnej sprzeczności w popieraniu tradycyjnych wartości w systemie nauczania przy jednoczesnym wspieraniu finansowym akcji przeciwko religijnemu zniewoleniu. Przydzielał stypendia członkom mniejszości narodowych, dawał zasiłki ofiarom brutalnych zbrodni, ale także dotował program rehabilitacji przestępców kryminalnych. Na każdą z tych inicjatyw starszy pan przeznaczał niewielką sumę, ale razem pochłaniało to mniej więcej połowę dochodów z fabryki kosmetyków, a także większość jego czasu. Poza tym namiętnie, niemal nałogowo, kolekcjonował przeróżne kontrakty i dokumenty. Kiedy musiał zakupić nowe składniki lub pozbyć się nieużytecznej aparatury, zatrudniał cały sztab prawników, konsultantów i doradców, żeby zabezpieczyć się na wszelkie możliwe sposoby. Umowy prawne, notarialne spisywanie warunków, kopie

parafowanych wykazów budziły w nim dreszcz emocji, bliski uniesienia artysty po ukończeniu wielkiego dzieła.

Czas wolny spędzał w towarzystwie kobiet. Nawet teraz, kiedy miał ponad osiemdziesiąt lat, uwielbiał przesiadywać w kawiarniach. Lato czy zima, zawsze nosił elegancki garnitur i muszkę, z jego kieszonki na piersi wystawał, niby płatek śniegu pośród fali upału, lśniący trójkącik jedwabnej chusteczki, a w mankietach widniały srebrne spinki. Na małym palcu połyskiwał pierścień, biała bródka sterczała do przodu, niby ostrzegawczo kiwający palec. Ozdobiona srebrną gałką laska spoczywała pomiędzy jego kolanami, a kapelusz leżał naprzeciw niego na stole. Temu różowiutkiemu, zadbanemu starszemu panu towarzyszyły stale jakieś eleganckie rozwódki albo dobrze zakonserwowane wdowy około sześćdziesiątki, kulturalne kobiety o europejskim rodowodzie i wytwornych manierach. Czasami przy jego ulubionym stoliku w kawiarni towarzyszyły mu dwie lub trzy z nich. Zamawiał im kawę i strudel, a sam zwykle miał przed sobą kieliszeczek likieru i talerz świeżych owoców.

Kiedy taksówka ruszyła, ojciec pomachał jej kapeluszem na do widzenia, zgodnie ze swoim obyczajem. Był sentymentalny i każde pożegnanie wydawało się mu czymś ostatecznym. Fima wyszedł mu na spotkanie. Miał wrażenie, że słyszy jak ojciec, wspinając się na górę, mruczy sobie pod nosem jakąś chasydzką melodię. Starszy pan, kiedy tylko był sam, a czasem nawet podczas rozmowy, stale intonował to charakterystyczne ja-ba-bam. Fima zastanawiał się niekiedy, czy dzieje się to również we śnie – melodyjny wątek zdawał się płynąć nieprzerwanie z jakiegoś ukrytego źródła, wypełniając to skurczone ze starości ciało i wymykając się na zewnątrz małymi, spowodowanymi wiekiem, pęknięciami. Fima miał także wrażenie, że czuje unoszący się w górę klatki schodowej charakterystyczny zapach ojca, ten, który pamiętał z dzieciństwa i rozpoznałby nawet w tłumie – zapach dusznych pokoi, starych mebli, parującej zupy rybnej, gotowanej marchewki, pierzyn i lepkich likierów.



Ojciec i syn uściskali się sztywno na powitanie. Wschodnioeuropejski aromat unoszący się wokół ojca wywołał w Fimie mieszaninę odrazy i wstydu z powodu tego uczucia, a jednocześnie wieczną chęć, aby spierać się z ojcem, podeptać którąś z jego świętych zasad, zdemaskować drażniące sprzeczności jego poglądów, zdenerwować go trochę.

– Nu – zaczął starszy pan, dysząc i sapiąc z wysiłku po swojej wspinaczce – co mój szanowny profesor ma mi dziś do powiedzenia? Czy do Syjonu przybył Zbawiciel? Czy Arabowie zmienili zamiary i postanowili nas pokochać?

– Cześć, Baruch – Fima starał się zapanować nad sobą.

– Właśnie. Witaj, kochanie.

– Co nowego? Dalej bolą cię plecy?

– Plecy? – spytał ojciec. – Na szczęście moje plecy są skazane na pozostawanie w tyle. Ja jestem tu, one tam. Nigdy mnie nie dogonią. A jeśli, uchowaj Boże, tak się stanie, to cóż, po prostu obrócę się do nich plecami. Ale brakuje mi tchu. Podobnie jak cierpliwości. I tu sytuacja jest wręcz odwrotna – to nie one gonią za mną, ale ja za nimi. No, ale czym się zajmuje w tych strasznych czasach Herr Efraim? Nadal stara się naprawiać świat, żeby był gotów na nastanie Królestwa Niebieskiego?

– Wszystko po staremu – powiedział Fima i biorąc od ojca laskę i kapelusz, uznał, że powinien dodać – tyle, że kraj schodzi na psy.

Starszy pan wzruszył ramionami.

– Z takimi nekrologami stykam się od pięćdziesięciu już lat. Kraj to, kraj tamto... Tymczasem nekrologi idą do piachu, a kraj rozkwita z dnia na dzień. Możesz zaprzeczać, ile chcesz, ale im więcej przeciwności, tym szybciej Izrael pnie się w górę. Nie przerywaj mi, Efraimie. Pozwól, że opowiem ci uroczą historyjkę. Pewnego razu w Charkowie, przed rewolucją, jakiś głupawy

anarchista nabazgrał na ścianie kościoła w środku nocy napis: „Bóg umarł, podpisane Friedrich Nietzsche”. Było to nawiązanie do wywodów tego obłąkanego, nieżyjącego już filozofa. Nu. A następnego dnia ktoś mądrzejszy dopisał: „Friedrich Nietzsche umarł, podpisane Pan Bóg”. Zaczekaj chwilę, jeszcze nie skończyłem. Niech ci wyjaśnię tę historyjkę do końca. A na razie może byś tak nastawił wodę i nalał mi kapkę tego Cointreau, które przyniosłem ci w zeszłym tygodniu. A przy okazji, czas żebyś odnowił tę ruinę, Fimuszka. Zanim zaczniesz tu straszyć. Po prostu zamów jakiegoś majstra i przyślij mi rachunek. Na czym to skończyliśmy? Tak, herbatę proszę. Ten twój ukochany Nietzsche to prawdziwa zaraza. Omijałbym go z daleka. Czekaj, opowiem ci autentyczną historię jak Nietzsche i Nachman Krochmal spotkali się pewnego razu w pociągu w drodze do Wiednia.

Jak zawsze, ojciec uparł się, że wyjaśni wszystko do końca. Fima roześmiał się – w odróżnieniu od samej historii, tłumaczenie było zabawne. Ojciec zachwycony taką reakcją, znalazł w niej zachętę, żeby opowiedzieć następną anegdotę o pociągu. Tym razem chodziło o podróż poślubną młodej pary, która była zmuszona zwrócić się o pomoc do konduktora.

– I widzisz, prawda, że nie chodzi tu wcale o zachowanie panny młodej, ale o głupotę pana młodego. To prawdziwy szlimazel.

Fima przypomniał sobie słowa doktora Eitana z poprzedniego dnia: „Powiesiłbym ich obu”.

– A wiesz, jaka jest różnica pomiędzy szlemielem i szlimazelem, Efraimie? Szlemiel rozlewa herbatę, ale obłąany zostaje zawsze szlimazel. Tak się mówi. Ale w rzeczy samej w tym żarcie jest coś bardziej zagadkowego i głębszego. Szlemiel i szlimazel obaj są nieśmiertelni. Ramię w ramię od wieków idą przez świat, przewijają się w różnych historiach. Jak Kain i Abel. Jakub i Ezaw. Raskolnikow i Swidrygajłow. Albo jak Rabin i Peres. A kto wie, może nawet jak Bóg i Nietzsche. A skoro jesteśmy przy pociągach,

opowiem ci coś z życia. Pewnego razu nasz dyrektor kolei państwowych brał udział w międzynarodowej konferencji. To było takie sympozjum. No i skoro Bóg dał mu mowę, nasz pajac, kiedy dorwał się do głosu, przemawiał bez końca. Nie chciał zejść z podium. W końcu przedstawiciel Stanów Zjednoczonych nie wytrzymał. Podniósł rękę i zapytał naszego: „Z całym szacunkiem, proszę wybaczyć panie Cohen, ale jaką długość mają linie kolejowe w pańskim kraju, że tyle pan o nich mówi?”. Nu, a nasz delegat, nie tracąc przytomności umysłu, z pomocą Wszechmogącego, który dał rozum nawet prostym stworzeniom, powiada: „Długości nie pamiętam dokładnie, ale szerokość jest dokładnie ta sama, co w pańskim kraju”. A przy okazji, słyszałem jak pewnego razu opowiadał tę historyjkę jeden głupek, coś mu się pokręciło i zamiast przedstawiciela Stanów Zjednoczonych włączył do swej opowieści kogoś ze Związku Radzieckiego. Zepsuł cały efekt, bo rosyjskie tory mają inny rozstaw niż nasze. Tak naprawdę różnią się od wszystkich innych na świecie. Bez powodu, tylko żeby się wyróżnić. Albo może chodzi o to, żeby Napoleon nie zdołał dojechać swoimi wagonami do Moskwy, gdyby powrócił i chciał znów na nich napaść. O czym to mówiliśmy? A tak, o tej parze w podróży poślubnej. A tak przy okazji, czemu się nie zakrzętniesz i nie ożenisz z jakąś uroczą damą? Jeśli chcesz, z rozkoszą pomógłbym ci znaleźć kandydatkę i tak dalej. Ale nie zwlekaj, kochanie. Bądź co bądź nie jesteś już młodzieniaszkiem. A jeśli chodzi o mnie, nu, każdego dnia może wybić moja godzina i już mnie nie będzie. Baruch Nomberg umarł, podpisane Pan Bóg. W tej historii o podróży poślubnej najzabawniejsze jest nie to, że pan młody musi zapytać konduktora, co ma zrobić z żoną. Nie, mój drogi. Chodzi o skojarzenie z dziurkowaniem biletów. Choć z drugiej strony, powiedz sam, co w tym takiego śmiesznego? Czy naprawdę jest się z czego śmiać? Nie wstyd ci teraz, że chichotałeś? Tak naprawdę to jest smutne, że aż serce się kraje. Właściwie większość dowcipów opiera się na niezdrowej przyjemności, jaką czerpiemy z nieszczęścia innych. I czemu tak się dzieje, Fimuszko? Może ty mi to wyjaśnisz, jesteś

przecież historykiem, poetą, myślicielem, dlaczego tak cieszą nas porażki innych? Dlaczego parskamy tym rubasznym śmiechem? Czy stać nas na tę dziwną satysfakcję? Człowiek to paradoks, mój drogi. Naprawdę osobliwe stworzenie. Egzotyczne. Śmieje się, kiedy powinien płakać. A płacze, kiedy powinien się śmiać. Żyje bez sensu i umiera wbrew woli. Kruchy, jego dni są niby trawa. Powiedz, widywałeś ostatnio Jael? Nie? A swojego chłopaczka? Przypomnij mi koniecznie, żebyśmy ci potem opowiedział cudowną przypowieść rabina Elimelecha z Leżajska na temat rozvodu i tęsknoty. W jego intencji miała to być metafora przymierza narodu Izraela z Bogiem, ale ja mam tu swoją osobistą interpretację. Ale powiedz mi najpierw coś o sobie, co robisz. To wszystko nie tak. Ja tu plotę trzy po trzy, niby tamten nasz drogi dyrektor kolei, a ty nie mówisz nic. To jak w tej historii o kantorze na wyspie bezludnej. Opowiem ci później. Przypomnij mi. Był sobie kantor, który znalazł się sam na wyspie bezludnej w czasie świąt Nowego Roku, uchowaj nas Boże przed czymś podobnym! No, ale ja znowu gadam, a ty milczysz. Powiedz coś. Co tam u Jael i tego melancholijnego dziecka? Tylko przypomnij mi potem o tym kantorze. Mimo wszystko w pewien sposób my wszyscy jesteśmy niby kantorzy na wyspie bezludnej, a właściwie wszystkie dni są niby święta.

Fima zauważył, że przy każdym oddechu z piersi ojca wydobywa się cichy, niski dźwięk, przypominający koci pomruk. Tak jakby starszy pan dla żartu wsadził sobie gwizdek do gardła.

– Pij herbatę, stygnie – powiedział, ale ojciec tylko się obruszył.

– Czy ja potrzebuję twojej herbaty? Chciałbym, żebyś ze mną porozmawiał. Prosiłem, żebyś opowiedział mi o tym opuszczonym dziecku, do którego nie chcesz się przyznać i wmawiasz wszystkim, że jest synem tego amerykańskiego głaba. Chciałbym, żebyś jakoś uporządkował swoje życie. Żeby był z ciebie *mensh*. Żebyś pomyślał dla odmiany o przyszłości, zamiast zamartwiać się dzień i noc swoimi ukochanymi Arabami.

– Nie martwię się o Arabów – skorygował Fima. – Wyjaśniałem ci to tysiące razy. Martwię się o nas.

– Tak, tak, Efraimie, oczywiście. Nikt nie mógłby zarzucić ci, że działasz z nieszczerých pobudek. Ale smutne w tym wszystkim jest to, że nie umiesz przekonać nikogo poza samym sobą. Tak jakby ci twoi Arabowie pytali miło i grzecznie, czy mogą sobie wziąć z powrotem Nablus i Hebron, żeby potem żyć szczęśliwie, nie ruszając się z domu, pokój niech będzie z Izraelem i Izmaelem. Ale oni nie tego chcą, Fimuszka, oni chcą od nas Jerozolimy, Jafy, Hajfy i Ramli. Poderżnąć nam ciut ciut gardła, ot czego chcą. Zmieść nas z powierzchni ziemi. Gdybyś tylko zadał sobie trochę trudu i posłuchał, co mówią pomiędzy sobą. To smutne, ale ty słuchasz tylko samego siebie, siebie i siebie. Z piersi ojca wydobył się znowu przeciągły świst, jakby zagwizdał zdumiony naiwnością syna.

– Tak naprawdę, tato, to oni ostatnio mówili raczej coś innego.

– Mówili. Jestem wzruszony. Niech sobie mówią, ile dusza zapragnie. Mówić jest łatwo. Nauczyli się od was, jak używać pięknych słówek. Elokwencja. Argumenty nie do obalenia. Buta. Nieważne, co mówią. Liczy się to, czego naprawdę chcą, jak powiadał o Żydach i gojach ten drań Ben Gurion.

Najwyraźniej staruszek miał zamiar dłużej rozwodzić się na ten temat, ale zabrakło mu tchu. Świst z oskrzeli przerodził się w kaszel. Tak jakby gdzieś wewnątrz wiatr targał nie domkniętymi drzwiami na skrzypiących zawiasach.

– Oni chcą teraz znaleźć jakiś kompromis, tato, a my natomiast jesteśmy nieprzejednani i nie chcemy pójść na żadne ustępstwa ani nawet z nimi rozmawiać.

– Kompromis, no pewnie. Ładnie powiedziane. Nie ma nic lepszego niż kompromis. Całe życie na nim polega. A propos, jest śliczna historia o rabinie Mendelu z Kocka. Ale z kim ty chcesz iść na kompromis? Z naszymi śmiertelnymi wrogami, którzy chcą nas

zniszczyć? Teraz wezwij mi taksówkę, żebym się nie spóźnił, a zanim nadjedzie opowiem ci prawdziwe zdarzenie, jak to Żabotyński spotkał się kiedyś z ministrem spraw wewnętrznych carskiej Rosji, antysemitą, Plehwem. Wiesz, co mu Żabotyński powiedział?

– To był Herzl, tato. Nie Żabotyński.

– Lepiej by było dla ciebie, mądralo, żebyś nie wzywał imion Herzla i Żabotyńskiego nadaremno. Zdejmij buty, zanim wejdziesz na świętą ziemię, po której chodzili. Muszą przewracać się w grobach, ilekroć ty i twoi przyjaciele otwieracie usta, żeby kpić sobie z syjonizmu.

W tej chwili Fima, zupełnie zaślepiony wściekłością, zapomniał o swojej wewnętrznej obietnicy, aby się hamować, i niewiele brakowało, a uległby występnej pokusie i szarpnął za kozią bródkę ojca albo zrzucił filiżankę z nie tkniętą herbatą na podłogę.

– Baruch, jesteś ślepy i głuchy – zaryczał niby ranny łoś. – Spójrz prawdzie w oczy. Teraz my jesteśmy Kozakami, a Arabowie ofiarą pogromów. Tak, każdego dnia, każdej godziny.

– Kozakami – wtrącił ojciec ze spokojną drwiną w głosie. – Nu? I co z tego? Co złego, jeśli dla odmiany pobędziemy trochę Kozakami? Czy gdzieś jest napisane, że Żydom i gojom nie wolno zamienić się na chwilę rolami? Chociaż raz na tysiąc lat? Gdybyś tylko ty sam, mój drogi, był bardziej Kozakiem niż szlimazelem. Twoje dziecko jest takie samo. Owieczka w owczej skórze.

Zapominając od czego zaczęła się ich rozmowa, ojciec raz jeszcze wyjaśnił, podczas gdy Fima wściekle łamał zapalkę za zapalką, na czym polega różnica pomiędzy szlemielem i szlimazelem i jak to tworzą oni nieśmiertelną parę, wędrując ramię w ramię przez świat. Potem przypomniał Fimie, że Arabowie mają czterdzieści wielkich państw, od Indii po Abisynię, podczas gdy Żydzi tylko jeden maleńki kraj nie większy od dłoni. Zaczął liczyć na swoich kościstych palcach nazwy arabskich państw. Kiedy wymienił Iran i

Indie, Fima zupełnie stracił panowanie nad sobą. Przerwał ojcu żalonym jękiem, przekonany o własnej racji, tupnął nogą i krzyknął z irytacją, że Iran i Indie nie są państwami arabskimi.

– Nu, i co? I jaka to dla ciebie różnica? – z charakterystycznym zaśpiewem spytał ojciec, szelmowsko chichocząc. – Czy zdołaliśmy w końcu rozwikłać tragiczną kwestię, kto to jest Żyd, że musimy zacząć łamać sobie głowy nad tym, kto to jest Arab?

Fima, doprowadzony do ostateczności, skoczył do półki z książkami po encyklopedię, w nadziei, że uda mu się wreszcie zatkać ojcu usta, jeśli przedstawi mu niezbite dowody. Ale, niby w złym śnie, za skarby świata nie przychodziło mu do głowy, pod jakim hasłem szukać listy państw arabskich. Nadal nie mógł ochłonać z gniewu i gorączkowo wyciągał tom po tomie, aż nagle spostrzegł, że ojciec, pomrukując cicho chasydzką melodię, która mieszała się z lekkim, suchym pokasływaniem, wstaje, bierze kapelusz i laskę, a wychodząc wsuwa mu ukradkiem zwinięty banknot do kieszeni spodni.

– To niesłychane – mruknął Fima. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To nie może być prawda. Zupełne szaleństwo.

Ale nie próbował nawet wyjaśnić, co nie jest prawdą, bo ojciec, stojąc już w drzwiach, dodał:

– Nu, nie przejmuj się. Ja się poddam. Dajmy spokój Hindusom. Powiedzmy, że to jest trzydzieści dziewięć państw i kropka. Nawet tyle to aż nadto. Więcej niż zasługują. Nie kłóćmy się więcej o Arabów, Fimuszko. Nie dajmy im tej satysfakcji. Jak to się mówi, miłość ci wszystko wybaczy. Moja taksówka pewnie czeka na dole. Nie powinniśmy utrudniać człowiekowi pracy. Ale nie zdążyliśmy nawet pomówić o tym, co najważniejsze. A chodzi o to, że moje serce jest już zmęczone. Wkrótce, synu, przyjdzie mój czas, podpisane Bóg Wszechmogący. A wtedy, co z tobą będzie, mój drogi? Co będzie z twoim nadwrażliwym synem? Pomyśl o tym, Efraimie. W końcu jesteś filozofem i poetą. Zastanów się dobrze i powiedz mi,

proszę, dokąd my wszyscy zmierzamy? Bóg świadkiem, jesteś moim jedynym dzieckiem. A ty i twój syn najwyraźniej nie macie nikogo poza mną. Dni mijają bez sensu, bez radości, jałowo. Za pięćdziesiąt albo sto lat w tym pokoju będą mieszkać ludzie, którzy się jeszcze nie narodzili. Potężne, bohaterskie pokolenie, dla którego kwestia, czy żyliśmy tutaj, czy nie, a jeśli tak, to po co i co zrobiliśmy z własnym życiem, czy byliśmy szlachetni, czy podli, szczęśliwi czy nieszczęśliwi, albo czy dokonaliśmy czegoś dobrego, nie będzie miała większego znaczenia niż ziarnko piasku. Nie pomyślą o nas ani przez chwilę. Po prostu tu będą, żyjąc swoim życiem, tak jakbyśmy ty i ja i cała reszta znaczyli tyle co zeszłoroczny śnieg. Garstka popiołu. Duszno tu u ciebie. Aż ciężko oddychać. Jeden majster nie wystarczy, potrzebujesz całej brygady remontowej. Przyślij mi rachunek. A jeśli chodzi o Kozaków, Efraimie, zostaw ich w spokoju. Co taki młody człowiek jak ty może wiedzieć o Kozakach? Zamiast martwić się Kozakami, powinieneś raczej przestać trwonić drogocenny skarb życia. Jak rosnący dziko tamaryszek. Bywaj.

Nie czekając na Fimę, który chciał go odprowadzić, starszy pan pomachał kapeluszem, jakby odchodził na zawsze, i ruszył w dół klatki schodowej uderzając rytmicznie laską w metalowe pręty balustrady, mrużąc pod nosem chasydzką melodię.



## **Jest tyle rzeczy, o których możemy rozmawiać, które możemy porównywać...**

Do wyjścia do pracy Fimie pozostawało nadal kilka godzin. Pomyślał, że zmieni pościel, a przy okazji spakuje brudne rzeczy – koszulę, bieliznę, ściereczkę kuchenną i ręczniki, i wszystko to zostawi w pralni po drodze do kliniki. Kiedy wszedł do kuchni, żeby zdjąć z haczyka ściereczkę, zobaczył, że zlew pełen jest brudnych naczyń, na blacie obok stoi patelnia z resztkami smażenia, a na stole w słoiku, który stracił pokrywkę, wysycha dżem. Gnijące jabłko na parapecie zwabiło chmarę muszek. Fima ostrożnie, tak jakby to była jakaś zaraza, wziął jabłko w dwa palce i wrzucił je do kosza pod przepelnionym zlewem. Ale kosz też był pełen. Parszywe jabłko sturlało się ze sterty i znalazło schronienie pomiędzy starymi pojemnikami i butelkami płynów czyszczących. Można go było dosięgnąć tylko na czworakach. Fima zdecydował, że tym razem nie pójdzie na kompromis, nie da jak zwykle za wygraną, ale za wszelką cenę wydobędzie zbiega. Jeśli mu się powiedzie, weźmie to za dobry znak i siłą rozpędu zniesie na dół śmieci. Po drodze, raz w życiu, nie zapomni wyjąć swojej gazety i poczty ze skrzynki. Potem pozmywa i uporządkuje zapasy w lodówce, a nawet, ryzykując spóźnienie, oblecze świeżą pościel.

Lecz kiedy rozpląszczył się na ziemi i zaczął szukać za koszem zagubionego jabłka, znalazł pół rogalika, tłusty papier po margarynie i przepaloną żarówkę wyrzuconą poprzedniego dnia podczas awarii prądu. Zaświtało mu nagle w głowie, że przecież żarówka może być całkiem dobra. W tej chwili naprzeciw niego wydreptał karaluch. Robił wrażenie znużonego i obojętnego na wszystko. Nie

próbował uciekać. W Fimie natychmiast obudził się duch myśliwego. Nie wstając z klęczek zdjął kapeć i zamachnął się, ale nagle ogarnął go żal, bo przypomniał sobie, że to pewnie w ten sposób, uderzeniem młotka w głowę, agenci Stalina zamordowali na emigracji Trockiego. I nagle uświadomił sobie, jak uderzające jest podobieństwo pomiędzy Trockim na zdjęciach z ostatnich lat jego życia a ojcem, który był tu przed chwilą, błagając go, żeby się żenił. Kapeć zastygł mu w ręku. Fima ze zdumieniem obserwował czułki, które zakreślały wolno półkola. Zauważył gęstą, sztywną niby wąsiki szczecinkę. Przyjrzał się wrzecionowatym, pełnym przegubów nóżkom i delikatnemu rysunkowi wydłużonych skrzydełek. Tak wielka precyzja i misterność budowy miniaturowej istoty wywołały w nim podziw, nie wydawała się ona już wstrętna, ale cudownie doskonała – reprezentująca znienawidzoną rasę, prześladowaną i skazaną na życie w ukryciu kanalizacyjnych rur, doskonalącą w sobie umiejętność przeżycia na przekór trudnościom, zwinną i swobodną w ciemnościach; rasę, która pada ofiarą atawistycznej odrazy zrodzonej z lęku, czystego okrucieństwa i odziedziczonych przesądów. Czy to możliwe, że to właśnie nieuchwytność tej rasy, jej pokora i skromność i ta niesamowita żywotność tak nas przeraża? Czy też jesteśmy po prostu przerażeni samym morderczym instynktem, jaki w nas budzi? Przerażeni tajemniczą długowiecznością istoty, która nie gryzie ani nie żądli, i zawsze trzyma się na dystans? Po tym wszystkim Fima wycofał się w pełnym szacunku milczeniu. Włożył z powrotem kapeć, nie zwracając uwagi na smród skarpetki. Delikatnie zamknął drzwiczki szafki pod zlewem, tak jakby nie chciał przestraszyć tamtej istoty. Potem wstał ze stęgnięciem i zdecydował się odłożyć porządki na inny dzień, bo tyle tego było, a sprzątanie wydawało się czynnością tak krzywdząco uciążliwą.

Włączył czajnik elektryczny, żeby sobie zrobić kawy. W radiu udało się mu trafić na początek *Requiem* Gabriela Faure. Pełne tragizmu pierwsze dźwięki tego utworu sprawiły, że zagapił się

chwile w okno, w kierunku wzgórz betlejemskich. Czy ci nie narodzeni jeszcze ludzie, o których mówił ojciec, którzy będą tu kiedyś mieszkali, nie wiedząc nic o nim ani o jego życiu, naprawdę nigdy nie zainteresują się, kto zajmował to mieszkanie na początku 1989 roku? No, ale czemu właściwie miałyby to ich obchodzić? Czy było w jego życiu coś, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie dla tych, których rodzice nawet nie przyszli jeszcze na świat? Coś, co mogłoby przynajmniej stanowić pożywkę dla ich myśli, kiedy tak będą stali, patrząc w okno w zimowy poranek w 2089 roku? Bez wątplenia, za sto lat napędzane odrzutowo pojazdy staną się czymś tak pospolitym, że ludzie żyjący tu nie będą mieli specjalnego powodu, żeby pamiętać o Jael i Tedzie albo Ninie i Urim, i ich przyjaciółach, czy też o Tamarze i obu ginekologach. Do tamtej pory zestarzeją się pewnie nawet badania historyczne Cwiego Kropotkina. Co najwyżej nawiąże do nich jakiś przypis w przestarzałym opracowaniu naukowym. Jego zazdrość o Cwikę była zupełnie bez sensu, bezcelowa i głupia. Było to uczucie, do którego za skarby świata nie chciał się przyznać, którego kłujący ból starał się ukoić, tocząc nie kończące się spory, dzwoniąc do przyjaciela i ni z tego ni z owego rzucając pytanie o wygnanego króla Albanii, wciągając przyjaciół w burzliwe dyskusje o albańskim islamie lub historii Bałkanów. Mimo wszystko na egzaminach dyplomowych Fima uzyskał nieco lepsze oceny niż Cwi. I to on wpadł na wiele błyskotliwych pomysłów, które Cwi wykorzystał – upierając się, mimo protestów Fimy, żeby wymienić go w przypisach. Gdyby tylko Fima umiał pokonać to straszne uczucie znużenia. Stale miał jeszcze ochotę wyrwać się naprzód, nadrobić stracony na romansowaniu rok i w ciągu paru lat dorównać temu zepsutemu, stereotypowemu profesorkowi w modnym blezerze, wygłaszającemu miaukliwym głosem swoje truizmy. Z wywodów Kropotkina nie ostałby się kamień na kamieniu. Fima przeszedłby po nich niczym huragan. Spowodowałby prawdziwy przełom i położył fundamenty nowej koncepcji. Ale niby po co? W najlepszym przypadku jakiś student w końcu następnego stulecia wspomniałby mimochodem, w nawiasie,

o przestarzałej metodzie szkoły Nisana i Kropotkina, która cieszyła się krótko powodzeniem w Jerozolimie w końcu dwudziestego wieku, w spadkowej fazie okresu socjoempirycznego, skażonej nadmiernym emocjonalizmem i stosowaniem niezręcznych środków poznawczych. Ten student nie zadałby sobie nawet trudu, żeby ich obu rozróżnić. Połączyłby ich spójnikiem, zanim zamknąłby ich obu w klamry nawiasu.

Nagle w myślach Fimy student, który będzie mieszkał w tym mieszkaniu za jakieś sto lat, przybrał imię Joezer. Oczyma duszy widział już, jak stoi on przy tym samym oknie, patrząc na wzgórze. Nie kpij sobie, powiedział do niego. To dzięki nam tu jesteś. Pewnego razu w mieście Ramat Gan urządzono ceremonię sadzenia drzew. Burmistrz, stary już człowiek, Avraham Krinitzi, stanął przed tysiącami zebranych ze wszystkich przedszkoli dzieci, z których każde trzymało sadzonkę. Burmistrz też miał w dłoniach maleńką roślinkę. Powinien przemówić do dzieci, ale nie wiedział jak. Nagle z gonytwy myśli wyłoniło się jedno zdanie, które wypowiedział z silnie rosyjskim akcentem:

– Moi drogije dieti, jestestie driewka, a my nawóz.

Czy warto byłoby te słowa wyryć tu, na ścianie, niby więzień piszący na murach celi, żeby odczytał je kiedyś ten arogancki Joezer? Żeby go zmusić, aby o nas pomyślał? Ale przecież do tego czasu pory ściany na pewno zostaną odmalowane, na nowo pokryte tynkiem, może nawet zburzone. Za sto lat życie będzie miało większe tempo i rozmach, będzie bardziej rozsądne i weselsze. Wojny z Arabami będzie się wspominać ze wzruszeniem ramion, niby jakiś bezsensowny ciąg potyczek plemiennych. Tak jak historię Bałkanów. Nie sądzę, aby Joezer trawił ranki na polowaniu na karaluchy albo wieczory na posilaniu się w obskurnych jadłodajniach na tyłach Placu Syjonu, którego zabudowa zostanie prawdopodobnie całkowicie wyburzona, aby ustąpić miejsca nowej architekturze w pełnym energii, optymistycznym stylu. Zamiast

jadać tłusto, smażone jajka, dżem i jogurt, młode pokolenie będzie pewno tylko łykało co kilka godzin parę pigułek. Koniec z brudną kuchnią, mrówkami i karaluchami. Ludzie będą w dzień zajmować się czymś pasjonującym, pożytecznym, a wieczory poświęcą dla piękna i nauki. Będą żyli z sensem, rozsądnie, a jeśli zdarzy się im odczuwać iskierkę miłości, będą mieli prawdopodobnie sposób na to, aby dzięki wysyłanym na odległość impulsom elektromagnetycznym dowiedzieć się zawczasu, czy warto w ogóle przekładać tę miłość na zbliżenie fizyczne. Zimowe deszcze nie będą już miały dostępu do Jerozolimy. Zostaną skierowane do rejonów rolniczych. Wszyscy zostaną wreszcie bezpiecznie przeprowadzeni na stronę aryjską. Nikt i nic nie będzie już źle pachnieć. Wyraz „cierpienie” będzie brzmiał dla nich równie obco jak dla nas słowo „alchemia”.

Znowu wyłączyli prąd. Ale tylko na parę minut. To pewno znak, że powinienem wpaść do banku zapłacić rachunek, bo inaczej odetną mi prąd i będę siedzieć w ciemnościach. Jestem też winien mnóstwo pieniędzy w sklepie spożywczym. Czy zapłaciłem wczoraj pani Schneider z przeciwka za sznycel, czy znowu kazałem zapisać go na moje konto? Zapomniałem zdobyć tę książkę dla Dimiego. Co nas trzyma? Czemu tu jeszcze jesteśmy? Czemu nie zbieramy się do odejścia, nie usuniemy, zostawiając Jerozolimę naszym następcom? „Bardzo słuszne pytanie”, powiedział szeptem. Tym razem zwołał swój gabinet w starym szpitalu Sha'arei na drodze jafskiej, we wspaniałym opuszczonym budynku, który popadł w ruinę, odkąd szpital przeniesiono w nowe miejsce. W świetle lampy, wśród szczątków połamanych ławek i fragmentów rdzewiejących łóżek szpitalnych usadził ministrów w półkołu. Prosił ich kolejno o krótkie sprawozdania z sytuacji w ich resortach. Potem zaskoczył ich oświadczeniem, że zamierza lecieć o świcie do Tunisu, żeby zaapelować do Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Główną winą historyczną i odpowiedzialnością za trudne położenie narodu palestyńskiego obciąży jasno i wyraźnie jego ekstremistycznych przywódców od 1920 roku. Nie oszczędzi im słów gniewu. Jednak

zapropnuje przerwanie błędnego koła przelewu krwi i wspólne budowanie rozsądnej przyszłości w oparciu o kompromis i ugodę. Jedynym warunkiem rozpoczęcia negocjacji będzie całkowite zaprzestanie aktów przemocy z obu stron. Pod koniec sesji, nad ranem, powoła Uriego Gefena na ministra obrony narodowej. Teke ministra spraw zagranicznych otrzyma Gad Eitan. Cwi będzie odpowiadać za edukację, Nina za finanse, Wahrhaftig – będzie kierować ministerstwem opieki społecznej, Ted i Jael – będą zajmować się nauką, technologią i energetyką. Środki przekazu i bezpieczeństwo wewnętrzne pozostawi na razie w swoich rękach. I od tej pory gabinet będzie nazywać się Radą Rewolucyjną. Proces rewolucyjnych zmian dokona się w ciągu sześciu miesięcy. Potem zapanuje pokój i wszyscy będą mogli powrócić do swoich zajęć i nie wtrącać się więcej do pracy wybranego rządu. Ja też wycofam się z życia publicznego. Zmienię nazwisko i zniknę. Teraz rozejdźmy się kolejno bocznymi drzwiami.

A co z Dimim?

Podczas ferii zimowych chłopiec spędził pewien ranek w laboratorium fabryki kosmetyków w Romemie. Kiedy przyszedł Fima, żeby zabrać go do Biblijnego Zoo, odkrył, że starszy pan zamknął się z Dimim w laboratorium i uczy go, jak robić materiały wybuchowe z acetonu. Fima wściekł się na ojca, że demoralizuje dziecko – czy nie dość już mamy morderców? Po co zatruwać mu duszę? Ale Dimi przerwał ten spór, mówiąc łagodnie, niczym mediator:

– Materiały wybuchowe dziadka są tylko do malowania paznokci.

I wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Na ścianie po lewej stronie okna, ponad metr od niego, na odpadającym tynku, Fima dostrzegł szarą jaszczurkę, nieruchomą, patrzącą tęsknie jak on w kierunku wzgórz betlejemskich. A może obserwowała tylko niewidoczną dla Fimy muszkę. Był czas, że

pośród tych krętych dolin wędrowali sędziowie i zdobywcy, królowie, prorocy nadziei i gniewu, zbawcy świata, szarlatani, marzyciele, księża i nawiedzeni, zdrajcy, mesjasze, prefekci rzymscy, gubernatorzy Bizancjum, generałowie muzułmańscy, książęta wyruszający na wyprawy krzyżowe, asceci, pustelnicy, cudotwórcy i nieszczęśnicy szukający ukojenia. Do dziś w biciu kościelnych dzwonów Jerozolimy pobrzmiewa echo ich pamięci, ich imiona powracają w płaczącym zawodzeniu muezinów i w kabalistycznych zaklęciach. A teraz zdawało się, że w mieście nie ma żywej duszy, z wyjątkiem niego, jaszczurki i światła.

Kiedy był młodszy, chodząc alejami Jerozolimy i po kamienistych pustkowiach, lubił wyobrażać sobie, że też słyszy głosy. Nawet starał się określić słowami to, co wtedy słyszał. W tamtym czasie być może potrafiłby jeszcze poruszyć czyjeś serce. Nawet teraz zdarzało się, że kogoś zainteresował, zwłaszcza kobiety, w czasie tych wieczornych piątkowych spotkań u Tobiasów lub Gefenów. Czasem jakby od niechcienia rzucał jakąś olśniewającą myśl i całe towarzystwo wstrzymywało na chwilę oddech. Jego słowa powtarzano sobie potem z ust do ust. Bywało, że pod wpływem nastroju chwili udało mu się ukuć jakieś nowe powiedzenie, sformułować spostrzeżenie w sposób dotąd niespotykany, wyrazić jakąś przenikliwą refleksję, która potem krążyła po mieście, aż w końcu, po paru dniach, natykał się na nią w radiu albo gazecie, oderwaną od niego i jego imienia, i niejednokrotnie przekreconą. Jego przyjaciele lubili, w formie łagodnej wymówki, przypominać mu, jak to raz czy dwa wykazał prawdziwy dar przewidywania. Na przykład w 1973 roku, kiedy obsesyjnie biadał nad ślepotą Izraela i katastrofą, która wisi w powietrzu. Albo w przeddzień inwazji na Liban. Albo zanim dała o sobie znać fala fundamentalizmu islamskiego. Kiedy tylko przyjaciele przypominali mu o tych prorocत्वach, Fima gwałtownie oponował i z ponurym grymasem mówił, że to nic takiego, widział tylko to, co musiało być oczywiste nawet dla dziecka.

Cwi Kropotkin przynosił mu czasem kopie artykułów z dodatków literackich lub czasopism, ze wzmiankami o *Śmierci Augustyna*, w których jacyś krytycy pokusili się o wywlekanie z zapomnienia tych wierszy, aby podeprzeć się nimi w kampanii na rzecz lub przeciwko współczesnym tendencjom w poezji. Fima tylko wzruszał ramionami i mówił: „Daj spokój, Cwika”. Jego wiersze, podobnie jak prorocstwa, wydawały się mu czymś odległym i nie na miejscu. Po cóż te porywy natchnienia, skoro się nie ma pojęcia dokąd się zmierza? Co jest naprawdę, a co jest tylko złudzeniem? Gdzie można szukać tego, co straciliśmy, skoro nie pamiętamy, co to było? Pewnego razu, w roku amorów, podczas swojego krótkiego małżeństwa z właścicielką hotelu w Valetcie, Fima siedział w kawiarence z widokiem na morze, patrząc jak dwaj rybacy grają w tryktraka. Właściwie nie tyle obserwował rybaków, co wilczura, który dysząc siedział na krześle pomiędzy nimi. Uszy psa były czujnie postawione, tak jakby wyczekiwał każdego następnego ruchu, oczy śledziły pilnie palce graczy, toczące się kości i zmieniający się układ. Fimie wydawało się, że w tym wzroku kryje się fascynacja i pełne pokory zdumienie. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie widział już wyrazu tak wyteżonego skupienia, aby zrozumieć to, co niepojęte. Tak jakby pies zupełnie się zatracił. Na pewno w taki właśnie sposób powinniśmy obserwować to, co nas przerasta. Aby uchwycić, ile się da, albo przynajmniej uchwycić własną niemożność uchwycenia czegokolwiek. Fima wyobrażał sobie czasem stwórciela świata, w którego nie do końca wierzył, jako jerozolimskiego kupca o środkowoeuropejskim pochodzeniu – szczupłego sześćdziesięciolatka o pomarszczonej, smagłej twarzy, wyniszczzonego przez papierosy i arak mężczyznę w wytartych brązowych spodniach i w niezbyt czystej białej koszuli zapiętej na ostatni guzik pod chudą szyją, ale bez krawata. Ten stwórca w znoszonych brązowych butach i nędznej, nieco na niego przyciasnej, niemodnej marynarce siedział sennie w wejściu do swojego sklepiku z galanterią w Zichron Moshe na wiklinowym stołeczku, twarzą do słońca, z półprzymkniętymi powiekami; głowa opadła mu na piersi. Z dolnej wargi zwisał mu



wygasły papieros, a pomiędzy palcami, tam gdzie od czasu do czasu połyskiwał ciężki pierścień, zastygły paciorki z bursztynu. Fima zatrzymał się i odważył przemówić do niego z uprzedzającą grzecznością, w trzeciej osobie. Czy łaskawy pan pozwoli, że mu przeszkodzę jednym pytaniem? Przez wysuszoną, pełną zmarszczek twarz przemknął ironiczny uśmiech. A może to tylko mucha przeleciała? Czy łaskawy pan zechce zastanowić się chwilę nad *Braćmi Karamazow*? Nad sporem Iwana z diabłem? Snem Miti? Lub epizodem z Wielkim Inkwizytorem? Nie? A co Wasza Wysokość raczy powiedzieć na taką kwestię? Marność nad marnościami? Czy łaskawy pan znowu ucieknie się do starych argumentów: „Gdzie byłeś, kiedy kładłem fundament świata? Jestem, który jestem”. Starzec wydał z siebie dźwięk przypominający beknięcie, cuchnące tytoniem i arakiem, i pokazał mu wnętrze swoich dłoni, zniszczonych jak ręce murarza, po czym położył je puste na kolanach. Tylko pierścień na jego palcu zamigotał przez chwilę, a potem zgasł. Czy on coś żuł? Uśmiechał się? Drzemał? Fima zaprzestał tych dociekań. Prosząc o wybaczenie, ruszył w swoją stronę. Bez paniki, pośpiechu, a jednak jak ktoś, kto ucieka i wie, że ucieka, choć zdaje też sobie sprawę, że ucieczka jest bezcelowa.

Stojąc przy oknie Fima patrzył, jak słońce próbuje uwolnić się spod warstwy chmur. Jakaś nieuchwytna zmiana zaszła ponad ulicami i zarysem wzgórz. Nie było to jeszcze przejaśnienie, ale jakieś lekkie migotanie barw, tak jakby samym powietrzem targała niepewność i wątpliwości. Wszystkie rzeczy, które wypełniały życie ich paczki – Uriego, Cwiki, Teda i reszty – to, co budziło ich pragnienia i entuzjazm, wydało się Fimie równie bezsensowne jak martwe liście gnijące pod nagim drzewem morwowym w ogrodzie. Gdzieś, w zapomnieniu, leży Ziemia Obiecana – chociaż nie, to nie jest ziemia i nikt jej nie obiecał, ani nawet nigdy nie została ona naprawdę zapomniana, ale przecież coś nas woła. Zadał sobie pytanie, czy miałoby to dla niego znaczenie, gdyby dziś umarł. Taka perspektywa nie budziła w nim żadnych emocji – ani lęku, ani

pożądania. Śmierć wydawała się równie nudna jak opowieści doktora Wahrhaftiga. A codzienność – równie przewidywalna i nużąca jak morały ojca. W myśli przyznał nagle rację starszemu panu, nie w sprawie tożsamości Hindusów, ale w tym, że dni mijają bez radości i bez celu. Szlemiel i jego przyjaciel naprawdę zasługiwali bardziej na współczucie niż drwinę. Ale jak mogli się z nim równać? On, Fima, posiada niewątpliwie fantastyczne możliwości, jest tylko za bardzo zmęczony, żeby je wykorzystać. Jak ktoś, kto jeszcze czeka na odpowiednią chwilę. Albo na wstrząs, który skruszy wewnętrzną skorupę. Mógłby na przykład rzucić pracę w klinice, wyciągnąć tysiąc dolarów od ojca i na pokładzie statku handlowego ruszyć na spotkanie nowemu życiu. W Islandii. Na Krecie. W Safed. Mógłby zaszyć się w pensjonacie w Magdiel i napisać sztukę. Albo wspomnienia. Mógłby stworzyć program polityczny, znaleźć zwolenników i zapoczątkować nowy ruch, który zburzy mur obojętności i lotem błyskawicy rozprzestrzeni się dalej. Albo mógłby przyłączyć się do jednej z istniejących partii, zając się działalnością publiczną na jakieś pięć, sześć lat, przenosząc się z jednej dziedziny do drugiej, rzucając nowe światło na sytuację narodową, aż poruszyłby nawet najbardziej twarde serca, a w końcu objąłby stery i doprowadził do pokoju w ojczyźnie. W 1977 roku jakiś zwyczajny obywatel Lange czy Longe uzyskał dość głosów, aby zasiąść w parlamencie Nowej Zelandii, a w 1982 roku przejął rządy. Fima mógłby też zakochać się albo zaangażować w interesy ojca i przeobrazić fabryczkę kosmetyków w zaczątek wielkiego koncernu przemysłowego. Albo mógłby piąć się po szczeblach kariery naukowej, dogonić Cwikę i jego znajomych, dostać katedrę i zapoczątkować nową szkołę. Mógłby wziąć Jerozolimę szturmem, wydając nowy zbiorek poezji. Cóż za idiotyczne określenie „wziąć Jerozolimę szturmem”. Albo odzyskać Jael. I Dimiego. Albo mógłby sprzedać tę ruinę i za zdobyte pieniądze wyremontować opuszczony dom na przedmieściach odległego miasteczka wśród pagórków Górnej Galilei. Albo przeciwnie – sprowadzić ekipę i odnowić całe mieszkanie, wysłać rachunek ojcu i zacząć wszystko od nowa.

Słońce wyjrzało nagle zza chmur nad Gilo i rzuciło łagodny złocisty poblask na jedno ze wzgórz. Tym razem Fima nie widział żadnej przesady w określeniu „cudowna światłość”, ale zaniechał go. Najpierw jednak z rozkoszą wypowiedział te słowa na głos. A potem dodał: „Przenikliwa i miękka” – i znowu doznał dziwnego uczucia przyjemności zmieszanej z ironią.

Poniżej, w ogrodzie, jakiś okruch szkła zamigotał ognikiem, tak jakby odnalazł drogę i dawał mu znak, żeby szedł za nim. Fima powtórzył w myśli słowa ojca. Zeszłoroczny śnieg. Garstka popiołu. Ale jakoś zamiast powiedzieć „zeszłoroczny śnieg”, powiedział „zeszłoroczna śmierć”.

Co mają ze sobą wspólnego i czym się różnią – jaszczurka, nieruchoma na ścianie, i karaluch pod zlewem? Najwyraźniej żadne z nich nie trwoni skarbu, jakim jest życie. Nawet jeśli i one nie stanowią wyjątku wobec żelaznej zasady Barucha Nomberga – żyje się bez celu i wbrew woli umiera. Ale jaszczurka i karaluch przynajmniej nie snują rojeń o przejęciu władzy albo ustanowieniu pokoju w ojczyźnie.

Fima ostrożnie otworzył okno, starając się nie spłoszyć zadumanego gada. Choć jego przyjaciele, a nawet on sam, uważali go za łamagę, udało się mu nie narobić hałasu. Był teraz pewien, że to stworzenie wpatruje się w jakiś punkt przestrzeni, na który i on powinien popatrzeć. Z jakiego odległego rejonu królestwa ewolucji, z jakiego mglistego, pierwotnego krajobrazu – pełnego wulkanów tryskających chmurami dymu, dżungli i oparów mgły unoszącej się ponad ziemią, zanim jeszcze powstało jakiekolwiek słowo i wiedza, całe eony lat przedtem, zanim owi królowie, prorocy i zbawcy wędrowali po tych wzgórzach – pochodziła ta istota, która teraz z odległości nie większej niż metr wpatrywała się w Fimę ciepło, choć z pewnym niepokojem? Niby daleki krewny zatroskany naszym stanem zdrowia. Tak, istna miniatura dinozaura, skurczonego do rozmiarów podwórzowej jaszczurki. Zdawało się, że Fima intryguje

to stworzenie, bo dlaczego kręciłoby ono wolno głową, jakby chciało powiedzieć: „Naprawdę bardzo ci się dziwię”. Albo wyrażało bezsilny żal, że Fima postępuje tak niemądrze.

I naprawdę musi łączyć ich pewne pokrewieństwo – to bez wątpienia jakaś daleka krewna. Ciebie i mnie, i nas oboje więcej łączy z Trockim niż dzieli: głowa, szyja, kręgosłup, ciekawość, apetyt, kończyny, pożądanie seksualne, zdolność rozróżniania dnia i nocy, odczuwania zimna i ciepła, żebra, starość, układ trawienny i wydalniczy, wrażliwość na ból, metabolizm, pamięć, strach przed niebezpieczeństwem, rozgałęziony labirynt naczyń krwionośnych, system rozrodczy i ograniczona zdolność regeneracji zaprogramowanej ostatecznie na samozniszczenie. Również praca serca, niby skomplikowanej pompy, i zmysł węchu, i instykt samozachowawczy, i talent do ucieczki, i ukrywania się, i maskowania własnej obecności, a także orientacja w terenie i mózg, a najwyraźniej także samotność. Jest tyle rzeczy, o których moglibyśmy porozmawiać i które moglibyśmy porównać. Tyle moglibyśmy się nauczyć od siebie nawzajem. Być może powinniśmy też wziąć pod uwagę jeszcze bardziej odległe pokrewieństwo, jakie łączy nas z królestwem roślin. Wystarczy przyłożyć dłoń do figowego liścia albo do liścia winorośli – tylko ślepiec mógłby zaprzeczyć podobieństwu kształtu tych rozwartych palców, odgałęziających się ścięgien i naczyń, których zadaniem jest rozprowadzanie substancji odżywczych i odprowadzanie tego, co zbędne. A kto wie, czy poza tym pokrewieństwem nie czai się jeszcze bardziej wyrafinowany związek pomiędzy nami wszystkimi a światem nieożywionym w ogóle. Każda żywa komórka składa się z mnóstwa nieożywionych substancji, które tak naprawdę wcale nie są nieożywione, ale bez przerwy pulsują w nieskończenie małych wyładowaniach elektrycznych. Elektrony. Neutrony. Być może tam też jest jakiś odpowiednik pierwiastka żeńskiego i męskiego, które ani nie potrafią stopić się w jedno, ani ostatecznie rozdzielić? Fima uśmiechnął się. Doszedł do wniosku, że lepiej byłoby pogodzić się z tamtym młodym Joezerem, stojącym tu w

oknie za sto lat, zapatrzonym na swoją własną jaszczurkę. Nie będę dla niego znaczył więcej niż ziarnko piasku. Być może coś ze mnie, jakaś cząsteczka, atom, neutron, naprawdę zostanie w tym pokoju, może nawet właśnie w drobince piasku. Chyba że do tamtej pory ludzie nauczą się usuwać cały pył.

Ale niby czemu wszystko miało być tak bardzo inne?

Dimi jest jedyną osobą, z którą mógłbym pomówić o tych rojeniach.

Lepiej przecież opowiadać mu o prorokach i jaszczurkach, i liściach winorośli, niż o bombach robionych ze zmywacza do paznokci.

W jednej chwili jaszczurka śmignęła i schowała się w rynnie albo gdzieś za nią. Zniknęła zwinnie i bezszelestnie. *Requiem* dobiegło końca i teraz nadawano *Tańce połowieckie* Borodina, których Fima nie lubił. Coraz silniejsze światło zaczęło razić go w oczy. Zamknął okno i poszedł szukać swetra, ale na ratowanie czajnika elektrycznego było już za późno, woda się wygotowała, a w powietrzu unosił się swąd dymu i spalonej gumy. Fima mógł tylko zdecydować, czy woli zanieść czajnik do naprawy w drodze do pracy, czy kupić nowy.

– To już twój problem, kolego – powiedział sam do siebie.

Zażył tabletkę przeciwko zgadze i postanowił wybrać wolność. Zadzwoił do kliniki i powiedział Tamarze, że tego dnia nie przyjdzie. Nie, nie jest chory. Tak, na pewno. Wszystko w porządku. Tak, to sprawy osobiste. Nie, nic się nie stało i nie potrzebuje żadnej pomocy. „Ale dziękuję ci i proszę, przeproś w moim imieniu”. Zajrzał do książki telefonicznej i nie do wiary, pod literą T znalazł Tadmor Annette i Jerohama mieszkających w jednej z podmiejskich dzielnic, Mevasseret.

Odebrała sama Annette.

– Przepraszam, że cię niepokoję – zaczął Fima. – To ze mną rozmawiałaś wczoraj w recepcji kliniki. Efraim. Fima. Pamiętasz? Myślałem...

Annette pamiętała doskonale. Powiedziała, że bardzo jej miło. I zaproponowała spotkanie na mieście.

– Powiedzmy za godzinę? Półtorej? Pasuje ci? Wiedziałam, że dziś zadzwonisz. Nie pytaj, skąd. Miałam po prostu przeczucie. Wczoraj czegoś nie dokończyliśmy. No, to powiedzmy za godzinę? W Savyonie? Jeśli się trochę spóźnię, zaczekaj.

**Fima wybacza i zapomina**

Czekał trzy kwadranse w kawiarni, przy stoliku w rogu sali, wreszcie zamówił kawę i ciastko. Niedaleko niego siedział prawicowy członek Knesetu w towarzystwie szczupłego, przystojnego, brodatego młodzieńca, który robił na Fimie wrażenie działacza na rzecz osadnictwa żydowskiego na terytoriach okupowanych.

– Impotenci – mówił młody człowiek. – Zapomnieliście, skąd przyszliście i kto was wyniósł tam, gdzie jesteście.

Zniżyli głosy.

Fima przypomniał sobie, jak to poprzedniej nocy opuścił dom Niny, jak skompromitował się przed nią, jak skompromitował się w pracowni Teda, jak naraził siebie i Jael na śmieszność w ciemnościach klatki schodowej. Całkiem miło byłoby podjąć teraz spór z tymi dwoma konspiratorami. Z łatwością położyłby ich na łopatki. Przypuszczał, że Annette Tadmor po namyśle zmieniła zdanie i nie ma zamiaru przyjść na randkę. Niby czemu miałyby przychodzić? Jej pełne, krągłe kształty, smutek, prosta, przypominająca szkolny fartuszek, bawełniana sukienka to wszystko pociągało go, a zarazem nie umiał sobie odmówić kpiny z samego siebie: „Ona się rozmyśliła i oszczędziła ci następnej kompromitacji”.

Młody osadnik wstał i dwoma długimi susami zbliżył się do stolika Fimy. Fima ze zdziwieniem zauważył, że młodzieniec ma za pasem pistolet.

– Przepraszam, czy może pan Prag, prawnik?

Fima zastanowił się nad tym pytaniem i przez chwilę miał chęć odpowiedzieć twierdząco. Zawsze miał słabość do Pragi.

– Nie sądzę – odparł.

– Umówiliśmy się z kimś, kogo nie znamy – usprawiedliwił się tamten. – Myślałem, że to może pan. Przepraszam.

– Nie jestem jednym z was – oświadczył Fima z żarem, jak gdyby wszczywał wojnę domową. – Myślę, że stanowicie plagę tego kraju.

Młody człowiek z niewinnym słodkim uśmiechem i niezachwianą wiarą w żydowską solidarność powiedział:

– Czemu nie zachować takich wyrażeń dla wroga? To przez taką nieuzasadnioną nienawiść świątynia legła w gruzach. Nie zaszkodziłoby nam wszystkim dla odmiany okazać sobie nawzajem trochę nieuzasadnionej miłości.

Fima zapalił się do dyskusji, to było cudowne, uderzające do głowy uczucie, i już miał na końcu języka druzgocącą odpowiedź, kiedy spostrzegł w wejściu rozglądającą się niepewnie po sali Annette. Był niemal rozczarowany. Ale musiał do niej pomachać i dać spokój osadnikowi. Przeprosiła za spóźnienie. Kiedy usiadła naprzeciw niego, powiedział, że przybyła w samą porę, aby uratować go przed Hezbollahem. A raczej uratować Hezbollah przed nim. Zaczął prezentować swoje poglądy. Dopiero po chwili przypomniał sobie, żeby przeprosić ją, że złożył zamówienie, nie czekając na nią. Zapytał, czego się napije. Ku jego zaskoczeniu wybrała wódkę. Potem zaczęła opowiadać mu o swoim rozwodzie po dwudziestu sześciu latach związku, który uważała za idealny. Przynajmniej z pozoru. Fima zamówił dla niej wódkę i drugą kawę dla siebie. Zamówił też chleb, ser i kanapkę z jajkiem, bo nadal był głodny. Słuchał cierpliwie jej historii, ale jego uwaga była podzielona, bo tymczasem do sąsiedniego stolika przysiadł się łysy mężczyzna w szarym nieprzemakalnym płaszczu. Pewno ów pan Prag. Fima miał



wrażenie, że ta trójka planuje wprowadzenie wtyczki do prokuratury państwowej i starał się uchwycić sens ich rozmowy. Zachnął się na stwierdzenie Annette, że jest od dwudziestu sześciu lat mężatką, przecież nie wygląda na więcej niż czterdziestkę.

– Jak to miło z twojej strony – uśmiechnęła się Annette. – Z ciebie po prostu emanuje dobroć. Wydaje mi się, że jeśli tylko zdołam opowiedzieć całą tę historię od początku do końca komuś, kto potrafi słuchać, pomoże mi to uporządkować własne myśli. Pojąć, co się ze mną dzieje. Choć wiem, że kiedy już opowiem to wszystko, to będę rozumiała jeszcze mniej. Czy jesteś dość cierpliwy?

Polityk powiedział:

– Postarajmy się grać na zwłokę. To nigdy nie zaszkodzi.

A na to tamten w płaszczu przeciwdeszczowym, prawdopodobnie prawnik Prag:

– Wam może się to wydawać bardzo proste. Ale tak nie jest.

– To tak jakbyśmy stali sobie z Jerim na balkonie – powiedziała Annette – ramię w ramię, spokojnie opierając się o poręcz, patrząc w dół na ogród i lasy, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, on łapie mnie i wyrzuca. Niczym starą klatkę.

– Jakie to smutne – wtrącił Fima. A po chwili dodał: – Okropne.

W jej oczach znowu pojawiły się łzy, położył więc rękę na jej mocno zaciśniętych dłoniach, które oparła o brzeg stolika.

– No to dogadaliśmy się – powiedział osadnik. – Bądźmy w kontakcie. Ale ostrożnie z telefonami.

– Pomyśl – odezwała się Annette – w powieściach, sztukach, filmach są zawsze te tajemnicze kobiety. Kapryśne, nieprzewidywalne. Zakochują się jak szalone i odlatują jak ptaki. Greta Garbo. Marlena Dietrich. Liv Ullman. Wszystkie te *femme fatale*. Tajemnica kobiecego serca. Nie śmieję się ze mnie, że piję wódkę w

środku dnia. Ty sam nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego człowieka. Czy ja cię nudzę?

Fima zawołał kelnera i zamówił jej następny kieliszek. Poprosił też o butelkę wody mineralnej i jeszcze trochę chleba i sera dla siebie. Trzej konspiratorzy ruszyli do wyjścia. Kiedy mijali ich stolik, osadnik posłał mu pełen słodczy uśmiech, tak jakby przejrzał go na wylot i miłosiernie mu wybaczał.

– Na razie i wszystkiego dobrego. Niech pan nie zapomina, że jeśli przyjdzie co do czego, to wszyscy płyniemy na tej samej łodzi.

Fima przeniósł w myśli tę chwilę do kawiarni w Berlinie w ostatnich dniach Republiki Weimarskiej, stawiając siebie na miejscu męczenników – Carla von Ossietzky'ego i Kurta Tucholsky'ego. Od razu jednak otrząsnął się z tych rojeń, bo porównanie było idiotyczne, nie wolno popadać w histerię.

– Przypatrz się im dobrze – powiedział do Annette. – To te typy doprowadzają nas do upadku.

– Ja już niżej upaść nie mogę – odparła Annette.

A Fima na to:

– Mów dalej. Wspomniałaś o *femme fatale*.

Annette opróżniła drugi kieliszek. Oczy jej błyszczały, a do jej słów wkradł się ton kokieterii.

– Wiesz, Efraimie, to miłe, że nie obchodzi mnie wcale, co o mnie myślisz. To dla mnie coś nowego. Zwykle, kiedy rozmawiam z mężczyzną, za wszelką cenę staram się zrobić na nim dobre wrażenie. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się siedzieć z obcym mężczyzną i mówić tak swobodnie o sobie, bez tych wszystkich podtekstów, rozumiesz. Po prostu jak człowiek z człowiekiem. Nie gniewasz się?

Fima bezwiednie uśmiechnął się, kiedy użyła wyrażenia „obcy mężczyzna”. Zauważyła to i rozpromieniła się, niby ukojone w płaczu dziecko. Powiedziała:

– Nie chodzi mi o to, że nie jesteś męski, ale że mogę z tobą mówić jak z bratem. Tyle jest tego poetyckiego gówna, o tych wszystkich Beatrycze, matkach ziemiach, gazelach, tygrysiach, mewach, łabędziach i o wszystkich tych bzdurach. Powiem ci, że według mnie, to mężczyźni są bardziej zagadkowi. Choć może to jest właśnie bardzo proste, te całe targi. Dasz mi rozkosz, to ja ci dam odrobinę czułości. Albo pozory czułości. Bądź dziwką i matką. Pieseczkiem w dzień i kociątkiem w nocy. Czasami mam wrażenie, że mężczyźni kochają seks, ale nienawidzą kobiet. Nie obrażaj się, Efraimie. Uogólniam. Są przecież jakieś wyjątki. Na przykład ty. Teraz czuję się dobrze, potrafisz słuchać.

Fima nachylił się, żeby zapalić jej papierosa, którego wyjęła z torebki. Myślał: W biały dzień, wcale się nie kryjąc, w samym centrum miasta, oni już spacerują sobie z pistoletami przy boku. Czy idea syjonizmu była skażona od samego początku? Czy Żydzi naprawdę nie mogą powrócić na scenę polityczną inaczej, niż stając się szumowiną? Czy każde bite dziecko musi wyrosnąć na brutala? I czy nie byliśmy łajdakami, jeszcze zanim powróciliśmy na scenę polityczną? Czy naprawdę mamy do wyboru jedynie los łamagi albo bandyty? Czy nie ma trzeciej możliwości?

– W wieku dwudziestu pięciu lat – kontynuowała Annette – po kilku zauroczeniach miłosnych, jednej skrobance i dyplomie z historii sztuki, spotkałam tego młodego ortopeda. Spokojnego, nieśmiałego człowieka, zupełnie niepodobnego do innych Izrealczyków, rozumiesz, co mam na myśli. Był delikatnym, wrażliwym adoratorem i nawet posyłał mi codziennie listy miłosne, ale nigdy nie próbował mnie nawet tknąć. Pracowity, uczciwy człowiek. Lubił mieszać mi kawę. Uważał się za przeciętnego, prostolinijnego człowieka. Jako stażysta pracował jak szalony,

spędzał wiele godzin w szpitalu, zawsze do dyspozycji, brał dyżury. Miał wąskie grono przyjaciół bardzo do niego podobnych, kulturalnych i dobrze wychowanych rodziców, którzy przyjechali do Izraela, uciekając przed prześladowaniami. W niecały rok później pobraliśmy się. Bez żadnych dramatów, wlotów i upadków. Obchodził się ze mną, jakbym była lalką z porcelany, rozumiesz, co mam na myśli.

Fima o mało nie przerwał jej zawołaniem: Przecież my wszyscy tacy jesteśmy, to dlatego właśnie utraciliśmy państwowość! Ale powstrzymał się i nie powiedział nic. Zadbał tylko, aby ostrożnie zgasić niedopałek papierosa Annette, który tlił się na brzegu popielniczki. Skończył swoją kanapkę, ale nadal był głodny.

– Zebraliśmy nasze wspólne oszczędności, pieniądze dawane nam przez rodziców i kupiliśmy małe mieszkanie w Givat Shaul. Kupiliśmy meble, lodówkę, kuchenkę, razem wybraliśmy zasłony. Nigdy nie spieraliśmy się o nic. Byliśmy dla siebie uprzejmi i serdeczni. On po prostu lubił mi ustępować, tak w każdym razie wtedy myślałam. Serdeczność to dobre określenie, oboje staraliśmy się z całych sił być dla siebie nawzajem dobrzy. Postępować uczciwie. Prześcigaliśmy się w uprzejmościach. Potem urodziła się nasza córka, a w dwa lata później syn. Jeri był oczywiście rozsądnym, oddanym ojcem. Konsekwentnym. Zrównoważonym. Przede wszystkim można było na nim polegać. Z radością prał pieluchy, umiał oczyścić moskitiery, uczył się z książek, jak gotować i dbać o rośliny. Kiedy tylko natłok obowiązków służbowych mu na to pozwalał, zabierał dzieci gdzieś do miasta. Z czasem nawet stał się lepszy w łóżku. Stopniowo zaczęło do niego docierać, że nie jestem z porcelany, rozumiesz, co mam na myśli. Od czasu do czasu opowiadał coś zabawnego przy stole. A jednak równocześnie nabrał pewnych drobnych nawyków, które mnie drażniły. To były właściwie tiki, nieszkodliwe, ale beznadziejnie uporczywe. Na przykład stukanie palcem. Nie takie, jak opukiwanie pacjenta przez badającego go lekarza. Raczej coś w rodzaju pukania do drzwi.

Siedział, czytając gazetę, i bez przerwy, nieświadomie pukał w oparcie krzesła. Tak, jakby chciał tam wejść. Zamykał się w łazience, pluskał pół godziny w wannie i cały czas stukał w kafelki, jakby szukał tam jakiejś tajemnej skrytki. Albo to jego odpowiadanie na wszystko w jidysz: „Azoj”. Mówię mu, że znalazłam błąd w rachunku za elektryczność, a on na to: „Azoj”. Nasza córeczka opowiada, że lalka się na nią gniewa, a on się uśmiecha i: „Azoj”. Wtrącam się i pytam, czemu nie posłuchasz czasem, o co twoim dzieciom chodzi? A on potrafi dać na to jedną odpowiedź: „Azoj”. Albo to sarkastyczne poświstywanie przez szparę w zębach, być może to nawet nie gwizd, i wcale nie sarkastyczny, ale wciąganie powietrza przez zaciśnięte wargi. Żebym nie wiem ile razy mówiła, że to mnie doprowadza do szału, on nie umie przestać. Nawet chyba nie zauważa, kiedy to robi. Ale to są drobiazgi. Można do nich przywyknąć. Bywają mężowie pijacy, lenie, cudzołożne bestie, zboczeńcy, wariaci. I być może ja też mam jakieś nawyki, których on nie lubi, ale nie mówi nic na ich temat. Nie było powodu robić wielkiego szumu o to stukanie i pogwizdywanie, nad którymi nie umiał zapanować. I tak mijały lata. Zabudowaliśmy balkon, żeby zyskać więcej miejsca. Pojechaliśmy w podróż do Europy, kupiliśmy mały samochód, nowe meble. Nawet mieliśmy wilczura. Umieściliśmy rodziców męża i moich w prywatnym domu spokojnej starości. Jeri starał się, żebym była zadowolona, cieszyło go wszystko, do czego doszliśmy razem. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. I dalej pogwizduje, stuka i od czasu do czasu mruknie to swoje: „Azoj”.

Fima myślał: Budynek parlamentu otoczony czołgami, komandosi opanowują stację nadawczą, pucz pułkowników – tutaj do tego nie dojdzie. Jesteśmy skazani na powolne osuwanie się w przepaść. Centymetr po centymetrze. Ludzie nie zauważą nawet, że światła zgasły. Bo one nie zgasną – będą blakły z dnia na dzień. Jeżeli nie zbierzemy sił i nie przyspieszymy świadomie głębokiego

kryzysu narodowego, to nawet nie poczujemy, kiedy się zaczął. A głośno powiedział:

– Opisujesz to tak obrazowo, że mogę to sobie wyobrazić.

– Nie nudzę cię? Nie złość się, że znowu zapalę. Trudno mi o tym wszystkim mówić. Muszę fatalnie wyglądać, płakałam. Bądź miły i nie przypatruj mi się za bardzo.

– To wszystko bardzo ciekawe – zapewnił ją Fima. – Masz ładne kolczyki.

Po chwili wahania dodał:

– Wyjątkowo ładne. Jak para robaczków świętojańskich. Chociaż właściwie nie mam zielonego pojęcia, jak wyglądają robaczki świętojańskie.

– Miło być z tobą – powiedziała Annette. – Od wieków nie czułam się tak dobrze. Choć niewiele mówisz, ale słuchasz i rozumiesz. Kiedy dzieci były starsze, Jeri zachęcił mnie, żebym podjęła pracę na niepełnym etacie w Radzie Miejskiej Jerozolimy. Zaczęliśmy oszczędzać. Kupiliśmy nowy samochód. Marzyliśmy, żeby wybudować sobie dom z czerwonym dachem, mieć prawdziwy ogród gdzieś pod miastem, w Mevasseret. Wieczorem, kiedy dzieci już poszły spać, oglądaliśmy razem amerykańskie pisma o urządzaniu domu, snując przeróżne plany. Czasami on postukał w nasze szkice, tak jakby badał, czy są dość solidne. Nasze dzieci okazały się muzykalne, zdecydowaliśmy więc zainwestować w prywatne lekcje, nauczycieli, szkołę muzyczną. W lecie wszyscy czworo jeździliśmy nad morze, do Naharii. W grudniu zostawialiśmy dzieci i wynajmowaliśmy bungalow w Ejlacie. Dziesięć lat temu sprzedaliśmy mieszkanie jego rodziców i kupiliśmy ten bungalow na własność. W soboty zwykle mieliśmy gości. Nie krępuj się, Fimo, przerwij mi, jeśli zmęczysz się słuchaniem. Może za bardzo wnikam w szczegóły? Potem ten odpowiedzialny człowiek dostał awans na ordynatora. Zaczął przyjmować pacjentów w domu. Marzenia o willi

z ogrodem w Mevasseret okazały się więc bardziej realne. Oboje staliśmy się ekspertami od marmuru, ceramiki i dachówek, rozumiesz. Przez te wszystkie lata, poza przelotnymi sprzeczkami, nasz związek był bez zarzutu. Albo tak mi się wydawało. Każda awantura kończyła się przeprosinami z obu stron. On mówił, że mu przykro, ja też, a on mruzczał: „Azoj”. A potem braliśmy się do porządków albo razem szykowaliśmy kolację.

Pięć tysięcy mężczyzn, myślał Fima, gdyby po prostu te pięć tysięcy spośród nas odmówiło służby w oddziałach rezerwy na terytoriach okupowanych – to by wystarczyło. Byłoby po okupacji. Ale to tylko te pięć tysięcy ludzi, którzy stają się ekspertami od dachówek. Te dranie mają rację mówiąc, że wystarczy im tylko poczekać. W końcu tej historii ona pójdzie ze mną do łóżka. Przygotowuje się do tego.

– Przez kilka kolejnych zim – kontynuowała Annette, a w kąciku jej ust pojawił się uśmiezek, tak jakby umiała czytać w myślach Fimy – spędzał jedną noc w tygodniu w Beer Szewie, bo poproszono go o poprowadzenie jakiegoś kursu w tamtejszej szkole medycznej. Do głowy by mi nie przyszło, że w jego życiu mogą być inne kobiety. Uważałam, że to nie jest ten typ mężczyzny. Zwłaszcza od czasu, kiedy nawet jego domowa konsumpcja zmalała, rozumiesz. Co on by robił z kochanką? To tak, jak bym chciała wyobrazić go sobie na przykład jako syryjskiego szpiega, bzdura. To było po prostu niemożliwe. Wiedziałam o nim wszystko. A przynajmniej tak myślałam. I akceptowałam go takim, jakim był, włączając to jego sarkastyczne pogwizdywanie. Zresztą wtedy już byłam przekonana, że to wcale nie gwizdanie i że nie ma nic wspólnego z sarkazmem. Z drugiej strony, wstyd mi to wyznać, ale mam chęć być z tobą szczerą do końca, osiem lat temu, w lecie, pojechałam na trzy tygodnie do mojej kuzynki w Amsterdamie i miałam burzliwy romans z głupawym blondynem, dwadzieścia lat ode mnie młodszym, ochroniarzem z ambasady. Prawdziwe zwierzę w łóżku, rozumiesz. Ale wkrótce okazało się, że facet jest narcystycz-

nym półgłówkiem. Uśmiejesz się, kiedy ci powiem, że niektórzy myślą, iż kobiety podnieca, jeśli wysmaruje się im brzuch miodem. Wyobraź to sobie! Jedynymi słowy, on był tylko niedorozwiniętym dzieckiem. Nie wartym małego palca mojego męża.

Fima, nie proszony, zamówił jej następną wódkę i, ulegając napadowi głodu, następny talerz chleba i sera dla siebie. To już ostatni. Podjął wewnętrzne zobowiązanie, że będzie cierpliwy i delikatny. Nie rzuci się na nią. Da spokój polityce. Będzie mówił tylko o poezji i samotności w sposób ogólny. A przede wszystkim będzie cierpliwy.

– Wróciłam z Amsterdamu gnębiona poczuciem winy. Miałam nieprzepartą potrzebę zwierzenia się mu. Ale on nic nie podejrzewał. Przeciwnie. Przez wszystkie te lata przyzwyczailiśmy się leżeć razem w łóżku, czytając razem gazety, kiedy dzieci już spały. Uczyliśmy się z nich różnych rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Kompromisy, ostrożność i ustępstwa rzuciły na nasze życie szary cień nudy. To prawda, nie mieliśmy wielu wspólnych tematów do rozmowy. Bądź co bądź ortopedia to nie mój konik. Ale milczenie nam nie przeszkadzało. Całymi wieczorami potrafiliśmy czytać, słuchać muzyki, oglądać telewizję. Czasami nawet wypijaliśmy razem wieczorem jakiegoś drinka. Bywało, że budziłam się po jakiejś godzinie, bo on miał kłopoty z zasypianiem i bezwiednie stukał w półkę za łóżkiem. Prosiłam, żeby przestał. Przepraszał i przestawał, a ja zasypiałam znowu i on też w końcu zasypiał. Albo tak mi się wydawało. Przypominaliśmy sobie nawzajem o przestrzeganiu diety, bo oboje mamy skłonność do tycia. Czy nie jestem trochę za gruba? Na pewno? Tymczasem kupowaliśmy wszystkie potrzebne do domu urządzenia elektryczne. Zaangażowaliśmy gospozię na trzy dni w tygodniu. Odwiedzaliśmy jego i moich rodziców, których umieściliśmy w jednym domu spokojnej starości. Pojechał na kongres medyczny do Kanady sam, ale zabrał mnie na konferencję ortopedów do Frankfurtu. Kiedy tam byliśmy, wybraliśmy się nawet pewnego wieczora do lokalu ze striptizem, żeby zobaczyć, jak to jest.



Dla mnie to było obrzydliwe, ale dziś myślę, że popełniłam błąd, mówiąc mu o tym. Lepiej było trzymać język za zębami. Efraim, słuchaj, boję się nawet spytać, ale co byś sobie o mnie pomyślał, gdybym poprosiła cię o zamówienie jeszcze jednej wódki? Jeszcze jeden kieliszek i koniec. To wszystko takie trudne. A ty jesteś takim dobrym słuchaczem. Po prostu aniołem. No więc, sześć lat temu przeprowadziliśmy się w końcu do domu w Mevasseret. Sami go zaprojektowaliśmy. Był wierną kopią tego z naszych marzeń, miał osobne skrzydło dla dzieci, a sypialnia była na poddaszu, jak w alpejskich schroniskach.

Anioł ze wzwodem jak nosorożec, pomyślał Fima i zaśmiał się w duchu, czując, że współczucie znowu wywołuje w nim pożądanie, a to pożądanie pociąga za sobą wstyd, złość i kpinę z samego siebie. A kiedy myślał o nosorożcach, przypomniał sobie nieruchomą prehistoryczną jaszczurkę, która tego ranka dawała mu znaki. Przemknęło mu też skojarzenie z *Nosorożcem* Ionesco, a starając się uniknąć sztucznych porównań, musiał się uśmiechnąć, bo prawnik Prag przypominał bardziej bawoła niż nosorożca.

– Annette, naprawdę nie jesteś głodna? Ja tu pochłaniam bez przerwy chleb z serem, a ty nawet nie tknęłaś swojego ciastka. Może wybierzemy coś z karty?

Ale Annette, w ogóle nie zwracając uwagi na jego słowa, zapaliła kolejnego papierosa. Fima podsunął jej popielniczkę, którą przed chwilą wymienił kelner, przynosząc następny kieliszek.

– Może kawy?

– Nie, nie – odparła Annette. – Cieszę się, że jestem z tobą. Poznaliśmy się dopiero wczoraj, a czuję się tak, jakbym znalazła brata.

Niewiele brakowało, a Fima użyłby ulubionego określenia jej męża – „Azój”. Ale pohamował się i niemal bezwiednie wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

– Opowiadaj dalej, Annette – powiedział. – Mówiłaś o Alpach.

– Byłam ślepą idiotką. Myślałam, że nowy dom jest spełnieniem naszych marzeń. Tak cieszyliśmy się, że będziemy mieszkać za miastem! Ten widok, spokój, cisza. Na koniec każdego dnia chodziliśmy do ogrodu, żeby zobaczyć, ile urosły nasze drzewka. Potem o zachodzie słońca siadywaliśmy na werandzie, patrząc jak wzgórza ogarnia mrok. Nie odzywaliśmy się prawie do siebie, ale czułam, że jesteście sobie bliscy. Albo tak mi się wydawało. Jak para towarzyszy broni, którzy rozumieją się bez słów, rozumiesz, co mam na myśli. Teraz sędzę, że nawet to był błąd. Że w jego stukaniu w poręcz werandy krył się jakiś ukryty kod, on starał się coś wyrazić i czekał na moją odpowiedź. Czasami spoglądał na mnie sponad okularów, z głową opuszczoną na piersi, a na jego twarzy malowało się zdziwienie, tak jakbym była kimś obcym, jak gdyby zaszła we mnie jakaś wielka zmiana, i wydawał ten swój cichy świst. Gdybym nie znała go tak długo, mogłabym pomyśleć, że kryje się za tym powstrzymywany skowyt wilka. Dziś sędzę, że nie zdołałam zrozumieć tamtych spojrzeń. Potem nasza córka dostała powołanie do wojska, a w rok później syna przydzielono do orkiestry wojskowej. Dom wydawał się pusty. Zwykle chodzimy spać o wpół do jedenastej. Zostawiamy światło, żeby w ogrodzie nie było tak strasznie ciemno. Na zewnątrz stały spokojnie pod wiatą dwa samochody. Tylko dwa razy w tygodniu Jeri miał dyżury, a ja zwykłam siedzieć przed telewizorem do końca programu. Ostatnio zaczęłam malować. Po prostu dla przyjemności. Nie miałam żadnych wyższych aspiracji. Jeri proponował, że pokaże moje obrazy specjaliście, aby ocenił, czy są coś warte. Powiedziałam mu, że nie obchodzi mnie taka ocena. A Jeri na to: „Azoj”. I wtedy to na mnie spadło. Pewnego dnia, była to sobota rano, sześć tygodni temu – o, gdybym wtedy ugryzła się w język i trzymała buzię na kłódkę – powiedziałam: „Jeri, jeżeli tak wygląda starość, to czy mamy się czym martwić? Co w tym takiego złego?” A on podniósł się nagle i stanął twarzą do ściany, gdzie wisi reprodukcja *Zjadaczy motyli*

Joseli Bergera, którą mąż dał mi kiedyś na urodziny. W każdym razie stanął tam spięty i napreżony jak struna, leciutko poświstując, tak jakby zauważył na obrazie coś, czego tam dotąd nie było, albo czego wcześniej nie dostrzegł, i powiada: „Mów za siebie. Ja ani myślę się jeszcze starzeć”. I w jego głosie, w nachyleniu pleców, które wygięły się w sztywny łuk jak u hieny, w zaczerwienieniu karku (nigdy wcześniej nie zauważyłam, żeby był taki czerwony), w tym wszystkim było coś takiego, że aż skuliłam się ze strachu w fotelu. Czy coś się stało, Jeri? „Chodzi o to – powiada – że bardzo mi przykro, ale muszę odejść. Nie wytrzymam dłużej. Nie mam innego wyjścia. Musisz zrozumieć. Dwadzieścia sześć lat tańczyłem, jak mi zagrałaś, niby tresowany niedźwiedź. Teraz mam ochotę dla odmiany zatańczyć według własnej woli. Wynająłem już małe mieszkanko. Wszystko jest załatwione. Poza ubraniami, książkami i psem nie biorę nic. Musisz zrozumieć, nie mogę inaczej. Mam potąd kłamstw”. Potem odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu, wyszedł stamtąd niosąc dwie walizki, musiał je chyba spakować w nocy. Skierował się do drzwi. „Ale co ja takiego zrobiłam, Jeri?”. „Zrozum, to nie ty, ale ona. Ona już nie chce znosić kłamstw. Nie może patrzeć, że traktujesz mnie jak wycieraczkę. A ja nie umiem bez niej żyć. Radziłbym – dodaje od drzwi – żebyś nie robiła trudności, Annette. I bez żadnych scen. Tak będzie lepiej dla dzieci. Wyobraź sobie po prostu, że umarłem. Zrozum, duszę się”. Z tymi słowami stuka lekko we framugę drzwi, gwizdże na psa, uruchamia peugeota i znika. Wszystko trwało może piętnaście minut. Następnego dnia, kiedy zadzwonił, odłożyłam słuchawkę. Dwa dni potem zadzwonił znowu. Chciałam jeszcze raz odłożyć słuchawkę, ale nie miałam dość siły. Zaczęłam go błagać: „Wróć, obiecuję, że będę lepsza. Powiedz mi tylko, co robiłam źle, i to się nie powtórzy”. A on powtarzał tym swoim tonem lekarza, który ma do czynienia z histeryczną pacjentką: „Musisz zrozumieć, to skończone”. Nie płacze ze złości, Efraimie. Płacze, bo czuję się poniżona, upokorzona. Dwa tygodnie temu przysłał mi tego swojego małego adwokata, najwyraźniej perskiego pochodzenia. Ten siada wyprostowany jak

struna w fotelu Jeriego i jestem niemal zdziwiona, że nie zaczyna stukać w poręcz i świstać na mnie przez zęby. Zwraca się do mnie: „Proszę się zastanowić, łaskawa pani, dostanie pani od niego co najmniej dwa razy tyle, ile ośmieliłby się pani przyznać jakikolwiek sąd rabinistyczny albo cywilny. Na pani miejscu skorzystałbym z tej oferty jak najszybciej, bo nigdy w mojej karierze zawodowej nie spotkałem się z kimś, kto byłby gotów z miejsca zaproponować oddanie całości wspólnego majątku. Poza peugeotem i bungalowem w Ejlacie, oczywiście. Ale cała reszta jest pani, bez względu na to, co pani mąż musiał z pani strony wycierpieć. Gdyby poszedł do sądu, mógłby oskarżyć panią o znęcanie się psychiczne i zatrzymać wszystko”. Ledwie docierało do mnie to, co mówi. Błagałam tego błazna, żeby mi tylko powiedział, gdzie jest mój mąż, żebym go mogła zobaczyć, a przynajmniej żeby mi dał jego numer telefonu. Zaczął wyjaśniać mi, że w tej sytuacji byłoby to niewskazane, dla dobra każdej ze stron, i że mój mąż oraz jego przyjaciółka wyjeżdżają wieczorem do Włoch i nie będzie ich przez dwa miesiące. Jeszcze jeden, ostatni kieliszek, Efraimie. Nie będę już więcej pić. Obiecuję. Skończyły mi się nawet papierosy. Płaczę teraz nad tobą, nie nad nim, bo przypomniało mi się, jaki byłeś dla mnie cudowny wczoraj w klinice. Teraz każ mi się tylko uspokoić, proszę. Wytłumacz mi, że takie rzeczy dzieją się w Izraelu raz na pięć minut lub coś w tym rodzaju. Nie przejmuj się, że płacę. Naprawdę czuję się lepiej. Od wczorajszego powrotu z kliniki stale zadawałam sobie pytanie: zadzwoni, czy nie zadzwoni? Miałam przeczucie, że tak, ale bałam się ludzi. Ty też jesteś rozwiedziony? Czy nie mówiłeś mi, że byłeś dwukrotnie żonaty? Czemu je rzuciłeś? Chcesz mi powiedzieć?

Fima odparł:

– To nie ja je rzuciłem. Było na odwrót.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła Annette. – Ale innym razem. Dziś nic do mnie nie dotrze. Zależałoby mi, żebyś powiedział mi

szczerze, czy jestem nudna? Samolubna? Egocentryczna? Odrażająca? Czy sądzisz, że jestem odpychająca fizycznie?

– Przeciwnie – odparł Fima. – Myślę, że to ja nie jestem dla ciebie dość dobry. Choć mimo wszystko mam wrażenie, jakbyśmy płynęli na tej samej łodzi. Ale patrz, przejaśniło się. Piękne są takie zimowe dni w Jerozolimie pełne słońca pomiędzy przelotnymi opadami deszczu. Tak jakby niebo śpiewało. Przejdziemy się? Bez celu, po prostu zwykła przechadzka. Jest wpół do piątej. Niedługo będzie ciemno. Gdybym miał dość śmiałości, powiedziałbym ci, że jesteś piękna i bardzo atrakcyjna. Nie zrozum mnie źle. Pójdziemy? Mały spacer, żeby popatrzeć na zachód słońca. Nie zmarzniesz?

– Nie, lepiej nie, dziękuję. Zająłam ci już dość czasu. Albo tak. Przejdźmy się. Jeśli nie jesteś zajęty. To piękne, co powiedziałeś, że niebo śpiewa. Wszystko, co mówisz, jest takie piękne. Przynajmniej tylko, że niczego ode mnie nie oczekujesz, żebyś nie był rozczarowany. Widzisz, ja po prostu nie mogę. Nie przejmuj się. Nie powinnam była tego mówić. Przepraszam. Porozmawiamy na spacerze.

Później, tego wieczora, pełen wstydu i żalu do siebie samego, że nie zmienił nieświeżej pościeli, zażenowany, że poza omletem, jednym przejrzałym pomidorem i likierem od ojca nie może jej niczym poczęstować, Fima delikatnie i z pełnym szacunkiem rozebrał Annette do bielizny, niby ojciec układający do snu córkę. Podał jej znoszoną flanelową piżamę – wyciągając ją z szafy, powąchał ją i zawahał się chwilę, ale innej nie miał. Otulił Annette kocem i uklęknął przy niej na zimnej podłodze, przepaszając za zbyt słabo grzejący kaloryfer i za powygniatany materac. Ujęła jego dłoń i na moment przycisnęła ją do ust. Wynagrodził jej to szczerze, całując ją w czoło, brwi, brodę, nie mając śmiałości zbliżyć się do jej warg. Miał i gładził jej długie włosy. Głaszcząc ją, szepnął:

– Płacz. Nie przejmuj się, to nic złego.

A kiedy lkała tak długo, że jej twarz od płaczu stała się brzydka, spuchnięta i czerwona jak burak, Fima zgasił światło. Delikatnie dotykał jej ramion, szyi, przez pół godziny przeciągając tę grę, zanim odważył się zejść na wypukłość jej piersi, powstrzymując się jednak przed sięgnięciem ich szczytów. Nadal zasypywał ją ojcowskimi pocałunkami, które miały odwrócić jej uwagę od jego palców, które próbowały się wślizgnąć pomiędzy kolana.

– Tak mi źle, Efraimie, czuję się taka niepotrzebna.

Fima wyszeptał:

– Jesteś cudowna, Annette, podniecasz mnie – a kiedy to mówił jego palec piał się coraz wyżej i wyżej, raz po raz zatrzymując się, gotów wycofać się, gdyby stawiała opór. Ale zorientował się, że ona jest bez reszty pochłonięta swoim nieszczęściem i tylko bez przerwy wśród szlochu wyszeptuje, jaka to ją spotkała niesprawiedliwość, tak jakby nie zauważała w ogóle, co się dzieje. Zaczął więc pieścić ją delikatnie, starając się nie myśleć o tamtym zwyczaju jej męża, aż westchnęła i położyła dłoń na jego szyi.

– Jesteś taki dobry – powiedziała.

Ten szept ośmielił go, żeby dotknąć jej piersi i położyć się obok niej, przyciskając własną żądzę do jej biodra. Nadal jednak nie odważył się o nią ocierać. Gładził ją tylko tu i tam, badając czule miejsca, szepcąc jej do ucha zapewnienia i słowa pociechy, których sam nie słuchał. Aż w końcu miał wrażenie, że jego cierpliwość przynosi rezultaty, Annette zaczęła się kołysać leciutko, jej wyprężone ciało przeszył dreszcz, choć nie przestawała mówić, rozpaczać, wyjaśniać Fimie i sobie, gdzie popełniła błąd i dlaczego Jeri ją znienawidził, czemu skrzywdziła męża i dzieci. W ciemności wyznała mu też, że poza przygodą w Amsterdamie były jeszcze dwie inne, z przyjaciółmi jej męża. Takie lekkomyślne, strasznie głupie historie, za które być może została teraz słusznie ukarana. Tymczasem palec Fimy znalazł właściwy rytm i jej westchnienia przeplatały się z cichym pojękiwaniem. Kiedy zaczął ocierać się o jej

biodro swoim stwardniałym członkiem, nie zaprotestowała. Fima starał się nie zakłócić jej gry – najwyraźniej udawała, że w tym wielkim smutku nie czuje nawet, kiedy on zdejmuje z niej bieliznę. Jej ciało odpowiadało na jego pieszczoty, uda zaciskały się na jego wirtuozowskich palcach, a ona sama gładziła go po szyi. Ale kiedy poczuł, że jego chwila nadeszła i miał właśnie zastąpić palec sobą, jej ciało wygięło się w łuk i Annette wydała cichy, dziecięcy okrzyk niespodziewanej rozkoszy. Zaraz potem rozluźniła się. I wybuchnęła znowu płaczem. Bezsilnie okładała jego pierś pięściami, łkając:

– Czemu mi to zrobiłeś? Dlaczego mnie upokorzyłeś? I tak jestem załamana.

Potem odwróciła się do niego plecami i płakała samotnie, jak dziecko. Fima wiedział, że się spóźnił. Nie trafił. Opanował go jakiś wewnętrzny, szydarczy śmiech. Był wściekły – mógłby teraz z zimną krwią zastrzelić osadnika z jego prawnikiem i tamtym członkiem z parlamentu, a jednocześnie wyzywał siebie od idiotów. Ale po chwili ochłonął. Trzeba umieć wybaczać i zapominać.

Wstał, okrył Annette i spytał łagodnie, czy nalać jej jeszcze troszkę likieru. Albo może zrobić herbaty? A ona usiadła nagle na łóżku, podciągając pod brodę sfatygowane prześcieradło, drżącą ręką sięgnęła po papierosa, zapaliła go z wściekłością i powiedziała:

– Ale z ciebie bydlę.

Fima, szamocąc się z ubraniem i starając się przykryć swoją nagość wraz z bezwstydnym rogiem nosorożca, tłumaczył się mętnie, niby skarcone dziecko:

– Ale co ja takiego zrobiłem? Nie zrobiłem ci nic złego.

Wiedział jednak, że te słowa są w równej mierze prawdą, co kłamstwem, i niewiele brakowało, a wybuchnąłby ponurym śmiechem, mamrocząc: „Azoj”. Ale opanował się, przeprosił, wziął winę na siebie – nie pojmuje, co go napadło, to jej bliskość tak na

niego podziałła i sprawiła, że się zapomniał, czy ona zdoła mu wybaczyć?

Annette ubierała się pospiesznie, jej ruchy były gwałtowne, jak rozzłoszczonej staruchy. Odwrócona do niego plecami, przyczesła byle jak włosy, jej łzy wyschły, zapaliła nowego papierosa i kazała Fimie wezwać taksówkę. Niech już nigdy do niej nie dzwoni. Kiedy zapytał, czy może ją odprowadzić na dół, odparła lodowatym tonem:

– To nie będzie konieczne. Do widzenia.

Fima poszedł wziąć prysznic. Choć woda była chłodna, prawie zimna, wytrzymał, namydlił się dokładnie i długo się opłukiwał. Największym draniem z nich trzech, dumął, jest prawnik. Kiedy wyszedł spod prysznic, włożył czystą bieliznę i z furją zakrzętnął się po mieszkaniu, zbierając brudną pościel, ściereczki, koszule, wszystko razem do plastikowego worka, który postawił przy drzwiach wyjściowych, żeby nie zapomnieć go zabrać następnego dnia rano do pralni. Kiedy słał łóżko, kładąc świeże prześcieradła, spróbował zaświstać przez zęby, ale nie udało się mu. Wszyscy płyniemy na tej samej łodzi, tak powiedział młody osadnik, a Fima ku własnemu zaskoczeniu doszedł do wniosku, że w pewnym sensie to racja.



### **Aż do ostatniej latarni**

Kiedy skończył zbierać rzeczy do pralni, poszedł do kuchni, żeby wyrzucić niedopałki pozostawione przez Annette. Otwierając szafkę pod zlewem, zobaczył martwego karalucha, Trockiego, leżącego na grzbiecie obok przepełnionego śmieciami wiadra. Co go zabiło? Nie było żadnych śladów przemocy. A nie ma mowy, żeby w tej kuchni karaluch mógł umrzeć z głodu. Zastanawiając się nad tym, Fima pomyślał, że karaluch i motyl to tylko wariacja na ten sam temat, nie ma pomiędzy nimi wielkiej różnicy, a na pewno nie jest ona wystarczająca, aby usprawiedliwić fakt, że motyle wydają się nam symbolem wolności, piękna, czystości, podczas gdy karaluchy są wiecznie prześladowane jako uosobienie wszystkiego, co wstrętne. Jaka była przyczyna tej śmierci? Fima przypomniał sobie, że rano, kiedy zamachnął się na Trockiego kapciem i zmienił zamiar, stworzenie nie próbowało uciekać przeznaczeniu. Być może już wtedy było chore, a on nie zrobił nic, by mu pomóc.

Schylając się Fima delikatnie podniósł karalucha na kawałku zwiniętej gazety. Zamiast wyrzucić go do kosza, wykopał mu grób w stojącej na parapecie doniczce, w której już nic nie rosło. Po tym pogrzebie zaatakował stos brudnych naczyń piętrzących się w zlewie. Umył talerze i kubki. Kiedy doszedł do szorowania patelni oblepionej grubo przypalonym tłuszczem, zmęczył się i postanowił, że patelnia razem z tym, co jeszcze trzeba było pozmywać, musi spokojnie poczekać do następnego dnia. Nie mógł zagotować wody na herbatę, bo czajnik się przepalił, kiedy on gapił się w przepastną czeluść ewolucji, szukając wspólnego mianownika wszystkich rzeczy. Poszedł do toalety, ale stracił cierpliwość i za wcześnie pociągnął za rączkę spłuczki, żeby zachęcić zacinający się pęcherz.

Jeszcze raz przegrał wyścig, ale zamiast poczekać, aż zbiornik napełni się znowu, wycofał się, gasząc za sobą światło. Trzeba grać na zwłokę, powiedział sobie w duchu. I dodał: „Rozumiesz, co mam na myśli”.

Tuż przed północą włożył flanelową piżamę, którą Annette rzuciła na dywan, położył się do łóżka w przyjemnie czystej pościeli i zaczął czytać artykuł Cwiego Kropotkina w „Ha'arets”. Wydał się mu tak akademicki i bez wyrazu, jak sam Cwika, ale miał nadzieję, że to pomoże mu zasnąć. Kiedy wyłączył światło, przypomniał sobie pełen dziecięcej ekstazy cichy okrzyk radości, który wyrwał się nagle Annette, kiedy jej uda zacisnęły się na jego dłoni. Pożądanie wróciło znowu, a wraz z nim żal i poczucie krzywdy. Już prawie dwa miesiące minęły, odkąd spał z kobietą, a teraz stracił dwukrotnie okazję, przez dwie noce z rzędu, choć przecież trzymał te kobiety w ramionach. Przez ich egoizm nie będzie teraz mógł zasnąć. Przez chwilę pomyślał, że Jeri, doktor Tadmor, miał rację, że porzucił Annette, bo dusił się od kłamstw. I prawie natychmiast powiedział sobie: „Ty bydlaku”. Jego dłoń bezwiednie zaczęła przynosić ukojenie penisowi. Ale nagle z ciemności zaczął obserwować go ten opanowany i rozsądny obcy, którego rodzice jeszcze się nie narodzili – człowiek, który będzie w tym pokoju, w zimową noc za sto lat, patrzył na Fimę bez specjalnego zainteresowania, sceptycznie, niemal z rozbawieniem.

– Przestań mnie osądzać – powiedział z wyrzutem Fima, cofając dłoń.

A potem dodał sardonicznie:

– A w każdym razie, za sto lat nie będzie tu nic. Wszystko zostanie zniszczone.

I zaraz opamiętał się.

– Zamknij się! Kto ciebie pyta o zdanie?

Po tym zamilkli obaj, Joezer i on. Podniecenie Fimy także opadło. Zamiast niego poczuł nagle rozpierającą go nocną energię, przyływ wewnętrznej siły i jasności umysłu. W takiej chwili mógłby z łatwością pokonać wszystkich tych trzech konspiratorów z kawiarni „Sawjon”, mógłby napisać poemat epicki, założyć partię polityczną, przygotować traktat pokojowy. Słowa i strzępki zdań układały się w jego myślach w błyskotliwą, klarowną i precyzyjną całość. Zrzucił z siebie koc, pospieszył do biurka i – zamiast znowu zwoływać „Radę Rewolucyjną” na zebranie o północy – w pół godziny napisał, bez żadnych skreśleń i poprawek, artykuł do sobotniej gazety, odpowiedź dla Cwiego Kropotkina w sprawie ceny moralności w stosunku do ceny nieśmiertelności w czasach powszechnej przemocy. W tych dniach wszystkie odmiany wilków i przyszłych wilków głoszą prymitywny darwinizm, zawodząc, że podczas wojny moralność, podobnie jak kobiety i dzieci, powinna zostawać w domu, i gdyby tylko można było wyzwolić się z jej pęt, moglibyśmy łatwo pokonać wszystkich, którzy stają na naszej drodze. Cwi ugrzązł, starając się zaprzeczyć temu, używając pragmatycznych kontrargumentów. Cały oświecony świat ukarze nas, jeśli nadal będziemy się zachowywać jak wilki. Ale oczywisty jest fakt, że wszystkie krzywdzące reżimy padają i przemijają, podczas gdy społeczeństwa i narody kultywujące humanistyczne wartości moralne trwają nadal. Z historycznego punktu widzenia, pisał Fima, to nie my bronimy moralności, ale ona broni nas. Bez niej nawet kły najbardziej drapieżnych wilków są skazane na zepsucie i rozkład.

Potem włożył czystą koszulę, spodnie, gruby wełniany sweter, który odziedziczył po Jael, i palto, tym razem zręcznie unikając pułapki rękawa. Z tabletką przeciwko zgaźce w ustach, zeskakując po dwa schody w dół i kipiąc wprost radosnym poczuciem odpowiedzialności ruszył na spacer.

Rzeński, niepomny na nocny chłód, pijany z uniesienia w tej pustce i ciszy miasta, maszerował, tak jakby przygrywała mu wojskowa orkiestra. Na mokrych ulicach nie było żywej duszy.

Jerozolima oddała się w jego ręce, aby jej bronił przed nią samą. Bloki mieszkalne wydawały się w ciemnościach ciężkie i masywne. Latarnie otaczała blada, żółtawa poświata. Numery nad wejściami do klatek schodowych połyskiwały zamglonym, elektrycznym blaskiem, który odbijał się czasem w szybie zaparkowanego samochodu. Zautomatyzowane życie, myślał, życie wśród komfortu i osiągnięć, gromadzenia dóbr, zaszczytów, codziennych posiłków, łączenia się w pary, finansowych nawyków ludzi sukcesu, gdy dusza ginie pod fałdami tłuszczu. Rytuały związane z pozycją społeczną. To właśnie miał na myśli autor psalmów, pisząc: „Otępiało ich serce opasłe”. To poczucie samozadowolenia człowieka, który nie zetknął się ze śmiercią i którego jedyną troską jest utrzymanie tego stanu sytości. Na tym właśnie polega tragedia Annette i Jeriego. Zdławiony duch pukał na próżno, rok po roku, w różne nieożywione przedmioty, błagając, aby otwarto przed nim na nowo drzwi, które się zamknęły. Świstając sarkastycznie przez szparę pomiędzy zębami. Zeszłoroczny śnieg. Zeszłoroczna śmierć. Co myśmy zrobili ze stroną aryjską?

A ty, mój drogi premierze? Co ty kiedykolwiek zrobiłeś? Co zrobiłeś dziś? Albo wczoraj?

Niemal bezwiednie Fima kopnął leżącą na drodze puszkę, która potoczyła się z brzękiem ulicą i wystraszyła kota w śmietniku. Nabijasz się z biednej Tamary Greenwich tylko dlatego, że przypadkiem, na skutek jakiegoś zaburzenia pigmentacji, urodziła się z jednym brązowym okiem, a drugim zielonym. Mierzi cię Eitan i Wahrhaftig, ale na czym to ma polegać twoja wyższość? Byłeś bez powodu opryskliwy dla Teda Tobiasa, uczciwego, ciężko pracującego człowieka, który nigdy nie zrobił ci krzywdy. Ktoś inny na jego miejscu nie pozwoliłby ci nawet nogi postawić w swoim domu. Nie mówiąc już, że dzięki niemu i Jael być może będziemy wkrótce mieli pojazdy napędzane odrzutowo.

Co uczyniłeś z bezcennym darem życia? Czego dobrego dokonałeś? Poza podpisywaniem petycji.

I jakby tego nie dosyć, niepotrzebnie zmartwiłeś ojca, który cię żywi i z którego wspaniałomyślności korzysta codziennie wielu ludzi. Kiedy usłyszałeś w radiu o śmierci arabskiego chłopca z Gazy, któremu strzeliliście w głowę, jaka była twoja reakcja? Zająłeś się stylem sformułowania tej wiadomości. A sposób, w jaki upokorzyłeś Ninę po tym, jak w środku nocy przygarnęła cię prosto z ulicy, przemokniętego i zabłoconego, dając ci pełne światła i ciepła schronienie, gotowa nawet ofiarować ci swoje ciało? A jakże nienawidziłeś tego młodego osadnika, który mimo wszystko, nawet biorąc poprawkę na głupotę rządu i ślepotę mas, nie ma wyboru i musi nosić broń, bo on naprawdę ryzykuje życie, przejeżdżając nocą pomiędzy Hebronem a Betlejem. Czego od niego chcesz? Ma nadstawić szyję, żeby go zarżnęli? A jak to było z Annette, ty stróżu moralności? Co ty jej dziś zrobiłeś? Tej, która ci zaufała od pierwszego wejrzenia, która, niby prosta wiejska kobieta padająca do stóp świątobliwego mnicha, wierzyła w twoją kojącą moc i otworzyła przed tobą serce. Jedyna kobieta w twoim życiu, która nazwała cię bratem. Nigdy żadna obca kobieta nie obdarzy cię już tak pięknym imieniem. Choć cię nie znała, ufała ci tak bardzo, że pozwoliła ci się rozebrać i położyć do łóżka, i nazwała cię aniołem, a ty chytrze udawałeś świętego, żeby skryć przed nią swoje pożądanie. Już nie wspomnę o kocie, którego przed chwilą wystraszyłeś. I tak mniej więcej wygląda podsumowanie twoich ostatnich wyczynów, ty przywódco „Rady Rewolucyjnej”, bojowniku o pokój, pocieszycielu porzuconych żon. Do tego wszystkiego możemy dodać nieuzasadnione zwalnianie się z pracy i nie spełniony akt samogwałtu. Plus pozostawienie niespłukanej ubikacji i pogrzeb pierwszego w świecie owada, który umarł z brudu.

W tej chwili Fima dotarł do ostatniej latarni i krańca ulicy, na której kończyło się też całe osiedle i Jerozolima. Dalej rozciągało się już tylko błotniste pustkowia. Miał chęć iść dalej w ciemności, minąć

wadi – wyschnięte koryto rzeki, wspiać się na wzgórza, gnać naprzód, wypełniając powierzona mu rolę nocnego stróża Jerozolimy. Ale z ciemności dobiegło go odległe szczekanie psa i odgłos dwóch zabłąkanych strażników oddzielonych od siebie chwilą ciszy. Po drugim wystrzale poczuł powiew zachodniego wiatru, który przyniósł ze sobą dziwny szelest i zapach mokrej ziemi. Za nim, w wąskiej uliczce, odezwało się niewyraźne postukiwanie, tak jakby niewidomy starał się namacać drogę laską. W powietrzu wśród pustki unosiła się drobniutka mżawka.

Fimę przeszedł dreszcz. Zdecydował się wracać do domu. W akcie samoumartwienia dokończył zmywania, doszorował nawet tłustą patelnię, wytarł blaty, spuścił wodę w ubikacji. Nie zniósł tylko na dół śmieci – bo była już za piętnaście druga w nocy i bał się tamtego ślepego szukającego po omacku drogi w ciemności. I czemu nie miałby zostawić czegoś na następny dzień?

**Dzieli ich zawsze ta sama odległość**

W swoim śnie zobaczył matkę. Byli w jakimś zszarzałym, zaniedbanym ogrodzie, który ciągnął się poprzez szereg niewysokich wzgórz. Wysuszone słońcem trawniki porosły ostami. Widział kilka bezlistnych drzew i ślady klombów. Poniżej, na zboczu, stała połamana ławka, obok której spostrzegł matkę. Śmierć przeobraziła ją w pensjonarkę. Z tyłu robiła wrażenie młodziutkiej, pobożnej dziewczyny w skromnej, zakrywającej kostki sukience z długimi rękawami. Szła wzdłuż pordzewiałej rury irygacyjnej. Co jakiś czas rytmicznie zatrzymywała się i pochylała, żeby odkręcić kran. Ale spryskiwacze nie zaczynały się obracać, sączył się z nich zaledwie słabiutki brązowawy strumyczek. Zadaniem Fimy było iść w ślad za dziewczyną i zakręcać po niej każdy kran. Widział ją więc tylko od tyłu. Śmierć dodała jej wdzięku i lekkości. To sprawiało, że ruchy jej były zwinne, a jednocześnie dziecinnie niezdarne. Tak jak ruchy nowo narodzonych kociąt. Zawołał za nią, używając jej rosyjskiego imienia, Lizawieta, zdrobnienia Liza, i jej imienia hebrajskiego, Eliszewa. Na próżno. Matka nie odwróciła się ani nie zareagowała w żaden inny sposób. Zaczął więc biec. Co siedem czy osiem kroków musiał zatrzymać się, kucnąć i zakręcić kran. Krany były z czegoś miękkiego i śliskiego w dotyku, jak meduza, i nie sączyła się z nich woda, ale lepka ciecz, która przypominała jakąś rybną galaretę. Choć biegł co sił, zdyszany niby otyłe dziecko, choć wołał, a jego krzyk odbijał się głuchym echem w szarej przestrzeni, mieszając się czasem z ostrym odgłosem przypominającym trzask bata, odległość pomiędzy nim a matką była stale taka sama. Ogarnął go rozpaczliwy strach, że ta rura nigdy się nie skończy. Ale na skraju lasu matka przystanęła i odwróciła się do niego. Miała cudowną twarz zabitego

aniola. Jej czoło lśniło w blasku księżyca. Zapadnięte policzki były trupio blade. Nagie szczęki świeciły białymi zębami. Płowy warkocz był upleciony ze słomy. Oczy kryły się za ciemnymi okularami ślepego. Na skromnym mundurku szkolnym Fima widział zaschnięte ślady krwi, wszędzie tam, gdzie druty przebijały jej ciało – na kolanach, na brzuchu, na gardle, jakby była jakimś dziwnym jeżem. Potrząsnęła ze smutkiem głową i patrząc na Fimę powiedziała: „Popatrz, co oni z tobą zrobili, głuptasie”. Sięgnęła swoimi kościstymi palcami do okularów. Kiedy miała je zdjąć, przerażony Fima odwrócił twarz. I wtedy się obudził.



### **Korzenie wszystkiego zła**

Kiedy skończył pisać w swoim notatniku, wstał i podszedł do okna. Był jasny, słoneczny poranek. Na nagiej gałęzi przycupnął kot, który chciał posłuchać z bliska, o czym śpiewają ptaki.

– Nie spadnij, bracie – powiedział Fima z czułością. Nawet wzgórza betlejemskie wyglądały tak, jakby były w zasięgu ręki. Sąsiednie budynki i ogrody spowiło chłodne, jasne światło. Balkony, ogrodzenia ogródków, samochody, wszystko aż lśniło czystością po nocnym deszczu. Choć nie spał nawet pięciu godzin, czuł się rześki i pełen energii. Zrobił gimnastykę przed lustrem, spierając się jednocześnie z arogancką spikerką, która czytała wiadomości radiowe o siódmej i która nie miała żadnych wątpliwości co do zamierzeń Syryjczyków i nawet nie obawiała się zasugerować, jakie proste środki można podjąć, aby udaremnić ich plany. W głosie Fimy zabrzmiało więcej nagany niż złości, kiedy powiedział:

– Pani chyba nie jest zbyt bystra.

I uznał za stosowne dodać:

– Ale niech pani spojrzy, jak pięknie za oknem. Niebo po prostu śpiewa. Co by pani powiedziała na mały spacer ze mną? Pochodzimy ulicami, będziemy wałęsać się po zagajnikach i wyschniętych korytach rzek i wtedy wyjaśnię pani, jaką politykę naprawdę powinniśmy prowadzić w stosunku do Syrii, co jest jej piętą achillesową i na czym polega nasza ślepotą.

Myślał dalej o życiu tej spikerki, która w srogi zimowy poranek musiała wstać z ciepłego łóżka o piątej trzydzieści, żeby zdążyć do studia i przeczytać wiadomości o siódmej. A gdyby tak pewnego

ranka budzik nie zadzwonił? Albo gdyby zadzwonił, ale ona uległaby pokusie, przyłożyła głowę na parę minut do poduszki i zasnęła? A gdyby w tym zimnie nie mogła uruchomić samochodu, tak jak zdarzało się to codziennie tamtemu sąsiadowi, hałasującemu przy próbach włączenia stacyjki? A może ta dziewczyna – Fima wyobraził ją sobie: dość niska, piegowata, o jasnych, roześmianych oczach i kręconych blond włosach – sypia na składanym łóżeczku w studio? Jak lekarze podczas dyżurów w szpitalu. Co na to jej mąż – agent ubezpieczeniowy? Czy całe noce wyobraża sobie przeróżne dzikie sceny, do jakich dochodzi pomiędzy nią a technikami radiowymi? Nie ma komu zazdrościć, doszedł do wniosku. Może tylko jednemu Joezerowi.

To przez Joezera Fima zaciął się przy goleniu. Bezskutecznie starał się zatamować krew kawałkiem papieru toaletowego, wata, a w końcu wilgotną chusteczką. W efekcie zapomniał ogolić miękką skórę pod brodą. Zresztą w ogóle nie znosił jej golić, bo kojarzyła się mu z wolem pulchnego kurczaka. Przyciskając do twarzy chusteczkę, tak jakby bolał go ząb, poszedł się ubrać. I doszedł do wniosku, że dobrą stroną wczorajszej kompromitacji była przynajmniej pewność, że Annette nie zajdzie z nim w ciążę.

Kiedy szukał grubego swetra, który odziedziczył po Jael, kątem oka zauważył nagle maleńkiego owada połyskującego na siedzeniu fotela. Czy to możliwe, żeby jakiś zwariowany robaczek świętojański zapomniał wyłączyć się po nocy? No, ale tak naprawdę od jakichś dobrych czterdziestu lat nie widział robaczków świętojańskich i nie miał pojęcia, jak one wyglądają. Ze zręcznością wytrawnego myśliwego pochylił się i błyskawicznym ruchem prawej ręki, który zaczął się niby próba klepnięcia, a zakończył zaciśnięciem dłoni, zdołał pochwycić stworzonko, nie robiąc mu krzywdy. Szybkość i precyzja tej akcji były jawnym zaprzeczeniem powszechnej opinii, że Fima jest fajtlapą. Kiedy rozchylił palce, żeby przyjrzeć się swojej zdobyczy, zaczął się zastanawiać, czy to jeden z kolczyków Annette, klamerka Niny, fragment jakiejś zabawki Dimiego, czy też jedna ze

spinek do mankietów ojca. Po bliższym zbadaniu przedmiotu zdecydował, że najprawdopodobniej – to ostatnie. Choć nadal nie był pewien.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i stanął tak w zadumie, zauroczony tajemniczym światłem, które wydobywało się zza pudełek mleka i sera, jeszcze raz zastanowił się nad wyrażeniem „cena moralności” w tytule artykułu, który napisał nocą. Nie widział potrzeby, żeby go jakoś skorygować albo zmienić. Moralność, tak jak nieśmiertelność, ma swoją cenę. A najważniejsze – jaka jest cena tej ceny, czyli jaki jest sens i cel życia? Z tego zagadnienia wywodzi się wszystko inne. Albo powinno się wywodzić. Nie wyłączając naszego zachowania na terytoriach okupowanych.

Zamykając lodówkę Fima zdecydował, że tego dnia zje śniadanie naprzeciwko, w małym lokaliku pani Scheinbaum, bo po pierwsze nie chciał zakłócić nienagannego porządku w świeżo wysprzątanej kuchni, a po drugie chleb był czerstwy, a margaryna przypominała mu te okropne galaretowate krany ze snu, no a przede wszystkim dlatego, że poprzedniego dnia przepalił się czajnik i nie było jak zrobić kawy.

Piętnaście po ósmej wyszedł z domu, zapominając o przyklepionym do policzka zakrwawionym kawałku waty. Ale pamiętał, żeby wynieść śmieci i wsunąć do kieszeni kopertę z napisanym w nocy artykułem, a nawet żeby zabrać klucz do skrzynki na listy. W sklepie trzy przecznice dalej kupił świeży chleb, ser, pomidory, dżem, jajka, kilka jogurtów, kawę, trzy żarówki na zapas i nowy czajnik elektryczny. Od razu pożałował, że nie sprawdził najpierw, czy czajnik nie został wyprodukowany w Niemczech. Robił wszystko, żeby tylko nie kupować nic niemieckiego. Z ulgą odkrył, że czajnik pochodzi z Korei Południowej. Rozpakowując zakupy, zmienił zdanie i postanowił, że jednak zje w domu. Z drugiej strony, Korea Południowa też jest znana jako państwo przemocy, gdzie rozbija się głowy demonstrującym studentom. Czekać aż woda się zagotuje,

Fima przebiegł w myślach wojnę koreańską, epokę Trumana, MacArthura i McCarthy'ego, kończąc na zniszczeniu Hiroszimy i Nagasaki. Następny atomowy holocaust nie zacznie się od wielkich mocarstw, ale od nas, tutaj, pomyślał. Od konfliktów regionalnych. Syryjczycy zaatakują wzgórza Golan tysiącami czołgów, my zbombardujemy Damaszek, oni wystrzelą pociski w kierunku miast na wybrzeżu, a wtedy my spowodujemy wybuch nuklearnego grzyba i nadejdzie dzień sądu ostatecznego. Za sto lat nie będzie tu żywej duszy. Żadnych Joezerów, jaszczurek, karaluchów. Ale zaraz odrzucił słowo „holocaust”, bo mogło się ono kojarzyć także z klęskami żywiołowymi, takimi jak powódzie, epidemie, trzęsienia ziemi. To, co zrobili naziści, było przecież zorganizowaną z całą premedytacją zbrodnią, którą powinno się nazywać po imieniu morderstwem. A wojna nuklearna także będzie przestępstwem. Nie żadnym „holocaustem” ani „Sądem Ostatecznym”. Fima wykreślił też słowo „konflikt”, które być może pasowało do sprawy Annette i jej męża albo do sporu Cwiego Kropotkina z jego asystentem, ale nie do krwawej wojny pomiędzy Żydami i Arabami. Prawdę mówiąc, tak sterylne określenie jak „konflikt” nie nadawało się nawet zbytnio dla smutnej historii Annette i Jeriego. A jeśli chodzi o wyrażenie „krwawa wojna” to jest już ono wyświechtanym banałem. Nawet „wyświechtany banał” jest wyświechtanym banałem. Ale się zaplątałeś, kolego.

Nagle poczuł wstręt do tej swojej lingwistycznej drobiazgowości. Zachłannie jedząc grube pajdy chleba z dżemem, sącząc drugą kawę, powiedział sobie:

– Kiedy cała planeta zostanie zniszczona przez wojnę atomową, co za różnica, czy określimy to konfliktem, holocaustem, Dniem Sądu Ostatecznego albo krwawą wojną? I kto zostanie, żeby zdecydować, jakie wyrażenie byłoby najbardziej właściwe? Baruch miał więc rację mówiąc o „garstce popiołu”, „ziarnku piasku”, „przelotnym cieniu”. A tamten przedstawiciel Likudu ma rację, że

trzeba grać na zwłokę. Nawet ta entuzjastyczna spikerka radiowa miała prawo powiedzieć, że trzeba wyciągać wnioski.

Ale jaki z tego morał, na Boga?

Zeszłoroczny śnieg. Zeszłoroczna śmierć.

Powiesiłbym ich obu.

Popatrz, co oni z tobą zrobili, głuptasie. A to już twój problem, kolego.

I to na pewno jest źródło wszelkiego zła, krzyknął nagle sam do siebie w kuchni Fima, tak jakby doznał nagłego olśnienia, jakby przyszło mu do głowy rozwiązanie równie proste jak wykorzystanie napędu odrzutowego do poruszania się po ziemi. Grzech pierworodny! To „Druga, Ciemna Strona” jest powodem naszych utrapień. Bo nie ma takiej rzeczy jak twój problem, mój problem, jej problem, jego problem, ich problem. Jest tylko nasz problem. No tak, woda w koreańskim czajniku znowu się gotuje i jeżeli go nie wyłączysz, pójdzie w ślady swojego poprzednika, A kto w ogóle prosił o kawę? Wypiłem już dwie filiżanki. Zamiast pić następną lepiej wyjdź, bo choć pamiętałeś, żeby nakleić znaczek na kopertę z artykułem i włożyć ją do kieszeni, zapomniałeś ją potem wyjąć i wrzucić do skrzynki, kiedy robiłeś zakupy. Co z panem będzie, proszę pana? Kiedy ty wreszcie będziesz *mensh*?

### **Kim był słynny fiński generał**

W pewien piątkowy wieczór na Fimę spłynęło natchnienie i zabawił towarzystwo opowieścią, jak to powołany do służby jako rezerwista podczas Wojny Sześciodniowej znalazł się na pustynnym pagórku niedaleko Arnony z pewnym malarzem i kilkoma profesorami. Przydzielono im lornetkę, telefon polowy i kazano czuwać. Na sąsiednim wzgórzu jacyś jordańscy żołnierze ustawiali moździerz i karabin maszynowy. Zachowywali się cicho, jak harcerze rozbijający obóz. Kiedy skończyli przygotowania, położyli się i otworzyli ogień do Fimy i jego kolegów.

– Czy zgadlibyście – zapytał Fima – jaki był mój pierwszy odruch? Nie, żadna ucieczka ani chwytanie za broń, żeby się ostrzeliwać. Nie. Chciałem po prostu zadzwonić na policję i poskarżyć się, że jacyś wariaci do nas strzelają. Choć doskonale widzą, że tu, na tym wzgórzu są ludzie. Chyba mnie z kimś pomylili. Nie jestem im ani swat, ani brat. Nie uwiodłem im żony. Musiałem natychmiast wezwać policję, żeby się nimi zajęła. Tak właśnie się czułem.

W „Ha'arets” była wzmianka, która mogła świadczyć o pewnym złagodzeniu stanowiska rządu i o tym, że jest on gotów przynajmniej przemyśleć raz jeszcze jeden z elementów swojej polityki. Fima uznał to za potwierdzenie swojej teorii stopniowych zmian. Wobec tego zwołał „Radę Rewolucyjną” na krótkie poranne spotkanie w sali uniwersyteckiej na górze Scopus, gdzie Cwika prowadził swoje seminaria. Oznajmił, że zmienił zamiary i odkłada lot do Tunisu. Tym razem proces pokojowy musi zacząć się bez operowych uwertur, w stylu Begina i Sadata, ale poprzez drobne gesty z obu

stron, które mogą z czasem przełamać bariery nienawiści i gniewu. I uruchomią wreszcie mechanizm odprężenia. Joyce'owski strumień zamiast szekspirowskiej nawałnicy. Powolny wzrost raczej niż kataklizmy. W planie jest następująca propozycja: OWP zechce pomóc ratować Żydów pozostałych w Etiopii lub Jemenie. My posyłamy im podziękowania do siedziby w Tunisie i w ten sposób pojawia się światełko w tunelu. Cwi nie ma racji, że liczy na nacisk ze strony Stanów Zjednoczonych. A Uri Gefen jest w wielkim błędzie, utrzymując, że sytuacja musi zaognić się, zanim można spodziewać się jakiegokolwiek zmiany na lepsze. Oba te stanowiska są wyrazem cichej skłonności gołębiej lewicy, żeby czekać na zmiany z założonymi rękami, zamiast wziąć się w garść i coś zrobić. Nawet jeżeli miałyby to być coś, co nie jest jeszcze rozwiązaniem wszystkich problemów.

Nagle zatęsknił za Urim – za jego szerokimi ramionami, dowcipami, ciepłym, głębokim śmiechem, za jego młodzieńczym, władcym sposobem bycia, rubasznym zwyczajem obejmowania, dawania kuksańca w brzuch, mówienia na przykład: „Witaj, nasz Salmanie Rushdie, gdzieś ty się chował?” A po ukradkowym pociągnięciu i ostentacyjnym zmarszczeniu nosa: „Kiedy ostatnio zmieniałeś koszulę? Na pogrzeb Bena Guriona?” A potem dalej: „Dobra, dobra, skoro nie mamy innego wyjścia, powiedz nam, co sądzisz o ascetycznych sektach chrześcijan. Ale najpierw poczęstuj się plasterkiem tej wędzonej szynki. Czy może napuściłeś już na nas muzułmanów?”

Tęsknota za ciepłym głosem i fizyczną obecnością Uriego przyniosła ze sobą pragnienie, żeby móc położyć swoje blade palce na wielkiej, piegowatej, sękatej niby u kamieniarza dłoni przyjaciela i zdobyć się na błyskotliwość, która może nadać dyskusji nieoczekiwany obrót. Jak trzy tygodnie wcześniej u Kropotkinów, kiedy Szula formułowała swoje obawy wobec fundamentalizmu islamskiego, a Fima jej przerwał i wprowadził wszystkich w osłupienie, przekonując ich, że nienawiść w stosunkach z Arabami jest za ledwie

stuletnim epizodem w historii, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo leżało zawsze i leży nadal w bezdennej przepaści, jaka dzieli Żydów od czcicieli Krzyża. Mimo tęsknoty, Fima miał nadzieję, że Uri jest nadal w Rzymie. Wybrał numer do biura Niny i czekał cierpliwie, aż sekretarka połączyła go, i usłyszał w słuchawce zachrypnięty od papierosów głos przyjaciółki:

– Tak, Fimo, ale mów prędko, mam zebranie.

Chciał skusić ją, żeby poszła z nim na wieczorny seans filmowy z Jeanem Gabinem do „Oriona”.

– Dwa dni temu naprawdę się wygłupiłem – powiedział – ale dziś będę się zachowywał przyzwoicie. Zobaczysz. Obiecuję.

Nina na to:

– Tak się składa, że muszę dziś dłużej popracować. Ale może wpadnij do mnie do biura między siódmą trzydzieści a ósmą i zobaczymy. Tymczasem przelicz tylko swoje skarpetki.

Fima nie poczuł się urażony, ale zaczął opowiadać jej w zarysie treść swojego nowego artykułu o cenie moralności i cenie odrzucenia zasad moralnych, i o różnych znaczeniach słowa „cena”, w zależności od przyjętej skali wartości. Nina przerwała mu:

– Mamy tu właśnie zebranie. Wszyscy czekają, porozmawiamy kiedy indziej.

Zaczął się dopytywać, czy to narada na temat jej ortodoksyjnego sex-shopu, ale opamiętał się i pożegnał. Potem wytrzymał jakiś kwadrans, zanim zadzwonił do Cwiego Kropotkina i opowiedział o artykule, który napisał mu w odpowiedzi tej nocy. Miał cichą nadzieję odnieść przyjemne telefoniczne zwycięstwo – szach i mat w czterech czy pięciu ruchach. Ale Cwi spieszył się na zajęcia, na które już był spóźniony:

– Słuchaj, porozmawiamy o tym później, kiedy wszyscy już będziemy mieć szansę przeczytać tę twoją nową ewangelię w druku.



Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do ojca, przeczytać mu dane na temat Indii, zmusić go do przyznania się do błędu i powiedzieć mu, że zgubił u niego spinkę. Chyba że robaczek świętojański to jednak kolczyk Annette? Zdecydował, że lepiej zaniechać tego telefonu, żeby się nie zaplątać w wyjaśnienia.

Ponieważ nie miał już do kogo dzwonić, zatrzymał się dłużej w kuchni, zbierając okruchy po swoim śniadaniu, żeby utrzymać dopiero co zaprowadzony porządek. Z zachwytem popatrzył na błyszczący nowy czajnik. Wystarczy tylko trochę silnej woli – pomyślał – nie tak trudno jest zacząć nowy rozdział. Doszedłszy do tego wniosku, zatelefonował do Jael. Miał nadzieję, że to nie Ted podniesie słuchawkę. I ufał, że inspiracja chwili podpowie mu temat do rozmowy.

– To jakaś telepatia – zawołała Jael. – Właśnie mówiłam Tedowi, żeby do ciebie zadzwonić. Wyprzedziłeś nas o jakieś pół minuty. Widzisz, jedziemy z Tedem na konferencję w zakładach lotniczych. Wrócimy dopiero późnym wieczorem. Nie wiem, o której. Nasza sąsiadka zabierze Dimiego ze szkoły i zajmie się nim w ciągu dnia. Czy byłbyś tak dobry i odebrał go od niej po pracy? Położysz go spać i posiedzisz tu, zanim wrócimy? Będzie już po kolacji i będzie miał klucz w kieszeni. Co my byśmy bez ciebie zrobili? Przepraszam, muszę kończyć. Teddy woła z dołu, że już po nas przyjechali. Jesteś cudowny. Pędzę. Stokrotne dzięki i do zobaczenia wieczorem. Możesz mu dać pół tabletki valium, gdyby nie mógł zasnąć. Bierz sobie z lodówki wszystko, na co będziesz miał ochotę.

Na słowa „do zobaczenia wieczorem” Fima poczuł się uszczęśliwiony, tak jakby kryła się w nich jakaś tajemna obietnica. Po chwili zaśmiał się z tej bezsensownej radości i wrócił do swoich zajęć – porządkowania sterty gazet i zakurzonych magazynów w nogach łóżka. Ale wzrok jego padł na stary artykuł Abrahama Jakowlewicza Harkowiego i zaczął go czytać, rozmyślając nad klęską żydowskiego buntu przeciwko Rzymianom. Uznał, że analogia do

współczesności byłaby błyskotliwa i oryginalna, nawet jeśli stanowi pewne uproszczenie.

W drodze do pracy zobaczył na tylnym siedzeniu autobusu jakąś kobietę, imigrantkę z któregoś z państw arabskich, która płakała. Obok niej siedziała siedmio-, a może ośmioletnia dziewczynka, prawdopodobnie jej córka, i pocieszała ją, powtarzając raz po raz: „On tego nie zrobił naumyślnie”. W jednej chwili Fimie wydało się, że właśnie w tych słowach, w dobrych i złych intencjach, oraz ich braku, leży jedna z wielkich tajemnic istnienia. Miłość i śmierć, samotność, pragnienia, zazdrość i cud światła i lasów, gór, dolin i wody – czy w nich jest jakaś celowość? Czy jest jakiś zamysł w zasadniczym podobieństwie pomiędzy nami a jaszczurką, pomiędzy liściem winorośli a dłonią? Czy to ma jakiś cel, że życie przecieka nam przez palce, dzień po dniu, wśród spalonych czajników, martwych karaluchów i lekcji o Wielkim Buncie? Słowo „przeciekać”, na które natknął się wiele lat temu w *Myślach* Pascala, wydało się mu uderzająco trafne, tak jakby Pascal wybrał je po uważnym zastanowieniu się nad życiem jego, Fimy, podobnie jak on sam z kolei analizował życie Joezera, choć nie narodzili się jeszcze nawet rodzice tego człowieka. I co pomyślałby o zakładzie Pascala pomarszczony, sefardyjski señor, drzemiący na wiklinowym stołeczku przed sklepem z galanterią; co powiedziałałby o grze, w której – według jej autora – nie można nigdy przegrać? I czy wobec tego taki zakład godzi się w ogóle nazywać grą, hazardem? A przy okazji, czy Wasza Miłość raczy wyjaśnić Hiroszimę albo Oświęcim? Albo śmierć arabskiego chłopca? Albo ofiarę Izmaela i Izaaka? Lub los Trockiego? Że „jestem, który jestem”? Gdzie byłeś, kiedy zaczynałem akt stworzenia? Jego Miłość milczy. Jego Miłość drzemie. Jego Miłość uśmiecha się. Jego Miłość jest rozbawiony. Amen. Tymczasem Fima przegapił swój przystanek i musiał wysiąść na następnym. Mimo to nie zapomniał podziękować szoferowi i powiedział do widzenia. Tak jak robił to zawsze.

W klinice zastał tylko Tamarę Greenwich. Dwaj lekarze poszli wyjaśnić coś w biurze podatkowym i wrócą nie wcześniej niż koło czwartej.

– Wczoraj, kiedy ciebie nie było – powiedziała Tamara – dzień był zupełnie szalony. A dziś spokój. Poza odbieraniem telefonu nie ma nic do roboty. Moglibyśmy urządzić sobie orgię. Słuchaj, masz źle zapiętą koszulę. Opuściłeś jeden guzik. Powiedz, przychodzi ci do głowy jakaś rzeka w Europie Wschodniej, sześć liter, na „W”?

Siedziała na jego krześle przy biurku w recepcji, pochylona nad krzyżówką. Dość mocno zbudowana, miała kanciaste, barczyste ramiona, niby starszawy major, miłą, szczerą twarz i śliczne, jedwabiste, miękkie i błyszczące włosy. Każdy widoczny skrawek jej skóry był usiany piegami. Prawdopodobnie pokrywały one też wszystkie partie ukryte. Niezwykły błąd pigmentacji, który sprawiał, że jedno jej oko było zielone, a drugie piwne, nie wydawał się Fimie wcale śmieszny, ale napawał go pewnym zdumieniem, a nawet lękiem. On sam mógł się urodzić z jednym uchem po ojcu, a drugim po matce. Mógłby odziedziczyć z ewolucyjnej otchłani jaszczurczy ogon albo czułki karalucha. Kafkowska historia Gregora Samsy, który pewnego dnia budząc się odkrywa, że zmienił się w ogromnego karalucha, nie wydawał się Fimie żadną przenośnią albo parabolą, ale realną możliwością. Tamara nie знаła tej historii, ale sądziła, że Kafka był biednym Jugosłowianinem, który zginął w walce z biurokracją. Fima nie zdołał się pohamować, opowiedział jej wszystko o Kafce i jego przeróżnych przygodach miłosnych. Kiedy już miał pewność, że podsycił jej ciekawość, przeszedł do streszczenia fabuły *Przemiany*. Powiedział, że hebrajski tytuł nie jest wiernym tłumaczeniem, ale mimo wysiłków nie udało się mu wyjaśnić, na czym polega błąd i jak powinno się to przetłumaczyć. Nie odrywając wzroku od krzyżówki Tamara spytała:

– Ale co on chciał przez to powiedzieć? Że jego ojciec był jak morderca? Może chciał być dowcipny, ale mnie to wcale nie bawi. Ja

jestem dokładnie w takiej sytuacji. Nie ma dnia, żeby on sobie ze mnie nie kpił. Nigdy nie przepuści okazji, żeby mnie upokorzyć. Ale tak naprawdę wczoraj, kiedy ciebie nie było, właściwie wcale ze mnie nie żartował. Traktował mnie prawie po ludzku. Nawet poczęstował mnie pastylką na ból gardła. Jaki jest ptak na cztery litery, przedostatnia „w”?

Fima obrał starą pomarańczę, którą znalazł pod kontuarem. Udało się mu nie pokaleczyć sobie palców, ale samą pomarańczę zmasakrował okropnie. Podając kilka cząstek Tamarze, odparł:

– Może źle się wczoraj czuł albo coś w tym rodzaju?

– Czy ty też musisz sobie kpić? Nie widzisz, że to boli? Czemu z nim na ten temat nie porozmawiasz? Nie mógłbyś spytać go, czemu jest dla mnie zawsze taki okrutny?

– To może być mewa – zasugerował Fima. – Ale po co ty w ogóle zwracasz sobie głowę tym potworem? On nienawidzi gatunku ludzkiego jako takiego, a kobiet w szczególności.

– Zrozum, to nie zależy ode mnie – odparła.

– Wypłacz się z tego – poradził Fima. – Co w nim takiego można pokochać? A może to nie w nim jesteś zakochana, ale w swoim nie odwzajemnionym uczuciu?

– Nie filozofuj – powiedziała Tamara. – Kiedy starasz się być bystry, jesteś prawdziwym idiotą, Fimo.

– Tak, jestem idiotą – zgodził się Fima, a na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. – Pewnie. A jednak sądzę, że mam dla ciebie odpowiedź. To Wieprz.

– Nie rozumiem cię – powiedziała Tamara. – Dlaczego ty nie możesz posiedzieć chwilę cicho, żebym mogła spokojnie skończyć tę krzyżówkę?

– Wieprz, kochanie. Rzeka w Europie Wschodniej na sześć liter. A przy okazji, z historycznego punktu widzenia...

– Przestań. Kiedy raz w życiu chcę powiedzieć dwa słowa o sobie, dlaczego zaraz musisz zmieniać temat i mówić o historii? Czemu nie możesz przez chwilę posłuchać? Nigdy nie mogę nic wtrącić. Nikt mnie nie słucha.

Fima przeprosił, nie chciał jej sprawić przykrości. Zrobił jej szklankę herbaty, a sobie kawę, a potem naprawdę się zamknie. Pomoże jej rozwiązać krzyżówkę, bez żadnego filozofowania.

Ale potem nie umiał się powstrzymać. Zaczął przedstawiać Tamarze swoje plany pokojowe. Jeszcze tego wieczora zwołałby spotkanie rady ministrów i w bezlitosnych słowach opisałby im operację, którą muszą natychmiast przeprowadzić dla ratowania kraju. Kiedy powiedział „operacja”, skojarzyło mu się to w sposób uderzający z wyrazem pruskiej arogancji w twarzy Gada Eitana. Może wynikało to z faktu, że Gad Eitan był nie tylko wspaniałym ginekologiem, ale także anestezjologiem w klinice. W razie potrzeby jako anestezjolog zajmował się pacjentkami swoimi i Wahrhaftiga.

– Moje nieszczęście polega na tym – powiedziała Tamara – że nie mogę przestać go kochać. Choć nie mam u niego najmniejszych szans, choć wiem od dawna, że jest okrutny i że mną gardzi. Ale co mogę zrobić, skoro cały czas, od lat, mam wrażenie, że pod tym okrucieństwem kryje się mały, zraniony chłopiec, samotne dziecko, które wcale nie nienawidzi kobiet, ale się ich boi, boi się, że po prostu nie zniesie jeszcze jednego ciosu? Może to tylko taka psychologia dla ubogich. A może on nadal kocha żonę, która go porzuciła? Może czeka i wierzy, że ona do niego wróci? Może jest taki zgryźliwy, bo w środku pełen jest łez? Czy sądzisz, że naoglądałam się zbyt wielu romansów w kinie? Często, kiedy mnie dręczy, wydaje się mi, że to wołanie o pomoc zagubionego, małego chłopca. Spróbuj spierać się z własnymi uczuciami. Jakie jest państwo w Afryce, jedenaście liter, trzecia „e”, ósma też „e”?

Wzrok Fimy powędrował poprzez otwarte drzwi do pokoju pozabiegowego, przebiegł po recepcji, prześlizgnął się po biurku, tak

jakby tam mogła znaleźć się odpowiedź na pytanie Tamary. Klimatyzator. Reprodukcyjne Degasa i Modiglianego. Dwie skromne rośliny w doniczkach wysypanych drobnym żwirem. Biała świetlówka. Jasnozielona wykładzina. Zegar z rzymskimi cyframi. Telefon. Wieszak ze stojakiem na parasole. Kosz pełen czasopism. Kilka gazet leżących na stoliku. Niebieska broszurka: „Osteoporoza – odwapnienie kości. Poradnik dla kobiet. Które kobiety są szczególnie zagrożone? Grupy zwiększonego ryzyka: Kobiety z niedowagą. Kobiety o delikatnej budowie kości. Kobiety z usuniętymi jajnikami. Kobiety po naświetlaniach i te, których organizm nie wytwarza już wystarczającej ilości estrogenu. Kobiety, które nigdy nie były w ciąży. Kobiety z obciążeniem dziedzicznym. Kobiety, których dieta jest uboga w wapno. Palaczki. Kobiety, które nie mają dość ruchu, nadużywają alkoholu lub cierpią na nadczynność tarczycy”.

Spojrzał na następną, tym razem fioletową, leżącą przed nim na stoliku broszurę. „Mój mały sekret... menopauza – terapia hormonalna. Czym jest menopauza? Co to są hormony żeńskie i jak powstają? Jakie są pierwsze charakterystyczne oznaki menopauzy? Jakie zmiany wywołuje zmniejszone wydzielanie się hormonów żeńskich? Wykres porównawczy wydzielania się estrogenów i progesteronu. Czym są uderzenia gorąca i kiedy się ich spodziewać? Jaki jest związek pomiędzy estrogenem, wysokim poziomem lipidów we krwi i chorobą serca? Czy można nauczyć się lepiej znosić zmiany fizyczne, które w tym okresie zachodzą?”.

Fima zadowolił się odczytaniem tytułów. Nagły przypływ współczucia sprawił, że oczy zaszyły mu łzami. Nie żałował jakiegokolwiek konkretnej kobiety – Niny, Jael, Annette, Tamary, ale kobiet w ogóle. Podział ludzkości na dwie płci wydał się mu niesprawiedliwością – okrutną i nie do naprawienia. Czuł, że w tej niesprawiedliwości i on ma swój udział i wobec tego ponosi za nią częściową odpowiedzialność, bo czasami mimowolnie korzysta z jej konsekwencji. Przez chwilę zastanowił się nad interpunkcją w broszurze i poprawkami, jakie powinno się do niej wprowadzić. Ktokolwiek położył tu te

książeczki, postąpił nieroztropnie, bo do kliniki przychodzą też czasem mężczyźni, bywa że religijni – w związku z bezpłodnością i tak dalej. Takie wydawnictwa mogą wprawić ich w zakłopotanie. Nawet kobiety mogą czuć się nieswojo na widok mężczyzny czytającego tego typu literaturę. Potem przypomniał sobie, że to on sam wyłożył tu te broszury, ale nigdy dotąd się nimi nie zainteresował. Co więcej, na ścianach i półkach wystawiono różne obrazki, ozdoby i prezenty z dedykacjami od wdzięcznych pacjentek, a przecież mogło się to wydać komuś żenujące lub nietaktowne. Pacjentki podpisywały się tylko inicjałami albo samym imieniem, tak jak na mosiężnym talerzu od Carmeli L. – „wdzięcznej na wieki za cudowną opiekę i pomoc”. Fima dobrze zapamiętał tę Carmelę, bo pewnego dnia usłyszał, że popełniła samobójstwo. Choć zawsze robiła na nim wrażenie osoby wyjątkowo dzielnej i pogodnej. Burmistrz Jerozolimy powinien zakazać używania określenia „na wieki”, przynajmniej w obrębie miasta. W myśli zaczął przeczesywać mapę Afryki z północy na południe, od Egiptu do Namibii, a potem znów ze wschodu na zachód, od Madagaskaru do Mauretanii, szukając państwa, którego brakowało Tamarze do jej krzyżówki. Kiedy to robił, wyobraził sobie Gada Eitana, tego aroganckiego wikinga o kocich ruchach, jako nieszczęsne nie kochane dziecko porzucone i skazane na samotną wędrówkę poprzez afrykańskie dżungle i pustynie. Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Ale zadał sobie pytanie, czy ci, którzy przyjdą po nas, Joezer i jemu współcześni, którzy będą mieszkać w Jerozolimie za sto lat, będą też rozwiązywać krzyżówki. Czy oni też będą cierpieć poniżenie nie odwzajemnionej miłości? Czy będą też krzywo zapinać koszule? Czy będą skazani na niedobór estrogenu? Czy porzucone dzieci za sto lat nadal będą błąkać się samotnie w okolicach równika? Fima poczuł, jak serce mu się ściska z żalu. W tym smutku gotów był nachylić się i przytulić do siebie Tamarę. Przycisnąć jej szeroką twarz do swojej piersi. Gładzić jej piękne włosy, zebrane w skromny koczek z tyłu głowy, niby u pionierki starszego pokolenia. Gdyby zaproponował jej teraz, żeby się z nim przespała na sofie w pokoju pozabiegowym, bez

wątpienia byłaby zszokowana, czerwieniłaby się i bladła na przemian, ale w końcu by mu nie odmówiła. Przecież będą tu sami co najmniej do czwartej. Potrafiłby sprawić jej rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie zaznała, i sprowokować jej śmiech, wymówki i zaskoczenie, szept prośb, westchnienia i jęki – co wprowadziłoby i jego w stan najśłodszego ze znanych mu uniesień – radości z własnego altruizmu. Cóż, że nie jest piękna? Przy pięknych kobietach zawsze czuł się gorszy i zdominowany. Tylko te nie chciane i odrzucone umiały wzniecić w nim tę iskrę wielkoduszności, która zawsze go podniecała. Ale co będzie, jeśli Tamara nie jest zabezpieczona? Jeśli zajdzie z nim w ciążę, właśnie tu, w tym aborcyjnym piekle?

Zamiast miłości zaofiarował jej pomarańczę, choć zapomniał najpierw sprawdzić, czy ma w szufladzie drugą. Zaskoczył Tamarę stwierdzeniem, że ta jasnoniebieska spódnica ładnie podkreśla jej sylwetkę i że powinna częściej ją nosić. I dodał, że Tamara ma śliczne włosy.

A ona powiedziała:

– Przestań. To wcale nie jest zabawne.

A Fima:

– To zupełnie tak jak z rybą. Dopiero kiedy wyciągnie się ją z wody, zdaje sobie sprawę, że bez wody nie może żyć. Nie przejmuj się. Chciałem tylko powiedzieć, że nie żartowałem. Naprawdę tak myślę o twojej niebieskiej spódnicy i włosach.

– Jesteś taki miły – powiedziała nieśmiało Tamara. – Masz tyle wiadomości, jesteś poetą i tak dalej. Jesteś dobrym człowiekiem, ale takim dziecinnym, niewiarygodnie dziecinnym. I w tym cały problem. Czasem mam ochotę przyjść do ciebie rano i cię ogolić, żebyś się nie pozacinał. No popatrz, dzisiaj znowu się skaleczyłeś. Jesteś jak dziecko.

Potem siedzieli naprzeciw siebie, prawie bez słowa. Ona zajęła się rozwiązywaniem krzyżówki, a on oglądał stary numer „Kobiety”,



który wyjął z kosza. Znalazł artykuł o byłej prostytutce, która wyszła za przystojnego kanadyjskiego milionera, a potem porzuciła go wstępując w Safed do grupy chasydów z Braśławia.

Po chwili ciszy Tamara powiedziała:

– Ach, prawda, Gad prosił, żebyśmy posprzątała w jego gabinecie. A Wahrhaftig kazał wysterylizować narzędzia i wygotować ręczniki i fartuchy. Ale nie chce mi się ruszyć. Skończę najpierw krzyżówkę.

– Daj spokój – rzucił się gorliwie Fima. – Siedź sobie spokojnie jak królowa, a ja wszystko zrobię. Dam sobie radę, zobaczysz.

Podniósł się z krzesła i ruszył do gabinetu Eitana ze ściereczką w ręku. Najpierw założył świeżą rolkę papierowych ręczników, które były przyjemnie szorstkie w dotyku. Potem uporządkował szafkę z lekarstwami, zastanawiając się nad anegdotą ojca o długości i szerokości torów kolejowych. Odkrył, że ma słabość do tamtego izraelskiego dyrektora, który, nie godząc się ustąpić pola przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych, zmiażdżył go swoją ciętą ripostą. Tylko pozornie było to zabawne – w istocie śmieszne okazywało się tu tylko stanowisko Stanów Zjednoczonych. Jakim prawem reprezentant ich uważał, że na międzynarodowym zjeździe długość przemowy każdego z delegatów powinna być wprost proporcjonalna do długości linii kolejowych w ich krajach? Tak bezwzględne podejście było nie do przyjęcia ze względów moralnych, a także absurdalnie nielogiczne. Snując te rozważania, Fima bezwiednie spróbował zmierzyć sobie ciśnienie aparatem, który leżał na biurku Eitana – może dlatego, że jak żartem wspomniał Tamarze, Gad Eitan nie czuł się dobrze poprzedniego dnia, skoro jej nie zdołał dręczyć. Ale wysiłki Fimy, żeby zamocować wolną ręką podobną do filakterium opaskę wokół ramienia spełzły na niczym, więc dał spokój. Przypatrzył się kolorowemu plakatowi na ścianie – zabawny obrazek, przystojny młody mężczyzna z ciężowym brzuszkiem i pulchnym dzieckiem w ramionach, oboje bardzo zadowoleni. Napis

głosił: „Materna 160 – uzupełnienie witamin dla Ciebie. Wygodne w użyciu. Bez zapachu. Bez smaku. Czołowy produkt tego typu. W pełni zaaprobowany przez przyszłe matki w Stanach Zjednoczonych. Sprzedawany tylko i wyłącznie na receptę. Fima zastanowił się, że jeden z wyrazów „tylko” albo „wyłącznie” musi być zbędny, ale z jakichś powodów nie mógł zdecydować, który. Wyrażenie „czołowy produkt” wydało się mu chropawe, podczas gdy „w pełni zaaprobowany przez przyszłe matki” było zdecydowanie niezręczne.

Krząając się, strzepnął jakiś wyimaginowany pyłek z fotela ginekologicznego. Przez chwilę miał nieprzepartą chęć położyć się na nim z rozstawionymi szeroko nogami, żeby poczuć, jak to jest. Miał pewność, że w krzyżówce Tamary zaszła jakaś pomyłka – jedyne państwo w Afryce na jedenaście liter, jakie przychodziło mu na myśl, nie pasowało, bo nie miało dwóch „e”. Tak jakby te dwa „e” mogły cokolwiek załatwić!

Fima zlustrował zrobione z nierdzewnej stali wzierniki do pobierania rozmazów. Kiedy wyobraził sobie tamto tajemne wejście tak brutalnie obnażone za pomocą metalowych szczypców, aż go zemdliło. Syknął, tak jakby nagle sparzył się, ale powstrzymał okrzyk bólu. Obok wzierników z obsesyjną precyzją ułożono nożyce o długich ostrzach, kleszcze i hermetyczne plastikowe woreczki z płynami do kroplówek. Na lewo, za biurkiem doktora, na małym stolczku na kółkach, stała pompa, której używano do przerywania ciąży metodą ssącą. Wzdrygnął się na myśl, że jest to swego rodzaju odwrotność lewatywy, i że los kobiet to jaskrawa niesprawiedliwość.

Co oni robią z płodami? Wkładają je do plastikowych torebek i wyrzucają do śmieci, które on albo Tamara wynoszą wieczorem? Czy żywią się nimi później bezdomne koty? A może wrzucają je do ubikacji, spuszczaają za nimi wodę i dolewają do miski płynu dezynfekcyjnego? Zeszłoroczny śnieg. Jeśli zgaśnie w tobie światło, głosi księga, jakże wielka jest ciemność.

Na małym stojaku przygotowany był zestaw do reanimacji, butla z tlenem i maska tlenowa. Obok znajdował się aparat do narkozy. Fima włączył grzejnik elektryczny i poczekał, aż rurki zaczęły jarzyć się na czerwono. Policzył torebki do kroplówek, starając się rozszyfrować wypisane na nich symbole – glukoza i chlorek sodu. Ze ściereczką w pogotowiu zastanawiał się, jak usypianie i reanimacja, zapłodnienie i śmierć stykają się ze sobą w tej ciasnej przestrzeni. Było w tym coś absurdalnego, coś trudnego do zniesienia, ale nie umiałby tego dokładnie określić.

Po chwili wziął się w garść i delikatnie startł ściereczką kurz z ekranu ultrasonografu, który był bardzo podobny do ekranu komputera Teda. Kiedy Ted pytał go, jak powiedzieć po hebrajsku „deadline”, nic mu nie przyszło do głowy. Jedyne odpowiednik tego wyrażenia, jaki zdołał wtedy znaleźć, wydawał się nienaturalny i anemiczny. „Bez smaku i bez zapachu” jak ów czołowy produkt „w pełni zaaprobowany przez przyszłe matki w Stanach Zjednoczonych”. Tymczasem Fima potracił troskliwie ułożony stos przezroczystych rękawic chirurgicznych firmy Pollack, w sterylnych, równie przezroczystych jak one same, opakowaniach. Kiedy starannie układał je z powrotem, zadał sobie pytanie, co oznacza ta wszechobecna tu, niby w akwarium, przejrzystość.

W końcu przeszedł do pomieszczenia gospodarczego, wnęki przypominającej otwarty sześcian, którego przeciwległą ściankę tworzyły drzwi balkonowe z wprawionym matowym szkłem. Wepchnął w gardziel pralki stos ręczników, dodając też swoją ściereczkę, przeczytał raz i drugi instrukcję i – o dziwo – zdołał uruchomić mechanizm. Na lewo od pralki stał sterylizator, z wypisaną na ściance po angielsku instrukcją – 200 stopni, 110 minut Fima zdecydował, że na razie go nie włączy, choć leżało w nim kilka par nożyczek, szczypców, a także kilka miseczek z nierdzewnej stali. Być może to ta temperatura zrobiła na nim wrażenie zabójczej. Wchodząc do łazienki z dziwną przyjemnością wdychał ostry zapach mieszaniny środków dezynfekcyjnych. Chciał opróżnić pęcherz, ale

nie udało się mu, może z powodu tych myśli o topionych dzieciach. Ze złością poddał się, przeklął swojego penisa, zapiął rozporek, wrócił do Tamary i, podejmując ich wcześniejszy dialog, powiedział:

– Czemu nie postarasz się z tym skończyć? Po prostu nie zwracaj uwagi na jego opryskliwość. Udawaj, że to cię nic a nic nie obchodzi. Odkurzyłem i uporządkowałem wszystko, i włączyłem pralkę. Najlepiej traktuj go jak powietrze.

– Ale jak to możliwe, Fimo? Przecież jestem w nim zakochana. Czy ty nie rozumiesz? Ale jedno na pewno powinnam zrobić. Zamiast obnosić się ze swoim smutkiem, powinnam trzasnąć go w twarz. Czasem wydaje się mi, że on tylko na to czeka. Pewnie dobrze by mu to zrobiło.

– To racja – uśmiechnął się krzywo Fima – zasłużył sobie na porządny policzek od ciebie. Jak mówi Wahrhaftig „w cywilizowanym kraju...”. Z przyjemnością bym to zobaczył. Choć zasadniczo nie jestem zwolennikiem przemocy. O, znalazłem dla ciebie...

– Co znalazłeś?

– Twoje państwo w Afryce. Spróbuj Sierra Leone. Nie włączyłem sterylizatora, bo jest prawie pusty. Szkoda prądu.

– Przestać go kochać – powiedziała Tamara – to jedyne, co mogłoby mnie uratować. Po prostu przestać. Ale jak się to robi? Ty wiesz wszystko, Fimo. Czy tego też umiałbyś mnie nauczyć?

Zaśmiał się, wzruszył ramionami, coś wymamrotał, za chwilę pożałował tych słów, wreszcie wziął się w garść i odparł:

– Co ja wiem o miłości? Kiedyś sądziłem, że miłość to coś pośredniego między okrucieństwem a współczuciem. Teraz myślę, że szkoda słów. Wydaje mi się, że nigdy nic nie rozumiałem. Pocieszam się myślą, że inni rozumieją z tego jeszcze mniej. Nie szkodzi, Tamaro, płacz, nie tłamsz tego w sobie, będzie ci lżej. Zrobię ci filiżankę herbaty. Nie przejmuj się. Za sto lat miłość i cierpienie

pójdą w ślady dinozaurów, razem z krwawymi wojnami, krynolinami i gorsetami z fiszbinów. Mężczyźni i kobiety będą łączyć się w pary, wymieniając pomiędzy sobą maleńkie impulsy elektrochemiczne. Nikt nie będzie popełniał błędów. Chcesz do tego biskopota?

Po zrobieniu herbaty i chwili wahania, opowiedział jej historię o konferencji szefów kolei i wyjaśnił, dlaczego jego zdaniem pan Cohen miał rację, a pan Smith nie, aż w końcu Tamara uśmiechnęła się przez łzy. W szufladzie biurka znalazł temperówkę, ołówek, trochę spinaczy, linijkę i nóż do przecinania papieru, ale żadnej pomarańczy ani biskoptów. Tamara powiedziała, nic nie szkodzi. Już i tak czuje się lepiej. Zawsze jest taki dobry. Jej stercząca grdyka wydawała się nie tyle śmieszna, co tragiczna. W tym patetycznym nastroju Fimę ogarnęło z wątpienie, czy ci, którzy przyjdą po nich, Joezer i jego przyjaciele, będą rzeczywiście umieli żyć rozsądniej. Pewnie, co najwyżej, okrucieństwo i głupota przybiorą subtelniejsze i bardziej wyrafinowane formy. Jaki pożytek z odrzutowo napędzanych pojazdów może mieć ktoś, kto ma poczucie, że jest obcy miejscu, w jakim żyje?

Biblijne słowa „jego kraj go nie zna” wydały się mu tak niezwykle, że musiał wypowiedzieć je choćby szeptem. W nagłym przeblasku świadomości dostrzegł w tym zwykłym zdaniu całą wyidealizowaną ułudę utopii. Zdecydował, że nie powie o tym Tamarze, żeby jej nie drażnić.

– Popatrz – odezwała się Tamara – w piecyku kończy się olej. Dlaczego mówisz sam do siebie?

– Włączyłem grzejnik elektryczny w gabinecie Eitana. Do gabinetu Alfreda nie wchodziłem w ogóle. Zajmę się tym za chwilę.

Potem wziął co trzeba i wyszedł, żeby napełnić zbiornik. Kiedy wrócił, w powietrzu przetoczył się silny grzmot, jakby gdzieś obok zaczęło się zaciekle natarcie artylerii. Fimie przypomniały się nagle słowa „dotyka gór, a one dymią”. Ta wizja stanęła mu przed oczami. Zadrżał. Z mieszkania na górze dobiegły go dźwięki skrzypiec,

powtarzających raz po raz dwie dobrze wyważone, powolne, pełne powagi, tkliwe frazy. Choć było dopiero wpół do czwartej w pokoju zrobiło się tak ciemno, że Tamara musiała włączyć światło, żeby widzieć swoją krzyżówkę. Kiedy tak stała odwrócona do niego plecami, Fima zdecydował, że podejdzie bliżej i obejmie ją, przytuli jej głowę do swojej piersi i sprawi, że oboje zapomną o wszystkim. Zasypie pocałunkami jej kark, śliczne, ściągnięte w ten skromny, mały koczek włosy, które raz w życiu rozsypią się swobodnie na ramiona. Ale zastanowił się nad tym lepiej i przez parę minut skupił się wraz z Tamarą na dociekaniu, jaki może być słynny fiński generał, na dziesięć liter. W owej chwili Fima pogodził się z myślą, że tak naprawdę nie jest stworzony na wielkiego przywódcę, jednego z tych, którzy potrafią wpływać na bieg historii, kończyć wojny i koić rozdarte serca mas, trawionych niepokojem i rozpaczą. Pewnym pocieszeniem była dla niego świadomość, że obecni przywódcy polityczni też nie nadają się do tej roli. Niestety.

### Historie na dobranoc

Dimi Tobias, czerwonooki albinos w grubych okularach, nie wyglądał na swoje dziesięć lat. Nie mówił dużo, a jego zdania były uprzejme i wyważone. Dorosłych szokował często jego sposób wysławiania się i grzeczna bezpośredniość, w której Fima dopatrywał się delikatnej ironii. Ojciec nazywał czasem chłopca lewantyńskim Einsteinem, ale Jael narzekała, że wychowała zamkniętego w sobie kłamczucha.

Dimi siedział cicho w salonie, skulony w rogu szerokiego fotela swojego ojca, wyglądając jak jakaś podłużna, zapomniana na ławce w parku paczka. Fima na próżno usiłował się dowiedzieć, co go trapi. Przez cały wieczór Dimi nawet się nie ruszył, tylko jego królicze oczy mrugały nerwowo zza grubych szkieł. Czy chce mu się pić? Może napije się mleka? Soku? Fima miał wrażenie, że dziecko jest odwodnione i potrzebuje płynów. Może wody z lodem? Whisky?

– Przestań – powiedział Dimi.

Fima wiedział, że popełnia jakiś błąd, ale do diaska nie umiał w żaden sposób dojść, co powinien zrobić albo powiedzieć, otworzył więc okno, żeby wpuścić trochę chłodnego powietrza. Wtedy pomyślał nagle, że może u chłopca zaczyna się grypa, i szybko zamknął je z powrotem. Nalał sobie w kuchni szklanek wody mineralnej i wrócił do pokoju, żeby ją wypić, w nadziei, że może Dimi pójdzie za jego przykładem i też coś wypije.

– Na pewno nie chce ci się pić?

Dimi uniósł lekko swoją bladą twarz i popatrzył na Fimę z konsternacją, tak jak patrzy się na dorosłych, którzy pakują się w

kłopoty, ale nic na to nie można poradzić. Fima zaczął z innej beczki.

– Dobrze, zagrajmy w karty. A co byś powiedział na grę w „Monopol”? A może chciałbyś obejrzeć ze mną wiadomości? Pokaż mi tylko, jak włącza się ten wasz telewizor.

– Naciśnij guzik. Górny – powiedział Dimi i dodał – nie wolno dawać alkoholu dzieciom.

– No pewnie – zgodził się Fima. – Chciałem cię tylko rozśmieszyć. Powiedz, na co masz ochotę. Chcesz, żebym ponaśladował Szamira i Peresa?

– Nie, nie. Mówiłem ci już, że nie chcę nic.

Fima na próżno proponował opowieści o przygodach, gry komputerowe, dowcipy, walkę na poduszki, domino. Chłopiec był wyraźnie przygnębiony, ale choć Fima wypytywał go o szkołę, o popołudnie u sąsiadki, zmęczenie, bóle brzucha, program lotów kosmicznych Stanów Zjednoczonych, jedyne, co udało mu się wydusić z Dimiego, to „przestań”. Czy to może początki anginy? Zapalenia płuc? Opon mózgowych? Fima wcisnął się w fotel obok chudego „Challengera”, spychając go jeszcze głębiej w róg. Objął bezwładne ramionka i nalegał dalej:

– Powiedz mi, co się stało.

– Nic – odparł Dimi.

– Gdzie boli?

– Nigdzie.

– Powygłupiamy się trochę? Czy wolisz iść spać? Mama mówiła, żeby ci dać pół valium. Opowiedzieć ci coś?

– Już pytałeś.

Fima czuł się nieswojo. Na jego oczach działo się coś strasznego. Jakiś poważny problem, a może nawet niebezpie-



czeństwo wiszą w powietrzu, a on nie ma pojęcia, co powinien zrobić. Jak postąpiłby w takiej sytuacji Ted? Przebiegł palcami po jaśniutkich włosach chłopca.

– Widzę, że coś ci dolega – powiedział cicho. – Czy wiesz, gdzie oni trzymają to valium?

Dimi cofnął się przed pieszczotą i wyśliznął spod jego ręki, jak spłoszony kot. Podreptał do drugiego fotela i zakopał się pod stertą poduszek, tak że widać mu było tylko buty i czubek głowy. Ukryte za grubymi szklami okularów oczy mrugały nerwowo.

Fima, którego niepokój przerodził się w panikę zmieszaną z narastającą złością, powiedział:

– Wezwę lekarza. Ale najpierw zmierzmy temperaturę. Gdzie oni trzymają termometr?

– Przestań się wygłupiać – zaproponował Dimi. – Czemu nie oglądasz wiadomości?

Fima, jakby w niego piorun trzasnął, skoczył na równe nogi i rzucił się nieprzytomnie do telewizora, ale nacisnął niewłaściwy guzik. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że Dimi zakpił sobie z niego i żałując tamtej chwili czułości, wrzasnął:

– Masz minutę, żeby powiedzieć mi, co się stało, a jeżeli nie, to wychodzę i zostaniesz sam!

– No to proszę, idź sobie – odparł Dimi.

– Świetnie – wypalił Fima, starając się naśladować surowy ton, a nawet akcent Teda. – Idę. Ale zanim pójdę, masz dokładnie cztery minuty, z zegarkiem w ręku, żeby się przygotować do spania. I bez awantur. Ząbki, mleczko, piżama, valium i tak dalej. I żebyś mi nie robił żadnych idiotycznych scen.

– To ty robisz idiotyczne sceny – powiedział Dimi.

Fima wyszedł z pokoju i ruszył do gabinetu Teda. Nie miał zamiaru zostawiać chorego dziecka samego. Z drugiej strony nie miał pojęcia, jak wycofać swoje ultimatum, usiadł więc w wyściełanym miękko krześle Teda przed komputerem, bez zapalania światła, i usiłował znaleźć rozsądne wyjście. Były dwie możliwości – albo to początek jakiejś choroby i trzeba natychmiast wezwać lekarza, albo Dimi znęca się nad nim celowo, a on, Fima, zupełnie się wygłupił. Nagle ogarnęło go wielkie współczucie dla bladego, udreżonego „Challengera”. Zaczął roztkliwiać się też nad sobą – nawet nie zadali sobie trudu, żeby zostawić mu numer telefonu. Pewnie spędzają miły wieczór w Tel Awiwie, zabawiając się w jakiejś egzotycznej restauracji lub nocnym klubie, i nawet o nas nie pomyślą. A co by było, gdyby działo się coś strasznego? Jak mógłbym się z nimi skontaktować? Gdyby na przykład Dimi coś połknął? Złapał jakąś potworną infekcję? Miał atak ślepej kiszki? Polio? A może to jego rodzice są w niebezpieczeństwie? Mieli wypadek w drodze powrotnej do Jerozolimy? Trafili na atak terrorystów?

Fima zdecydował się porozmawiać z sąsiadką z dołu. Ale przecież nie miał pojęcia, co mógłby jej powiedzieć i bał się znowu wygłupić.

Wrócił więc nieśmiało do salonu i spytał przymilnie:

– Gniewasz się na mnie Dimi? Dlaczego mi to robisz?

Coś, jakby cień znużonego uśmiechu, pojawiło się przez chwilę na zbyt dojrzałej twarzy chłopca.

– Męczysz mnie – powiedział rzeczowo.

– W takim razie – odparł Fima, usiłując opanować nowy atak furii, przemożną chęć, żeby pacnąć to przewrotne, impertynenckie stworzenie w twarz – zanudź się sam. Dobranoc. Nie będę cię niepokoił.

Ale zamiast wyjść, Fima porwał z półki pierwszą lepszą książkę, która okazała się oprawioną w pomarańczową okładkę, wydaną po angielsku, historią Alaski w XVIII czy XIX wieku. Wyczerpany opadł na kanapę i zaczął przerzucać kartki, starając się przynajmniej obejrzyć ilustracje. Zdecydował, że nie będzie w ogóle zwracał uwagi na swojego małego przeciwnika. Jednak trudno mu było się skupić. Raz po raz spoglądał na zegarek. Ale wydawało się, że czas stoi w miejscu, było wciąż dwadzieścia pięć po dziewiątej, a Fimę ogarniała wściekłość, że na domiar złego przegapił wiadomości. Poczucie porażki ciążyło mu w piersi jak kamień. Działo się coś naprawdę niedobrego. Coś, czego trzeba będzie potem gorzko żałować, przez wiele dni i lat, gryząc się świadomością, że już nic odwrócić ani naprawić się nie da. Wystarczyłoby teraz zrobić coś bardzo prostego, oczywistego, co przegapiłby tylko ślepiec albo dureń. Ale co to takiego miałyby być? Raz po raz rzucał ukradkowe spojrzenie na Dimiego, który mrugając nerwowo leżał w swojej kryjówce z poduszek na fotelu. W końcu Fimie udało się skupić na historii dawnych myśliwych, którzy przybywali na Alaskę z Nowej Anglii, polując na wieloryby i budując na wybrzeżu osady, na które często napadały dzikie koczownicze plemiona, nadciągające z Syberii przez Cieśninę Beringa. I wtedy nagle Dimi zapytał:

– Powiedz, co to jest puchlina?

– Nie wiem dokładnie – odparł Fima. – To nazwa choroby. A bo co?

– Jakiej choroby?

– Pokaż, gdzie boli. Bierz termometr. Wezwę lekarza.

– Nie chodzi o mnie – powiedział Dimi. – To Winston.

– Jaki Winston? – Fima przestraszył się, że chłopiec majaczy. O dziwo, ta myśl przyniosła mu ulgę. Ale teraz, jak tu skontaktować się z lekarzem? Najlepiej zadzwonić i poradzić się Tamary. Ale

oczywiście nie chodzi o jednego z ich lekarzy. Ani też o męża Annette. A przy okazji, co to jest puchlina?

– Winston to pies. Pies Clila Weintrauba.

– Jest chory?

– Był.

– I boisz się, że mogłeś się zarazić?

– Nie. Zabiliśmy go.

– Zabiliście? Dlaczego?

– Powiedzieli, że ma puchlinę.

– Kto go zabił?

– Tylko że on żyje.

– Nie żyje i żyje?

– Żyje, ale i nie żyje.

– Możesz mi to wyjaśnić?

– Nie.

Fima wstał i przyłożył jedną dłoń do swojego czoła, a drugą do czoła Dimiego. Wydawało się mu, że nie czuje żadnej różnicy. Może obaj są chorzy?

– To było morderstwo – powiedział Dimi. I nagle, przerażony własnymi słowami chwycił następną poduszkę i chowając w niej twarz, rozszłochał się. Stłumione, urywane łkanie przypominało czkawkę. Fima próbował oderwać mu od twarzy poduszkę, ale Dimi trzymał ją mocno i nie puszczał, więc w końcu dał spokój. Zdał sobie sprawę, że to nie choroba i nie gorączka, ale cierpienie, które wymaga czasu i milczenia. Usiadł na dywanie przed fotelem i wziął Dimiego za rękę, czując że sam jest bliski łez i że kocha to dziwne dziecko o papierowobiałych włosach, tego upartego, dojrzałego nad

wiek, mądrego chłopca w grubych okularach, otoczonego aurą wiecznego osamotnienia. Pragnął porwać z fotela to małe, rozszlochane ciało i przytulić je do siebie z całych sił. Było to uczucie silniejsze niż wszystko to, czego dotąd doświadczył, nawet wobec jakiegokolwiek kobiety. Ale opanował się i czekał bez ruchu, aż łkanie ustało. Dimi przestał płakać. I, co zastanawiające, dopiero kiedy ucichł, Fima powiedział łagodnie:

– Już dość, Dimi, przestań.

Nagle chłopiec ześliznął się z fotela i objął Fimę. Przytulił się do niego tak mocno, jak by chciał się w nim ukryć na zawsze.

– Powiem ci – zdecydował.

I zaczął opowiadać cicho, ale wyraźnie, nie zatrzymując się ani na chwilę w poszukiwaniu właściwego słowa, spokojnie i bez łkań, nawet mrugając rzadziej niż dotąd, o tym, jak znaleźli tego brudnego skulonego psa przy śmietniku. Był obrzydliwy, z parchami na grzbiecie i sączącymi ranami. Jego tylną nogę obsiadły muchy. Kiedyś należał do ich kolegi Clila Weintrauba, ale odkąd Weintraubowie wyjechali za granicę, był niczyj. Żywił się odpadkami. Leżał na boku za pojemnikami na śmieci, kaszląc jak ktoś, kto za dużo pali. Przebadali go i Janiv powiedział: „Niedługo umrze, ma puchlinę”. Potem siłą otworzyli mu pysk i wleli łyżkę lekarstwa, przyrządzonego przez Ninję Marmelsteina – błotnistą wodę ze stawu zmieszana z odrobiną piasku, sproszkowanego cementu i aspiryną matki Janiva. Potem postanowili zanieść go na kocu do wyschniętego koryta rzeki i złożyć w ofierze, tak jak biblijny Izaak Dawida. To był pomysł Ronena i Ronen pobiegł nawet do domu po nóż kuchenny. Przez całą drogę ten Winston leżał spokojnie na kocu. Chyba nawet był zadowolony, bo merdał z wdzięcznością ogonem. Może myślał, że niosą go do lekarza. Lizał po twarzy i rękach każdego, kto tylko się do niego przybliżył. Na miejscu zebrali kamienie, zbudowali ołtarz i położyli na nim psa, który wcale nie protestował. Przyglądał się im z zainteresowaniem, jak dziecko, z

ufnością, jakby był pewien, że jest wśród serdecznych przyjaciół albo jak gdyby rozumiał, że to zabawa i cieszył się, że bierze w niej udział. Jego rany były ohydne, ale brązowe oczy mądre i czule, a pyszczek bardzo sympatyczny. Jest coś takiego czasem, prawda, Fimo? Że kiedy się patrzy na jakieś zwierzę, ma się wrażenie, że ono pamięta to, o czym ludzie już dawno zapomnieli. Albo przynajmniej tak się wydaje. W każdym razie to był brudny, paskudny i zapchlony pies, który łasił się do każdego, uwielbiał kłaść ludziom głowę na kolanach i okropnie się ślinił.

Dimi wpadł na pomysł, żeby zerwać trochę liści i kwiatów i przybrać ołtarz. Uplótnął nawet mały wieniec na głowę Winstona, jak się to robi w przedszkolach, kiedy ktoś ma urodziny. Związali mu mocno łapy, a on nawet wtedy nie przestał się do nich łasić, zadowolony cały czas merdał ogonem, jak gdyby naprawdę cieszył się, że jest w centrum zainteresowania. Lizał każdego, kto mu się tylko nawinał. Potem ciągnęli losy. Ninja Marmelstein miał intonować modlitwy, Ronen wykopać grób, a on, Dimi, miał zabić psa. Najpierw starał się z tego wyplatać, tłumaczył, że bardzo źle widzi, ale wyśmiali go i wściekli się, powiedzieli, że tak wypadło, i żeby nie był takim mięczakiem. Więc nie miał wyjścia. Ale się nie udało. Nóż drżał mu w rękach, a pies stale się wiercił. Zamiast podciąć mu gardło, ściał mu pół ucha. Pies zupełnie oszalał, zaczął jęczeć jak dziecko i kłapać zębami w powietrzu. Dimi musiał powtórzyć swój cios, szybko, żeby uciszyć ten skowyt. Ale tym razem zamiast w gardło, nóż wszedł w coś miękkiego w okolicach brzucha, bo Winston wił się i piszczał, i strasznie krwawił. Janiv powiedział: „Wielkie rzeczy, to nic strasznego, to tylko śmierdzący, stary, arabski pies”. A Ninja dodał: „Ma puchlinę i tak umrze”. Trzeci raz Dimi uderzył z całych sił, ale trafił na kamień i nóż pękł. Dimiemu został prawie sam trzonek w ręku. Ninja i Janiv chwycili Winstona za głowę i ponagli: „Szybciej, ty idioto, łap ostrze i tnij”. Ale z ostrza zostało za mało, nie można było poderżnąć nim gardła. Wszystko było śliskie od krwi i za każdym razem trafiał nie tam,

gdzie trzeba. W końcu wszyscy byli we krwi, jak to możliwe, że pies ma tyle krwi, to chyba przez tę puchlinę, a Janiv i Ninja, i Ronen zaczęli uciekać. Pies przegryzł sznurek i oswobodził się, ale tylko przednie łapy, tylne dalej były związane, i z piskiem, wcale nie psim, ale bardziej przypominającym głos kobiety, odczołgał się na brzuchu i zniknął w krzakach, a kiedy Dimi zdał sobie sprawę, że inni uciekli, pobiegł za nimi przerażony. Znalazł ich w końcu w garażu pod blokiem. Był tam kran i udało się im zmyć z siebie krew, ale jemu nie pozwolili się umyć i mówili, że to wszystko jego wina. To przez niego Winston nie jest ani żywy, ani martwy, to on znęcał się nad bezbronnym zwierzakiem i złamał nóż z domu Ronena. Krzyczeli, że na pewno na nich naskarzy jak zawsze i zaczęli go kopać, wzięli znowu sznurek, a Ninja powiedział, że zaraz zrobią mu tu intifadę. Powieśmy Dimiego. Tylko Ronen zachowywał się stosunkowo przyzwoicie, bo chciał najpierw odłożyć gdzieś okulary Dimiego, żeby się nie potłukły. Dlatego Dimi nie wie, kto go związał i kto po tym, jak go zbili, stanął nad nim i obsiusiał go. Zostawili go więc związanego w garażu i uciekli, żeby się zastanowił, dlaczego zabił Winstona. Nie powiedział o tym sąsiadce, która miała się nim opiekować. Wytłumaczył, że się wybrudził przy stawie. Jeżeli jego rodzice się dowiedzą, to z nim koniec.

– Powiesz im?

Fima zastanowił się. Przez cały czas podczas tych zwierzeń nie przestawał gładzić białych włosów chłopca. Jak w złym śnie czuł, że pies, Dimi i on to jedno. W tym samym psalmie, gdzie padają słowa „Otępiało ich serce opasłe”, jest mowa o udreće duszy.

– Nie, Dimi. Nie powiem – obiecał poważnie.

Chłopiec zerknął na niego z ukosa. W jego patrzących zza grubych szkieł, czerwonych jak u królika oczach było tyle męki, ale i ufność – jak gdyby Dimi chciał pokazać to, co opowiadał przedtem o wyrazie oczu tamtego psa. Więc to jest właśnie miłość.

Fimę przeszedł dreszcz, wydało się mu, że z zewnątrz, z głębi ciemności, spośród wiatru i deszczu, dobiegło go niewyraźne echo skowytu psa.

Pogładził głowę małego „Challengera” i wciągnął go pod swój gruby sweter. Tak jakby nosił go w swoim łonie. Po chwili chłopiec odsunął się i spytał:

– Ale dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego zgadzasz się im nie powiedzieć?

– Bo to nie pomoże Winstonowi, a ty już dość wycierpiałeś.

– Jesteś fajny.

A po chwili dodał:

– Choć jesteś dziwny. Czasami za twoimi plecami nazywają cię pajacem. I chyba mają trochę racji.

– No Dimi, teraz wypijesz szklanekę mleka. I powiedz, skąd wziąć to valium, które mama kazała ci dać.

– Ja też jestem pajac. Ale nie jestem fajny. Nie trzeba się było zgodzić. Nie powinienem ich słuchać.

– Ale to oni cię zmusili.

– Mimo wszystko to było morderstwo.

– Nie wiadomo – zastanowił się Fima. – Może on jest tylko ranny.

– Stracił mnóstwo krwi. Całe morze krwi.

– Czasem bardzo się krwawi nawet z małego skaleczenia. Kiedy byłem mały, chodziłem po murze i spadłem. Rozciąłem sobie tylko trochę czoło, ale krwawiłem okropnie. Dziadek Baruch o mało nie zemdłał.



– Nienawidzę ich.

– To tylko dzieci, Dimi. Dzieci robią czasem bardzo okrutne rzeczy, bo po prostu mają za mało wyobraźni, żeby zrozumieć, co to ból.

– Nie chodzi o dzieci – zaprzeczył Dimi. – Chodzi o nich. Gdyby mogli, wcale by mnie nie wybrali. Ja ich też nie. To niesprawiedliwe, można wybierać męża i żonę, ale nie rodziców. Nie można się też z nimi rozwieść. Fimo?

– Słucham.

– Czy moglibyśmy wziąć latarkę, trochę bandaży i jodynę, i pójść go poszukać?

– Po ciemku i w deszczu i tak na pewno go nie znajdziemy.

– To prawda. Masz rację. To beznadziejne. Ale i tak chodźmy. Przynajmniej będziemy wiedzieli, że próbowaliśmy.

Kiedy to mówił, wydał się Fimie kieszonkowym wydaniem swojego pewnego siebie, trzeźwo myślącego ojca. Nawet jego intonacja była odbiciem spokojnego głosu Teda, zrównoważonego, samotnego człowieka. Dimi przetarł okulary i dodał:

– Rodzina Clila też jest winna. Dlaczego pojechali zagranicę i zostawili chorego psa? Mogli go zabrać. Mogli chociaż poszukać mu jakiegoś miejsca. Dlaczego wyrzucili go jak jakiś śmieć? U Irokezów jest takie prawo, że nie wolno nic wyrzucać. Muszą trzymać w wigwamie nawet potłuczony garnek. Nie wolno wyrzucać nic, czego się kiedykolwiek używało. Bo ta rzecz może nas potrzebować. Mają nawet coś w rodzaju dziesięciu, a może mniej, przykazań. A pierwsze z nich mówi: „Nie będziesz wyrzucał”. Mam w schowku skrzynkę zabawek z czasów, kiedy byłem o taki. Oni zawsze na mnie krzyczą, żebym je wyrzucił, bo na co one komu, tylko zajmują miejsce, kurzą się, ale ja nie chcę. „Wyrzucić, to jak zabić” – mówiła Córka Śniegów do Jeziora Szepczących Wiatrów, ściskając w dłoni wilczy kamyk.

- Co to takiego?

- To historia o dziewczynce z plemienia Irokezów. Jezioro Szepczących Wiatrów był wodzem ginącego plemienia.

- Opowiedz mi tę historię.

- Nie mogę. Stale myślę o tamtym psie. Słyszę, jak do mnie wyje, widzę, jak patrzy posłusznie tymi swoimi ufnymi oczami, cieszy się, że jest w centrum uwagi, macha ogonem i serdecznie liże każdego, kto się nad nim pochyli. Nawet kiedy Ronen związywał mu nogi, jego też polizał. Tamto ucho upadło na ziemię, jak kromka chleba. Stale słyszę jego pisk, może on naprawdę jeszcze żyje. Umiera gdzieś w kałuży pomiędzy skałami w wadi, skomle i czeka na weterynarza. W nocy przyjdzie Bóg i zabije mnie za to, co zrobiłem. Nie powinienem w ogóle iść spać. Albo zabije mnie, bo ich nienawidzę, a nie wolno nienawidzić rodziców. Kto im kazał mnie mieć? Ja o nic nie prosiłem. Nie ma tu co robić. Wszystko wychodzi źle. Same kłopoty i wrzaski. Cokolwiek bym zrobił, oni tylko narzekają i wrzeszczą. Byłeś kiedyś mężem mamy, a potem jej nie chciałeś. Albo to ona ciebie nie chciała. Same kłopoty i wrzaski. Tata mówi, że tak się stało, bo ty jesteś trochę zwariowany. Powiedział mi to po angielsku. Mnie też nie bardzo potrzebują. Oni zawsze chcą mieć spokój i porządek w mieszkaniu, żeby wszystko było na swoim miejscu i żeby nie trzaskać drzwiami. Za każdym razem, kiedy trzasną drzwi, ona na mnie wrzeszczy i na tatę też. Za każdym razem, kiedy zapodzieje się jakieś pióro, on wrzeszczy na mnie i na mamę. Zawsze kiedy pasta do zębów jest nie dokręcona, oni wrzeszczą na mnie oboje. No nie, nie wrzeszczą. Tylko zwracają mi uwagę. Takie: „Byłoby lepiej, gdybyś w przyszłości...”. Albo on mówi jej po angielsku: „Zrób coś, żeby to dziecko nie pętało się mi pod nogami”. A ona odpowiada: „To twoje dziecko, mój panie”. Kiedy byłeś mały, czy myślałeś czasem, że byłoby dobrze, gdyby twoi rodzice umarli? Nigdy nie chciałeś być sierotą, wolnym jak Huckleberry Finn? Czy nie byłeś trochę zwariowany?

Fima odparł:

– Każde dziecko miewa czasem takie myśli. To naturalne. Ale to nie znaczy, że tego naprawdę chce.

Dimi milczał. Jego oczy albinosa zaczęły znowu mrugać nerwowo, jakby raziło go światło.

– Powiedz, Fimo, ty chciałbyś mieć dziecko, prawda? – odezwał się wreszcie. – Czy miałbyś ochotę uciec ze mną razem? Moglibyśmy popłynąć na Wyspy Galapagos i zbudować sobie drewnianą chatkę. Moglibyśmy łapać ryby, zbierać ślimaki i uprawiać warzywa. Moglibyśmy wytropić tysiącletnie żółwie, o których mi kiedyś opowiadałeś.

Znowu to samo, pomyślał Fima, tęsknota za stroną aryjską. Za Rosą. Wziął Dimiego na ręce i zaniósł go do jego pokoju. Przebrał go w piżamę. Na Wyspach Galapagos nie ma zimy. Jest wieczna wiosna. A tysiącletnie żółwie są prawie tak duże jak ten stół, bo nie polują, nie marzą i milczą. Tak jakby wszystko było zupełnie proste i w najlepszym porządku. Podniósł jeszcze raz chłopca i zabrał go do łazienki, żeby wyczyścić zęby. Potem, kiedy stali tam razem, Fima wyrecytował: do biegu, gotowi... i zrobili wyścig. Cały czas Fima mruczał pod nosem słowa pociechy, które ledwie sam mógł dosłyszeć. Nie martw się, mały, deszcz przestanie padać, niedługo skończy się zima, niedługo skończy się wiosna, będziemy spać jak żółwie, a potem zbudzimy się i posadzimy warzywa, i wszyscy będziemy dobrzy, i zobaczysz, jak będzie cudownie.

Pomimo tych słów pociechy, obaj byli bliscy łez. Przyłgnęli do siebie, jakby zrobiło się im zimno. Zamiast utulić Dimiego do snu w jego pokoju, Fima wziął ubranego w zieloną piżamę chłopca na barana, zaniósł do sypialni rodziców i położył się obok niego na podwójnym małżeńskim łóżku. Ostrożnie zdjął dziecku grube okulary i przytulili się do siebie okryci jednym kocem, a Fima opowiadał Dimiemu historię za historią, o jaszczurkach, o otchłani ewolucji, o porażce niepotrzebnego buntu Żydów przeciwko

Rzymianom, o konferencji zarządów kolei i o szerokości torów, o lasach Sierra Leone w Afryce, polowaniu na wieloryby na Alasce, o ruinach świątyń w górach na północy Grecji, o hodowaniu tropikalnych ryb w podgrzewanych basenach w Valetcie, stolicy Malty, o świętym Augustynie, o biednym kantorze, który znalazł się sam na bezludnej wyspie w czasie świąt. Za piętnaście pierwsza, kiedy Ted i Jael wrócili z Tel Awiwu, znaleźli Fimę w swoim małżeńskim łóżku. Spał w ubraniu, zwinięty pod kocem jak płód w łonie matki, z koszulą nocną Jael pod głową. Dimi w zielonej piżamie siedział przed komputerem w gabinecie ojca, jego poważna, sowa twarz miała wyraz pełnej determinacji, kiedy tak w pojedynkę stawiał czoło całej bandzie piratów w skomplikowanej grze strategicznej.

**Fima dochodzi do wniosku,  
że jeszcze nie wszystko stracone**

Kilka minut po pierwszej, jadąc do domu taksówką, którą wezwał dla niego Ted, Fima przypomniał sobie ostatnią wizytę ojca. Czy to było dwa dni temu, czy poprzedniego ranka? Kiedy starszy pan zaczynając od Nietzschego skończył na rosyjskich torach kolejowych, które były zbudowane tak, żeby nie mogły posłużyć najeźdźcom. Co ojciec próbował mu wtedy powiedzieć? Fima był teraz pewien, że rozmowa toczyła się wokół jakiejś sprawy, której starszy pan nie umiał albo nie śmiał wyrazić wprost. Pośród tych wszystkich opowieści i moralizowania, tych wszystkich Kozaków i Hindusów Fima przeoczył, że ojciec narzeka na duszności. A przecież, poza dowcipkowaniem na temat bólów krzyża, nigdy na nic się nie uskarżał. Fima przypomniał sobie jego zadyszkę, kaszel, świszczący dźwięk, który mógł rodzić się gdzieś w jego gardle lub piersi. Wychodząc, starszy pan starał się najwyraźniej coś powiedzieć. Teraz Fima wyrzucał sobie, że wołał spierać się o Herzla i Indie niż go posłuchać. Do czego miały zmierzać wszystkie te ojcowskie żarty i gra słów? Z drugiej strony jego pożegnania zawsze zyskiwały wymiar epicki. Kiedy szedł na pół godzinki do kawiarni, zawsze życzył ci życia pełnego sensu. Wychodząc po gazetę, ostrzegał, żebyś nie trwonił lekkomyślnie tego cennego daru, jakim jest życie. Co miał na myśli tym razem? Przegapiłeś to, bo pochłonięła cię bez reszty dyskusja na temat terytoriów okupowanych i tak strasznie chciałeś wygrać. Jak zwykle. Tak jakby przekonanie ojca do słusznych racji mogło przybliżyć pokój i nadejście nowej ery. Byłeś taki od małego – zgryźliwe dziecko, które najbardziej cieszy

się, kiedy przyłapie kogoś z dorosłych na pomyłce albo przejęczeniu. Wygra spór z kimś dorosłym. Zmusi go do wywieszenia białej flagi. Jeśli na przykład ktoś z gości użył wyrażenia „większość większości ludzi”, wtrącałeś uradowany okrutnie, że „większość większości” oznacza właściwie 25,1 procent, czyli innymi słowy mniejszość, a nie większość. Jeśli ojciec powiedział, że Ben Gurion mówi wszystko prosto z mostu, ty dodawałeś – lepiej, żeby mówił prosto z głowy. Wczoraj, kiedy tu był, były chwile, że z braku tchu nie mógł wydobyć z siebie swojego tak zwykle melodyjnego, tenorowego głosu. To prawda, jest starym gadułą, strojnisiem i nudziarzem, lata za kobietami i, co gorsza, cierpi na ślepotę w sprawach politycznych, mając jednocześnie głębokie przekonanie o własnych racjach, co może doprowadzać do białej gorączki. A jednak na swój sposób jest wspaniałym, dobrym człowiekiem. Wsuwa ci pieniądze do kieszeni i wtyka nos w twoje sprawy, zwłaszcza jeśli chodzi o tak zwane „ułożenie sobie życia”, chciałby wszystkim kierować. Ale kim byłbyś bez niego?

Taksówka zatrzymała się na światłach na skrzyżowaniu przy górze Herzla.

– Ale zimno – powiedział kierowca. – Zepsuło mi się ogrzewanie. Te cholerne światła nie działają. Cały kraj się rozpieprza.

– Nie przesadzajmy – zaproponował Fima. – Może jest na świecie dwadzieścia pięć państw bardziej przyzwoitych niż nasze, ale z drugiej strony na pewno znajdzie się ponad sto takich, w których za takie słowa dostałby pan kulę w łeb.

Kierowca odparł:

– Goje mnie nie obchodzą. Wszyscy są parszywi. Nienawidzą nas.

Na mokrej jezdni wirowały dziwne ogniki. Strzępki mgły snuły się między pogrążonymi w mroku domami. Przy pomarańczowej lampie na skrzyżowaniu zawisł mały obłoczek rozświetlony tajem-

niczym blaskiem. Chyba to właśnie, pomyślał Fima, w pismach mistyków nazywa się „nieziemską poświatą”. To dawne aramejskie wyrażenie sprawiło, że poczuł lekki zawrót głowy. Jak gdyby same te słowa pochodziły stamtąd, z innego świata. Ulice były martwe. Żadnego ruchu. W oknach domów ciemność. Pusty asfalt, światło latarni, cienie niknących w deszczu sosen, wywołały w Fimie nieokreślony lęk, tak jakby wszystkie bramy zamknięto na zawsze. Jak gdyby w tej lodowatej mgłę wypalało się jego życie. Jakby tuż obok, za którąś z tych mokrych ścian, ktoś umierał.

Szofer powiedział:

– Co za paskudna, pieprzona noc. A te cholerne światła nigdy się chyba nie zmieniają.

Fima dodał mu otuchy:

– Po co się spieszyć? No to poczekamy jeszcze minutkę, dwie. Niech się pan nie martwi, ja płacę.

Miał dziesięć lat, kiedy jego matka zmarła na wylew. Baruch Nomberg, jak zawsze porywczy, nie odczekał nawet tygodnia – w pierwszą sobotę po pogrzebie spakował wszystkie jej rzeczy do kufrow, wszystkie suknie, buty i książki, toaletkę z okrągłym rosyjskim lustrem i powłoczki na pościel z wyhaftowanymi monogramami, i pospiesznie podarował wszystko hospicjum dla trędowatych w Talbiyeh. Zatarł wszelki ślad obecności żony, tak jakby jej śmierć była aktem zdrady. Tak jakby uciekła z innym mężczyzną. Ale powiększył jej zdjęcie naturalne i zawiesił je koło kredensu, skąd patrzyła na nich dwóch przez wszystkie te lata z pełnym zadumy, sceptycznym uśmiechem, spuszczać skromnie oczy, tak jakby przyznawała się do winy i okazywała skruchę. Zaraz po pogrzebie Baruch wziął w swoje ręce edukację syna – sumienny i roztargniony zarazem, nieprzewidywalny w swoich emocjonalnych odruchach dobrotliwy tyran. Codziennie rano sprawdzał wszystkie zeszyty w tornistrze Fimy. Co wieczór pilnował, żeby Fima dokładnie wyczyścił zęby. Uparł się dodać mu prywatne lekcje z matematyki,

angielskiego i nawet z tradycji żydowskich. Delikatnie przekupywał jednego ze szkolnych kolegów syna, żeby Fima nie czuł się zbyt samotny i miał towarzystwo do zabaw. Niestety zwykł sam włączać się do ich gier i nawet kiedy ze względów pedagogicznych zamierzał przegrać, dawał się ponieść i zapominał o swoich zamiarach, nie posiadając się z radości, kiedy brał górę. Kupił szerokie biurko, którego Fima do tej pory używał. Zima czy lato zmuszał chłopca do noszenia zbyt ciepłych ubrań. W ich domu przez wszystkie te lata samowar elektryczny bulgotał zawsze do pierwszej lub drugiej w nocy. Eleganckie rozwódki i dystyngowane wdowy w nieokreślonym wieku przychodziły z wizytą i spotkania te ciągnęły się godzinami. Fima jeszcze przez sen słyszał dochodzące z salonu fragmenty prowadzonych z wyraźnym słowiańskim akcentem rozmów, wybuchy śmiechu, płacz albo śpiewy. Nie był pilnym uczniem. Ojciec przeciągał go za uszy z klasy do klasy. Skonfiskował mu jego książki, żeby zajął się podręcznikami. Zmusił do wcześniejszego przejścia trudnych egzaminów na wyższą uczelnię. Nie zawahał się uruchomić całej sieci znajomości, żeby ratować syna przed czynną służbą wojskową i zadekował go jako kulturalno-oświatowego przy bazie wojskowej Schneller, w samej Jerozolimie. Po odbyciu służby na rzecz kraju Fima miał zamiar starać się o przyjęcie do marynarki handlowej, przynajmniej na jakiś rok lub dwa. Morze urzekło go bez reszty. Ale ojciec postawił veto i zdecydował, że syn będzie studiował zarządzanie, bo planował wciągnąć go do prowadzenia swojej firmy kosmetycznej. Dopiero po zażartej walce zdołali uzgodnić, że Fima wybierze wydział historyczny. Kiedy uzyskał doskonałe wyniki na zakończenie, ojciec, cały w euforii, postanowił wysłać go na słynny brytyjski uniwersytet na dalsze studia. Ale Fima zbuntował się, zakochał, jeszcze raz zakochał, potem nastąpił rok amorów i nauka poszła w odstawkę. To Baruch zawsze ratował Fimę z oparów, w Gibraltarze, na Malcie, uchronił go nawet od aresztu wojskowego. Mawiał:



– Kobiety, owszem, ale dla przyjemności, z umiarem. Na swój sposób, Efraimie, kobiety są dokładnie takie same, jak my, choć jednocześnie zupełnie inne. Ale na czym polega to podobieństwo, a na czym różnica, do dziś stanowi dla mnie wielką zagadkę.

To ojciec kupił mieszkanie w Kiryat Yovel i ożenił go z Jael, po dokładnym zlustrowaniu i odrzuceniu dwóch innych kandydatek – Ilji Abravanel z Haify, która wyglądała jak Maria Magdalena ze starego obrazu, i pięknej Liat Sirkin, która osładzała Fimie noce w śpiworze w górach północnej Grecji. I to ojciec, kiedy wszystko było skończone, zajął się przeprowadzeniem rozwodu. Nawet palto z pułapką w rękawie należało wcześniej do niego.

Fima przypominał sobie mgliście jedną z ulubionych anegdot starszego pana, o świątobliwym chasydzie i znanym koniokradzie, którzy zamienili pomiędzy sobą płaszcze i w ten sposób w pewnym sensie również tożsamość, co pociągnęło za sobą tragikomiczne następstwa. Ale co takiego ojciec uważał za prawdziwą wymowę tej historii, w odróżnieniu od tej najbardziej oczywistej? Wysilał pamięć, ale zdołał tylko przywołać na chwilę w wyobraźni obraz przydrożnej karczmy na Ukrainie, zbudowanej z grubo ciosanych bali, stojącej na pokrytym śniegiem pustkowiu, pośród wichru i ciemności, z których rozlega się wycie wilków.

– Do diabła! – powiedział kierowca. – Mamy tu stać całą noc?

Wcisnął gaz, przejechał na czerwonym świetle i jakby chciał nadrobić stracony przez siebie i Fimę czas, pognał jak szalony pustymi ulicami, hamując z piskiem opon na ścinanych zakrętach.

– Co się dzieje? – spytał Fima. – Mamy Sześciominutową Wojnę?

A kierowca odparł:

– I niechby tak było, amen.

Jutro, zdecydował Fima, z samego rana zabiorę go do szpitala na badania. Jeśli trzeba zmuszę go. Ten świst to coś nowego. Chyba że on znowu rozszerzył swój repertuar, naśladowując pociąg dla zilustrowania swoich kolejowych opowieści. Albo jeśli to tylko lekkie przeziębienie i przesadzam, tracę poczucie proporcji. Ale jak mogę tracić coś, czego nigdy nie miałem? A jeśli już przy tym jesteśmy, on też nigdy nie znał umiaru.

Powinienem zatelefonować najpierw do Cwiki, jego brat jest konsultantem w szpitalu Hadassah na Górze Scopus. Spróbuję załatwić osobny, komfortowy pokój w szpitalu. Ten zaciętrzewiony rewizjonista jest taki uparty, że nawet nie zechce słyszeć o szpitalu. Wybuchnie jak Wezuwiusz. A właściwie, czemu by nie poprosić Jael, żeby go najpierw zmiękczyła? Zawsze miał do niej słabość. Sam o tym mówi. Może to dlatego, że uznał Dimiego za swojego prawdziwego wnuka. Wbił to sobie do głowy zupełnie tak samo, jak to, że Indie są krajem arabskim. I że Krochmal spotkał Nietzschego, a ja jestem niedoszłym Toynbeem albo wykolejonym Puszkinem. Typowe idiotyczne rojenia kogoś, kto nie chce spojrzeć prawdzie w oczy.

Kiedy przez myśl przemknęły mu słowa „w oczy”, Fima przypomniał sobie nagle psa, który wykrwawia się na śmierć w grobowych ciemnościach wadi. W swojej wyobraźni zobaczył wyraźnie ostatnie krople krwi zastygające na otwartych ranach i śmiertelne drgawki umierającego stworzenia. W tej chwili z całą ostrością zdał sobie sprawę, że ta potworność także wynika z tego, co dzieje się na terytoriach okupowanych.

– Musimy doprowadzić do pokoju – powiedział do kierowcy. – To nie może tak trwać. Nie sądzi pan, że powinniśmy zdobyć się na wysiłek i zacząć z nimi rozmawiać? To nic strasznego. Od rozmów jeszcze nikt nie umarł. W każdym razie, jeśli chodzi o rozmowy, to jesteśmy w nich sto razy lepsi od nich.

Kierowca powiedział:

– Trzeba ich powybić za młodu. Nie pozwolić, żeby podnieśli głowę. Powinni przekląć dzień, w którym z nami zaczęli. Czy to pana dom?

Fima przeraził się nagle, bo nie był pewien, czy ma w kieszeni dość pieniędzy, żeby opłacić kurs. Postanowił, że da kierowcy dowód osobisty i ureguluje rachunek następnego dnia rano w firmie, która przysłała taksówkę. Gdyby tylko mógł znaleźć ten dowód. Okazało się jednak, że Ted Tobias przewidział taką ewentualność i zapłacił za kurs z góry. Fima podziękował kierowcy, życzył mu szczęścia, a wysiadając zapytał:

– A wobec tego, pana zdaniem, jak długo jeszcze powinniśmy się mordować nawzajem?

– Nawet sto lat, jeśli trzeba – odparł taksówkarz. – Tak było w czasach biblijnych. Nie ma czegoś takiego, jak pokój pomiędzy Żydami i gojami. Albo oni są górą naszym kosztem, albo oni są przegrani, a my ich trzymamy za gardło. Może wreszcie nadejdzie Mesjasz i pokaże im, gdzie ich miejsce. Dobranoc panu. Nie ma ich co żałować. Dla tego kraju byłoby lepiej, gdyby to Żydzi zaczęli współczuć sobie nawzajem. To jest nasz problem.

W holu, tuż pod schodami, Fima zobaczył siedzącego nieruchomo pod skrzynkami na listy tęgiego mężczyznę, który skulił się cały w swoim grubym płaszczu. Fima był tak zaskoczony, że już chciał zrobić w tył zwrot i pobiec za taksówką, która właśnie zawracała w ulicy kawałek dalej. Przez chwilę rozważał możliwość, że ten nieszczęśnik to nikt inny, jak on sam, siedzący tam w oczekiwaniu na świt, bo zgubił klucz do mieszkania. Jednak zaraz przypisał tę myśl na karb zmęczenia, to zresztą wcale nie był człowiek, ale podarty, zwinięty w rulon materac, który pewnie wyrzucił ktoś z sąsiadów. Mimo wszystko Fima zapalił światło i przeszperał nerwowo kieszenie, zanim odnalazł klucz. W skrzynce mignęło mu coś białego, ale postanowił poczekać z tym do rana. Gdyby nie był tak bardzo zmęczony, tak nieprzytomny i gdyby nie

było tak późno, nie poddałby się tak łatwo. Nie wolno puszczać takich słów mimo uszu. Powinien, nie tracąc panowania nad sobą, przedstawić taksówkarzowi wszystkie nieodparte argumenty i przekonać go. To był jego święty obowiązek. Gdzieś w głębi, pod wieloma warstwami zatrutymi okrucieństwem i strachem musi tać się przecież jakaś resztką zdrowego rozsądku. Nie wolno nam tracić wiary, że spod tych wszystkich gruzów można jeszcze wydobyć dobro. Że jest jeszcze szansa, aby kogoś przekonać i otworzyć nowy rozdział. W każdym razie, naszym obowiązkiem jest próbować. Nie wolno bezsilnie rozkładać rąk.

## Nocne życie

A skoro już taksówkarz użył słów „powybijać ich za młodu”, Fima przypomniał sobie o tajemniczym przypadku śmierci Trockiego. Idąc do kuchni po szklankę wody przed snem, zajrzał do kosza pod zlewem, żeby zobaczyć, czy nie ma tam więcej trupów. Kiedy wzrok jego padł na błyszczący aluminium nowy koreański czajnik, zdecydował, że zrobi sobie herbaty. Zanim woda się zagotowała, pochłoniął łąpczywie dwie, a może trzy pajdy czarnego chleba z dżemem. I musiał od razu zażyć tabletkę przeciwko zgadze. Stojąc przed otwartą lodówką, zadumał się nad nieszczęściem Annette. Miał wrażenie, że doskonale rozumie okrutną niesprawiedliwość, jaka ją spotkała, tak jakby dzielił jej upokorzenie i rozpacz. Ale jednocześnie, i nie było w tym żadnej sprzeczności, umiał też zrozumieć jej męża, lekarza, zahukanego, ciężko pracującego człowieka, który przez wiele lat panował nad sobą, pogwizdując od czasu do czasu przez zęby, pukając lekko w różne przedmioty, aż poczuł strach przed starością i zdał sobie sprawę, że to ostatnia chwila, żeby przestać tańczyć, jak mu zagra żona, wyłamać się z tej nieznośnej rutyny i zacząć żyć własnym życiem. Teraz ten cudownie odmłodzony mężczyzna śpi w ramionach swojej przyjaciółki w jakimś włoskim hotelu, z kolanem pomiędzy jej kolanami, ale wkrótce bez wątpienia odkryje, że i ona nosi w majtkach podpaski i używa perfumowanego dezodorantu, aby zatuszować zapach potu. Pozna też inne jej tajemnice, zauważy, jak smaruje się kremami patrząc w lustro, a może nawet kładzie się spać obok niego w lokówkach, zupełnie jak jego żona. I że na rurce od kotary przy prysznicu wieszka upraną bieliznę, z której mu kapie na głowę. Jest

denerwująco zmanierowana i miewa migreny, kiedy w nim właśnie zaczyna wzbierać pożądanie.

– Mannerheim! – krzyknął nagle uradowany Fima. Zmanierowanie ukochanej doktora nasunęło mu na myśl nazwisko fińskiego generała, brakujące do rozwiązania krzyżówki Tamarze. Postanowił, że zaraz do niej zatelefonuje, choć była już prawie druga w nocy. Albo może powinien zadzwonić do Annette? Po głębszym namyśle wziął herbatę, która zdążyła już ostygnąć, usiadł za biurkiem i w niecałe pół godziny napisał krótki artykuł do sobotniego dodatku o bliskim związku pogarszającej się sytuacji na terytoriach okupowanych ze wzrostem znieczulicy, która objawia się na przykład w stosunku do pacjentów kardiologicznych, z których wielu skazanych jest na śmierć – w dosłownym tego słowa znaczeniu – z powodu zbyt długiego oczekiwania na operację, lub tego, że lekarze nie potrafią uzgodnić, jak mogliby się podzielić, by pracować na zmiany, zapewniając całodobową opiekę chorym. Zastanówmy się też nad naszą obojętnością na niedolę bezrobotnych, nowych imigrantów, maltretowanych żon. Pomyślmy, na jakie upokorzenia naraża się bezdomnych starców, chorych umysłowo, ludzi samotnych, dla których nastały ciężkie czasy. Ale ponad wszystko nasze zbydlęcenie objawia się w agresywnym grubiaństwie, które obserwujemy codziennie w urzędach, na ulicy, w ogonkach do autobusów, a najprawdopodobniej także w zaciszu naszych sypialni. W Beer Yaakov mężczyzna chory na raka zamordował żonę i dzieci, bo nie mógł znieść, że żona stała się bardzo religijna. Czterech nastolatków z dobrych rodzin w Hod Hasbaron uwięziło w piwnicy chorą umysłowo dziewczynę i gwałciło ją bez przerwy przez trzy dni i noce. Rozwścieczony ojciec wpadł w szał w szkole w Afuli, ranił sześciu nauczycieli i ogłuszył dyrektora tylko dlatego, że jego córka nie zdała egzaminu z angielskiego dla zaawansowanych. W Holowie policja ujęła gang chuliganów, którzy terroryzowali kilkunastu emerytów, wydzierając im ich marne grosze. Wszystko to wiadomości z jednej tylko wczorajszej gazety. Fima zakończył swój

artykuł cierpkim stwierdzeniem, że znieczulica, przemoc i okrucieństwo szerzące się na terytoriach okupowanych zatruwają resztę kraju, płyną tam i z powrotem, niby nawracająca fala, przybierająca straszliwie na sile, uderzająca co rusz ze zdwojonym impetem, siejąc spustoszenie po obu stronach zielonej linii. Jedynym wyjściem z tego błędnego koła jest zdecydowane i natychmiastowe rozwiązanie konfliktu według zasad określonych sto jeden lat temu przez Misze Josefa Berdyczewskiego w tych prostych słowach: „Żydzi powinni być ważniejsi niż judaizm, a ludzie żywi niż skarby dziedzictwa”. Nic dodać, nic ująć. Odkrył ten cytat wiele lat temu w eseju zatytułowanym „Burzenie i budowa”, który znalazł w jakimś starym piśmie u ojca Jael i którego kserokopię zatknął za radio. Był zachwycony, że wreszcie może zrobić z niego użytek. Po zastanowieniu wykreślił słowo „konflikt” i „błędne koło”. Później gniewnie odrzucił sformułowanie „zdwojony impet” i „przybierająca straszliwie na sile”, ale nie potrafił zdecydować, czym je zastąpić. Odłożył to na następny dzień. Mimo wypitej herbaty i zażytej tabletki przeciwko zgadze, nadal było mu niedobrze. Naprawdę powinien zrobić to, o co prosił Dimi, wziąć mocną latarkę, wyjść w ciemność, poszukać rannego psa, postarać się go uratować. Jeśli to tylko możliwe.

O wpół do trzeciej rozebrał się i wziął prysznic, bo czuł wstręt do samego siebie. Ale strumień wody wcale go nie orzeźwił. Mydło, a nawet woda wydawały się lepkie. W paskudnym nastroju, drżąc z zimna, stanął nagi przed lustrem, zde gustowany widokiem swojego bladego ciała, porośniętego gdzieniegdzie czarnymi kępkami włosów i z wałkiem tłuszczu rysującym się w okolicy pasa. Odruchowo zaczął wyciskać czerwone wypryski na swoich cherlawych piersiach, aż udało się mu wydusić z nich parę białawych kropli. Kiedy dorastał, takie pryszcze zaczęły pojawiać się na jego policzkach i czole. Baruch nie pozwalał mu ich ruszać. Kiedyś powiedział: „Znikną z dnia na dzień, kiedy będziesz miał kobietę. Jeżeli nie uda ci się dobrać sobie przyjaciółki do siedemnastych urodzin, a wszystko na to wskazuje, kochanie – sam

kogoś ci znajde”. Ze smutnym, pełnym nostalgii uśmiechem Fima przypomniał sobie noc przed swoimi siedemnastymi urodzinami – kiedy to leżąc bezsennie miał nadzieję, że ojciec zapomni o swojej obietnicy, a jednocześnie modlił się, żeby o niej pamiętał. A starszy pan, jak to on, tylko tak sobie żartował. A ty, jak zwykle, nie zrozumiałeś go właściwie.

I co teraz, drogi panie premierze? Czy stoisz przed następnym okresem dojrzewania? A może to ten pierwszy jeszcze się nie skończył? W jednym dniu miałeś w ramionach dwie kobiety i udało ci się je obie utracić, narazić na zakłopotanie, a nawet, co gorsza, na upokorzenie. Najwyraźniej będziesz musiał jeszcze poczekać, żeby ojciec koniec końców przypomniał sobie o swojej obietnicy. No popatrz, co oni z tobą zrobili, głuptasie, powiedziała mu we śnie matka. A on, stojąc tak przed lustrem w łazience, nagi i drżący, burknął jej z rozdrażnieniem spóźnioną odpowiedź: Dosyć tego, zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Kiedy to mówił, stanęła mu przed oczami skrzywiona z niesmakiem i zaskoczona twarz Jael, która kilka godzin temu po włączeniu światła w sypialni odkryła go śpiącego w ubraniu pod swoją kołdrą i tulącego jej nocną koszulę. Wyprowadzona z równowagi krzyknęła do Teda, by przyszedł szybko i zobaczył. Tak jakby to jakiś insekt, jakiś Gregor Samsa, zakradł się do jej łóżka. Musiał wyglądać zupełnie idiotycznie, jak jakiś przygłup, kiedy oślepiony światłem zbudził się i usiadł na łóżku, wymięty, i starał się nieudolnie wyjaśnić im, co zaszło. Tak jakby miał nadzieję, że jeżeli zdoła się usprawiedliwić, uzalą się nad nim i pozwolą mu znowu zwinąć się w kłębek i spać dalej. Ale tylko plątał się coraz bardziej, twierdząc najpierw, że Dimi nie czuł się dobrze, a potem mięknąc i zmieniając linię obrony, przedstawiając odwrotną wersję wydarzeń – że Dimiemu nic nie dolega, ale on sam czuje się marnie.

Tobias jak zwykle nie stracił panowania nad sobą, tylko lodowatym tonem oświadczył:



– Tym razem, Fimo, myślę, że trochę przesadziłeś.

I kiedy Jael kładła Dimiego spać, Ted zadzwonił po taksówkę i nawet pomógł Fimie trafić do zdradliwego rękawa, znalazł jego sfatygowaną czapkę, odprowadził go na dół i sam podał taksówkarzowi adres, jakby chciał mieć całkowitą pewność, że Fima nie zmieni zamiaru i nie zapuka znowu do ich drzwi.

A właściwie, czemu by nie?

Winien im był przecież wyjaśnienie.

W tej chwili, stojąc nagi i lepki w łazience, Fima zdecydował się ubrać natychmiast, zadzwonić po taksówkę, wmaszerować z powrotem do ich mieszkania i odbyć z nimi poważną rozmowę, jeżeli trzeba – posiedzą do rana. Miał obowiązek ostrzec ich, że Dimi czuje się nieszczęśliwy. Powiedzieć o nieszczęściu w ogóle. Zmusić ich do bezzwłocznego działania. Unaocznic im w pełni czyhające niebezpieczeństwo. Z całym szacunkiem dla pojazdów odrzutowych, dziecko powinno być najważniejsze. Tym razem nie podda się, po drodze otworzy też oczy taksówkarzowi, przełamując upór i bezduszość – sprzeciwi się temu całemu praniu mózgu i zmusi wszystkich, aby koniec końców uświadomili sobie, że katastrofa wisi na włosku.

Ale kiedy w radio-taxi nikt nie podnosił słuchawki, zmienił zamiar i zatelefonował do Annette Tadmor. Po dwóch dzwonekch zrezygnował. O trzeciej w nocy położył się do łóżka z historią Alaski po angielsku, którą w roztargnieniu wyniósł z mieszkania Teda i Jael, nie pytając ich o zgodę. Przewracał kartki, aż jego wzrok padł na interesujący rozdział dotyczący zwyczajów seksualnych Eskimosów – co wiosną, wybierali oni dojrzałą kobietę, owdowiałą zimą, i przekazywali ją dorastającym chłopcom, co miało stanowić część rytuału ich inicjacji.

Po dziesięciu minutach wyłączył światło. Położył się na boku, podciągając wysoko kolana i nakazał swojemu penisowi spokój, a sobie samemu – sen. Ale znów miał wrażenie, że na dole pustą ulicą

idzie po omacku ślepiec, stukając laską o chodnik i występy muru, Fima wstał, zdecydowany ubrać się i wyjść, żeby zobaczyć, co naprawdę dzieje się w Jerozolimie, kiedy nikt nie patrzy. Miał przemożne, tak jak to bywa w środku nocy, wrażenie, że musi koniecznie zdać relację ze wszystkiego, co zachodzi w tym mieście. Strywializowane określenie „nocne życie” utraciło nagle swoje utarte znaczenie. Oderwane w myślach Fimy od gwarnych kafejek, jaskrawo oświetlonych alei, teatrów, placów i kabaretów, „nocne życie” nabierało zupełnie innego, mrożącego krew w żyłach zabarwienia, w którym nie było ani cienia frywolności. Stare aramejskie wyrażenie *sitra deitkasia* – tajemna, ukryta strona, poraziło Fimę, niby wydobyty z jądra ciemności dźwięk skrzypiec. Przebiegł go dreszcz grozy.

Zapalił światło. Wstał z łóżka i usiadł w swoich długich, pożółkłych kalesonach na podłodze przed brązową szafą. Z trudem otworzył zacinającą się dolną szufladę. Przez jakieś dwadzieścia minut przetrząsał stare notesy, broszury, szkice, fotografie, zapiski i wycinki z gazet, aż wreszcie odnalazł postrzępioną tekturową teczkę z wydrukowanym napisem „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych: Departament Władz Lokalnych”.

Wyciągnął z niej plik starych listów w oryginalnych kopertach. Zaczął przeglądać je systematycznie, zdecydowany, że tym razem nie ustąpi i nie da się zwieść na manowce. W końcu znalazł pożegnalny list Jael. Strony miały numery 2, 3, 4. Najwyraźniej więc strona pierwsza zaginęła. Albo może tylko zabłąkała się do innej koperty. Zauważył, że brakowało też zakończenia listu. Leżąc w samej bieliźnie na podłodze, zaczął czytać, co napisała do niego Jael, kiedy wyjechała do Seattle w 1965 roku. Miała drobny charakter pisma, ani damski, ani męski, ale zaokrąglony i wyrobiony, jej zdania wyglądały jak sznureczki małych perełek. Być może właśnie takiej kaligrafii uczono w porządnych szkołach w zeszłym stuleciu. Fima porównał w myśli to nieskazitelne pismo z własnymi bazgrołami,

które przypominały tłum przepychających się pomiędzy sobą,  
uciekających w panice po druzgocącej kłesce żołnierzy.

### Zapomniałeś siebie

„... w Tobie okropne, ale ja po prostu tego nie rozumiałam. Nadal nie rozumiem. Nie ma podobieństwa pomiędzy uduchowionym, rozmarzonym młodzieńcem, który inspirował i bawił trzy dziewczyny w górach północnej Grecji, i tym leniwym plotkarzem recepcjonistą, który całe ranki obija się w domu, spiera sam ze sobą, słucha co godzina wiadomości, czyta trzy gazety naraz i rozwleka je po całym mieszkaniu, otwiera szafki i zapomina zamknąć, szpera w lodówce i narzeka, że nie ma tamtego czy owego. A co wieczór leci do przyjaciół, wpychając się do nich bez zaproszenia, w nieświeżej koszuli, czapce pamiętajacej lata czterdzieste, i wyklóca się na tematy polityczne do świtu, aż wszyscy dosłownie modlą się, żeby sobie poszedł. Nawet zewnątrz wyglądasz jak coś używanego. Utyłeś, Efi. Może to nie Twoja wina. Twoje oczy, tak niegdyś mądre i marzycielskie, zmętniały. W Grecji umiałeś oczarować Liat, mnie i Ilię, opowiadając od wschodu księżyca do świtu historie o misteriach eleuzyńskich, o kulcie Dionizosa, mojrach – boginiach losu, i eryniach – boginiach straszliwej zemsty, Persefonie z podziemi, i baśniowych rzekach, Styksie i Lete. Pamiętam wszystko dokładnie, Efi, jestem dobrą uczennicą. Tylko czasem zastanawiam się, czy Ty sam coś pamiętasz. Zapomniałeś tamtego siebie.

Leżeliśmy przy strumieniu, a Ty grałeś na fujarce. Wydawałeś się nam niezwykle, uroczy, ale też trochę bałyśmy się Ciebie. Pamiętam, jak pewnego wieczoru Ilię i Liat uplotły wieniec z dębowych liści i włożyły Ci go na głowę. W tamtej chwili mógłbyś kochać się z jedną z nich na moich oczach. Albo nawet z nimi obiema. Nie miałabym pretensji. W Grecji, tamtej wiosny cztery lata

temu byłeś poetą, choć nie napisałeś słowa. Teraz przesiadujesz nocami, zapisując stronę za stroną, ale nie ma już w Tobie poety.

Co nas w Tobie najbardziej ujęło, to Twoja bezradność. Z jednej strony byłeś tak tajemniczy, a z drugiej trochę cudaczny. Jak dziecko. Można było mieć stuprocentową pewność, że jeżeli w dolinie znajdzie się jeden jedyny odłamek szkła, to Ty na niego nastąpisz boso, a jeżeli gdzieś w Grecji spadnie kamyk, to na pewno na Twoją głowę, a jeśli na Bałkanach jest jakaś osa, to użądli tylko Ciebie. Kiedy grałeś na fujarce przed jakąś wiejską chatą lub przy wejściu do jaskini, wydawało się czasem, że Twoje ciało nie jest ciałem, ale myślą.. I odwrotnie – zawsze, kiedy opowiadałeś nam nocą, o czym myślisz, miałyśmy wrażenie, że mogłybyśmy tego dotknąć. Kochałyśmy Cię wszystkie trzy, ale zamiast odczuwać wzajemną zazdrość, każdego dnia byłyśmy sobie coraz bliższe. To było coś cudownego. Liat sypiała z Tobą nocą w naszym imieniu, poprzez Liat sypiałaś właściwie i ze mną, i także z Ilią. Nie umiem tego wyjaśnić i nie muszę. Mogłeś mieć każdą z nas. Ale w chwili, kiedy dokonałeś wyboru, mimo że to ja okazałam się zwyciężczynią, czar prysł. Kiedy zaprosiłeś nas do Jerozolimy na spotkanie z ojcem, nie było już żadnej magii. Potem, kiedy zaczęły się przygotowania do ślubu, stałeś się znużony, roztargniony. Pewnego razu zapomniałeś, że czekam na Ciebie w banku. Kiedy indziej nazwałeś mnie Ilią. Podpisując ten wariacki kontrakt ze swoim ojcem w obecności notariusza, powiedziałeś nagle, że powinien tam być Goethe, żeby zobaczyć, jak diabeł sprzedaje duszę za misę soczewicy. Twój ojciec się roześmiał, a ja przełknęłam łzy. Twój ojciec i ja zajęliśmy się wszystkimi przygotowaniami, a Ty utyskiwałeś, że rozdrabniasz życie na lichtarze i gary. Kiedyś straciłeś panowanie nad sobą i krzyczałeś, że nie możesz wytrzymać w sypialni bez zasłon, nawet w domu publicznym są zasłony. Tupąłeś nogą jak rozkapryszony dzieciak. Nie chodzi o to, że nie miałeś racji, nie mam nic przeciwko zasłonom. Ale w tamtej chwili Grecja się skończyła. Zaczęły się Twoje humory. Pewnego razu urządziłeś mi awanturę, że

przepuszczam pieniądze Twojego ojca, innym razem w związku z tym, że pieniądze ojca nie przyszły na czas, i wiele razy w związku z tym, że używam określenia „w związku z tym”. Co chwila poprawiałeś moje błędy gramatyczne.

Nie jest łatwo z Tobą żyć. Zawsze, kiedy reguluję sobie brwi albo depiluję nogi, patrzysz tak, jakbyś zobaczył pajaka w sałatce. Ale jeśli powiem, że Twoje skarpetki śmierdzą, biadasz, że już Cię nie kocham. Co wieczór marudzisz, czyja to kolej wynieść śmieci i kto wczoraj zmywał, i czy wczoraj było więcej naczyń w zlewie, czy dzisiaj. A potem pytasz, dlaczego w naszym domu rozmawia się wyłącznie o zmywaniu i koszu na śmieci. Wiem, Efi, że to drobiazgi. Możemy nad nimi popracować. Możemy dać temu spokój albo się do tego przyzwyczaić. Małżeństwa nie rozpadają się z powodu śmierdzących skarpetek. Nie staram się nawet dłużej rozwodzić na temat Twoich stałych docinków na temat aerodynamiki i silników odrzutowych, które według Ciebie służą jedynie wojnom i zabijaniu. Tak jakby Twoja żona pracowała dla jakiegoś syndykatu morderców. Udało mi się przywyknąć do Twoich niewybrednych żartów. Twojego narzekania przez cały dzień. I Twoich brudnych chustek do nosa na stole. I do tego, że nigdy nie domykasz lodówki. I że bez przerwy snujesz teorie na temat prawdziwych zabójców Kennedy'ego i kulis tamtego zamachu. Dostałeś werbalnej biegunki, Efi. Nabrałeś nawet zwyczaju spierania się z radiem, poprawiając błędy językowe spikerów.

Gdybyś spytał, kiedy konkretnie zaczęłam się od Ciebie oddalać, w której chwili, i co mi takiego zrobiłeś, nie umiałabym Ci odpowiedzieć. Po prostu – nie wiem. Ale wiem, że w Grecji byłeś żywy, a tu w Jerozolimie już nie. Teraz to tylko pusta egzystencja i robisz wszystko, żeby nawet ona wydawała się bez sensu. Jesteś infantylnym, trzydziestoletnim mężczyzną. Wierną repliką swojego ojca, ale bez jego staromodnego wdzięku, dobroci, galanterii i, jak na razie, jego koziej bródki. Nawet w łóżku zacząłeś zastępować miłość uległością. Stałeś się pochlebcą. Ale tylko dla kobiet. Z Urim, Cwika

i resztą swoich kumpli wiesz wiesz wieczny bój w nocnych debatach. Od czasu do czasu przypominasz sobie, że wypadałoby rzucić Ninie, mnie albo Szuli jakiś komplement. Może być taki sam dla każdej z nas, bez różnicy. Jakieś pochlebstwo w dowód wdzięczności – wymienite ciasto, świetnie ci w nowej fryzurze, co za śliczna roślina. Nawet jeśli ciasto jest kupne, uczesanie wcale nie nowe, a roślina to tylko wazon z kwiatami. Wszystko po to, żebyśmy siedziały cicho i nie przeszkadzały Tobie i Twoim kumplom w waszych ciągnących się w nieskończoność sporach na temat afery Lavona, upadku Kartaginy, kryzysu kubańskiego, procesu Eichmanna, antysemityzmu Pounda i Eliota albo tego, co kto przewidział w dyskusji, którą wiedliście na początku zimy.

W grudniu, kiedy poszliśmy do Uriego i Niny na przyjęcie, które Szula urządziła, żeby zrobić Cwice niespodziankę z okazji jego doktoratu, przez cały wieczór musiałeś grać pierwsze skrzypce. Byłeś złośliwy, jakby Cię coś napadło. Zauważyłam, że kiedy tylko zaczynam coś mówić, patrzysz na mnie jak kot na jakiegoś robaka. Tylko czekałeś, kiedy przerwę na chwilę, żeby nabrać powietrza albo znaleźć odpowiednie słowo, i wtedy spadałeś niby czatujący jastrząb na moje zdanie i kończyłeś je sam. Żeby przypadkiem nie powiedziała czegoś głupiego albo nie stanęła po stronie Twoich przeciwników, albo nie zabierała ci czasu, albo nie skradła Twojej myśli. Bo to Ty miałeś być jedyną gwiazdą wieczoru. Tak jak zawsze. Co nie przeszkadzało Ci obejmować mnie podczas rozmowy – podobnie zresztą jak przytulałeś od czasu do czasu Ninę i Szulę – żartowałeś, że być może dzięki mnie latają samoloty, ale w tym sporze poradzisz sobie świetnie sam, bez osłony lotnictwa. I rzeczywiście poradziłeś sobie doskonale. Do pierwszej w nocy z koncepcji Cwika nie zostało ani śladu, obaliłeś ją systematycznie, chociaż cytował Cię w przypisach i uznał za stosowne wyrazić Ci specjalne podziękowania w swojej pracy. A potem zadziwiłeś wszystkich, budując z gruzów obalonej idei zupełnie nową, własną teorię. Zaprzeczenie poprzedniej. Im bardziej Cwika starał się bronić, tym

bardziej stawiałeś się złośliwy i okrutny. Nie pozwoliłeś mu skończyć żadnego zdania. Aż wreszcie Uri wstał i udał, że gwizdże na koniec rundy. Stwierdził, że znokautowałeś przeciwnika i że Cwi powinien wyjść i zacząć sobie szukać pracy jako kierowca autobusu. A Ty powiedziałeś: Dlaczego właśnie autobusu? Może Jael będzie mogła wsadzić go do jednej ze swoich rakiet i wysłać wprost na dwór Ferdynanda i Izabeli, żeby mógł sprawdzić, co tam się naprawdę stało, i napisać nową pracę. Kiedy w końcu Ninie udało się zmienić temat i rozmawialiśmy o filmie z Fernandem, Ty po prostu zasnąłeś w fotelu. Nawet chrapałeś. Ledwo dowlokłam Cię do domu. Ale kiedy dotarliśmy tam o trzeciej w nocy, Ty jak na złość nagle się ożywiłeś, zacząłeś naśmiewać się z nich wszystkich, opowiedziałeś mi krok po kroku o swoim zwycięstwie. Potem oświadczyłeś, że zasługujesz na prawdziwie królewskie pieprzenie, zapracowałeś na nie w pocie czoła. Takie prawo przysługiwało w dawnej Japonii zwycięskiemu samurajowi. Spojrzałam na Ciebie i nagle zobaczyłam, że mam przed sobą nie żadnego samuraja, ale zbuntowanego uczniaka, sprowadzonego na manowce sofistyki i kazuistyki, zapalczywego i niezbyt bystrego. Zupełnie się zapomniałeś.

Musisz zrozumieć, Efi – nie wypominam Ci tej Twojej wielkiej nocy u Gefenów, żeby się usprawiedliwić. To coś, czego nie udało mi się zrobić nawet przed samą sobą. Przynajmniej nie w słowach. Przecież to nie Twoja wina, że urósł ci brzuszek. Nie przekreśla się małżeństwa tylko dlatego, że ktoś wycina sobie włoski w jednej dziurce od nosa, a zapomina o drugiej. Albo zapomina spuścić wodę w ubikacji. Zwłaszcza że wiem, iż mimo całej małostkowości i stałych docinków nadal za mną na swój sposób przepadasz. Może nawet bardziej niż wtedy po powrocie z Grecji, kiedy z jakichś powodów to ja okazałam się szczęśliwą wybranką, choć właściwie nie bardzo umiałeś nas rozróżnić. Może to jest tak – jesteś we mnie zakochany, ale nie kochasz mnie naprawdę. Na pewno powiesz, że bawię się grą słów. Ale chodzi mi o to, że dla Ciebie miłość oznacza chęć bycia dzieckiem. Chcesz, żeby Cię karmić, zmieniać Ci pieluchy



i przede wszystkim wielbić bez przerwy – dzień i noc. Żeby Cię nieustannie podziwiać.

Wiem, że sama sobie zaprzeczam. To prawda, że wyszłam za Ciebie, bo ujęła mnie Twoja grecka dziecinność, a teraz, kiedy Cię opuszczam, narzekam, że jesteś dziecinny. W porządku, przyłapałeś mnie na braku konsekwencji. Ciesz się. Czasami mam wrażenie, że jeśli miałbyś wybierać pomiędzy radością z seksu i przyłapania mnie na braku logiki, to drugie uznałbyś za bardziej podniecające i dające więcej satysfakcji. Zwłaszcza że nie ma w tym ryzyka ciąży. Co miesiąc panikujesz, czy przypadkiem nie postarałam się po cichu uziemić Cię dzieciakiem. Co nie przeszkadza Ci wcale dawać do zrozumienia swoim przyjaciółom, że nie mamy dzieci, bo prawdziwymi dziećmi Jael są silniki odrzutowe.

Kilka miesięcy temu, pewno już zapomniałeś, zbudziłam się przed świtem i powiedziałam: „Efi, mam dość, chcę odejść”. Nie spytałeś, dlaczego ani gdzie. Spytałeś: „Jak to? Odleczysz na miotle odrzutowej?”. I w tym miejscu dochodzimy do Twojej niepokonanej zazdrości o moją pracę. Świadczą o niej te wszystkie uszczypliwe powiedzonka. To prawda, że nie wolno mi ujawniać szczegółów dotyczących naszego projektu. Ale Ty w tej dyskrekcji dopatrujesz się zdrady. Tak jakbym miała kochankę. I to nie byle jakiego kochankę, ale kogoś zasługującego na pogardę. Jak to możliwe, że kobieta, którą spotkał wyjątkowy zaszczyt zostania Twoją małżonką, nie potrafi się tym zadowolić? Jak może interesować się czymkolwiek poza Tobą? A w dodatku czymś tak podejrzanym? Oczywiście, nawet gdybym mogła opowiedzieć Ci o naszym projekcie, nic byś z tego nie zrozumiał. Nawet nie udawałbyś, że Cię to obchodzi. Przeciwnie. Już po chwili Twoje myśli powędrowałyby swoim torem, albo byś zasnął, albo zmienił temat. Przecież Ty nie potrafisz nawet zrozumieć, jak działa wiatrak elektryczny. W porządku. Dochodzimy teraz do sedna sprawy.

Sześć tygodni temu, kiedy dostałam zaproszenie z Seattle i w sobotę wieczór przyjechali do nas Ci dwaj pułkownicy, żeby z Tobą pomówić i wyjaśnić, że to właśnie z ich inicjatywy dostałam zaproszenie i że moja współpraca z Amerykanami w ciągu najbliższych kilku lat jest „sprawą wagi państwowej”, Ty tylko nabijałeś się z nich i ze mnie. Zacząłeś nas pouczać, że to określenie usprawiedliwia zwykle największe szaleństwa. Zachowywałeś się jak szejk z Arabii Saudyjskiej. Na koniec dałeś im z grubsza do zrozumienia, żeby trzymali się z daleka od Twojej własności i wyrzuciłeś ich z mieszkania. Do tamtego wieczora przynajmniej częśćka mnie pragnęła nadal przekonać Cię, abyś pojechał ze mną. Słyszałam, że okolice Seattle są naprawdę baśniowe. Fiordy, góry pokryte śniegiem. Mógłbyś uczęszczać na jakieś wykłady na uniwersytecie. Może zmiana klimatu, nowy krajobraz i odcięcie od izraelskich gazet i wiadomości zadziałałyby ożywczo. Może z dala od swojego ojca i przyjaciół w Jerozolimie mógłbyś znowu zacząć pisać. Zamiast rozdrabniać się w polemikach, pełnych buntu i uszczypliwości.

Spróbuj zrozumieć, Efi. Wiem, jak zawsze o mnie myślałeś. Jael Levin, dziewczuszka z Yavne. Trochę głupiutka, nawet jeśli dość urocza. Miła, ale ograniczona. A mimo to nasi specjaliści, podobnie jak Amerykanie, wierzą, że mój projekt jest obiecujący. Jestem dla nich ważna. To dlatego zdecydowałam się jechać. Dla Ciebie nie jestem ważna, choć jesteś we mnie zakochany. Albo zakochany w miłości do mnie. Lub tak bardzo zajęty swoimi sprawami, że żal Ci czasu i sił, żeby spróbować przestać mnie kochać.

Jeśli chcesz, możesz przyjechać. Przyślę Ci bilet. Albo Twój ojciec może Ci opłacić podróż. A jeśli nie chcesz, to zobaczymy, co będzie. Celowo nie wspomniałam o tym, co mnie najbardziej boli. To może poczekać. Ja o tym nie wspominałam i Ty też nie. Może to właśnie dobrze, że pobędziemy z dala od siebie. Czasami myślę, że tylko prawdziwy wstrząs, katastrofa, mogłyby Ci pomóc oprzytomnieć, wyrwać się z błędnego koła – Twoich gazet, kłótni i

serwisów wiadomości. Kiedyś byłeś głęboki, teraz robisz wrażenie żyjącego sztucznym życiem. Nie gniewaj się, Efi. I nie staraj się zaprzeczyć wszystkiemu, co napisałam, albo stawiać z kolei zarzutów pod moim adresem, albo podważać wszystkich moich argumentów, czy ze mną wygrać. Nie jestem Twoim wrogiem. Pokonanie mnie nic Ci nie pomoże. Może mój wyjazd do Ameryki będzie dla Ciebie szokiem, który Cię otrzeźwi. W porządku, to banał. Wiedziałam, że tak powiesz. Kiedy wyjadę, będziesz mógł znowu się zakochać. Albo możesz być dalej we mnie zakochany, bez konieczności godzenia się z tym, że przed grzejnikiem w sypialni suszy się moja bielizna w zimie. I jeszcze coś – staraj się skoncentrować. Spróbuj nie paplać całymi dniami, zawracając wszystkim głowę. Nie poprawiaj wszystkiego i wszystkich. Nie zdzieraj gardła. I tak nikt Cię nie słucha. Może powinieneś odnaleźć Liat i Ilię? Wrócić do Grecji? Czasami, kiedy zdarza się, że muszę zostać w pracy przez kilka dni, pracując sama nocami, jedząc szybko byle co, żeby nie tracić czasu, mam nagle...

Fima złożył urwany w pół zdania list i wsunął go z powrotem do koperty. Potem włożył ją do teczki z Departamentu Władz Lokalnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a wraz z nią umieścił znowu w dolnej szufladzie. Minęło wpół do czwartej. Gdzieś daleko piał kogut. W ciemności uporczywie czekał pies, a ślepiec wciąż ostukiwał laską puste ulice. Przez chwilę Fimie wydawało się, że słyszy głos muezina wzywającego wiernych do modlitwy w miasteczku Beit Safafa. Wrócił do łóżka, zgasił światło i zaczął układać w myśli brakujący dalszy ciąg. Ale wkrótce zasnął. Miał za sobą długi dzień.

**W klasztorze**

W jego śnie spośród burzy śnieżnej wyłonił się Uri, który namawiał go, aby uwolnił się od Annette, która umiera w szpitalu brytyjskiej marynarki wojennej z powodu komplikacji przy porodzie. Ruszyli saniami przez ośnieżony las, aż dotarli do budynku, który mgliście przypominał Klasztor Drzewa Krzyża w Jerozolimie. Drogę tarasowali im ludzie z połamanymi rękami i nogami. Jęcząc wili się po podłodze korytarza. Krwawili. Uri powiedział: to tylko Kozacy, możesz po nich przejść. Wreszcie za klasztorem ukazała się przed nimi przyjemna grecka tawerna z ogródkiem, tarasem ocienionym winoroślą i nakrytymi stolikami. Pośród nich stało coś w rodzaju lektyki. Kiedy Fima rozsunął aksamitne zasłony, zobaczył, jak jego zapłakana żona oddaje się z zapalem uprawianiu miłości z jakimś ciemnym, wyschniętym mężczyzną, który leży pod nią wydając słabe jęki. W przyływie nagłego przerażenia Fimie zaświtało w głowie, że Jael kopuluje ze zmarłym. To były zwłoki tamtego arabskiego chłopca, o którym mówiono w wiadomościach, którego zamordowaliśmy w Gazie – strzałem w głowę.

### **Fima gubi się w lesie**

Po zapisaniu tego w swoim notatniku, drzemał do siódmej. Rozczochrany i wymięty, pełen obrzydzenia do nocnego zapachu swojego ciała, zmusił się, żeby wstać. Darował sobie ćwiczenia przed lustrem. Ogolił się bez zacinania. Wypił dwie filiżanki kawy. Na samą myśl o chlebie z dżemem i jogurcie dostawał zgagi. Majaczyło mu, że tego ranka musi się zająć czymś nie cierpiącym zwłoki, ale za skarby nie mógł sobie przypomnieć, o co chodzi, ani dlaczego miałyby to być aż tak pilne. Zdecydował więc, że zejdzie na dół po list, który zeszłego dnia zobaczył w skrzynce, i po gazetę, przeznaczając na te czynności nie więcej niż piętnaście minut. Potem zaraz siądzie do pracy i nie wstanie, zanim nie skończy artykułu, którego nie zdołał dokończyć w nocy.

Kiedy włączył radio, zorientował się, że wiadomości już się kończą. Spodziewano się przejaśnień w ciągu dnia. Na wybrzeżu mogą wystąpić przelotne deszcze. Podczas gdy na północy nadal można obawiać się mrozów. Ostrzegano kierowców przed poślizgiem na mokrych drogach, proszono ich o ograniczenie szybkości oraz unikanie ostrego hamowania i gwałtownych skrętów.

Co oni, mruknał Fima. Czemu nie dadzą mi spokoju? Za kogo oni mnie biorą? Za szofera? Rolnika z północy? Pływaka z wybrzeża? Dlaczego uprasza się nas i ostrzega, kiedy ktoś powinien wziąć na siebie odpowiedzialność i powiedzieć: ja proszę, ja ostrzegam. To czyste szaleństwo. W tym kraju wszystko się wali, a oni martwią się przymrozkiem. A tak naprawdę, to może właśnie nagłe hamowanie i ostry skręt byłyby w stanie ustrzec nas przed katastrofą. Ale nawet to jest wątpliwe.

Fima wyłączył radio i zadzwonił do Annette Tadmor – powinien się wytłumaczyć, a przynajmniej okazać jakieś zainteresowanie jej losem. Z tego, co wiedział o życiu, wynikało, że jej mąż równie dobrze może mieć już dosyć tamtej włoskiej operetki. Całkiem prawdopodobne, że w środku nocy, taszcząc parę waliz, potulnie wrócił do domu i padł Annette do nóg. Czy mogła mu wyznać, co pomiędzy nimi zaszło? I czy on przypadkiem nie zjawi się tu zaraz z nabitym pistoletem? Z przyzwyczajenia albo dlatego, że był zaspany, Fima nakręcił przez pomyłkę numer Cwika Kropotkina. Cwi zachichotał i powiedział, że chociaż właśnie się goli, już się zastanawiał, co się dziś rano Fimie stało, czy o nich zapomniał? Do Fimy nie dotarła ironia tych słów.

– Co ty mówisz, Cwika? Pewnie, że o was nie zapomniałem. Nigdy o was nie zapomnę. Myślałem tylko, żeby dla odmiany nie dzwonić zbyt wcześnie. Widzisz, pomału się poprawiam. Może jeszcze nie jestem zupełnie stracony.

Kropotkin obiecał, że zadzwoni za pięć minut, kiedy tylko skończy się golić.

Po upływie pół godziny Fima schował dumę do kieszeni i znowu zadzwonił do Cwika.

– No i kto tu o kim zapomina? Masz dla mnie parę minut? – i nie czekając na odpowiedź powiedział, że chciałby się poradzić w związku z artykułem, który zaczął pisać w nocy, a teraz nie jest pewien, czy sam się z sobą zgadza. Sprawa wygląda następująco. Dwa dni temu w „Ha'arets” ukazało się sprawozdanie z przemowy Giintera Grassa do studentów w Berlinie. To było odważne, uczciwe wystąpienie. Grass potępił okres nazizmu, a także wszystkie modne porównania okrucieństw współczesnych do zbrodni hitlerowskich, włączając w to często spotykane zestawianie Niemiec hitlerowskich z Izraelem lub Afryką Południową. Jak dotąd wszystko jest jak trzeba.

– Fimo – przerwał mu Cwi – ja to czytałem. Mówiliśmy o tym przedwczoraj. Przechodź do sprawy. O co ci chodzi?

– Właśnie to robię – powiedział Fima. – Ale najpierw, wyjaśnij mi jedno. Dlaczego ten Grass upiera się nazywać nazistów „oni”, skoro ja i ty, przez wszystkie te lata, kiedy tylko piszemy o okupacji, zdradzie wartości moralnych, niesprawiedliwościach na terytoriach okupowanych, nawet o wojnie w Libanie, zawsze i bez wyjątku, używamy zaimka „my”? A przecież Grass był żołnierzem wermachtu! Tak samo jak i ten drugi, Heinrich Böll. Codziennie rano salutował, wykrzykując to ich „Heil Hitler!” A teraz nazywa ich „oni”. Podczas gdy ja, którego stopa nie postąpiła w Libanie, choć nigdy nie służyłem na terytoriach okupowanych, więc moje ręce są na pewno czystsze niż Güntera Grassa, mówię i piszę niezmiennie „my”. „Nasze winy”. I nawet: „krew niewinnie przez nas przelana”. Co to jest to „my”? Jakaś pozostałość z wojny niepodległościowej: Jesteśmy zawsze w pogotowiu, jesteśmy tu, jesteśmy Palmachem? Kto to jest „my”, koniec końców? Ja i rabin Levinger? Ty i rabin Kahane? Co to w ogóle znaczy? Czy myślałeś o tym kiedy, profesorze? Może już czas, żebyśmy wszyscy, ja i ty, poszli w ślady Grassa i Bölla. Może my wszyscy powinniśmy zacząć używać wyłącznie, świadomie i z emfazą, tego „oni”. Jak myślisz?

– Słuchaj – powiedział Cwi ze znużeniem – chodzi o to, że w ich przypadku dotyczy to przeszłości, podczas gdy u nas dzieje się to nadal i na tym polega problem.

– Czyś ty oszalał? – wybuchnął rozwścieczony Fima. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Co rozumiesz przez to, że u nich to tylko przeszłość, a u nas czas teraźniejszy? I co, u diabła, rozumiesz przez „to”? Co konkretnie według ciebie jest skończone i zamknięte raz na zawsze w Berlinie, ale nadal rozgrywa się w Jerozolimie? Czy ty zupełnie straciłeś rozum, profesorze? Przecież ty stawiasz pomiędzy nimi a nami znak równości! Co gorsza, imputujesz, że Niemcy mają nad nami moralną przewagę, bo oni położyli wszystkiemu kres, a my, biedaczyska, dalej się w tym babrzemy. Kto ty niby jesteś? George Steiner? Radio Damaszek? To właśnie to

plugawe porównanie, które potępia i nazywa demagogią nawet Grass, wychowanek wermachtu!

Pasja Fimy się wypaliła. Mówił teraz ze smutkiem, jak do dziecka, które się skaleczyło śrubokrętem, bo uparcie puszczało ostrzeżenia starszych mimo uszu.

– Sam widzisz, Cwiko, jak łatwo jest dać się złapać w pułapkę. Chodzimy po linie.

– Uspokój się, Fimo – poprosił Cwi Kropotkin, choć Fima był już spokojny. – Jest dopiero ósma rano. Czemu się na mnie rzucasz w ten sposób? Wpadnij któregoś wieczora, posiedzimy i omówimy to bez nerwów. Mam trochę brandy z Francji, które przywiozła nam siostra Szuli. Ale nie w tym tygodniu. Jest koniec semestru i jestem okropnie zajęty. Chcą zrobić mnie dziekanem wydziału. Mógłbyś wpaść w przyszłym tygodniu? Martwię się o ciebie, Fimo. Nina mówiła Szuli, że jesteś znowu trochę przygnębiony.

– No to co, do diabła, że nie ma jeszcze ósmej? Czy poza godzinami pracy nie odpowiadamy już za to, co mówimy? Czy to obowiązuje tylko od ósmej do czwartej, z przerwą obiadową, i tylko w dni powszednie? Jestem zupełnie poważny. Daj na chwilę spokój z Szulą i Niną, i swoim brandy. Jestem przygnębiony tylko dlatego, że wy wszyscy nie jesteście ani trochę tak przygnębieni, jak trzeba, biorąc pod uwagę to, co się dzieje. Czy widziałeś dziś rano gazetę? Chciałbym, żebyś potraktował wszystko to, o czym mówiłem, jako propozycję do porządku dnia. Pod hasłem ochrony języka przed coraz większym zachwaszczeniem. Postuluję, abyśmy od tej pory przestali po prostu używać słowa „my”.

– Fimo – powiedział Cwi. – zaczekaj chwilkę. Zastanów się nad sobą. Co to jest to pierwsze „my”, a co drugie? Coś ci się pokręciło, kochany. Ale może dajmy temu na razie spokój. Pomówimy w przyszłym tygodniu. Bezpośrednio. Nie można roztrząsać takich spraw przez telefon. Muszę pędzić.



Fima nie dał jednak za wygraną.

– Pamiętasz – ciągnął dalej – ten słynny cytat z wiersza Amira Gilboa: „Nagle, budząc się pewnego ranka czujemy, że jesteśmy narodem i ruszamy”. To jest właśnie ten absurd, o jakim mówię. Ale przede wszystkim, z ręką na sercu, profesorze, czy zdarzyło ci się kiedy wstać rano i poczuć, że jesteś narodem? Najwcześniej po obiedzie. A w ogóle, kto mógłby czuć się narodem z samego rana? I jeszcze do tego „wyruszyć”? Może Geula Cohen, Tak. Ale kto inny, budząc się rano, nie czuje się paskudnie?

Kropotkin zaśmiał się. Fimie dodało to tylko skrzydeł.

– Słuchaj. Teraz poważnie. Nadszedł czas, żeby przestać czuć się jak naród. Przestać ruszać. Skończmy z tą bzdurą. Usłyszałem głos i wyruszyłem. Gdziekolwiek nas pošlesz, pójdziemy. To na wpół faszystowskie motywy. Ty nie jesteś narodem. Ja nie jestem narodem. Nikt nie jest narodem. Ani rano, ani wieczorem. A tak przy okazji, my naprawdę nie jesteśmy narodem. Co najwyżej czymś w rodzaju plemienia.

– No widzisz, sam stale brniesz w to „my” – zachichotał Cwi. – Jesteś trochę pomyłony. Zdecyduj się wreszcie. Jesteśmy „my”, czy nie? W domu powieszono go nie mówi się o sznurze. No nic. Przepraszam, ale teraz naprawdę muszę kończyć i bieć. A przy okazji, słyszałem, że Uri wraca w końcu tygodnia. Może zorganizujemy coś w sobotę wieczór? Do zobaczenia.

– Oczywiście nie jesteśmy narodem – upierał się Fima, głuchy na wszystko i uniesiony poczuciem własnej racji. – Jesteśmy prymitywnym plemieniem. Szumowiną. Ale ci Niemcy, Francuzi i Anglicy nie mają prawa traktować nas z góry. W porównaniu z nimi jesteśmy święci. Nie wspominając już o reszcie tego świata. Widziałeś dzisiejszą gazetę? Czytałeś o wizycie Szarona w Netanji? A co zrobili z tym starym Arabem w Ashdod?

Kiedy Cwi tłumacząc się spóźnieniem, odwiesił słuchawkę, Fima nadal perorował do obojętnego buczenia w słuchawce:

– Aleśmy się doczekali.

Miał na myśli wszystko razem – państwo Izrael, pokojowo nastawioną lewicę, siebie samego i swojego przyjaciela. Ale po odłożeniu słuchawki przemyślał to od nowa i zmienił zdanie. Nie trzeba popadać w histerię. O mało co nie zadzwonił znowu do Cwika, żeby ostrzec go przed rozpaczą i histerią, która czai się dziś wszędzie. Zrobiło mu się wstyd, że był taki opryskliwy dla swojego wypróbowanego przyjaciela, wykształconego i inteligentnego człowieka, jednego z ostatnich rozsądnych ludzi, jakich znał. Choć przygnębiała go nieco myśl, że ten przeciętny naukowiec zostanie teraz dziekanem i zajmie miejsce swoich słynnych poprzedników, w porównaniu z którymi jest Pigmejem. W tym miejscu Fima przypomniał sobie, jak osiemnaście miesięcy temu, kiedy przyjęto go do szpitala Hadassah na operację wyrostka, Cwika zaoferował mu pomoc swojego brata, lekarza, a także swoją i Szuli. Oboje naprawdę nie odstępowali jego łóżka. Kiedy został, Cwi z Gefenami i Tedem zorganizowali dyżury, żeby opiekować się nim przez całą dobę, na okrągło. A on dostał wysokiej gorączki, zachowywał się jak zepsuty dzieciak i zawracał im nieustannie głowę. A teraz nie tylko obraża Cwikę, ale przeszkadza mu w goleniu i doprowadza do tego, że może spóźni się na swój wykład. I to w dodatku w chwili, kiedy właśnie ma objąć stanowisko dziekana. Dziś wieczór zadzwonię do niego znowu, postanowił Fima. Przepraszę i postaram się jeszcze raz wyjaśnić mu swoje stanowisko. Ale z umiarem i chłodną logiką. I nie zapomnę poprosić, żeby ucałował ode mnie Szulę.

Fima pospieszył do kuchni, bo miał wrażenie, że przed rozmową z Cwiką włączył swój nowy czajnik, który pewno poszedł teraz w ślady swojego poprzednika. W połowie drogi zatrzymał go dzwonek telefonu. Przez chwilę Fima wahał się, gdzie ma najpierw biec. Wreszcie chwycił słuchawkę. Usłyszał głos ojca.

– Zaczekaj minutę, Baruch. Coś się pali.

Wpadając do kuchni, zobaczył, że czajnik cały i zdrowy wesoło lśni na marmurowym blacie. Więc był to tylko jeszcze jeden fałszywy alarm. Ale w pośpiechu Fima stracił z półki i potłukł czarne radio tranzystorowe. Wracając zdyszany do telefonu powiedział:

– W porządku. Słucham.

Okazało się, że starszy pan chciał go poinformować, że znalazł jakichś robotników, którzy przyjdą w przyszłym tygodniu odnowić mieszkanie.

– To Arabowie z miasteczka Abu Dis, więc wszystko będzie z twojego punktu widzenia koszerne, Efraimie.

To nasunęło mu na myśl uroczą chasydzką przypowieść. Dlaczego, zgodnie z żydowską tradycją, sprawiedliwi w Raju mogą wybierać pomiędzy lewiatanem a dzikim wołem? Bo zawsze może znaleźć się jakiś superwybredny Żyd, który uprze się, żeby jeść rybę, bo nie dowierza, czy u Wszechmogącego dania są rytualnie czyste.

Ciągnął dalej, wyjaśniając kolejno najbardziej oczywisty morał tej historii i jej prawdziwe znaczenie, aż Fimie wydało się, że ze słuchawki, przez druty telefoniczne, zaczyna przenikać do niego szczególnie zapach ojca – ten wschodnioeuropejski koktail łączący ślad perfum z duszną aurą nie wietrzonych kołder, oparami gotowanej ryby z marchewką i lepkich likierów. Poczul wstręt, którego się wstydził, i atawistyczną potrzebę, żeby sprowokować ojca, zanegować wszystkie jego świętości i wyprowadzić go z równowagi.

– Posłuchaj, tato. Posłuchaj uważnie. Po pierwsze, co do Arabów. Wyjaśniałem ci już setki razy, że nie uważam ich bynajmniej za niewiniątka. Nie rozumiesz, że nasza różnica zdań nie polega na tym, co koszerne, a co niekoszerne, co to jest piekło czy niebo, ale na tym, czym ma być człowieczeństwo – ich i nasze.

Baruch zgodził się bez sprzeciwu.

– Oczywiście – powiedział nucąc sobie pod nosem nikt nie przeczy, że Arabowie też zostali stworzeni na obraz i podobieństwo boskie. Poza samymi Arabami, Fimuszko. Na nasze nieszczęście oni nie zachowują się jak ludzie stworzeni przez tego samego Boga.

Fima w jednej chwili zapomniał, że przysiągł sobie za wszelką cenę uniknąć wdawania się w dyskusje polityczne z ojcem. Zaczął z furją wyjaśniać mu, raz na zawsze, że nie powinniśmy być jak pijany ukraiński furman, który zatłukł konia, kiedy ten przestał pokornie ciągnąć jego wóz. Czy Arabowie na terytoriach okupowanych to nasze muły robocze? Co ty sobie myślisz, że oni zawsze będą dla nas rąbać drewno i nosić wodę, po wieki wieków, amen? Że zadowolą się odgrywać w nieskończoność rolę naszej służby domowej? Czy oni nie są też ludźmi? Każda Zambia i Gambia jest już niepodległym państwem, to dlaczego Arabowie z terytoriów okupowanych mieliby świętek, piątek szorować nasze klozety, zamiatać ulice, zmywać naczynia w restauracjach, podcierać tyłki na oddziałach geriatrycznych i potem jeszcze mówić dziękuję? Jak ty byś się czuł, gdyby jakiś najpodlejszy ukraiński antysemita planował taką przyszłość dla Żydów?

Określenie „służba domowa” lub może „najpodlejszy ukraiński antysemita” nasunęło starszemu panu na myśl historyjkę, która wydarzyła się naprawdę w małym miasteczku na Ukrainie. Jak zwykle opowieść pociągnęła za sobą długi łańcuch wyjaśnień i morałów.

W końcu Fima zupełnie wyprowadzony z równowagi wrzasnął, że nie potrzebuje żadnych robotników, a Baruch, u diabła, powinien wreszcie przestać wtykać nos w jego sprawy, skończyć z tym subwencjonowaniem go, planowaniem remontów i swatami.

– Może zapomniałeś, tato, ale ja, zdaje się, mam już pięćdziesiąt cztery lata.

Kiedy skończył, starszy pan powiedział ugodowo:

– Oczywiście, kochanie. Oczywiście. Chyba nie miałem racji. Zgrzeszyliśmy, zawiniliśmy, popełniliśmy wykroczenie. W takim razie spróbuję znaleźć ci jakąś przyjemną żydowską ekipę remontową. Żeby nie było w tym nawet śladu wyzysku kolonialnego. Zakładając, że taki ideał jest w naszym kraju w ogóle możliwy do spełnienia.

– I o to właśnie chodzi – zapiał tryumfalnie Fima. – W całym tym nieszczęsnym kraju nie znajdzie się jednego murarza, sanitariusza ani ogrodnika Żyda. Oto czego dokonały terytoria okupowane dla syjonistycznego marzenia! Arabowie budują nasze państwo, podczas gdy my rozpieramy się za stołem, objadając się mięsem lewiatana i dzikiego wołu. A potem mordujemy ich i ich dzieci za to tylko, że mają czelność nie cieszyć się i nie okazywać należytej wdzięczności za zaszczyt odtykania zlewów dla wybranego narodu, zanim nadejdzie Mesjasz.

– Mesjasz – zastanowił się ze smutkiem Baruch – może on już jest pomiędzy nami. Niektórzy powiadają, że jest. Niewykluczone, że to z powodu takich zuchów jak ty nie ujawnił się jeszcze. Jest takie opowiadanie o świątobliwym rebie Urim, dziadku poety Uriego Cwiego Grienberga, który pewnego razu zabląkał się w lesie...

– A niechże się błąka! – przerwał Fima. – Niech przepadnie na zawsze! Razem ze swoim wnukiem. I cały ten Mesjasz, nie mówiąc już o jego ośle.

Starszy pan zakaszłał i odchrząknął, niby sędziwy nauczyciel, który za chwilę ma wygłosić mądrą przemowę, ale zamiast udzielić Fimie reprimendy, spytał tylko ze smutkiem:

– To taki z ciebie humanista? I to ma być głos orędownika pokoju? Miłośnik ludzkości życzy bliźniemu, żeby zabląkał się w lesie? Obrońca islamu modli się, żeby świątobliwi Żydzi przepadli?

Przez chwilę Fima był zupełnie zbity z tropu. Żałował, że źle życzył rabinowi zabląkanemu w lesie. Ale szybko otrząsnął się i zaatakował, zaskakując ojca z innej strony:

– Posłuchaj, Baruch. Słuchaj uważnie. Jeśli chodzi o islam. Chciałbym przeczytać ci słowo po słowie, co piszą w encyklopedii o Indiach.

– Teraz znowu Indie! – zarechotał staruszek. – Ale co mają do tego wszystkiego Indie? Demon, który opętał ciebie i twoich przyjaciół, Fimuszka, nie pochodzi z Indii, jest aż nadto europejski. Co za hańba, że wartościowi młodzi ludzie jak ty postanowili sprzedać całe żydowskie dziedzictwo za miskę soczewicy, wymienić ją na ten pełen zakłamania europejski pacyfizm. Chcesz być Jezusem z Nazaretu. Chcesz dać chrześcijanom nauczkę nadstawiając drugi policzek. Kochasz swoich wrogów, a nienawidzisz Uriego Cwiego i nawet jego świątobliwego dziadka. Po uszy już mieliśmy tego europejskiego humanizmu. Nasze plecy do dziś noszą blizny po twojej najdroższej zachodniej cywilizacji. My byliśmy zawsze tą stroną, która brała baty, od Kiszyniowa po Oświęcim. Pozwól, że opowiem ci wzruszającą przypowieść o kantorze, samotnym rozbitku, oby jego los był nam oszczędzony, który znalazł się na wyspie w dniu świąt Nowego Roku. Oto stoi samotny Żyd pośród świata, pośród czasu, wieczny tułacz...

– Zaczekaj no chwilę – wybuchnął Fima – z tymi swoimi zabląkanymi kantorami. Chmielnicki i Hitler uosabiają cywilizację zachodnią w takim samym stopniu jak Indie są krajem arabskim. Co za szaleńczy pomysł! Gdyby nie cywilizacja zachodnia, jeśli chcesz wiedzieć, drogi panie, nie byłoby po nas ani śladu. Jak myślisz, kto poświęcił dziesiątki milionów istnień ludzkich, żeby pokonać Hitlera? Czy to nie cywilizacja zachodnia? Włączając w to Rosję. Włączając Amerykę. Kto uratował nas i twojego świątobliwego rabina? Czy to Mesjasz dał nam państwo? Czy to Uri Cwi daje nam w prezencie czołgi i odrzutowce, i sypie nam z nieba trzy biliony

dolarów, jako kieszonkowe, żebyśmy mogli dalej zachowywać się jak chuligani? Dobrze wbij sobie do głowy, tato, że za każdym razem w historii, kiedy Żydzi tracili rozum i zaczęli się kierować mesjanistycznymi rojeniami, zamiast obiektywną mapą świata, miliony z nich przepłacały to życiem. Najwyraźniej wbrew opinii, że Żydzi są tacy przebiegli, stale nie może do nas dotrzeć, że Mesjasz jest w rzeczywistości naszym aniołem zagłady. Tak to wygląda w skrócie, Baruch, Mesjasz to anioł śmierci. Więc mamy pełne prawo mieć różne opinie, co do słusznej drogi, to uzasadniony przedmiot sporu. Ale pod jednym, niepodważalnym warunkiem, gdziekolwiek zmierzamy, musimy posługiwać się prawdziwą mapą świata, nie mesjanistyczną wizją.

Starszy pan zaświstał nagle, jakby zadziwiła go mądrość Fimy i własna głupota. Zakaszłał, stęknął, być może zamierzał coś wtrącić, ale Fima pruł dalej naprzód.

- Dlaczego, do diabła, dajemy sobie wmawiać, że równość pomiędzy ludźmi jest czymś dla judaizmu obcym, jakimś wybrakowanym towarem gojów, farbowanym chrześcijańskim pacyfizmem, podczas gdy idiotyczny groch z kapustą spreparowany przez jakiegoś mesjanistycznego rabina, dziadka Gush Emunima, który sklecił łataninę ze strzępków wziętych z Hegla, Jehudy Halewiego i rabina Loewa, Maharala z Pragi, jest nagle uznany za czysty eliksir judaizmu, prosto z góry Synaj? Cóż to jest? Czyste szaleństwo! „Nie zabijaj” ma być obce judaizmowi i to według ciebie nietykalna świętość? Chrześcijański pacyfizm. Podczas gdy rabin Georg Wilhelm Friedrich Hegel, ten prekursor nazizmu, jest ni z tego, ni z owego czystym, żydowskim dziedzictwem. Mogę ci zaręczyć, tato, że Josef Haim Brenner miał więcej żydostwa w małym palcu, niż wszyscy ci twoi ubrani w chałaty anachroniczni myśliciele i psychopaci w dzierganych czapeczkach. Jedni gwizdzą sobie na państwo powiadając, że jest bezprawne, bo nie nadszedł jeszcze Mesjasz, inni usprawiedliwiają się twierdząc, że to tylko prowizorka, którą możemy zlikwidować, skoro Mesjasz stoi już w progu. Obie

grupy lekceważą przykazanie „nie zabijaj”, bo mają ważniejszą pieczeń do upieczenia: jakiś zakaz sekcji zwłok lub odkrycie grobu protoplastki narodu, Jezabel.

– Fimuszka – westchnął ojciec – miej litość. Jestem starym Żydem. Nie ogarniam tego wszystkiego. Być może jestem anachroniczny; kto wie? Mój własny, ukochany syn jest jak Golem, który obrócił się przeciwko swemu stwórcy. Nie złość się, kochanie. Wspomniałem o Golemie tylko dlatego, że uznałeś za stosowne napomknąć o rabinie Judzie Loewie, Maharalu z Pragi. Prawdę mówiąc, bardzo mi się podobało to, co powiedziałaś o obiektywnej mapie świata. Amen. Niechaj nas prowadzi. Tu trafiłeś w dziesiątkę. Jedyne problem, a może wasza wielebność zechce nam odpowiedzieć, gdzie kupić takie mapy? Czy możesz mnie oświecić? Czy możesz wyświadczyć ojcu tę przysługę? Nie? Nic nie szkodzi. Powiem ci, jak głęboką i piękną myśl wyraził kiedyś rabin Loew z Pragi przechodząc obok katedry. A przy okazji, czy znasz prawdziwe znaczenie zwrotu „wyświadczyć przysługę”?

– Dobrze już, dobrze – poddał się Fima. – Niech już ci będzie, Baruch. Dobijmy targu. Oszczędzisz mi historyjki o rabinie Loewie, a ja ustąpię ci w sprawie twoich malarzy. Przyślij ich w niedzielę rano i koniec.

I, aby ubiec odpowiedź ojca, pospiesznie zastosował formułkę, której niedawno użył jego przyjaciel:

– Omówimy resztę, kiedy się spotkamy. Naprawdę muszę już biec.

Miał zamiar possać tabletkę przeciwko zgadze i pójść do centrum handlowego, żeby dać radio do naprawy albo, jeśli okaże się to konieczne, kupić nowe. Ale nagle stanął mu przed oczami niemal namacalny, niezwykle plastyczny obraz – wąły, krótkowzroczny, wschodnioeuropejski Żyd z głową przykrytą modlitewnym szalem błąka się w ciemnym lesie, mamrocząc cicho biblijne wersety, raniąc stopy o ostre kamienie, a wokół łagodnie i cicho



opadają płatki śniegu; jakiś nocny ptak krzyknął złowieszczo, w ciemności słyhać dalekie wycie wilków.

Fimę ogarnął lęk.

W chwili kiedy odkładał słuchawkę, zdał sobie sprawę, że nie spytał ojca o zdrowie. Zapomniał o swoim zamiarze zabrania go do kliniki. Zapomniał nawet zwrócić uwagę, czy staruszkowi nadal gwizdże w płucach. Miał wrażenie, że dosłyszał lekki świst, ale po namyśle nie był tego pewien. Może to po prostu lekkie przeziębienie. Lub też ojciec podśpiewywał cichutko jakąś chasydzką melodię. Albo ten dźwięk pochodził z jakiegoś zwarcia na linii telefonicznej. Wszystko się wali w tym kraju, a nikogo to nie obchodzi. To także produkt uboczny naszej obsesji na temat terytoriów okupowanych. Ironia polega na tym, że – jak odkryje to jakiś przyszły historyk – to Naser wygrał wojnę w 1967 roku. Nasze zwycięstwo skazało nas na upadek. Mesjanistyczny geniusz, którego syjonizm zdołał zamknąć w butelce, uwolnił się w chwili, kiedy pod Ścianą Płaczu zabrzmiały dźwięki rogów. I to on się śmieje ostatni. A co więcej, jeśli pójść dalej tą linią rozumowania, nie wzdragając się przed gorzką prawdą, z którą pogodzić się najtrudniej, trzeba ostatecznie dojść do wniosku, że to Hitler, a nie Naser, może śmiać się ostatni. To właśnie on nadal prześladowuje bezlitośnie naród żydowski. Wszystko, co dzieje się z nami teraz, łączy się w ten czy inny sposób z Hitlerem. Zaraz, co to ja miałem zamiar zrobić? Zatelefonować. W jakiejś pilnej sprawie. Ale do kogo? I o co chodzi? Co więcej można powiedzieć? Ja też zabłąkałem się w lesie. Jak tamten świątobliwy starzec.

### **Ale robaczek świętojański zniknął**

Przynosząc wcześniej gazetę, zapomniał zamknąć drzwi i teraz, kiedy usiłował właśnie bezskutecznie poskładać radio, uniósł głowę i nagle zobaczył stojącą naprzeciw niego Annette Tadmor, ubraną w czerwony płaszcz i zawadiacko przesunięty na bok granatowy beret. Wyglądała jak dziewczyna z francuskiej prowincji. Oczy jej błyszczały, a policzki zarumieniły się od porannego chłodu. Wyglądała dziecinnie, niewinnie i boleśnie pięknie. Natychmiast przypomniał sobie, co zrobił jej dwa dni temu i zawstydził się ogromnie.

Zapach jej drogich perfum, w którym, być może, krył się też jakiś ślad alkoholu, sprawił, że Fima poczuł żal zmieszany z pożądaniem.

– Staralam się do ciebie dodzwonić przez cały ranek – powiedziała – ale stale było zajęte. Przepraszam, że tak wpadam. Zostanę tylko minutkę, naprawdę. Nie masz przypadkiem kropelki wódki, co? Nic nie szkodzi. Słuchaj. Musiałam zostawić tu kolczyk. Byłam taka skołowana. Na pewno sądzisz, że jestem wariatką. Ale to cudowne, że mnie naprawdę nic a nic nie obchodzi, co o mnie myślisz. Tak jak byśmy byli rodzeństwem. Prawie wcale nie pamiętam tych bzdur, jakie ci tu plotłam. A ty jesteś taki miły. Nie śmiałeś się ze mnie. Nie znalazłeś mojego kolczyka? Srebrny, podłużny, z małym błyszczącym kamykiem.

Fima zawahał się. Po namyśle jednym ruchem zrzucił gazety leżące na fotelu i posadził tam Annette. Po czym zaraz znowu podniósł ją, żeby pomóc jej wyswobodzić ręce z rękawów czerwonego płaszcza. Tego ranka Annette była zamyślona, wyglądała pięknie i

bardzo atrakcyjnie. Pospieszył do kuchni, żeby nastawić wodę i sprawdzić, czy zostało trochę Cointreau, które dostał od ojca.

– Śniłaś mi się dziś w nocy – powiedział, kiedy wrócił. – Byłaś taka śliczna i zadowolona, bo wrócił do ciebie mąż i przebaczyłaś mu wszystko. Ale teraz jesteś jeszcze ładniejsza niż we śnie. Do twarzy ci w granacie. Powinnaś częściej się tak ubierać. Co powiesz na to, żebyśmy zapomnieli o tym, co wydarzyło się przedwczoraj? Tak mi wstyd. Twoja obecność doprowadziła mnie do szaleństwa i zdaje się, że zachowałem się jak słynny Smętny Gwałciciel. Nie byłem z kobietą od ponad dwóch miesięcy. To nie znaczy, że to usprawiedliwia moje łajdackie zachowanie. Jak mogę to naprawić?

– Ależ daj spokój – zachnęła się Annette. – Przestań, bo znowu się rozplaczę. Tak bardzo mi pomogłeś, Fimo, jesteś wspaniałym powiernikiem, masz w sobie tyle zrozumienia. Chyba żaden mężczyzna na świecie nigdy nie wysłuchał mnie tak jak ty. A ja byłam taka niedobra, samolubna i pochłonięta swoimi sprawami. Przepraszam, że cię uraziłam.

Dodała, że bardzo wierzy w sny. I rzeczywiście tej nocy, kiedy śniła się Fimie, Jeri zatelefonował do niej z Mediolanu. Robił wrażenie trochę przygnębionego. Powiedział, że nie ma pojęcia, co będzie dalej, że czas to pokaże, i prosił, żeby starała się go nie znienawidzić.

– Czas... – zaczął Fima, ale Annette zakryła mu usta dłonią.

– Nic nie mów. Tamtej nocy powiedzieliśmy dosyć. Posiedźmy cicho parę chwil, a potem pójdę dalej. Mam do załatwienia na mieście tysiące spraw. Ale miło mi być blisko ciebie.

Milczeli. Fima usiadł przy niej na poręczy fotela i delikatnie otoczył ją ramieniem – zawstydzony bałaganem, zimowym podkoszulkiem z długimi rękawami leżącym na kanapie, szufladą szafy otwartą od poprzedniego wieczora, nie sprzątniętymi z biurka filiżankami po kawie, porozrzucanymi po całym mieszkaniu

gazetami. W duchu przeklinał swoje pożądanie i przysięgał sobie, że tym razem zachowa się nienagannie.

– Sprawiałam ci zawód – powiedziała w zamyśleniu, bardziej do siebie samej niż do niego Annette.

Na te słowa oczy Fimy zaszkliły się łzami. Od dziecka, zawsze odczuwał słodką radość, kiedy ktoś z dorosłych coś takiego mówił. Z trudem przełamał w sobie chęć, żeby ukłęknać przed nią, tak jak jej mąż w jego śnie. Choć, jeśli chodzi o ścisłość, to nie było to we śnie, ale w wizji, jaką miał tego ranka. Ale nie widział w tym żadnej różnicy.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział. – Znalazłem twój kolczyk. Był na tym fotelu, na którym siedzisz. Straszny głupiec ze mnie, kiedy otworzyłem oczy dziś rano w pierwszych przebłyskach świtu, pomyślałem, że to robaczek świętojański, który zapomniał się wyłączyć.

– Jestem szantażystą – dodał ośmielony. – Nie oddam ci go za żadne skarby.

Annette roześmiała się. Nie przestawała się śmiać, kiedy on pochylił się nad nią. Przyciągając go do siebie za włosy, pocałowała go w czubek nosa, jak gdyby był dzieckiem.

– Czy to wystarczy? Czy oddasz mi teraz kolczyk?

– To więcej niż zasłużyłem – odparł Fima. – Dostaniesz jeszcze resztę.

I ku swojemu własnemu zaskoczeniu chwycił ją nagle pod kolana i pociągnął za sobą na podłogę. Zupełnie nieprzytomny z pożądaniami, nie zważając, że jest ubrana, torował sobie drogę na oślep, z pewnością siebie lunatyka, wbijając się w nią niemal natychmiast, mając wrażenie, że to nie jego fallus, ale całe jestestwo otula i wchłania jej łono. W jednej chwili z jękiem przeżył orgazm. Kiedy w końcu wynurzył się znowu, wyczerpany i lekki jak promyk,

tak jakby zostawił w niej cały ciężar swojego ciała, uświadomił sobie z przerażeniem, jak bardzo się znowu upodlił i zhańbił Annette. Wiedział, że tym razem zniszczył wszystko raz na zawsze. I wtedy poczuł nagle, że Annette wolniutko, z czułością gładzi go po głowie i tyle szyi i przeszedł go słodki dreszcz.

– Smętny gwałciciel – powiedziała. I wyszeptała mu do ucha – Cicho, już cicho, maleńki.

I znowu zapytała, czy nie ma w domu trochę wódki. Z jakiegoś powodu Fimie wydało się, że może jej być zimno. Niezgrabnie próbował doprowadzić jej ubranie do porządku. I chciał coś powiedzieć. Ale jeszcze raz położyła mu spieszenie dłoń na ustach.

– Bądź cicho, ty gaduło – powiedziała.

I czesząc przed lustrem swoje piękne włosy, dodała:

– Już mnie nie ma. Mam tysiące spraw do załatwienia na mieście. Oddaj mi tylko kolczyk. Zarobiłam na niego uczciwie. Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem. Wybierzemy się do kina. W „Orionie” grają świetną komedię francuską z Jeanem Gabinem.

Fima poszedł do kuchni i nalał do kieliszka to, co zostało z Cointreau. W ostatniej chwili udało się mu uratować życie czajnika. Ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, co zrobił z kolczykiem. Przysiągł sobie, że przetrząśnie mieszkanie do góry nogami i wieczorem zwróci Annette jej własność. Odprowadzając ją do drzwi, mruczał upokorzony, że nigdy sobie nie wybaczy.

Annette roześmiała się.

**Jest mi z tobą dobrze właśnie tak**

Odprowadził ją na schody. Kiedy tylko znikła mu z oczu, nadeszła Nina Gefen ze swoimi podstrzyżonymi, siwiejącymi włosami, dźwigając ciężki kosz zakupów, który postawiła na jego biurku pośród gazet, kubków po jogurcie i brudnych filiżanek po kawie. Nerwowo zapaliła papierosa, nie zdmuchując zapalki, ale strzepując ją. Wypuściła dwa kłęby dymu nosem. Fima uśmiechnął się mimowolnie. Zmiana warty jego gości nasunęła mu nagle na myśl te procesje przyjaciółek, które ciągnęły przez mieszkanie jego ojca. Może już czas, żeby i on kupił sobie laseczkę ze srebrną rączką?

Nina spytała:

– I co takiego śmiesznego?

Musiała wyczuć w powietrzu spoza swojego dymu jakiś zapach. Nie czekając na jego odpowiedź, dodała:

– Czerwona dama, na którą wpadłam na schodach też uśmiechała się jak kot, który dostał śmietanki. Czy przypadkiem miałeś gości?

Fima miał już zaprzeczyć. Odkąd to on miewa gości? W budynku jest osiem mieszkań. Ale coś go powstrzymało. Nie będzie kłamał tej delikatnej, zgorzkniałej kobiecie, która wygląda jak osaczony lis, kobiecie, którą czasami nazywał swoją kochanką i której męża uwielbia. Spuścił oczy i powiedział usprawiedliwiająco:

– To pacjentka z kliniki. Zaprzyjaźniliśmy się jakoś trochę.

– Otwierasz filię przychodni w domu?

– Chodzi o to – powiedział Fima, podczas gdy jego palce bezskutecznie usiłowały zmontować z powrotem pęknięte radio – że jej mąż właściwie ją porzucił. Przyszła się mnie poradzić.

– Ach, to tutaj skleja się złamane serduszka – próbowała zażartować Nina, ale zabrzmiało to tak, jakby była bliska łez. – Święty Fima, opiekun słomianych wdów. Jeśli pójdzie tak dalej, to będziesz musiał przyjmować gości tylko na zapisy.

Poszła do kuchni i wyjęła z koszyka torbę pełną środków czyszczących, które ustawiła na razie na blacie kuchennym. Fima miał wrażenie, że jej zaciśnięte na wypalonym do połowy papierosie usta drżą. Wypakowywała różne wiktuały, które dla niego przyniosła. Otworzyła drzwi lodówki i cofnęła się ze wstrętem.

– Co za obrzydliwy bałagan – syknęła.

Fima z zakłopotaniem tłumaczył, że właśnie robił wielkie porządki, ale nie miał czasu zająć się lodówką.

– A kiedy wraca Uri?

Z dna kosza Nina wydobyła małą plastikową torebkę.

– Późnym wieczorem w piątek, czyli jutro. Pewno już obaj nie możecie się sobie doczekać. Możecie urządzić sobie miesiąc miodowy w sobotę wieczór. Masz. Przyniosłam ci książkę o Leibowitzu. Zostawiłeś ją na dywanie. Co z tobą będzie, Fimo? Zastanów się nad sobą.

Rzeczywiście, Fima zapomniał wciągnąć do spodni koszulę po wyjściu Annette i spod jego grubego swetra wystawał mu poślizkły, barchanowy podkoszulek.

Nina opróżniła lodówkę, bezlitośnie wyrzucając do śmieci stare jarzyny, tuńczyka, spleśniałe resztki wyschniętego na kamień sera i otwartą puszkę sardynek. Zaatakowała półki i ścianki szmatką zwilżoną środkiem czyszczącym. Fima tymczasem smarował masłem grube pajdy pachnącego, czarnego chleba, który przyniosła Nina,

potem obkładał je grubo dżemem i zaczął żarłocznie pałaszować. Jednocześnie wygłaszał krótki wykład na temat nauki, jaką powinien wyciągnąć Izrael z upadku lewicy w Anglii, Skandynawii i właściwie w całej Europie Zachodniej. Nagle, w środku zdania, wtrącił zupełnie innym tonem:

– Posłuchaj, Nino. Jeśli chodzi o przedwczorajszy wieczór. No nie, to było jeszcze wcześniej. Wpadłem do ciebie przemoczony do suchej nitki, gadałem głupstwa, rzuciłem się na ciebie i sprawiłem ci przykrość, a potem uciekłem bez słowa. Teraz mi wstyd. Za nic nie chciałbym, żebyś pomyślała, że mi się nie podobasz albo coś w tym rodzaju. To nie tak, Nino. Wręcz odwrotnie. Podobasz mi się, nawet bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Miałem po prostu zły dzień. Ostatnio jestem jakiś nieswój. Mam wrażenie, że nie żyję naprawdę, a tylko egzystuję. Wlokę dzień za dniem. Bez sensu i wbrew własnej woli. Jest taki wers w *Psalmach*: „Przyłgnęła do prochu moja dusza”. Tak się właśnie czuję. Czasami nie mam pojęcia, co ja tu w ogóle robię, niepotrzebny niby zeszłoroczny śnieg. Przychodzę i odchodzę. Piszę i skreślam. Wypełniam rubryki w klinice. Ubieram się i rozbieram znowu. Telefonuję. Zawracam wam niepotrzebnie głowę. Celowo drażnię ojca. Jak to możliwe, że są jeszcze ludzie, którzy mnie jakoś znoszą? Dlaczego ty jeszcze nie kazałaś mi iść do wszystkich diabłów? Powiedz, jak mam to wszystko naprawić?

– Cicho bądź – powiedziała Nina. – Przestań po prostu mówić.

Tymczasem poustawiała już nowe zapasy na półkach lśniącej czystością lodówki. Jej wątle ramiona drżały. Z tyłu wydała się Fimie podobna do małego, schwytanego w klatkę zwierzątka. Ogarnęła go wielka czułość. Nina stała do niego plecami, ale ciągnęła dalej:

– Ja też tego nie rozumiem. Pomyśl. Półtorej godziny temu, w biurze, poczułam nagle, że jesteś w niebezpieczeństwie. Że stało ci się coś złego. Może jesteś chory, leżysz tu sam w gorączce. Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale było stale zajęte. Pomyślałam, że może znowu zapomniałeś odłożyć słuchawkę. Wybiegłam w



środku dość ważnej narady na temat przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego, które się rozpadło, i popędziłam wprost do ciebie. Albo raczej zaraz po zrobieniu po drodze zakupów, żebyś nie umarł z głodu. To prawie tak, jakbyś był naszym przybranym dzieckiem. Tyle że Uriego zdaje się bawić ta gra, podczas gdy ja popadam w coraz większe przygnębienie. Przez cały czas nawiedza mnie przeczucie, że stało się z tobą coś strasznego, rzucam wszystko i pędzę. To męka, przerażające wrażenie, jakbym słyszała z daleka twoje wołanie o pomoc. Nie umiem tego wyjaśnić. Zrób to dla mnie, Fimo, przestań opychać się tym chlebem. Zobacz, jaki się robisz pękaty. W każdym razie, nie mam teraz ani siły, ani nastroju na twoje wstrząsające teorie o Mitterrandzie i brytyjskiej partii labourzystów. Zachowaj je sobie dla Uriego, na sobotę wieczór. Chcę tylko, żebyś powiedział mi, co się dzieje. Co z tobą? Jest coś dziwnego, co chowasz przede mną w tajemnicy. Coś bardziej dziwnego niż zwykle. Tak jak byś był lekko odurzony.

Fima posłuchał od razu. Przestał jeść trzymaną w dłoni kromkę chleba i odruchowo odłożył ją do zlewu, niby pustą filiżankę. Zaczął wyjaśniać Ninie, jękając się, że to cudowne, że z nią czuje się zupełnie swobodnie. Nie boi się robić wrażenia dziwaka. Nie wstydzi się nawet okazać słabości ani wygłupić, tak jak to było tamtej nocy. Jest dla niego jak siostra. Teraz powie coś banalnego, ale co z tego? Banał nie musi być kłamstwem. Chciałby powiedzieć, że według niego Nina jest bardzo dobrym człowiekiem. I że ma najpiękniejsze palce, jakie w życiu widział.

Nina nadal stała odwrócona do niego tyłem, pochylona nad zlewem. Wyjęła kawałek chleba, który tam włożył, i zajęła się szorowaniem kafelków i kranów.

– Zostawiłeś u mnie skarpetkę – powiedziała ze smutkiem. A po chwili dodała: – Od wieków już nie spaliśmy ze sobą.

Zgasiła papierosa i ścisnęła jego ramię dłonią tak smukłą, jak ręce młodej dziewczyny z Dalekiego Wschodu.

– Chodź teraz – wyszeptwała. – Muszę być w biurze za niecałą godzinę.

W drodze do łóżka Fima cieszył się, że Nina jest krótkowidzem, bo w popielniczce, w której zgasiła papierosa, przez chwilę mignęło mu coś, jakby zgubiony kolczyk Annette.

Nina zasunęła kotary, zrolowała narzutę i wygładziła poduszki. Zdjęła okulary. Jej ruchy były bezpretensjonalne i oszczędne, tak jakby szykowała się do badania lekarskiego. Kiedy zaczęła się rozbierać, Fima odwrócił się do niej tyłem i zawahał chwilę, zanim uznał, że nie ma odwrotu i on też musi się rozebrać. Nieszczęścia zawsze chodzą parami – powiedział sobie w duchu złośliwie. I wsunął się szybko pod kołdrę, żeby nie zauważyła jego niemocy. Kiedy przypomniał sobie, jak rozczarował ją ostatnim razem na dywanie w jej domu, ogarnął go straszny wstyd. Przycisnął się do niej mocno, ale jego członek był miękki i nieczuły jak zmięta chusteczka do nosa. Wtulił twarz pomiędzy jej ciężkie, ciepłe piersi, tak jakby chciał schować się przed nią w niej samej. Leżeli bez ruchu, lgnąc do siebie jak dwaj żołnierze w okopie podczas ostrzału.

– Nie mów nic – poprosiła Nina szeptem. – Nie odzywaj się. Jest mi z tobą dobrze właśnie tak.

Fimie przemknął przez myśl wyraźny obraz zarżniętego psa, który skomląc wije się i wykrwawia do ostatka pod niską skałą, pośród wilgotnych krzaków i śmieci. Niby w głębokim śnie, ukryty pomiędzy piersiami Niny wymamrotał słowa, których nie mogła dosłyszeć: Wracajmy do Grecji, Jael. Odnajdziemy tam miłość. I od nowa nauczymy się współczucia.

Nina spojrzała na zegarek, było wpół do dwunastej. Pocałowała Fimę w czoło i potrząsając go za ramię, powiedziała:

– Obudź się, stary. Rusz się. Zasnąłeś.

Ubrała się szybko, włożyła swoje grube okulary i zapaliła następnego papierosa, nie zdmuchując zapalniczki, ale strzepując ją.

Zanim wyszła, z leciutkim kliknięciem złączyła dwie części pękniętego radia. Pokręciła gałką i w pokoju rozległ się nagle głos ministra obrony, Rabina.

– Zwycięży strona, która wykaże większy hart ducha.

– Masz. Naprawione – powiedziała Nina. – Muszę iść.

– Nie gniewaj się na mnie – powiedział Fima. – Od wielu dni czuję się taki osaczony. Tak jakby miało się stać coś strasznego. Prawie nie sypiam w nocy. Siedzę i piszę artykuły, jakby ktoś na nie czekał i chciał mnie wysłuchać. A nikt nie słucha i wszystko na próżno. Co z nami wszystkimi będzie, Nino? Umiesz to sobie wyobrazić?

Nina, która już była w drzwiach, odwróciła do niego swoją lisią, ukrytą za okularami twarz i powiedziała:

– Mam nadzieję, że dziś wieczór uda mi się skończyć pracę stosunkowo wcześniej. Wpadnij do mnie do biura prosto z kliniki. Pójdziemy na koncert. Albo wybierzemy się na ten film z Gabinem. Potem pójdziemy do mnie. Nie bądź taki ponury.

**Fima zapomina, o czym zapomniał**

Fima wrócił do kuchni. Pożarł następne cztery pajdy świeżego gruzińskiego chleba od Niny, posmarowanego grubo morelowym dżemem. Minister obrony powiedział:

– Postuluję, abyśmy nie liczyli na drogi na skróty. Ostatnie słowo było wypowiedziane trochę niewyraźnie.

I Fima z pełnymi ustami zawtórował mu:

– A naród postuluje, żeby nie liczyć na zrzuty.

Ale zaraz wycofał się z tej głupiej zabawy w grę słów. Wyłączając radio, przeprosił Rabina.

– Muszę bieć. Spóźnię się do pracy – i trzymając w ustach tabletkę przeciw zgadze, nie wiedząc czemu wsunął do kieszeni kolczyk Annette, który znalazł w popielniczce między niedopałkami papierosów Niny. Ostrożnie, żeby nie zaplątać się w pułapkę rękawa, włożył płaszcz. A ponieważ chleb nie zaspokoił jego głodu, uznał go za lekkie śniadanie i poszedł do lokaliku naprzeciw, żeby coś przegryźć. Nie mógł sobie przypomnieć, czy nazwisko właścicielki brzmi Schneidmann czy po prostu Schneider. Zdecydował postawić na Schneidermann. A ona jak zwykle potraktowała go z wyrozumiałością i uśmiechnęła się do niego z iskierką rozbawienia w swoich dziecinnych oczach, które przywodziły mu na myśl rosyjską ikonę.

– Nazywam się Scheinmann, doktorze Nisan. Nic nie szkodzi. To nie ma żadnego znaczenia. Oby tylko Bóg dał zdrowie i pomyślność wszystkim Żydom. I żeby w tym naszym kochanym

kraju zapanował wreszcie pokój. Żał patrzeć, jak tylu ludzi stale ginie. Dziś wołowina z sosem dla pana doktora, czy kurczę?

Fima zastanowił się nad tym chwilę i zamówił zupę, omlet, sałatkę mieszaną i kompot. Przy jednym ze stolików siedział jakiś drobny, skulony mężczyzna, który wydał się Fimie strasznie ponury, a może chory. Czytał bez pośpiechu „Yediot Aharonot”. Pomalu przewracając strony, gapił się w nie, dłubał w zębach i znowu przewracał kartki. Wydawało się, że jego ulizane włosy są wysmarowane olejem silnikowym. Przez chwilę Fima zastanawiał się, czy to nie on sam, przyklepiony do stolika od wczoraj albo przedwczoraj i że wszystkie zdarzenia zeszłego wieczora i tego ranka są tylko złudzeniem. Albo też przydarzyły się komuś innemu, kto przypominał go w pewien sposób, a różnił się od niego w kilku drobnych, zupełnie nieistotnych szczegółach. Granica pomiędzy tym, co jest tylko prawdopodobne, a co zaszło naprawdę, wydała się mu uproszczeniem. Chyba ojciec ma mimo wszystko rację – nie ma czegoś takiego jak obiektywna mapa rzeczywistości, to po prostu niemożliwe. Każdy musi odszukać własną drogę w lesie za pomocą zawodnych, niedokładnych map, które otulają nas od chwili narodzin lub które zbieramy tu i tam podczas naszej wędrówki. I dlatego tak się wszyscy błakamy, krążąc w kółko, nieświadomie wpadając na siebie nawzajem i gubiąc się zaraz w ciemnościach, nie dostrzegając nawet z oddali przeblysku boskiego światła.

Fimaomal nie uległ pokusie, aby zapytać właścicielkę lokalu, kim jest tamten pan i od jak dawna tak siedzi, trwoniąc cenny skarb życia, nad przykrytym zielono-białą ceratą stolikiem. W końcu postanowił zadowolić się pytaniem, jak według niej można przybliżyć pokój.

Pani Scheinmann zaniepokoiła się i rozejrzała podejrzliwie dokoła.

– A co my z tego rozumiemy? – zachnęła się wymijająco. – Niech ci na górze decydują. Generałowie z naszego rządu. Niech im Bóg da tylko zdrowie. I oby dał im też mnóstwo zdrowego rozsądku.

– Czy powinniśmy pójść na jakieś ustępstwa wobec Arabów?

Najwyraźniej w obawie przed donosicielami albo przed błędem, lub po prostu bojąc się słów, kobieta spojrzała w kierunku drzwi i na zasłonę w drzwiach kuchni, zanim wyszeptała:

– Powinniśmy zdobyć się na odrobinę miłosierdzia. Tylko tego nam trzeba.

– Wobec Arabów, czy też nas samych? – drażył dalej Fima.

Pani Scheinmann posłała mu znowu nieśmiały, kokieteryjny uśmiech wiejskiej dziewczyny zawstydzonej pytaniem o kolor jej bielizny albo o odległość Ziemi od Księżyca.

– Miłosierdzie to miłosierdzie – odparła ostrożnie.

Siedzący przy sąsiednim stoliku wymizerowany człowiek, o pełnym udreki wyrazie twarzy i tłustych, przylizanych włosach, który robił na Fimie wrażenie jakiegoś cierpiącego na hemoroidy urzędniczyny albo może emerytowanego hydraulika, nie przerywając dłubania w zębach, wtrącił się do rozmowy. Miał rumuński akcent, a jego głos był bez wyrazu.

– Przepraszam. Chwileczkę. Pan pozwoli. Jacy Arabowie? Jaki pokój? Jakie państwo? Komu ono potrzebne? Trzeba cieszyć się życiem, póki czas. Co pan się martwisz resztą świata? Czy świat się martwi o nas? Trzeba używać, ile się da. To jedno, co można zrobić. Bawić się. Reszta, to strata czasu. Przepraszam, że się wtrącam.

Fima miał wrażenie, że jego rozmówca niespecjalnie wygląda na kogoś, kto dobrze się bawi. Bardziej już na kogoś, kto zarabia od czasu do czasu parę groszy donosząc na swoich sąsiadów do urzędu podatkowego. Ręce mężczyzny drżały.

Fima zapytał uprzejmie:

– Chce pan powiedzieć, że powinniśmy zdać się we wszystkim na rząd? Powinniśmy pilnować swego nosa i nie mieszać się do polityki?

– Najlepiej, żeby rząd też dobrze się bawił – odparł żaloszny donosiciel. – Tak samo rząd Arabów. I goje. Żeby wszyscy byli zawsze zadowoleni. I tak każde umiera.

Pani Scheinmann uśmiechnęła się do Fimy porozumiewawczo, ignorując obecność bezrobotnego urzędniczyny. Jakby chciała przeprosić swojego stałego klienta za to, czego musi tu wysłuchiwać, powiedziała przymilnie:

– Proszę nie zwracać na niego uwagi, panie doktorze. Jego córeczka nie żyje, jego żona nie żyje i jego bracia nie żyją. A w dodatku jest bez grosza. Nie wie, co mówi. Pan Bóg o nim zapomniał.

Fima grzebał w kieszeniach, ale znalazł tylko drobne, poprosił więc właścicielkę, aby należność dopisała do jego rachunku. W przyszłym tygodniu, po wypłacie...

– Ależ oczywiście – przerwała mu wesoło. – Proszę się nie martwić. Żaden problem.

I bez pytania przyniosła mu szklanekę słodkiej herbaty z cytryną.

– I tak wszystko jest darem Boga – powiedziała.

Nie podzielał jej opinii, ale wzruszyła go melodia tych słów i nagle sięgnął palcami do jej żyłastej dłoni i podziękował jej. Pochwalił jedzenie i z żarem potwierdził, że ma rację – „miłosierdzie to miłosierdzie”.

Pewnego razu, kiedy Dimi miał osiem lat, Ted i Jael zadzwonili do Fimy o dziesiątej rano, żeby pomógł im szukać chłopca, który podobno uciekł ze szkoły, bo dzieci mu dokuczały. Byli przerażeni. Fima, bez chwili wahania, zamówił taksówkę i pospieszył do fabryki

kosmetyków w Romemie. I rzeczywiście odnalazł tam chłopca z Baruchem, zamkniętych w małym laboratorium. Siedzieli pochyleni nad stołem, srebrna grzywa stykała się z lokami albinosa. Destylowali niebieskawy płyn w probówce nad palnikiem. Kiedy wszedł Fima, chłopiec i starszy pan umilkli, jak przyłapani na gorącym uczynku spiskowcy. W tamtych czasach Dimi nadal nazywał zarówno Barucha, jak i Fimę „dziadkiem”. Ojciec, ze swoją zakrzywioną do przodu niby saraceńska szabelka bródka, odmówił wyjawienia, na czym polega ich eksperyment – nie można się było domyślić czyją stronę trzyma. Ale Dimi z powagą stwierdził, że ufa Fimie, który na pewno ich nie wyda. W sekrecie powiedział mu, że chcą wynaleźć spray przeciwko głupocie. Gdziekolwiek da ona o sobie znać, będzie można wyjąć mały pojemnik, psiknąć i załatwione.

– Będziecie musieli wyprodukować przynajmniej ze sto tysięcy ton tego cuda na początek – zasugerował Fima.

– Może tracimy tylko czas, Diminko – zastanowił się Baruch. – Mądrzy ludzie nie potrzebują leczenia, a jeśli chodzi o głupców, powiedzcie mi, moi kochani, czemu mielibyśmy zawracać sobie nimi głowę? Dlaczego nie zabawimy się po prostu trochę? Od razu zadzwonił, żeby przynieśli im tacę słodyczy, orzeszków i owoców. Z westchnieniem wyjął z szuflady garść patyczków i kazał chłopcu zamknąć drzwi. We trzech spędzili ten ranek na grze w bierki. Wspomnienie tamtej potajemnej zabawy odróżniało się na tle życia Fimy niby słoneczna plamka szczęścia, jakiego nie zaznał nigdy, nawet w dzieciństwie. Potem nadeszło południe. Trzeba było się ruszyć i odprowadzić Dimiego do rodziców. Ted skazał chłopca na dwie godziny odosobnienia w łazience i dwa dni aresztu domowego. Fimie też się dostało. Zrobiło mu się prawie żal, że zaniechali pracy nad wynalazkiem środka przeciwko głupocie.

W autobusie, w drodze do pracy, zastanowił się nad tym, co pani Schoenberg powiedziała na temat tamtego nieszczęsnego



donosiciela. Być zapomnianym przez Boga niekoniecznie musi się równać potępieniu – pomyślał. Przeciwnie, może oznaczać, że jest się lekkim i wolnym niby jaszczurka na pustyni. Dumał nad podobieństwem dwóch hebrajskich czasowników, z których jeden znaczy „zapominać”, inny „wygasać” albo „zamierać”. Zapomnienie to jeszcze nic takiego, najgorsze jest właśnie to „zamieranie”. Kiedy nasza wola, tęsknoty, wspomnienia, pragnienia zmysłów, ciekawość, pasja, zadowolenie, dobroć – wszystko to stopniowo wygasa. Tak jak w górach cichnie wiatr, tak samo zamiera dusza. I nawet ból z czasem traci ostrość, ale wraz z tym inne objawy życia także blakną. Proste, nie wymagające słów pierwotne doznania, które poruszają do głębi i wprawiają w zdumienie każde dziecko – następstwo pór roku, kotek przemykający przez podwórze, skrzypienie drzwi, wzrastanie roślin, dojrzewanie owoców, szept sosen, pochód mrówek na werandzie, gra światła wśród dolin i wzgórz, bladość księżyca i jego lisia czapa, sieć pajęcza z kropelkami porannej rosy, cud oddychania, mowy, półmroku o zachodzie słońca, wrzenie i zamarzanie wody, maleńki odbłask południowego słońca na odprysku szkła – tak wiele zjawisk najprostszych, które mieliśmy kiedyś, ale utraciliśmy na zawsze i bez odwołania. Albo, co gorsza, od czasu do czasu będziemy widywać ich migotanie w oddali, tylko że w nas nie będzie już dawnych uczuć. Wszystko stanie się mdłe i nieważne. Samo życie stopniowo porasta kurzem i brudem. Kto wygra wybory we Francji? Co postanowi komitet centralny Likudu? Dlaczego odrzucono artykuł? Ile zarabia dyrektor? Jak odpowie minister na stawiane mu zarzuty? Tego ranka powtarzano mi raz po raz i ja też wypowiadałem słowa: „Jestem spóźniony, muszę biec”. Ale dlaczego? Dokąd? Po co? Na pewno nawet minister Rabin musiał kiedyś doznawać tamtych emocji, stojąc tysiąc lat temu – nieśmiały, rudy chłopaczek, chudy, piegowaty, bosy – na podwórku w Tel Awiwie pośród sznurów suszącej się bielizny, o szóstej rano w jesienny poranek, kiedy nagle nad nim przeleciał klucz żurawi, białych na tle porannych chmur, niosąc mu, tak jak i mnie, obietnicę czystego świata, pełnego ciszy i błękitu, dalekiego od słów i

kłamstw, jeśli tylko ośmielimy się zostawić wszystko za sobą i ruszyć naprzód. Ale oto jesteśmy, ten minister, podobnie jak reszta nas, którzy atakujemy go co dzień w gazetach. Wszyscy – zapomnieliśmy i wszyscy – wygaśliśmy. Mamy martwe dusze. Gdziekolwiek przejdziemy, zostawiamy za sobą ślad pustych słów, od których już tylko krok do ciał arabskich dzieci zabijanych każdego dnia na terytoriach okupowanych. Tylko krok do niewybaczalnego faktu, że człowiek taki jak ja bezmyślnie odsuwa od swojej świadomości śmierć rodziny osadników, spalonych żywcem przedwczoraj przez koktajl Mołotowa na drodze do Alfei Menashe. Dlaczego o tym nie pamiętałem? Czy śmierć tych ludzi nie wydała się mi wystarczająco niewinna? Czy nie byli godni wstąpić do świątyni męczeństwa, której uczyniliśmy się strażnikami? Czy chodzi o to, że osadnicy przerażają mnie i doprowadzają do pasji, podczas gdy los arabskich dzieci ciąży mi na sumieniu? Czy to możliwe, aby tak bezużyteczny człowiek jak ja upadł równie nisko, aby rozróżnić niewybaczalne mordowanie dzieci od mniej niewybaczalnego mordowania dzieci? Sama sprawiedliwość przemawiała przez panią Schoenberg, kiedy powiedziała po prostu, że miłosierdzie to miłosierdzie. Minister obrony Rabin zdradza nasze najświętsze wartości i tak dalej, podczas gdy według Rabina to ja i mnie podobni zdradzamy najświętsze zasady i tym podobne. Ale w stosunku do odległego wołania cudu jesiennego poranka, w stosunku do lotu żurawi na pewno wszyscy jesteśmy zdrajcami. Nie ma żadnej różnicy pomiędzy ministrem i mną. Zatruliśmy nawet Dimiego i jego kolegów. Dlatego też powinienem napisać kilka słów do Rabina, żeby go przeprosić, wyjaśnić, że przecież mimo wszystko płyniemy na tej samej łodzi. A może powinienem poprosić go o spotkanie?

– Dość tego – uśmiechnął się krzywo Fima. – Zgrzeszyliśmy, zawiniliśmy, popełniliśmy wykroczenie. Wystarczy.

Kiedy wysiadał z autobusu wymamrotał niby zrzedliwy staruszek:

– Gra słów. Pusta gra słów.

Jego wcześniejsza zabawa słowami „zapomnieć”, „wygasać” lub „zamierać” wydała się mu nagle tak banalna, że nawet nie podziękował ani nie pożegnał na koniec kierowcy, czego zwykle przestrzegał bardzo sumiennie, nawet w chwilach roztargnienia, jak poprzedniego dnia, kiedy to przegapił przystanek.

Stał przez chwilę na szarej ulicy, wśród martwych liści i strzępów papieru rozwiewanych przez wiatr. Wsłuchiwał się w szept wilgotnych sosen za murem, patrząc na odjeżdżający autobus. Czego w nim zapomniał? Książki? Parasola? Koperty? Może jakiejś paczki? Czegoś należącego do Tamary? Albo Annette Tadmor? „Żurawie kołują i wirują” – nagle zadźwięczała mu w głowie strofa dawno zapomnianej piosenki z dzieciństwa. Pocieszył się nadzieją, że na siedzeniu w autobusie zostawił tylko gazetę „Ma'ariv”, którą tam znalazł. Z powodu ministra i żurawi nie potrafił sobie przypomnieć nawet tytułów z pierwszej strony.

## Wina i wstyd

Kiedy szedł do kliniki brukowaną ścieżką biegnącą przez ogród wzdłuż niedużego bloku mieszkalnego, zatrzymał się na chwilę, bo z pierwszego piętra zza zamkniętych okien, poprzez wiatr i szum sosen dobiegł go dźwięk wiolonczeli. Jedna ze starszych kobiet, a może któryś z ich uczniów, powtarzała raz po raz ten sam fragment.

Fima na próżno starał się rozpoznać, co to za melodia – stał nieruchomo zaszuchany, jak ktoś, kto nie wie, skąd przychodzi i dokąd idzie. Gdyby tylko mógł w tej chwili zmienić swój stan skupienia i stać się powietrzem, kamieniem albo żurawiem. Wiolonczela obudzona w nim samym wrywała się, odpowiadając swoim tajemnym językiem tamtej z góry, tonem pełnym tęsknoty, a zarazem przedrzeźniając samą siebie. Fima wyobraził sobie życie tych trzech starszych kobiet, wiecznie tułających się taksówką po zlanym deszczem, zimowych drogach, żeby grać w jakimś odległym kibucu na krańcu Górnej Galilei lub uświetnić otwarcie zjazdu weteranów wojennych. Jak spędzają wolne wieczory zimą? Kiedy pozmywają i posprzątają w kuchni, prawdopodobnie zbierają się wszystkie trzy we wspólnym saloniku. Fima wyczarował przed sobą obraz urządzonego z purytańską surowością pokoju, w którym jest staromodny zegar z wahadłem, kredens, ciężki, okrągły stół na grubych nogach i ciemne krzesła z prostymi oparciami. Na brzegu dywanu przycupnął puszysty, szary pudel. Zamknięty fortepian, stół i komodę zdobią koronkowe serwetki, podobne do tych, które przykrywają każdy skrawek dostępnej powierzchni w mieszkaniu jego ojca w Rehavii. Stoi tam też ciężkie, staromodne radio i niebieskie suszone kwiaty w wysokim wazonie. Zasłony są zaciągnięte, okiennice szczelnie pozamykane, a w piecyku, który od czasu do czasu bulgoce cichutko, kiedy olej przepływa ze zbiornika do żeberek, jarzy się niebieskawy płomień. Jedna z kobiet, a może

każda z nich po kolei, czyta spokojnie swoim towarzyszkom jakąś starą niemiecką powieść. Na przykład *Lottę w Weimarze*. Przez cały wieczór słychać tylko głos czytającej, tykanie zegara i bulgotanie oleju. Dokładnie o jedenastej starsze panie wstają i udają się każda do swojego pokoju. Aż do rana ich drzwi pozostaną zamknięte. A w saloniku, pośród głębokiej ciszy i ciemności niestrudzenie tyka zegar, wybijając lekko mijające godziny.

Przy wejściu do kliniki Fima zobaczył elegancką tabliczkę z napisem *Dr Wahrhaftig Dr Eitan – lekarze ginekolodzy*. Jak zawsze niemile uderzyła go niepoprawna dla hebrajskiego konstrukcja tego sformułowania.

– No to jest niepoprawna i co z tego?

A czy Nora, jedynaczka Wahrhaftiga, która była żoną Gada Eitana i uciekła dziesięć lat temu z przyjezdnym latynoamerykańskim poetą, miewa czasami napady nostalgii? Albo wyrzutów sumienia? Wstydu i poczucia winy? Nigdy nie wspomniano tu jej imienia. Nawet w najdrobniejszej aluzji. Tak jakby ta osoba w ogóle nie istniała. Tylko Tamara niekiedy szeptała coś Fimie o jakimś liście odesłanym do nadawcy lub o słuchawce odłożonej bez słowa. Tamara za wszelką cenę chciała przekonać Fimę, że Gad nie jest zły, a tylko boi się, bo został zraniony. Choć czasami twierdziła coś zupełnie przeciwnego – że każda kobieta porzuciłaby takiego potwora.

Fima założył na siebie krótki biały fartuch i usiadł za biurkiem w recepcji. Przejrzał księgę zapisów. Tak jakby podświadomie próbował odgadnąć, która z pacjentek zmaterializuje się w jego życiu jako następna Annette Tadmor.

– W środku są dwie pacjentki – poinformowała go Tamara. – Ta u doktora basso profundo przypomina trochę Margaret Thatcher. U Eitana jest dość ładna dziewczyna, wygląda na licealistkę.

– Niewiele brakowało, a zadzwoniłbym do ciebie w środku nocy – powiedział Fima. – Udało się mi odgadnąć dla ciebie tego fińskiego generała, który zaczyna się i kończy na „m”. Mannerheim. Naprawdę nazywał się von Mannerheim. To niemieckie nazwisko. To on zadziwił świat powstrzymując inwazję Stalina w 1938 roku. Poprowadził małą fińską armię przeciwko przeważającym siłom zbrojnym Sowietów.

– Jaki ty jesteś mądry – pochwaliła go Tamara. – Mógłbyś być profesorem na uniwersytecie. Albo ministrem.

Fima zastanowił się nad tym i zgadzając się z nią w duchu, odparł serdecznie:

– Jesteś ideałem kobiety, Tamaro. To hańba dla płci męskiej, że jeszcze nikt cię od nas nie porwał. Choć z drugiej strony nie ma na świecie mężczyzny, który byłby cię wart.

Jej krępe, mocne ciało, miękkie blond włosy ściągnięte do tyłu w mały koczek, nawet to jedno zielone oko i jedno brązowe sprawiły, że wydała się mu nagle wzruszająco dziecinna i zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie nie wstanie, nie weźmie jej w ramiona i nie przytuli po ojcowsku do swojej piersi. Ale jego odruch, żeby ją pocieszyć, zaraz przemieszał się z chęcią, aby pochwalić się jej, że tego ranka dwie kobiety pofatygowały się do niego i ofiarowały mu siebie, jedna po drugiej. Po chwili wahania wziął się w garść i nie powiedział nic. Kiedy po raz ostatni mężczyzna dotknął tego krzepkiego ciała? Co by zrobiła Tamara, gdyby nagle sięgnął dłońmi do jej piersi? Byłaby zaszokowana? Wściekła? Poddalaby się pełna poczucia winy? Ty idioto, powiedział do swojego penisa, teraz ci się przypomniało. I tak jakby poczuł w miękkim wnętrzu swoich dłoni jej sutki, zacisnął palce i uśmiechnął się.

– Czy mogę cię jeszcze o coś spytać? – odezwała się Tamara.

Fima nie przypominał sobie, o co go wcześniej pytała, ale wesoło, wylewnie, jakby naśladowując wielkopańskie maniery swojego ojca, odparł:

- Oddałbym ci pół królestwa.
- Wyspa na Pacyfiku i kostium kąpielowy.
- Słucham?

- Tak tu jest napisane. Myślisz, że to błąd drukarski? „Wyspa na Pacyfiku, także kostium kąpielowy”. Sześć liter. To już jedno z ostatnich haseł, którego brakuje.

- Nie wiem - zastanowił się Fima. - Spróbuj Tahiti. Mam dzieciaka, który stale prosi mnie, żebym go zabrał na wyspy na Pacyfiku. Chce, żebyśmy zbudowali sobie chatkę z trzciny, żywili się rybami i owocami. To nie jest właściwie mój dzieciak. A właściwie jest i nie jest. Nieważne. Spróbuj Hawaje. Miałabyś chęć z nami pojechać? Żeby mieszkać w trzciniowej chatce i jeść tylko ryby i owoce? Daleko od okrucieństw i głupoty? Daleko od tego deszczu?

- Tahiti, jak to się pisze? To i tak nie pasuje, bo druga litera to „i”, a trzecia „k”. Masz na myśli synka Jael, Dimiego? Swojego „Challenger”? Może nie powinnam się mieszać w nie swoje sprawy, ale zastanów się dobrze, czy nie komplikujesz za bardzo życia temu dziecku, robiąc z siebie zapasowego ojca. Myślę czasem...

- Bikini - powiedział Fima. - Kostium kąpielowy został nazwany od Dnia Sądu Ostatecznego. Bikini to była maleńka wysepka, z której ewakuowano ludzi i którą rozbito bombami atomowymi. To był poligon doświadczalny zagłady. Na południowym Pacyfiku. Musimy poszukać sobie innej wyspy. Najlepiej innego oceanu. A w ogóle, to jak ja mógłbym zbudować chatkę z trzciny? Nie umiem nawet złożyć zwyczajnej półki. Uri Gefen robi to za mnie. Tamaro, proszę, nie stój tak w oknie, plecami do mnie. Mówiłem ci setki razy, że tego nie znoszę. To mój problem, wiem.

– Co z tobą, Fimo. Czasami jesteś strasznie dziwaczny. Tylko zaciągałam zasłony, bo mam dość patrzenia na deszcz. Nie musimy szukać innej wyspy. Bikini świetnie pasuje. Jak myślisz, jak się nazywa partia rządząca w Nikaragui?

Fima miał już odpowiedź na końcu języka, ale w tej chwili nagle zza zamkniętych drzwi gabinetu doktora Eitana usłyszał głos kobiety. Był to krótki, przeraźliwy krzyk strachu, jaki mógłby się wyrwać potwornie skrzywdzonemu dziecku. Kogo tam zarzynano? Może kogoś, kto miał być ojcem lub dziadkiem Jozera? Fima zeszywniał, starając się nie dopuścić do siebie myśli, co robią tam te ubrane w gumowe rękawiczki ręce, na tym fotelu pokrytym białą ceratą i jednorazowym prześcieradłem z szorstkiego białego papieru, przy stojącym obok białym stoliku na kółkach, na którym leży zestaw sterylnych skalpeli, wzierników, nożyc różnych rozmiarów, kleszczy, klamer, masek tlenowych i pojemników z solą fizjologiczną. I ta kobiecość obnażona do ostatnich granic, odarta z tajemnic w ostrym świetle silnej lampy świecącej zza głowy lekarza. Kobiecość różowa i surowa jak rana, wyglądająca jak otwarte, bezzębne usta starego mężczyzny, zalane ciemną krwią.

Pochłonięty daremną walką z tym obrazem, starając się zamknąć przed nim swoje oczy, uszy i zmysły, usłyszał łagodny głos Tamary:

– Już po wszystkim. Rozpręż się.

A Fimie zrobiło się wstyd. W pewien sposób, choć sam tego nie rozumiał, czuł się winny. Miał wrażenie, że on też jest odpowiedzialny za mękę, która dopełnia się za tymi zamkniętymi drzwiami. Był jakiś związek pomiędzy upokorzeniem, na jakie rano naraził Annette i Ninę, a bólem i wstydem przeżywanym na tamtym nieskazitelnym białym fotelu ginekologicznym, który zapewne był teraz daleki od nieskazitelności, zbrukany krwią i innymi wydzielinami. Nieokreślony, ohydny ból ścisnął mu jądra. Gdyby nie obecność Tamary, sięgnąłby w dół, żeby poluzować spodnie. Choć



może tak właśnie jest lepiej. Musi porzucić swoje patetyczne próby przekonania Cwiki, że mają prawo umyć ręce od okrucieństw popełnianych w ich imieniu. Trzeba przyznać się do winy. Zrozumieć, że na naszych barkach spoczywa odpowiedzialność za cierpienia wszystkich ludzi. Przemoc na terytoriach okupowanych, pohańbienie starców grzebiących w śmietnikach, ślepiec stukający laską wśród opustoszałych ulic nocą, niedola autystycznych dzieci zamkniętych w nędznych zakładach wychowawczych, zabójstwo chorego psa, cierpienie Dimiego, upokorzenie Annette i Niny, samotność Teddy'ego, niepokój Gefena, zabieg chirurgiczny, który właśnie miał miejsce za tą ścianą, nierdzewne kleszcze wepchnięte głęboko w pokrwawiony srom – wszystko to obciąża nasze sumienia. Daremne marzenia o ucieczce na Mururoa lub Galapagos. Nawet odpowiedzialność za skażone radioaktywną chmurą Bikini spada właśnie na nas. Przez chwilę zastanawiał się nad uderzającym spostrzeżeniem, że hebrajskie słowo „miłosierdzie” przypomina brzmieniem słowo „łono”, a „kleszcze” – „nauczkę”. Ale zaraz zganił siebie za takie gry etymologiczne, poetyzowanie, równie podłe, jak to, że minister obrony mówi o „cenie”, kiedy ma na myśli „śmierć”.

– Jest taka strofa w wierszach Altermana – powiedział do Tamary. – W „Pieśniach o plagach egipskich”, która brzmi: „Motłoch się wkrótce zebrał, niosąc stryżek winy, powieść króla i radę, i zmyć z siebie hańbę”. Myślę, że tak kończy się właściwie każda historia. Historia nas wszystkich w kilkunastu słowach. Zróbmy jej filiżankę kawy. I dla Gada i Alfreda też.

– W porządku. Nie kłopotz się. Włączyłam już czajnik – powiedziała Tamara. – Tak czy inaczej to chwilę potrwa, zanim ona się pozbiera. Daruję ci też sprzątaninę. Ja to zrobię, jeżeli ty zajmiesz się sterylizatorem i pralką. Jak to się dzieje, że ty wszystko pamiętasz? Altermana, Bikini i tak dalej? Z jednej strony jesteś tak roztargniony, że nawet nie potrafisz zapiąć porządnie koszuli albo ogolić się bez skaleczenia, a z drugiej przewracasz świat do góry nogami, żeby odgadnąć hasło krzyżówki. I wszystkim chciałbyś

poukładać życie. Popatrz tylko na swój sweter, pół wpuszczone do środka, pół na wierzchu. Kołnierzyk koszuli też, jeden róg wyłożony, a drugi schowany. Jak dziecko.

Tamara umilkła, tylko na jej okrągłej, szczerzej twarzy błąkał się jeszcze ten ciepły uśmiech, tak jakby ktoś go tam zapomniał. Chwilę siedziała zamyślona.

– Mój ojciec powiesił się w hotelu Metropol w Aleksandrii – powiedziała w końcu ze smutkiem, nie tłumacząc, skąd jej to przyszło do głowy właśnie teraz. – To było w 1946 roku. Nie znaleziono żadnego listu. Miałam pięć i pół roku. Prawie go nie pamiętam. Przypominam sobie, że palił papierosy marki Simon Arzt, i miał zegarek, żółty, kwadratowy, z fosforyzującymi wskazówkami, które jarzyły się w ciemności, jak oczy ducha. Mam jego zdjęcie w brytyjskim wojskowym mundurze, ale nie wygląda tam na wojskowego. Jest taki rozmamłany. I wymęczony. Na zdjęciu widać jego blond włosy, uśmiech, piękne białe zęby i mnóstwo ślicznych, malutkich zmarszczek w kącikach oczu. Nie jest smutny, tylko zmęczony. I trzyma na rękach kota. Zastanawiam się, czy on też cierpiał z powodu nie odwzajemnionej miłości. Matka nigdy nie chciała o nim ze mną rozmawiać. Powiedziała jedynie, że on też o nas nie myślał. Potem zawsze zmieniała temat. Miała kochankę. Wysokiego australijskiego kapitana z drewnianą protezą zamiast ręki. Miał rosyjskie imię Serafim. Kiedyś wyjaśnili mi, że to pochodzi od hebrajskiego słowa „serafin”. Potem jej kochankiem był mazgajowaty bankier, który zabrał ją do Kanady i porzucił. W końcu napisała do mnie z Toronto po polsku. Musiałam prosić, żeby ktoś mi przetłumaczył tamten list. Nigdy nie nauczyła się pisać po hebrajsku. Informowała mnie, że chce wrócić i zacząć nowe życie. Ale nigdy tego nie zrobiła. Umarła na raka wątroby. Mnie wychował zakład prowadzony przez Radę Pracujących Kobiet. A jeśli chodzi o Altermana. Powiedz, czy to prawda co mówią, że on ma dwie żony?

– On umarł – odparł Fima. – Jakies dwadzieścia lat temu.

Już miał dać jej błyskawiczny wykład o Altermanie, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu Eitana i wraz z ostrym powiewem środków dezynfekcyjnych pojawiała się w nich głowa doktora.

– Hej, Brigitte Bardot, przynieś mi ampułkę dolantyny, ale migiem.

Fima musiał więc odłożyć swoje nauki na później. Wyłączył czajnik i postanowił włączyć piecyk w pokoju pozabiegowym. Potem odebrał, jeden po drugim, dwa telefony. Zapisał na koniec miesiąca panią Bergson i wyjaśnił Gili Maimon, że nigdy nie podają wyników telefonicznie. Z jakichś powodów mówił z tymi kobietami lękliwie, tak jakby zrobił im coś złego. W duchu przyznał rację Annette Tadmor, że kobieca tajemniczość – wszystkie te Greta Garbo, Beatrycze, Marleny Dietrich i Dulcynee – jest żalnym mitem, ale nie zgadzał się z nią, że to płeć męska stanowi wieczną zagadkę. Wszyscy tkwimy po uszy w kłamstwie. Wszyscy udajemy. Brutalna prawda polega na tym, że każde z nas wie dokładnie, czym jest miłosierdzie i kiedy powinno się je okazać, bo każde z nas pragnie odrobiny takiego miłosierdzia. Ale kiedy nadchodzi chwila, aby je okazać, udajemy, że nie wiemy, o co chodzi. Lub że współczucie i miłosierdzie są tylko odmianą traktowania innych z góry, czymś zbyt staromodnym i sentymentalnym. Albo że tak właśnie jest i nie ma rady, i dlaczego właśnie na nas ma spadać taki obowiązek? To pewnie miał na myśli Pascal mówiąc o „śmierci duszy” i doświadczanej przez człowieka męce zdetronizowanego króla. Wszystkie wysiłki, żeby nie dopuścić do swojej wyobraźni tego, co działo się za tamtą ścianą, wydały się nagle Fimie straszliwym tchórzostwem, obrzydliwą podłością. Podobnie jak to, że próbował zagłuszyć w sobie myśl o śmierci ojca Tamary plotkami o życiu Altermana. Z pewnością obowiązkiem nas wszystkich jest spojrzeć cierpieniu prosto w oczy. Gdyby to on był premierem, kazałby wszystkim członkom swojego gabinetu służyć co najmniej przez tydzień w oddziale rezerwy w Gazie albo Hebronie, pomieszkać trochę w obrębie jednego z obozów na Negewie, spędzić kilka dni w

nędznym szpitalu na oddziale neurogeriatrycznym, przeleżeć w błocie i deszczu jedną zimową noc, od zmierzchu do świtu, przy podłączonym do prądu płocie z drutu kolczastego na granicy Libanu, lub poasystować Eitanowi i Wahrhaftigowi w tym aborcyjnym piekle, do którego znowu dotarli z górnego piętra dźwięki fortepianu i wiolonczeli.

Chwilę potem te refleksje wydały się mu zupełnie nie na miejscu, bo uderzyła go ich dziewiętnastowieczna rosyjska kiczowatość. Określenie „aborcyjne piekło” było niesprawiedliwe. Mimo wszystko czasami tu właśnie zaczyna się życie. Fima przypomniał sobie pacjentkę, Sarah Matalon, której najlepsi specjaliści radzili już się poddać i adoptować dziecko, i tylko Gad Eitan przez cztery lata nie dawał za wygraną. Potem cały personel kliniki dostał zaproszenie na uroczystość obrzezania. Ojciec dziecka oświadczył nagle, że nadadzą mu imię Gad, i Fima zauważył, że doktor Eitan przygryza mocno pasek od zegarka. Nawet jego oczy zaszkliły się łzami. Tylko Wahrhaftig nie stracił rezonu i z zachwytem wziął dziecko na ręce.

Fima skoczył, żeby pomóc Tamarze poprowadzić oszołomioną, wyglądającą na jakieś siedemnaście lat dziewczynę, bladą jak ściana i cienką jak patyczek, stającą na miękkich nogach w kierunku pokoju pozabiegowego. Jakby chcąc odpokutować za grzechy całej płci męskiej Fima krzątał się jak szalony, spiesząc przynosząc mięciutki koc, szklankę zimnej wody mineralnej z plasterkiem cytryny, papierowe chusteczki, aspirynę. Później wezwał dla dziewczyny taksówkę.

O czwartej trzydzieści była przerwa na kawę. Przyszedł doktor Wahrhaftig i pochylił się nad biurkiem w recepcji, wydychając Fimie prosto w twarz zapach lekarstw i środków dezynfekcyjnych. Masywna klatka piersiowa, pękata niby u jakiegoś gubernatora z czasów carskich, i zaokrąglone biodra nadawały jego ciężkiej postaci wygląd śpiewaka operowego – basso profundo. Jego policzki

pokrywała niezdrowa siateczka niebieskich, czerwonych i różowych naczynek krwionośnych, które były tak blisko powierzchni, że można było niemal zmierzyć na nich puls.

Bezszelestnie, stąpając zwinnie i miękko jak kot po gorącym dachu, nadciągnął też doktor Eitan. Żuł gumę, powoli i beznamiętnie. Jego usta były wąskie i zaciśnięte.

– Trafił nam się osobliwy sznyt – powiedział Wahrhaftig. – Ale poradziłeś sobie doskonale.

– Wyciągnęliśmy ją. Ale to nie wyglądało dobrze – odparł Eitan.

– Jeśli chodzi o transfuzję, miałeś całkowitą rację – pochwalił go Wahrhaftig.

A Eitan na to:

– Wielkie rzeczy. To było oczywiste od samego początku.

– Bóg dał ci zręczne palce – powiedział Wahrhaftig.

Fima przerwał im delikatnie:

– Pijcie kawę. Stygnie.

– Jego ekscelencja Nisan! – ryknął Wahrhaftig. – I gdzież to się jego wysokość podziewał ostatnio? Czy pisze dla nas może nowego Fausta? Albo Kohlhaasa? Prawie zapomnieliśmy, jak pan wygląda!

I zaczął opowiadać znany dowcip o trzech obibokach. Ale zanim jeszcze doszedł do trzeciego, raz po raz wybuchał nieopanowanym, rubasznym śmiechem.

Gad Eitan, zamyślony głęboko, odezwał się nagle:

– A jednak nie powinniśmy byli robić tego tutaj, przy miejscowym znieczuleniu. To trzeba było zrobić w szpitalu, pod narkozą. Niewiele brakowało, a spartolilibyśmy wszystko. Zastanówmy się nad tym, Alfredzie.

– Co? Martwisz się? – spytał zmienionym głosem Wahrhaftig.

Gad Eitan nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nie. Teraz jestem zupełnie spokojny – odparł po chwili.

Tamara wyraźnie walczyła ze sobą, czy coś powiedzieć, czy nie. Raz czy dwa otwierała już usta, aż wreszcie nieśmiało rzuciła:

– Ładnie ci w tym białym polo, Gad. Może wolisz herbatę z cytryną niż kawę?

– Tak, ale bez tego łaszenia się, proszę.

– No i co powiecie na tego polskiego antysemitę? – przerwał im od razu Wahrhaftig, niezręczny rozjemca, starając się spieszenie sprowadzić rozmowę na sprawy bieżące. – Nic się nie nauczyli i nie zmienili się ani trochę. Słyszeliście w radiu, co ten kardynał w Warszawie powiedział o klasztorze w Oświęcimiu? To dokładne powtórzenie starej śpiewki: dlaczego Żydzi tak się panoszą, dlaczego robią tyle szumu, dlaczego podburzają świat przeciwko biednej Polsce, dlaczego znowu chcą zrobić interes na swoich zmarłych? Przecież zginęły też miliony Polaków. A nasz sprytny mały rząd, ze starą żydowską uniżonością, przymyka na wszystko oko. W każdym cywilizowanym kraju odesłano by ich charge d'affaires do domu z dobrym kopniakiem w, wiecie co, na drogę.

– Nie martw się, Alfredzie – powiedział Eitan. – Nie puścimy tego płazem. Którejś nocy pošemy tam lotnictwo. Spadniemy jak burza. Urządzimy oświęcimskie Entebbe. Wysadzimy w powietrze klasztor, a nasze siły powrócą bezpiecznie do bazy. Zaskoczenie będzie całkowite. Cały świat oniemieje z wrażenia, jak za dawnych dobrych czasów. Potem pan Szaron i pan Szamir mogą sobie trąkotać o długich mackach Izraelskich Sił Obronnych i ich odbudowie. Mogą sobie ochrzcić tę akcję: „Pokój dla Krematoriów”.

Fima zapalił się nagle do myśli, że gdyby to on był premierem... ale zanim skończył snuć te marzenia, wybuchnął dziko:

- A komu to, u diabła, potrzebne? Zupełnie oszaleliśmy. Brakuje nam piątej klepki. Co my wyprawiamy, handryczymy się z Polakami o to, do kogo należy Oświęcim? To już zaczyna wyglądać na dalszy ciąg naszej stałej śpiewki o „prawach dziedzicznych”, „schedzie po przodkach” i o tym, że „nigdy nie oddamy terytoriów wyzwolonych”. Lada chwila nasi osadnicy zaczną tam budować nowe siedziby pośród komór gazowych. Żeby usankcjonować politykę faktów dokonanych na spornych terytoriach. A niby dlaczego to Oświęcim miałby należeć do Żydów? To ziemia nazistowska. Niemiecka. Tak naprawdę powinna stać się własnością chrześcijan. Chrześcijaństwa w ogóle, a w szczególności polskiego katolicyzmu. Niech sobie obstawia cały obóz klasztorami, krzyżami i dzwonniami. Calutki teren za drutami. Z Jezusem na każdym kominie. Nie ma lepszego miejsca na świecie, w którym chrześcijanie mogliby się gromadzić. Oni, a nie my. Niech chodzą tam na pielgrzymki, bić się w piersi albo świętować największe w historii zwycięstwo swojej ideologii. Jak dla mnie, mogą sobie ochrzcić swój oświęcimski klasztor „Słodką zemstą Chrystusa”. Gdzie my się pchamy ze swoimi protestami i transparentami? Czy zupełnie oszaleliśmy? Tak powinno być, że Żyd, który przyjedzie tam, żeby uczcić pamięć ofiar, zobaczy wokół siebie las krzyży i będzie słyszał tylko kościelne dzwony. Wtedy zrozumie, że jest naprawdę w sercu Polski. Samym sercu chrześcijańskiej Europy. Jeśli o mnie chodzi, cieszyłbym się, gdyby przeniesiono tam Watykan. Czemu nie? Niech papież posiedzi tam aż do Dni Zmartwychwstania, na złotym tronie pośród kominów. A poza tym...

- A poza tym opamiętaj się – syknął Eitan, oglądając uważnie swoje eleganckie palce pod światło, jakby nagle zaniepokoił się, że mogły ulec jakiejś tajemniczej transformacji. Nie zadał sobie jednak trudu, aby wyjaśnić, czy jest odmiennego zdania.

- W każdym cywilizowanym kraju – powiedział Wahrhaftig, starając się sprowadzić rozmowę na właściwe tory – nikt by wam nie pozwolił opowiadać takich potworności na tak tragiczny temat. Są

rzeczy, z których nie wolno żartować, nawet prywatnie, za zamkniętymi drzwiami. Ale nasz Fima ma słabość do paradoksów, a ty, Gad, cieszysz się tylko wtedy, kiedy masz okazję zakpić sobie z rządu, Oświęcimia, nalotu na Entebbe, sześciu milionów. Chcesz prowokować za wszelką cenę. Jesteś pozbawiony uczuć. Powiesiłbyś ich wszystkich. Kat z ulicy Alfasi. To dlatego, że obaj nie znosicie państwa. Zamiast co dzień rano padać na kolana i dziękować Bogu za wszystko, co tu mamy, włącznie z azjatyckością i bolszewizmem, wiecznie szukacie dziury w całym.

I nagle, w przyływie udawanej furii – tak jakby postanowił stać się uosobieniem jakiegoś srogiego tyrana – poczerwieniał jak burak, potrząsnął swoją pijacką twarzą, na której widoczna siateczka naczynek krwionośnych nabrzmiała, jakby miała za chwilę pęknąć.

– Skończcie te brednie! – ryknął jowialnie. – Wszyscy do pracy, biegiem marsz! Moja klinika to nie parlament!

Prawie nie poruszając zaciśniętymi pod blond wąsem wargami, Gad Eitan syknął:

– Ależ to właśnie jest parlament sklerotyków. Alfredzie, wpadnij do mojego gabinetu. Ty też, wygłodniała seksualnie Miss Świata, przynieś mi kartę pani Bergman.

– Co ja ci takiego zrobiłam – wyszeptała płaczkliwie Tamara. – Dlaczego stale mnie dręczysz?

I w słabym przeblysku męstwa dodała:

– Kiedyś w końcu cię trzepnę.

– Cudownie – uśmiechnął się krzywo Eitan. – Jestem do twojej dyspozycji. Nawet nadstawię ci drugi policzek, jeżeli pomoże ci to uspokoić trochę twoje hormony. Potem, oby Święty Augustyn udzielił pociechy tobie, mnie i tym wszystkim, którzy oplakują Syjon i Jerozolimę, amen.



Z tymi słowami zrobił w tył zwrot i odszedł pełnym godności sprężystym krokiem, wygładzając białe polo i pozostawiając za sobą ciszę.

Obaj lekarze zniknęli za drzwiami gabinetu Eitana. Fima spenetrował kieszeń i zdołał wydobyć z niej zgniecioną, niezbyt czystą chustkę do nosa, żeby ją podać Tamarze, której oczy wyraźnie zaszklily się łzami. Nie zauważył, że z załomków chustki wypadło coś małego i wylądowało na podłodze. Tamara pochyliła się i podniosła kolczyk Annette. Oddała go Fimie, uśmiechając się przez łzy. Potem wytarła oczy, to brązowe i to zielone, rękawem, znalazła żądane dokumenty i pospieszyła w ślad za lekarzami. W drzwiach odwróciła do Fimy swoją zgnębioną twarz i tonem pełnym patosu, tak jakby składała najświętszą przysięgę, oświadczyła:

– Któregoś dnia złapię nożyczki i zamorduję go. Potem się zabiję.

Fima nie uwierzył jej, ale mimo to schował nóż do papieru w szufladzie biurka. Chusteczkę i kolczyk troskliwie upchał z powrotem do kieszeni. Potem wyrwał kartkę papieru i położył ją przed sobą. Miał zamiar zanotować parę myśli, jakie mu się nasunęły na temat serca chrześcijaństwa. Mógłby to być początek artykułu do niedzielnego dodatku.

Ale nie mógł się skupić. Nie spał nawet trzech godzin i wyczerpały go poranne wizyty jego niestrudzonych kochanek. Co one w nim takiego widzą? Czy budzi w nich uczucia macierzyńskie swoją bezradnością? Wydaje się dzieckiem, które trzeba przewijać i karmić piersią? Bratem, który otrze ich łzy? Nie zrozumianym poetą, któremu chcą być Muzą? A co też pociąga kobiety w takim okrutnym husarze jak Gad? Albo w gadatliwym dandysie jak jego ojciec? Fima nie mógł tego pojąć. Uśmiechnął się. Może jednak Annette nie ma racji, jeśli chodzi o ten wielki sekret, czego pragnie kobieta? Chyba że to nie był błąd, ale Annette, nie chcąc się zdradzić przed wrogiem, chytrze ukryła przed nim samo istnienie

tajemnicy. Bez wątpienia nie pożądała mnie dziś rano. Po prostu było jej mnie żal, postanowiła mi się oddać i tak się stało. Podczas gdy ja, pół godziny potem, nie pożądałem Niny, ale choć było mi jej żal i próbowałem jej siebie ofiarować, natura odmówiła mi tego, na co im swobodnie pozwala.

– Przecież to niesprawiedliwe – zamruczał. A po chwili dodał z ironią – Może by wystosować petycję?

Jego dłoń nieświadomie kreśliła wzory na leżącej przed nim kartce. Koła, trójkąty, krzyże, gwiazdy sześcioramienne, bomby i duże piersi. Pomiędzy tymi bazgrołami odruchowo napisał zdanie, które przeszło mu przez myśl wcześniej: „Żurawie kołują i wirują”. Pod nim napisał: „Prawie dołują i miłują”. Potem zamazał wszystko. Zmiał kartkę w kulkę i rzucił do kosza. Nie trafił.

Potem pomyślał, że wykorzysta wolny czas, żeby napisać dwa listy. Jeden otwarty do Güntera Grassa – o odpowiedzialności i winie, a drugi prywatny – spóźnioną odpowiedź na pożegnalny list Jael sprzed dwudziestu czterech lat. Zależało mu szczególnie na wyjaśnieniu Jael i samemu sobie, dlaczego był tak nieuprzejmy dla tych dwóch pułkowników, którzy odwiedzili ich owej sobotniej nocy, żeby przekonać go, że wyjazd Jael do pracy w Pasadenie na rok lub dwa leży w żywotnym interesie państwa. Nadal był święcie przekonany, że określenie „sprawa wagi państwowej” służy najczęściej jako przykrywka wszelkim niegodziwościom. Ale teraz, ćwierć wieku później, nie sądził już, że jest upoważniony do pouczania kogokolwiek. Niby jakim prawem? Co takiego w życiu osiągnął? Czy dla Joezera i jego przyjaciół, którzy nadejdą za sto lat, będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie, że tu, w Jerozolimie żył niegdyś nieznośny obibok, który działał wszystkim na nerwy, czepiając się wszystkich błędów gramatycznych, który cudzołożył, pomstował na ministrów i obrażał ich, toczył dysputy z jaszczurkami i karaluchami? Podczas gdy nawet tak niktzemny człowiek jak Gad Eitan leczy kobiety i przywraca do życia jałowe łona.

Kiedy zadzwonił telefon, zamiast zwykłego powitania: „Dobry wieczór, klinika”, wysnęło mu się: „Dobrych przeczuc, klinika”. Od razu przeprosił, zająknął się, starał się obrócić wszystko w żart, wypadło to żałośnie, poprawił się, próbował wyjaśnić błąd, a w końcu zapisał na pilną wizytę w przyszłym tygodniu Rachel Pinto, chociaż chciała się tylko umówić na zwykłe badanie kontrolne.

Kto wie? Może ją także porzucił mąż. Lub znalazł sobie młodszą kochankę. Lub został zabity podczas służby w oddziałach rezerwy na terytoriach okupowanych, a ona nie ma nikogo, kto by ją pocieszył.

### **Palce, które nie były palcami**

O siódmej opuścili rolety i zamknęli klinikę. Wiatr ucichł i przestało padać. Rześki, szklisty chłód ogarnął Jerozolimę. Gwiazdy połyskiwały ostrym zimowym światłem, a ze wschodu słychać było głośne, samotne bicie kościelnych dzwonów, tak jakby właśnie w tej chwili na Golgocie dopełniał się akt ukrzyżowania.

Doktor Wahrhaftig pojechał do domu taksówką, zabierając ze sobą Tamarę. Jak zawsze zaproponował, że podrzuci ją pod szkołę w Rehavii. Gad Eitan przemknął w ciemności w kierunku bocznej uliczki, gdzie parkował swój sportowy samochód. Natomiast Fima, ubrany w gruby płaszcz z postawionym kołnierzem, w swojej sfatygowanej czapce na głowie, stał przez jakieś dziesięć minut na opustoszałym przystanku autobusowym, czekając na cud. Miał wielką chęć pojechać do Kropotkinów, którzy mieszkali przy końcu ulicy Gaza, dać się poczęstować brandy, które obiecał mu Cwi, pogrzać nogi przy piecyku i wyjaśnić im swoją teorię, że przepaść, która dzieli Żydów od chrześcijan, dlatego jest tak głęboka, bo przypomina spór w rodzinie. Natomiast konflikt z islamem to tylko przejściowy spór terytorialny, który popadnie w zapomnienie za trzydzieści, czterdzieści lat. Ale chrześcijanie nawet za tysiąc lat będą w nas widzieli bogobojnego, przekłętą starszego brata. Przy tym ostatnim zdaniu poczuł nagle ostre ukłucie w sercu, wspominając dziecko, które urodziła jego matka pół wieku temu, kiedy miał cztery lata. Najwidoczniej niemowlę to nie przeżyło nawet trzech tygodni z powodu jakiejś wady wrodzonej, o której Fima nie miał pojęcia, nigdy przy nim o tym nie rozmawiano. Nie pamiętał tamtego dziecka ani żałoby, ale miał w oczach obraz malutkiego, jasnoniebieskiego kapturka z włóczki, który leżał na szafce przy

łóżku matki. Kiedy po jej śmierci ojciec wyrzucił wszystkie jej rzeczy, zniknął też niebieski, wełniany kapturek. Czy Baruch oddał go razem z ubraniami matki do szpitala dla trędowatych w Talbiyah? Fima stracił nadzieję, że autobus przyjedzie i zaczął iść w kierunku Rehavii. Na próżno usiłował przypomnieć sobie, czy obiecał Ninie zabrać ją z biura, czy też umówili się w kinie. Po chwili nie był już pewien, czy to nie z Annette Tadmor jest tam umówiony. Czy to możliwe, żeby w przyływie roztargnienia nieopatrznie zaprosił je obie? Nie namacał w kieszeniach żetonu telefonicznego, szedł więc dalej pustymi ulicami, które od czasu do czasu rozświetlał żółtawy blask zasnutych oparami mgły latarni. Nie przeszkadzał mu przejmujący chłód. Myślał o matce, która też bardzo lubiła zimno i nie znosiła lata. Zastanawiał się, co też w tej chwili robi w Rzymie jego dobry przyjaciel Uri Gefen. Prawdopodobnie siedzi w jakiejś gwarnej kawiarni przy jakimś placu, w otoczeniu błyskotliwych mężczyzn i pięknych, zalotnych kobiet. Rozprawia o czymś ze swadą, czarując towarzystwo opowieściami o walkach powietrznych, w których brał udział, lub przygodach miłosnych na Dalekim Wschodzie. Na pewno pozwala sobie jak zawsze na trochę pokrętnych uogólnień na temat kaprysów pożądania, opisując w dobrze wyważonych słowach nieuchronną śmieszność – która kładzie się cieniem na wszystkim, co robimy, siłą rzeczy zacierając nasze prawdziwe intencje – po czym podsumowuje wszystko jakimś lekkim frazesem, który ostatecznie nadaje dobrotliwie ironiczny ton jego wywodom, ujmując w cudzysłów wszystkie romanse i kłamstwa jako takie, a także uogólnienia, które przed chwilą wygłosił.

Tak bardzo pragnął poczuć na swoim ramieniu dotyk szerokiej, kanciastej dłoni Uriego. Brakowało mu jego wygłupów, zapachu, ciężkiego oddechu, jego serdecznego śmiechu. Jednocześnie jednak, i nie było w tym żadnej sprzeczności, było mu troszkę żal, że już za kilka dni przyjaciel wraca z zagranicy. Wstydził się swojego związku z Niną, choć podejrzewał, że Uri od dawna już wie o tej misji seksualnej żony, a może nawet sam ją zainicjował, z dobroci serca i

przywiązania do nich obojga. Kto wie, może bawi go ta sytuacja i przygląda się jej z rozbawieniem i pełną wyższości ironią? Czy to prawdopodobne, że żąda od Niny szczegółowych raportów po każdej sesji? Czy odtwarzają potem w zwolnionym tempie bieg wydarzeń, śmiejąc się razem pobłaźliwie? Kilka dni temu sprawił Ninie zawód na dywanie w jej domu, a tego ranka, przez Annette Tadmor, rozczarował ją ponownie w swoim własnym łóżku. Kiedy przypomniawszy sobie, jak gładziła go swoimi cudownymi palcami po czole szepcząc, że właśnie teraz, kiedy jego penis jest tak wiotki, czuje go w sobie mocniej niż podczas jakiegokolwiek zbliżenia, poczuł ukłucie w sercu. Jakże niezwykle, niemal mistyczne, wydały się mu teraz te słowa. Tak jakby promieniowały drogocennym blaskiem. I tak bardzo pragnął naprawić to, co zepsuł. Chciał dać Ninie i Annette, a także Tamarze i Jael, i wszystkim kobietom na świecie, nawet tym brzydkim i przez nikogo nie chcianym, prawdziwą zmysłową miłość, a także miłość ojcowską i braterską, a także miłość duchową.

Z jakiegoś ciemnego ogrodu odezwało się wściekle szczekanie niewidocznego psa.

– Co się dzieje? Co ja takiego zrobiłem? – odpowiedział zaskoczony Fima. A potem dodał z oburzeniem: – Przepraszam, ale my się chyba nie znamy.

Wyobraził sobie życie rodzinne płynące za tymi fasadami, okiennicami, oknami, zasłonami. W fotelu siedzi sobie wygodnie jakiś mężczyzna. Na nogach ma kapcie, czyta książkę o historii zapór wodnych. Na poręczy fotela stoi mały kieliszek brandy. Do pokoju wchodzi żona. Przed chwilą brała prysznic, ma mokre włosy, jest zaróżowiona i pachnąca, otulona niebieskim flanelowym szlafrokiem. Na dywanie małe dziecko bawi się cicho kostkami domina. Palnik na kuchni rozkwita delikatnymi płatkami płomienia. Wkrótce zasiądą do kolacji przed telewizorem i będą oglądać jakąś komedię. Potem położą dziecko spać, z bajeczką i pocałunkiem na dobranoc, usiądą obok siebie na kanapie w salonie, oprą

wyciągnięte z butów stopy na niskim stolczku, będą ze sobą szeptać, aż w końcu umilkną, być może wezmą się za ręce. Na zewnątrz przejedzie gdzieś z wyciem syreny karetka, potem już tylko burza i wiatr. Mężczyzna wstanie sprawdzić, czy okno w kuchni jest dobrze zamknięte. Wróci niosąc na tacy dwie szklanki herbaty z cytryną i talerzyk obranych pomarańczy. Mały kinkiet ze ściany będzie rzucał na nich bursztynowe, przytulne światło.

Pośród ciemności Fima poczuł ukłucie w sercu. Te obrazy nie tylko obudziły w nim tęsknotę za Jael, ale i dziwną tęsknotę za nim samym. Tak jakby jedno z tych oświetlonych okien skrywało innego Fimę, tego prawdziwego, bez nadwagi, który nie naprzykrza się nikomu, nie łysieje, nie nosi pozółkłych długich kalesonów, ale jest ciężko pracującym, prostolinijnym człowiekiem, żyjącym racjonalnie, bez wstydu i kłamstw. Spokojnym i systematycznym. Choć rozumiał od dawna, że prawda leży gdzieś poza jego zasięgiem, nadal w głębi ducha odczuwał pragnienie, aby wyrwać się z fałszu, który niby mialki pył wypełniał każdy załomek jego życia, nawet rejony najbardziej intymne.

Ten inny, prawdziwy Fima, siedzi w tej chwili w swoim gabinecie, pośród półek i starych sztychów przedstawiających Jerozolimę, jaką widzieli podróżnicy i pielgrzymi sprzed wieków. Głowa jego tonie w kręgu złotego światła lampy. Lewa dłoń spoczywa na kolanie żony, która przysiadła blisko niego na brzegu biurka. Wymieniają uwagi na temat jakiejś nowej teorii dotyczącej systemu odpornościowego lub fizyki kwantowej. Nie żeby Fima miał najbledsze pojęcie o immunologii lub fizyce, ale wyobrażał sobie, że ten prawdziwy Fima i jego żona w ciepłym, przytulnym pokoju oboje są specjalistami w tej lub tamtej dziedzinie i pracują razem nad nowymi koncepcjami, które sprawią, że na świecie będzie odtąd mniej cierpień. Czy właśnie to zacisze ich domu miała na myśli Rosa albo jego matka, namawiając go do przejścia na stronę aryjską?

Na rogu ulicy Smoleńskiego, obok oficjalnej rezydencji premiera Szamira, przy pojemnikach na śmieci Fima zobaczył małą dziewczynkę opartą o tobołek z koca. Czy ogłosiła strajk głodowy? Zemdląła? Została zamordowana? Czy to może jakaś oszalała z rozpaczy matka z Betlejem przyniosła tu ciało swojej zabitej przez nas córki? Zaniepokojony pochylił się nad maleństwem, ale okazało się, że to tylko sterta wilgotnych gałęzi, które ktoś poprzycinał w ogrodzie i wystawił w worku na ulicę. Fima ociągał się jednak z odejściem. Nagle zapalił się do pomysłu, który wydawał się mu jak najbardziej uzasadniony – miał wielką ochotę położyć się tam i ogłosić własny strajk głodowy. Popatrzył w górę i zobaczył pojedyncze żółtawe światło za zaciągniętymi zasłonami ostatniego pokoju na najwyższym piętrze. Wyobraził sobie Icchaka Szamira, jak spaceruje w tę i z powrotem od okna do drzwi, z rękami splecionymi z tyłu, zmartwiony treścią telegramu, który leży na parapecie. Premier nie wie, co odpowiedzieć, może dokuczają mu typowe dla podeszłego wieku bóle pleców, przecież to zima, a nie jest już młody. On również miał swoje lata buntu w rewolucyjnym podziemiu. Może dobrze byłoby na chwilę odłożyć na bok urazy i wejść tam, żeby dodać mu otuchy, ukoić jego samotność, przegadać z nim całą noc, jak człowiek z człowiekiem, nie czepiając się drobiazgów, bez prawienia kazań i wysuwania oskarżeń. Jak dobry przyjaciel starający się otworzyć oczy przyjacielowi, że źli ludzie wciągnęli go w parszywą sytuację, z której pozornie nie ma wyjścia, a przecież rozsądne rozwiązanie jest tak proste i można sobie na nie pozwolić, o czym da się przekonać każdy, nawet najbardziej oporny. Trzeba tylko porozmawiać z nim cierpliwie, spokojnie i łagodnie. Pod warunkiem, że ów przyjaciel, który wpadł w tarapaty, nie schowa się przed nami za barykadą kłamstw i retoryki, lecz będzie otwarty, wysłucha nas z pokorą i rozważy możliwości, które do tej pory odrzucał nie z arogancji, ale z powodu uprzedzeń, skostniałych nawyków myślenia i głęboko zakorzenionych lęków. A co takiego złego w kompromisach, panie premierze? Każda strona otrzymuje tylko cząstkę tego, na co według siebie zasługuje, ale kładzie się



kres potwornościom. Rany zaczynają się goić. A czy pan sam nie zawdzięcza swojego stanowiska kompromisowi? Na pewno musiał pan nieraz iść na kompromis ze swoimi kolegami. A może z żoną? Prawda?

A właściwie, dlaczego by nie zapukać do tych drzwi? Zostanie podjęty szklanką gorącej herbaty, zdejmie palto i wyjaśni raz na zawsze, co rozum dyktuje i na co wskazuje doświadczenie historyczne. Albo przeciwnie, przekona premiera, żeby założył płaszcz i poszedł z nim razem na spacer. Mogą prowadzić tę płynącą ze szczerego serca dyskusję pośród zmytych deszczem pustych ulic, oświetlonych tu i ówdzie mokrą latarnią, zasnutych mrokiem i mgłą. Surowe, ascetyczne miasto, Jerozolima, w zimową noc. Nic straconego, panie premierze. Można jeszcze zacząć wszystko od nowa. Krwawe preludium zajęło sto lat, ale teraz pójdźmy na kompromis i przejdźmy do rzeczy. Niech Żydzi zaczną żyć jak naród, który odnalazł spokój na swojej ziemi i w końcu może ujawnić wrodzone zdolności twórcze, pogrzebane dotąd pod mrocznymi warstwami strachu i nienawiści, pogromów, prześladowań i unicestwienia. Spróbujemy, panie premierze? Ostrożnie, stopniowo i z namysłem?

Policjant, siedzący w budce przed rezydencją, wychylił głowę i zapytał:

– Hej, szuka pan tu czego?

– Tak, szukam jutra – odparł Fima.

– No to niech pan idzie szukać go gdzie indziej – uprzejmie zasugerował policjant. – Proszę odejść. Nie wolno tu stać.

Fima postanowił zastosować się do jego rady. Ruszyć naprzód. Iść dalej. Nie dawać za wygraną. Walczyć, dopóki jest w stanie sklecić logiczne zdanie i zachować trzeźwość myśli. Ale dokąd ma iść? Co powinien robić? Czy to nieprawda, że nawet jeszcze nie

zaczął? Ale co zaczął? I gdzie? I jak? W tej chwili usłyszał gdzieś z bliska jakiś zwyczajny głos, który zawołał:

– Fimo, gdzie jesteś?

Stanął jak wryty i odpowiedział skwapliwie:

– Jestem tutaj. Słucham.

Ale to tylko koty miauczały tęsknie zza wilgotnych murów. A wtórował im jedynie pochłaniający i zacierający wszystko monotony szum sosen w ciemności opustoszałych ogrodów.

*Sitra de-itkasia* — ukryta strona.

Szedł wolno dalej. Budynek Terra Sancta pogrążony był w całkowitych ciemnościach. Na Placu Paryskim Fima zatrzymał się chwilę, czekając na zielone światło, potem poczłapał ulicą Króla Jerzego w kierunku centrum. Nie zwracał uwagi na chłód, który przenikał go pomimo palta, ani na wodę spływającą z jego starej czapki, ani na nielicznych przechodniów, idących szybko w swoją stronę, rzucających czasem z ukosa spojrzenie na jego dziwną, okutaną płaszczem postać. Wytrwale brnął dalej, najwyraźniej pogrążony w ożywionej dyskusji z samym sobą, gestykułując i poruszając ustami. To bardzo źle, że nie zachował środków ostrożności tego ranka. A jeśli Annette zajdzie z nim w ciążę? Będzie musiał znowu wskoczyć na pokład jakiegoś frachtowca i uciekać. Do Grecji. Do Niveh. Na Alaskę. Albo na wyspy Galapagos. W zakamarkach łona Annette, w ciemnym, ciepłym labiryncie wilgotnych tuneli toruje sobie teraz drogę jego ślepe nasienie, z tym niesamowitym ruchem ogonków, rzucając się chaotycznie tu i tam; drobinki z maleńkimi, okrągłymi, łysymi główkami Fimy, może nawet odziane w mikroskopijne, przemoczone, szmaciane czapeczki. Istotki – bez wieku, bezmyślne, ślepe, pragnące za wszelką cenę odnaleźć ukryte źródło ciepła, nic tylko główka i ogonek, potrzeba parcia i zagnieżdżenia się, przebicia osłonki jaja – pod każdym względem przypominające swojego ojca, chcące tylko raz na zawsze

owinać się kokonem kobiecego śluzu i w tej przytulnej kryjówce zasnąć. Fima martwił się bardzo, a jednocześnie czuł dziwną zazdrość o swoje nasienie. W żółtym świetle latarni przed synagogą Yeshurun zatrzymał się i zerknął na zegarek. Zdażyłby jeszcze na drugi seans w „Orionie”. Jean Gabin na pewno go nie zawiedzie. Ale gdzie dokładnie miał się spotkać z Annette? A może była to Nina? Gdzie miał na nie czekać? Wyglądało na to, że tego wieczora los każe mu darować sobie Jeana Gabina. Kiedy sunął powoli obok Beit Ha-ma'alot, niedaleko budynku starego parlamentu, minęła go jakaś hałaśliwa para, młody chłopak i dziewczyna.

– W porządku, ustąpimy oboje – powiedział chłopak.

– Teraz już za późno. To nic nie zmieni – odparła dziewczyna.

Fima przyspieszył kroku w nadziei, że uda się mu uchwycić nieco więcej strzępków ich rozmowy. Z jakichś powodów korciło go, żeby dowiedzieć się, o jakich ustępstwach mówią i co takiego nie zrobi już żadnej różnicy. Czy tego wieczora oni też zapomnieli o ostrożności? Ale nagle chłopak odwrócił się na pięcie, skoczył do krawężnika i pomachał ręką. Od razu zatrzymała się jakaś taksówka i chłopak wsiadł, nie oglądając się nawet na swoją partnerkę. Fima zdał sobie sprawę, że lada chwila ta dziewczyna zostanie porzucona pośrodku mokrej ulicy i już miał na końcu języka gotowe słowa do nawiązania rozmowy, słowa pociechy, żeby jej nie przestraszyć, jakieś smutne, mądre zdanie, które sprawi, że ona uśmiechnie się przez łzy. Ale nie miał szansy ich wykorzystać.

– Wracaj, Joav. Poddaję się – zawołała dziewczyna.

A chłopak, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zatrasnąć za sobą drzwi taksówki, podbiegł do dziewczyny i mocno ją objął, szepcząc coś, po czym oboje się roześmiali. Kierowca zaklął na chłopaka, a Fima, bez namysłu, zdecydował, że jego obowiązkiem jest uregulowanie sprawy z taksówkarzem. Wsiadł do auta, zatrasnął drzwi i powiedział:

– Przepraszam za zamieszanie. Kiryat Yovel, proszę.

Kierowca, krępy mężczyzna o tłustych, siwych włosach, małych oczkach i wąsikach przystrzyżonych z hiszpańska nie przestawał burczeć.

– Co tu się dzieje? Najpierw woła się taksówkę, potem przypomina się sobie, że trzeba pomyśleć, gdzie się jedzie. Ludzie, czy wy w ogóle wiecie, czego chcecie?

Fima zrozumiał, że kierowca bierze ich za jedno towarzystwo.

– O co chodzi – powiedział ugodowo. – Musieliśmy się chwilę zastanowić. Mała różnica zdań. Nie ma się pan czym denerwować.

Postanowił zainicjować następną dyskusję polityczną. Ale tym razem nie pogodzi się w milczeniu z dziką żądzą krwi. Przeciwstawi jej klarowną, szczerą argumentację z niepodważalną logiką. Był gotów od nowa podjąć wywód, który przedstawiał w myśli premierowi. Ale kiedy ostrożnie, tak jak dentysta, który stara się odkryć źródło bólu, zaczął badać grunt, żeby poznać odczucia kierowcy na temat terytoriów okupowanych i pokoju, taksówkarz przerwał mu łagodnie:

– Niech pan przestanie, dobrze? Ja, moje poglądy, to ludzi drażni. Zaczynają mnie słuchać, a za chwilę się wściekają. Dlatego przestałem się bawić w dyskusje dawno temu. Niech więc pan lepiej uważa. Gdybym ja rządził tym krajem, postawiłbym go na nogi w ciągu kilku miesięcy. Ale ludzie w Izraelu odzwyczaili się myśleć. Myślą tylko brzuchem. I jajami. No to po co mam sobie na darmo rujnować zdrowie? Zawsze, kiedy włączam się w dyskusję, to tylko szarpię sobie nerwy. To beznadziejne. Tu rządzi motłoch. Gorszy niż Arabowie.

– A jeśli obiecuję, że nie będę się denerwował – zaproponował Fima – i pana też nie zdenerwuję? Możemy zawsze uznać różnicę zdań.

– No to w porządku – powiedział taksówkarz – ale niech pan pamięta, że sam pan chciał. Więc, jeśli chodzi o mnie, to za tak zwany prawdziwy pokój, z wszystkimi gwarancjami i szczegółowymi zabezpieczeniami, za taki pokój oddałbym im całą terytoria okupowane, poza Ścianą Płaczu, i nawet podziękował za to, że zdejmą mi z tyłka Ramallah i Gazę. Odkąd wpadliśmy w to gówno w sześćdziesiątym siódmym roku, kraj schodzi na psy. Ale nas urządzili. No i jak? Działam panu na nerwy? Zacznie pan pieprzyć mi na temat Biblii?

Fimie trudno było się opanować.

– A jak, jeśli wolno spytać, doszedł pan do takiego wniosku?

– Z czasem – powiedział znużonym tonem kierowca – wszyscy do niego dojdą. Tyle że może jeszcze będzie nas to kosztowało dalsze kilka tysięcy ludzi. Nie ma innego wyjścia, proszę pana. Arabowie nie wyparują, my też nie, a pasujemy do siebie jak kot z myszą. Takie jest życie i tak byłoby sprawiedliwie. Tora mówi: jeżeli dwoje sprzecza się o szal modlitewny i każde szarpie w swoją stronę, weź nożyczki i rozetnij taśes na pół. Tak postanowił sam Mojżesz i może pan mi wierzyć, że nie był idiotą. Lepiej przeciąć szal niż masakrować dzieci. Jaka to miała być ulica?

– Brawo! – powiedział Fima.

A kierowca na to:

– Jakie brawo? Co pan przez to rozumie? Za kogo pan mnie ma, za kota, który nauczył się fruwać? Jeżeli pan jest tego samego zdania, nie biłbym panu za to brawa. Powiedziałbym panu, niech pan słucha uważnie, że w tym kraju jest tylko jeden człowiek, który miałby dość siły, żeby przeciąć szal i nie dać się samemu porąbać na kawałki, a jest to Arik Szaron. Nikt inny. Tylko jemu by na to pozwolili.

– Chociaż ma ręce splamione krwią?

– Nie „choć”, właśnie dlatego. A przede wszystkim to nie on ma krew na rękach, ale wszyscy w tym państwie. Pan i ja także. Nie zwalajmy wszystkiego na Szarona. A poza tym nie mam wyrzutów sumienia z powodu przelewu krwi. Jest mi żal, a także, ale nie wstyd. Zostawmy to Arabom, nie sobie. Nie chcieliśmy przecież przelewu krwi. Oni nas do tego zmusili. Od samego początku. Ze swojej strony nigdy nie chcieliśmy stosować przemocy. Nawet Menachem Begin, dumny patriota, jeżeli taki gatunek w ogóle istnieje, kiedy tylko Sadat przyszedł do Knessetu z przeprosinami, dał mu wszystko, co trzeba, żeby tylko położyć kres przelewowi krwi. Gdyby Arafat zwrócił się do Knessetu i powiedział przepraszam, też by coś zyskał. No więc? Niech Arik dobieje targu, jak gangster z gangsterem. Co pan myśli, że z takim łajdakiem, jak Arafat, mogą prowadzić interesy mięczaki w stylu Jossiego Sarida? Arabowie zaraz by go wykiwali, a potem ktoś od nas naszpikowałby go ołowiem i tak by się to wszystko skończyło. Lepiej niech tnie Arik. Jeżeli chce się dobić targu z dziką bestią, trzeba wynająć myśliwego, a nie tancerkę. Czy to pana dom?

Kiedy Fima zdał sobie sprawę, że nie ma przy sobie dość pieniędzy, żeby opłacić kurs, zaproponował, że zostawi dowód albo poprosi o pożyczkę sąsiada, jeżeli tylko kierowca zechce chwilę poczekać.

– Niech pan da spokój – powstrzymał go jednak taksówkarz. – To jeszcze nie koniec świata. Jutro czy pojutrze niech pan wpadnie do mojej firmy i zostawi pieniądze. Niech pan po prostu powie, że to dla Tsijona. Nie jest pan przypadkiem członkiem Towarzystwa Biblijnego? Albo czegoś w tym rodzaju?

– Nie – odparł Fima. – A dlaczego?

– Miałem wrażenie, że widziałem pana w telewizji. Ale to musiał być ktoś do pana podobny. Też ładnie mówił. Chwileczkę, przyjacielu. Zapomniał pan kapelusza. Gdzie pan to zdobył? Czy to pamiątka z czasów holocaustu?

Fima nie zatrzymując się minał skrzynkę na listy, choć widział, że coś tam jest. Obszedł dokoła zwinięty materac. Kiedy zapalił światło na klatce schodowej i wyciągnął z kieszeni klucz, na ziemię wypadł złożony w malutki kwadracik banknot. Dziesięć szekli. Fima spiesznie poczłapał z powrotem w nadziei, że uda się mu złapać taksówkarza, który zawracał w uliczce.

– Po co ten pośpiech – uśmiechnął się w ciemności kierowca. – Boi się pan, że wyjadę za granicę? Że jutro już mnie nie będzie? Niech te lajdaki wyjadą. Ja poczekam do końca. Żeby zobaczyć finał. Dobranoc panu. Niech się pan nie zamartwia.

Fima zdecydował, że zaproponuje temu człowiekowi wejście w skład swojego rządu. Zwolni Cwikę z obowiązków ministra informacji i przekaze jego tekę kierowcy. A ponieważ taksówkarz napomknął o finale, przypomniał sobie nagle, że Annette pewnie czeka w domu na jego telefon. Chyba że stoi pod kinem. A może to Nina? Czy nie obiecywał Ninie, że wpadnie po nią do biura? Czy to możliwe, że niechcący umówił się z nimi obiema? A może z Tamara? Na myśl, że znów będzie musiał kłamać i usprawiedliwiać się, robiło mu się niedobrze. Powinien zadzwonić i wszystko wytłumaczyć. Wyplatać się z tego taktownie. Przeprzić Ninę i pognać na spotkanie Annette. Albo odwrotnie.

A jeśli okaże się, że umówił się tylko z jedną z nich i kiedy będzie próbował się wyłgać przez telefon, pograży się jeszcze bardziej i tylko narazi na śmieszność? A jeśli w tej chwili one obie stoją w holu kina, czekając na niego, nie rozpoznając siebie nawzajem, i nawet przez myśl im nie przejdzie, że to ten sam idiota wystawił je do wiatru?

Do diabła z kłamstwami. Od dziś zacznie nowy rozdział. Będzie żyć bez tajemnic, racjonalnie i uczciwie. Jak ujął to taksówkarz – bez wyrzutów sumienia. Nie było żadnego powodu, żeby przed którąkolwiek z nich ukrywał istnienie tej drugiej. Skoro za mną przepadają, dlaczego nie miałyby przepadać za sobą nawzajem? To

niemal pewne, że od razu by się ze sobą zaprzyjaźniły. Mogłyby się nawzajem podtrzymywać na duchu. Są poza tym takie podobne. Obie potrafią współczuć, mają dobre serca. To wielkoduszne istoty. Chyba obie wzrusza moja bezradność. Zbiegiem okoliczności, jeżeli to jest zbieg okoliczności, obaj ich mężowie przebywają teraz we Włoszech. Kto wie? Być może się nawet spotkali? Może właśnie w tej chwili Jeri Tadmor i Uri Gefen siedzą w wesołym towarzystwie innych Izraelczyków w tamtym lokaliku w Rzymie i opowiadają jeden przez drugiego barwne historyjki o miłości i rozpaczach. Albo dyskutują o przyszłości Bliskiego Wschodu, a Uri przytacza argumenty, które zapożyczył ode mnie. Podczas gdy moja rola w tej farsie, żywcem ze Stefana Zweiga lub Somerseta Maughama, polega na zaaranżowaniu spotkania obu słomianych wdów, które tego wieczora połączy przyjaźń i poczucie solidarności. Staną się sobie naprawdę bliskie, bo obie życzą mi dobrze.

W wyobraźni zobaczył już siebie, jak siedzi w ciemności sali kinowej, na ekranie Jean Gabin uwikłany w intrygę gangu bezlitosnych morderców, tymczasem on lewą ręką obejmuje Annette, a palcami prawej błądzi po piersiach Niny. Tania podróbka Uriego Gefena. Po filmie zaprosi je obie do małej restauracyjki za Placem Syjonu. Swobodny i tryskający humorem, uraczy je pieprznymi anegdotkami i błyskotliwymi refleksjami, rzucając nowe światło na sprawy stare jak świat. Kiedy przeprosi je na chwilę i wyjdzie do toalety, one zaczną ze sobą szeptać, wymieniając uwagi na temat jego formy, rozdzielając pomiędzy sobą zadania, ustalając coś w rodzaju dyżurów, żeby się nim opiekować.

Ten obraz był jak miód na jego serce. Od dziecka uwielbiał wyobrażać sobie, że jacyś dorośli odpowiedzialni ludzie dyskutują pod jego nieobecność, jak mu pomóc, czekają aż zaśnie, żeby pomówić o przygotowaniach do jego urodzin, przechodzą na rosyjski, żeby ustalić, jakim prezentem zrobią mu najmiłszą niespodziankę. Jeżeli pod koniec kolacji zbierze się na odwagę i zaproponuje Annette i Ninie, żeby poszły do niego i zostały z nim na



noc, z początku będą trochę skrepowane, ale w końcu mu nie odmówią. Uri przekonywał go, że kobiety też marzą czasem o takich układach. Więc w końcu będzie czekała go podniecająca, grecka noc. Poczuje się cudownie odmłodzony. Zacznie się znowu czas amorów.

Przez kilka chwil wyobrażał sobie to wszystko, obsadzając role, zastanawiając się nad reżyserią różnych scen. Potem chwycił słuchawkę i nakręcił numer do biura Niny. Kiedy odpowiedziała mu cisza, spróbował zadzwonić do Annette. Znowu nic. Wykręcał oba numery na przemian, pięć czy sześć razy, bez skutku. Nic w tym kraju nie działa. Linie są przeciążone, szpitale nie pracują jak trzeba, nie można polegać na dopływie prądu, uczelnie lada chwila zbankrutują, zamyka się jedną po drugiej fabryki, w edukacji i badaniach naukowych gonimy Indie, instytucje użyteczności publicznej padają, a wszystko przez tę, doprowadzającą nas do ruiny, obsesję na punkcie terytoriów okupowanych. Jak ujął to tamten taksówkarz: „odkąd wpadliśmy w to gówno w sześćdziesiątym siódmym roku, kraj schodzi na psy”. Fima potrząsał telefonem w powietrzu, postawił go z hukiem na stole, potrząsał nim, zagrzechotał, próbował prośby i groźby, grzmotnął nim o blat, walnął jeszcze raz – wszystko na próżno. Po chwili wydało się mu, że to jego własna wina. Ile razy zlekceważył nadsyłane mu druczki z upomnieniem, że nie zapłacił rachunku? Teraz oni odebrali swój dług. Odcięli go od świata. Zostawili jak kantora na bezludnej wyspie.

Sprytnie spróbował znowu, kręcąc tarczą powoli i delikatnie, jak włamywacz, jak kochanek. Nie pamiętał, czy w takich przypadkach numer reklamacji jest czternaście, osiemnaście, czy po prostu sto. Był gotów natychmiast uregulować zaległą należność, przeprosić osobiście albo pisemnie, dać wykład o mistycyzmie pracownikom telekomunikacji, zapłacić grzywnę albo łapówkę, zrobić wszystko, żeby tylko przyszli tu zaraz i przywrócili do życia

jego telefon. Zaraz z samego rana pójdzie do banku. A może lepiej na pocztę?

Zapłaci rachunek i wydostanie się z bezludnej wyspy. Ale przypomniał sobie, że jutro jest piątek i wszystkie urzędy są zamknięte. Może trzeba zadzwonić do ojca i poprosić, żeby użył swoich wpływów? W przyszłym tygodniu ojciec wyda go na pastwę malarzy i robotników. Może powinien uciec na Cypr? Albo na wyspy Galapagos? Albo chociaż do pensjonatu w Magdiel?

Nagle rozmyślił się. Zobaczył wszystko w innym świetle. Od razu poczuł się lepiej. To los wybawił go od Jeana Gabina i orgii. Słowa „bezludna wyspa” wprawiły go w świetny humor. Jak cudownie będzie spędzić spokojny wieczór w domu. Wiatr może sobie do woli tłuc w okna. Fima, zamiast starać się udobruchać dwie obrażone kobiety, a potem mordować się całą noc, żeby zaspokoić ich żądze, włączy sobie piecyk, usiądzie w fotelu i postara się zbliżyć trochę do tego innego, prawdziwego Fimy. Uszczęśliwiała go zwłaszcza myśl, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki został zwolniony z obowiązku nałożenia z powrotem płaszcza i czapki i od ponownej wędrówki przez zsiekane deszczem, zimne i opustoszałe miasto. Czy naprawdę miał ochotę upodobnić się do Uriego Gefena? Wejść w rolę ojca? Zacząć brykać znowu niczym młody koziołek – taki nędzny, stary cap jak on? Najpierw sprawdź, czy umiesz się choć porządnie wysiusiać.

Zamiast pajacować, lepiej usiąść teraz przy biurku, zapalić lampę i ułożyć druzgocącą odpowiedź na wystąpienie Güntera Grassa. Albo list do Icchaka Rabina. Albo napisać artykuł o istocie chrześcijaństwa. I raz wreszcie będzie mógł sobie spokojnie obejrzeć o dziewiątej wiadomości. Albo zasnąć przed telewizorem, oglądając głupi melodramat. Albo jeszcze lepiej położyć się do ciepłego łóżka z książką, którą zabrał z pracowni Teda i poczytać o łowcach wielorybów na Alasce, wyobrazić sobie prostotę prymitywnego życia koczowników, dziwne obyczaje seksualne Eskimosów. Na myśl o

przekazywaniu dojrzałych wdów młodym chłopcom w trakcie rytuału inicjacji poczuł w lędźwiach cudowne pulsowanie. Jutro wytłumaczy wszystko swoim kochankom, które na pewno mu wybaczą. Przecież to właściwie siła wyższa. Oprócz ulgi i lekkiego podniecenia, Fima poczuł też głód. Cały wieczór nic nie jadł. Wszedł więc do kuchni i na stojąco połknął pięć grubych pająd chleba z dżemem, pożarł dwa pomidory, nie zadając sobie trudu, żeby je pokroić. Zjadł kubek jogurtu, popił dwiema szklankami herbaty z miodem i zagryzł to wszystko tabletką przeciw zgadze. Żeby sprowokować niezdecydowany pęcherz, spuścił wcześniej wodę, przegrał wyścig i znów musiał czekać. Ale znudziło go wyczekiwanie, więc poszedł pogasić światła, po czym stanął w oknie, żeby popatrzeć, co nowego na pustkowiach ciągnących się w kierunku Betlejem – może widać już jakiś promyczek z oddali? Gwałtowne uderzenia mocnego wiatru o szyby sprawiały mu przyjemność.

Tu i ówdzie na ciemnych zboczach migotała blada iskierka – arabskie, kamienne domki rozrzucone pomiędzy sadami wśród skał. Cienie wzgórz mamły jakąś nieuchwytną, nieziemską pieszczotą. Dawno, dawno temu, po tych ziemiach wokół Jerozolimy wędrowali królowie i prorocy, zbawcy i naprawiacze świata, szaleńcy, którzy słyszeli głosy, fanatycy, asceci i marzyciele. A pewnego dnia w przyszłości, za sto i więcej lat, będą żyli tu nowi ludzie, zupełnie inni niż my. Uczciwi, opanowani. Bez wątpienia wszystkie nasze problemy wydadzą się im dziwaczne, niezrozumiałe i żenujące. Na razie, póki co, pomiędzy tym, co było, a tym, co dopiero będzie, to nam dane jest zamieszkiwać Jerozolimę. Nam powierzono to miasto. A my pozwalamy panoszyć się tu krzywdom, głupocie i niesprawiedliwościom. Jesteśmy sprawcami upokorzeń, frustracji i cierpień, nie z braku wiedzy, ale przez zwykłe lenistwo i strach. Pragniemy dobra, a stajemy się przyczyną zła. Chcemy pocieszać, a tylko ranimy. Chcemy pogłębiać wiedzę, a jedynie pogłębiaamy ból.

– Nie osądzaj mnie – upomniał Joezera na głos Fima. – Siedź cicho. Co może w ogóle wiedzieć taki mydłek jak ty? I kto cię pyta o zdanie?

Przed jego zmęczonymi oczami połyskiwały duże, jaskrawe gwiazdy. Fima nie znał ich nazw i nie obchodziło go, gdzie jest Mars, Jowisz czy Saturn. Ale pragnął zrozumieć, skąd bierze się to niejasne poczucie, że wszystko to nie dzieje się po raz pierwszy. Że już tu niegdyś był, dawno, dawno temu. Że widział już te migocące gwiazdy wśród chłodu samotnej, zimowej nocy. Nie z okna swojego mieszkania, ale może od progu jednego z tych małych kamiennych domków wśród ciemnych skał naprzeciwko. I że zadawał już sobie pytanie, czego chcą od nas te gwiazdy na niebie i co mówi w ciemnościach cień wzgórz. Tylko że wtedy odpowiedź była prosta. Teraz popadła w zapomnienie. Rozwiał ją wiatr. Choć przez chwilę zdawało mu się, że jest ona bardzo blisko, w zasięgu ręki. Uderzył czołem o szybę i zadrżał z zimna. Bialik skarżył się kiedyś, że gwiazdy go oszukały. Nie dotrzymały swojej obietnicy. Nie przyszły na umówione spotkanie. Ale oczywiście jest właśnie na odwrót – to nie one zawiodły, ale my. To my nie dotrzymaliśmy obietnic. Wołały nas, a my zapomnieliśmy przyjść. Mówiły, a my nie chcieliśmy słyszeć. Żurawie zakołowały i zniknęły.

Rzeknij słowo. Daj mi najmniejszy znak, wskazówkę, mrugnij tylko, a wstanę i wyruszę od razu. Nawet nie zmienię przed drogą koszuli. Wstanę i pójdę. Albo ukorzę się u twoich stóp. Wpadnę w trans z szeroko otwartymi oczami.

Wiatr na dworze nasilił się. Strugi deszczu waliły przez szybę o jego czoło. Dziura w chmurach unoszących się nad wzgórzami Betlejem, przez którą świeciły przed chwilą gwiazdy, była teraz ciemna jak wszystko wokół. Fimie wydało się nagle, że z oddali słyszy przeraźliwy płacz, tak jakby na zboczach wadi leżało w mokrym kocyku porzucone dziecko. Miał wrażenie, że powinien natychmiast biec i pomóc matce odnaleźć maleństwo. Ale powiedział sobie, że to

pewnie tylko skrzywienie żaluzji. Albo dzieci sąsiadów. Albo zmarznięty kot na podwórzu. Jakkolwiek by się wpatrywał, widział już tylko ciemność. Żadnego znaku. Ani na wzgórzach, ani wśród słabych światełek rozrzuconych po zboczach domków, ani na ciemnym niebie. Czy to nie przewrotne i niegodziwe wołać mnie, żebym szedł, nie dając mi najmniejszej wskazówki, dokąd mam iść? Gdzie jest miejsce spotkania? I czy w ogóle ma się odbyć jakieś spotkanie? Czy to mnie się woła, czy kogoś z sąsiadów. I czy w tym mroku w ogóle coś jest, czy nie ma tam nic.

W owej chwili Fima poczuł na sobie cały ciężar ciemności spoczywających nad Jerozolimą. Ciemności spowijających iglice i sklepienia, mury i wieże, ogrodzone podwórza, zarośla wiekowych sosen, klasztory i drzewka oliwne, meczety, jaskinie i groby, miejsca spoczynku królów, fałszywych i prawdziwych proroków, kręte aleje, budynki rządowe, ruiny i bramy, kamieniste pola i porośnięte ostami pustkowia, intrygi, pragnienia i lunatyczne wizje, wzgórze i pustynie.

Na południowym zachodzie, ponad wzniesieniami wokół miasteczka Ein Karem, chmury zaczęły przesuwac się, tak jakby jakaś niewidzialna ręka zaciągała zasłonę. Tym samym gestem, w zimowe wieczory, jego matka zwykła zasłaniać okna we wszystkich pokojach. Pewnego razu zapomniała zrobić to w jego sypialni. Fima miał wtedy trzy albo cztery lata. Obudził się w środku nocy i zobaczył wpatrzoną w siebie niewyraźną postać. Długi, chudy cień otoczony kręgiem bladego światła. Potem sylwetka zniknęła. Pojawiła się znowu, niby księżycowa poświata, w następnym oknie. I znowu odeszła. Pamiętał, jak obudził się przerażony i z płaczem usiadł w łóżku. W nocnej koszuli, która pachniała tak ślicznie, przyszła mama i pochyliła się nad nim. Wydawała się smukła i biała, i też rozświetlona tym księżycowym blaskiem. Przytuliła go i powiedziała, że tam nic nie ma, że ten kształt to tylko sen. Potem starannie zaciągnęła obie zasłony, poprawiła mu pościel i pocałowała go w czoło. Choć w końcu przestał płakać i schował się

pod kołdrą, choć mama została przy nim, dopóki nie zasnął, Fima wiedział doskonale, i nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, że to nie był sen, i że matka świadomie go okłamała. Nawet teraz, pół wieku później, nadal był przekonany, że wtedy na zewnątrz naprawdę czaił się ktoś obcy. Nie we śnie, ale tam, po drugiej stronie okna. I jego matka też go widziała. I wiedział, że to było najgorsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek usłyszał. To właśnie ono zabrało mu jego małego braciszka i skazało na śmierć w kwiecie wieku matkę, a jego samego przez wszystkie te lata na bycie tu i niebycie zarazem, na próżne poszukiwania czegoś, czego właściwie nie zgubił i nie miał zielonego pojęcia, ani co to jest, ani jak wygląda, ani gdzie i jak to odnaleźć.

Nawet gdyby pewnego dnia wpadło mu to w ręce, to jak to rozpozna?

Może już to miał, ale odrzucił i po omacku, niczym ślepiec, ruszył dalej?

Żurawie zakołowały, zatoczyły krag i odleciały.

Wiatr za oknami ucichł. Zapanowała lodowata cisza. Za piętnaście jedenasta Fima zmienił zdanie, włożył czapkę i płaszcz i wyszedł na pustą ulicę. Poczul przejmujący chłód. Poszedł do budki telefonicznej w centrum handlowym po drugiej stronie osiedla. Ale kiedy podniósł słuchawkę, ten telefon także okazał się głuchy. Może awaria dotyczy całej dzielnicy. A może jacyś wandalcy zepsuli telefon w budce? Albo to Jerozolima znowu została odcięta od świata i pozbawiona wewnętrznej łączności? Poddał się i delikatnie odwiesił słuchawkę. Wzruszając ramionami, powiedział: „Brawo, kolego”, bo przypomniał sobie, że przecież i tak nie ma żetonu.

Jutro wstanie wcześniej i wytłumaczy wszystko obydwu swoim kochankom.

Albo wyniesie się stąd i odjedzie gdzieś daleko.

Dobrze się czuł wśród szelestu wilgotnych sosen, przenikliwego chłodu i opustoszałych ulic. Ruszył więc dalej w kierunku wzgórz i pól. Jego matka miała dziwny zwyczaj dmuchania na jedzenie, nawet jeżeli nie było już gorące albo jeśli w ogóle było zimne, jak sałatka czy kompot z owoców. Kiedy dmuchała, jej usta składały się jak do pocałunku. Fima poczuł ukłucie w sercu, bo teraz, czterdzieści cztery lata po jej śmierci, tak bardzo pragnąłby odwzajemnić tamten pocałunek. Był gotów przewrócić świat do góry nogami, byle tylko odnaleźć niebieski, niemowlęcy kapturek z wiszącym pomponem i zwrócić go jej.

Kiedy doszedł do końca ulicy i na skraj miasta tam, gdzie nie było już zabudowań, zdał sobie sprawę, że świat wypełnia coś przezroczystego. Wszędzie wokół niego rozlegał się cichuteńki szelest kroków. Fima miał wrażenie, jakby jego twarzy dotykały palce, które nie są palcami. Kiedy otrząsnął się ze zdumienia, zauważył drobniutkie białe płatki. Nad Jerozolimą zaczął prószyć śnieg. Ale topniał natychmiast po zetknięciu z ziemią. Nie był w stanie pokryć bielą szarości miasta.

Fima wrócił do domu i zaczął grzebać w koszu na śmieci pod biurkiem, żeby odszukać rachunek telefoniczny, który zmiał i wyrzucił poprzedniego dnia albo jeszcze wcześniej. Nie udało się mu, ale wyciągnął pogniecioną stronę „Ha'arets”. Rozprostował ją i zabrał do łóżka, żeby poczytać o fałszywych prorokach naszych czasów, ale po chwili oczy mu się zamknęły, gazeta opadła na twarz. Fima zasnął. O drugiej w nocy śnieg przestał padać. Wyludnione ulice Jerozolimy zamarły wśród chłodu i ciemności, tak jakby nastąpił jakiś kataklizm i wszyscy zostali stąd znów wygnani.

**Rosa**

W tym śnie wojskowym dżipem, z karabinem maszynowym zamontowanym na masce, przyjechał po niego Gad Eitan. Miał zabrać go na spotkanie z prezydentem. Okazało się, że biuro prezydenta mieści się w niziutkiej synagodze w dzielnicy rosyjskiej, na tyłach głównej komendy policji. Za biurkiem siedział wymuskany brytyjski oficer w czarnym mundurze przepasanym ukośnie przez ramię skórzanym paskiem. Nalegał, żeby Fima podpisał dobrowolne przyznanie się do zamordowania psa, który we śnie przybrał postać kobiety. Jej ciało zawinięte w przesiąknięte czarną krwią prześcieradło leżało u stóp Arki Przymierza. Fima poprosił, żeby pozwolono mu zobaczyć twarz zmarłej. A po co, odparł z uśmiechem oficer, czyż nie szkoda jej budzić? To znowu Rosa. Ryzykowała dla ciebie życie, przeprowadziła cię na stronę aryjską, wiele razy wybawiła od śmierci, a ty ją zdradziłeś. Kiedy Fima zebrał się na odwagę, żeby zapytać, jaką karę mu szykują, minister obrony powiedział: „Ależ z ciebie bałwan. Sama zbrodnia jest karą”.



**Fima nie chce się poddać**

O wpół do siódmej obudził go nagle jakiś huk na górze, po którym zaraz rozległ się krzyk kobiety, niezbyt głośny, ale okropny, rozpaczliwy, jakby w obliczu śmierci. Fima skoczył na równe nogi i szybko wciągnął spodnie, po czym pobiegł na balkon w kuchni, żeby posłuchać, co się dzieje. Było zupełnie cicho. Tylko jakiś niewidoczny ptak powtarzał raz po raz łagodnie trzy sylaby, tak jakby doszedł do wniosku, że do Fimy i tak nic nie dotrze. Fima zastanawiał się, czy nie powinien pójść szybko na górę sprawdzić, co się stało. Może trzeba zaproponować pomoc? Ratunek? Wezwanie karetki albo policji? Ale przypomniał sobie, że ma zepsuty telefon, więc jest zwolniony z obowiązku interweniowania. A poza tym możliwe, że stukot i krzyk były tylko częścią snu, a jego dochodzenie wywoła jedynie zakłopotanie i narazi go na śmieszność.

Zamiast wrócić do łóżka, stał tak na balkonie w podkoszulku z długimi rękawami, pośród szczątków klatek, słoików i pudeł, gdzie hodowali niegdyś z Dimim swoje „robaki”. Teraz unosił się tam paskudny fetor rozkładających się, wilgotnych trocin zmieszanych z poczerniałymi odchodami i resztkami gnijącego pokarmu – marchewek, obierzyn z ogórków, liści kapusty i sałaty. Na początku zimy Dimi postanowił uwolnić żółwie, owady i ślimaki, które naznosił do domu z wyschniętego koryta rzeki.

Gdzie podział się wczorajszy śnieg?

Tak jakby go nigdy nie było.

Zniknął bez śladu.

Tymczasem na południe od Jerozolimy widać było odświeżone w niebieskawej poświacie poranka nagie wzgórza, miało się wrażenie, że można nawet dostrzec srebrzyste błyski pod liśćmi dalekich drzew oliwnych rosnących wzdłuż grzbietu Beit Jalli. To było chłodne, ostre, kryształowo czyste światło, wysłane nam niby zadatek tych odległych dni, kiedy cierpienia się skończą, Jerozolima zostanie wyzwolona od wszelkiej udręki, a ludzie, którzy zajmą nasze miejsce, będą żyć spokojnie, mądrze i przyjemnie – wtedy kolor nieba zawsze będzie właśnie taki.

Panował przejmujący chłód, ale Fima, w swoim pożółkłym zimowym podkoszulku, nie odczuwał tego. Stał oparty o balustradę, wciągając głęboko w płuca aromatyczne niby wino powietrze, i rozmyślał, jak pośród takiego piękna cierpienie może być w ogóle możliwe. Na podwórzu na dole wydarzył się tego ranka maleńki cud. Dziwaczne, niecierpliwe drzewko migdałowe zdecydowało się nagle zakwitnąć, tak jakby pomyliło daty. Robiło wrażenie obsypanego rojem świetlików, które zapomniały, że to już świt. Różowe kwiatki mieniły się tysiącami kropelek deszczu. Błyszczące drzewko migdałowe nasuwało Fimie na myśl smukłą, piękną kobietę, która płakała całą noc i nie zdążyła jeszcze otrzeć łez. To skojarzenie sprawiło, że przepełniła go dziecięca radość i uczucie miłości, i cień tęsknoty za Jael, za wszystkimi kobietami w ogóle, oraz śmiałe postanowienie, że właśnie tego ranka rozpocznie życie od nowa – stanie się odtąd racjonalnym, prostolinijnym człowiekiem, dobrym, wolnym od fałszu i udawania. Włożył więc czystą koszulę i sweter Jael. Zaskoczony własną stanowczością, wszedł na piętro i energicznie przycisnął dzwonek sąsiadów z góry. Po chwili drzwi otworzyła pani Pizanti. Miała na sobie nie dopięty szlafrok narzucony na nocną koszulę. Jej szeroka, dziecinna twarz wydała się Fimie zmieniona, a nawet jakby nieco opuchnięta od pobicia. Ale może tak właśnie mniej więcej wygląda każdy wyrwany prosto ze snu. Za nią w bladym świetle jarzeniówki korytarza połyskiwały oczy

jej męża. Był to włochaty, atletycznej budowy osobnik, dużo niższy od swojej żony. Kobieta spytała z niepokojem, czy coś się stało.

– Przeciwnie. Przepraszam. Nic – powiedział Fima. – Zastanawiałem się, czy coś u państwa upadło? Coś się stukło? Myślałem, wydawało mi się, słyszałem... mają państwo jakiś kłopot? Pewno się przesłyszałem. Może to tylko jakiś wybuch daleko stąd. Może Wyznawcy Mesjasza wysadzili w powietrze Wzgórze Świątynne i zamienili je w Padół Płaczu.

– Słucham? – zdziwiła się pani Pizanti, wpatrując się w niego z pewnym lękiem.

Zza jej pleców odezwał się mąż, technik rentgenolog. W jego tonie Fima wyczuwał jakąś fałszywą nutę.

– U nas wszystko w jak najlepszym porządeczku, panie doktorze. Dzwoni pan, to myślałem, że może pan ma jakiś problem? Nie? Czegoś zabrakło? Skończyła się panu znowu kawa? Korek się przepalił? Czy mam przyjść go panu naprawić?

– Dziękuję – powiedział Fima. – To bardzo uprzejmie z pana strony. Mam mnóstwo kawy i nie ma problemu z prądem. Tylko mój telefon nie działa. Ale nawet jestem zadowolony, bo w końcu mam trochę spokoju. Przepraszam, że niepokoiłem państwa tak wcześnie. Ale sądziłem... Nieważne. Proszę mi wybaczyć. Dziękuję.

– Ależ nic nie szkodzi – powiedział wylewnie Pizanti. – I tak zawsze wstajemy piętnaście po szóstej. Gdyby potrzebował pan gdzieś zatelefonować, niech się pan nie krępuje. Proszę się czuć jak u siebie w domu. Jeśli pan chce, mogę zejść sprawdzić kable. Może coś się odłączyło.

– Miałem zamiar – powiedział przerażony własnymi słowami Fima – zadzwonić do przyjaciółki, która być może czeka na mnie od wczorajszego wieczora. Właściwie do dwóch przyjaciółek. Ale doszedłem do wniosku, że może lepiej niech jeszcze trochę poczekają. To nic pilnego. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Kiedy już miał odejść, pani Pizanti powiedziała z wahaniem:

– Możliwe, że wiatr coś zrzucił. Jakaś balię albo coś w tym rodzaju. Bo u nas wszystko w porządku.

Te słowa jeszcze bardziej utwierdziły Fimę w przekonaniu, że został oszukany. Ale wybaczył sąsiadom, bo przecież nie miał prawa spodziewać się, że przyznają się mu do awantury, a poza tym i on nie powiedział do końca prawdy o telefonowaniu do przyjaciółek.

– Ale z ciebie idiota – ofuknął sam siebie, wracając do mieszkania.

Ale sobie również wybaczył, bo przecież miał najlepsze chęci.

Przez jakieś dziesięć minut gimnastykował się przed lustrem. Ogolił się, ubrał, przycesał byle jak włosy, zagotował wodę w nowym czajniku, posłał łóżko i raz w życiu udało się mu to wszystko zrobić bez jakiejś wpadki. On ją uderzył, myślał, a może nawet rąbnął jej głową o ścianę. Mógł ją zabić. Kto wie, któregoś dnia może do tego dojdzie, może nawet właśnie tego ranka. To, co robił z nami Hitler, nie skończyło się w 1945 roku, to nadal trwa i tak chyba będzie już zawsze. Za wszystkimi zamkniętymi drzwiami kryją się mroczne tajemnice. Okrucieństwo i rozpacz. W całym państwie wzbiera jakieś nieuchwytnie szaleństwo. Trzy razy na tydzień ręka zemsty dosięga dawnych morderców. Nie możemy spokojnie zasnąć, zanim nie urządzimy jakiegoś małego pogromu Kozakom. Co rano porywamy Eichmanna i co wieczór dusimy w zarodku Hitlera. W koszykówce pokonujemy Chmielnickiego i przez Euro wizję bierzemy odwet za Kiszyniów. Ale czy mam prawo się wtrącać? Z radością popędziłbym na białym rumaku z pomocą tej pani Pizanti albo im obojgu, albo całemu państwu, gdybym tylko wiedział, co trzeba zrobić. Gdybym miał choć pojęcie, od czego zacząć. Taki Baruch, ze swoją bródką a la Trocki i ozdobną laseczką, niesie swój wkład w naprawę świata, rozdając dotacje i zapomogi, podczas gdy ja tylko podpisuję petycje. Może mimo wszystko powinienem był przekonać wczoraj tamtego policjanta, żeby mnie wpuścił do Szamira? I raz

szczerze porozmawiać. Albo może powinienem przedstawić Szamirowi tamtego taksówkarza?

Przyszło mu na myśl, żeby siaść i napisać krótki, ale z głębi serca płynący apel do jastrzębiej prawicy. Przedstawić im w „Ha'arets” ogólny zarys choćby częściowej ugody narodowej. Coś w rodzaju nowej umowy pomiędzy ludźmi umiarkowanych poglądów a mniej fanatycznym elementem z obozu „jastrzębi”, który byłby jeszcze zdolny do przełknięcia konieczności zwrócenia części terytoriów okupowanych, gdyby nie przekonanie, że lewicę cechuje niebezpieczna tendencja do ustępstw, która łatwo może się wymknąć spod kontroli. Taksówkarz miał rację – naszym największym błędem w ciągu minionych dwudziestu lat było to, że nie braliśmy poważnie przewrażliwienia Pizantich i setek tysięcy innych Izraelczyków im podobnych, w których Arabowie budzą prawdziwy gniew, lęk i nieufność. Takich uczuć na pewno nie wolno potępiać, ale trzeba starać się je stopniowo mądrze łagodzić rozsądną perswazją. A my, zamiast próbować ich przekonać, wylaliśmy na nich nocnik protekcyjnych głupot. Celowe więc byłoby zawarcie porozumienia, które określiłoby granice, do których my, umiarkowani, bylibyśmy skłonni iść na ugodę z Arabami. Żeby tamci nie wyobrażali sobie, jak Baruch, że zachęcamy do czegoś w rodzaju wielkiej wyprzedaży. Żeby wiedzieli, za co my, lewica, gotowi jesteśmy dalej wojować, gdyby okazało się, że strona arabska łamie obietnice albo chce nas wyprowadzić w pole. W ten sposób, być może, udałoby się nam ułagodzić niektórych prawicowych radykałów i stopić lody.

Słowo „stopić” przypomniało mu, że zapomniał o włączeniu piecyka. Schylając się, z ulgą stwierdził, że w środku jest dość oleju. Kiedy włączył grzejnik, poczuł potrzebę skonsultowania się z Cwiką Kropotkinem, zanim usiądzie do pisania apelu. Pełen zapału nie zastanawiał się nawet, czy nie przeszkodzi mu znowu w środku golenia, bo miał mocne przekonanie, że jego idea może być pożyteczna i zbawienna, czyli jest to naprawdę bardzo pilna sprawa.

Ale telefon nadal był głuchy. Fima odniósł jednak wrażenie, że cisza w słuchawce nie jest już tak martwa jak w nocy, że gdzieś spoza niej słychać jakieś przerywane burczenie, jakby zgrzytanie zębami. Te słabe oznaki życia wydały się Fimie pierwszym sygnałem ozdrowienia. Był pewien, że aparat nie umarł, lecz jest w stanie głębokiej śpiączki, i że teraz, choć jeszcze nie odzyskał przytomności, zaczyna lekko reagować, słabiutkim jękiem bólu, pulsowaniem, które budzi nadzieję. Choć biorąc pod uwagę, że w kuchni właśnie zaczęła warkotać lodówka, radość Fimy mogła okazać się przedwczesna.

Samo określenie – element z obozu „jastrzębi” – wydało się mu nagle odrażające. Nie wolno nazywać istot ludzkich „elementem”. A poza tym to szaleństwo kłaść prawicowych myślicieli na kanapkę u psychiatry – przecież sami nie jesteście bynajmniej uosobieniem zdrowego rozsądku. Na nas też swoje piętno odciska rozpacz, frustracja i wściekłość. My też wpadliśmy w pułapkę emocji, podobnie jak nasi opozycjoniści. Podobnie jak Arabowie. A określenie „nasz obóz” jest zupełnie idiotyczne. Cóż to niby znaczy? Cały kraj jest frontem, cały naród armią. Wszystko dzieli się na obozy. Siły pokojowe. Batalia na rzecz umiaru. Walka o rozbrojenie. Kampania na rzecz współistnienia i braterstwa narodów. Przyczółki pojednania.

Zamiast sięść do pisania apelu, Fima podszedł do okna, żeby zebrać myśli. Obserwował, jak zimowe światło, niby szlachetny kruszec, rozlewa się po szczytach i zboczach wzgórz. Fima znał pojęcie „kruszcze szlachetne” i był nim zafascynowany, choć nie umiałby powiedzieć, co ono naprawdę oznacza. Pewnego razu, kiedy odwiedził ojca w Rehavii, Baruch i Dimi próbowali go przyprzeć do muru i wyjaśnić mu podstawy chemii. Fima, niby uparte dziecko, tak długo bronił się dowcipami i ucieczką w grę słów, że w końcu Dimi zdecydował:

– Daj spokój, dziadku, to nie dla niego.

I obaj odpłynęli w królestwo kwasów i zasad, do których Fima miał uraz ze względu na swoją zgage.

Promienie muskały grzbiety wzgórz, przenikały w doliny, budząc w każdym drzewie i skale ukrytą zdolność emanowania światła, które zwykle leżało pogrzebane głęboko pod warstwami codziennej szarości i martwoty. Tak jakby w Jerozolimie, tysiące lat temu, ziemia utraciła zdolność samoodradzania się i tylko miłosierny dotyk tego magicznego światła mógł przywracać rzeczom, choćby na krótką chwilę, ich pierwotny, przyćmiony od dawien dawna blask. Czy Wasza Miłość zaszczyci mnie najlżejszym choćby skinieniem głowy, jeśli padnę na kolana i obiecuję pokorne dziękczynne modły? Czy jest coś, co mógłbym dla Waszej Miłości zrobić? Czy my w ogóle cokolwiek Waszą Miłość obchodzimy? Dlaczego nas tu wysłałeś? Dlaczego nas wybrałeś? Dlaczego wybrałeś Jerozolimę? Czy Wasza Miłość jeszcze słucha? Czy Wasza Miłość się uśmiecha?

Stare aramejskie określenia, takie jak „od dawien dawna”, „nie z tego świata”, „ukryta strona”, wprawiły Fimę w nastrój obcowania z czymś niezwykłym i tajemniczym. Przez chwilę zadawał sobie pytanie, czy mimo wszystko nie jest możliwe, że światło i błoto, świetliki i drzewko migdałowe, promienne niebo, wypalona słońcem ziemia ciągnąca się stąd na wschód do Mezopotamii i na południe do Bab Al-Mandab, aż na skraj Półwyspu Arabskiego, i nawet to nędzne mieszkanie, i jego własne starzejące się ciało, i zepsuty telefon są jedynie różnymi odmianami tego samego bytu, skazanego na rozproszenie w niezliczonych, ułomnych i nietrwałych wcieleniach, choć sam w sobie jest on jeden – nieskażony i wieczny. Tylko w taki zimowy ranek pod ślubnym welonem kryształowych promieni – które pewnie odpowiadają aramejskiemu określeniu „boskiej światłości” – ziemi i naszym oczom przywrócona zostaje zdolność odczuwania tej odwiecznej jedni. I wszystko odzyskuje swoją pierwotną niewinność. Jak w dniu stworzenia. I na mgnienie uchyla się mroczna zasłona smutku i kłamstw.

W ten sposób Fima dotarł do spowszedniałego pojęcia „świętej Jerozolimy”, do którego dodał własną interpretację, opartą jedynie na tym, co czuł w tej konkretnej chwili. Rozmyślał, jak to czasem sen wydaje się mu mniej skażony fałszem niż jawa, a czasem odwrotnie, i że najbardziej upragniony byłby stan ostatecznego przebudzenia. Doszedł teraz do wniosku, że to chyba kwestia nie dwóch, ale trzech stanów – snu, przebudzenia i tej promiennej iluminacji, której doznawał z zewnątrz i od wewnątrz od samego rana. Szukając odpowiedniej nazwy, określił to doświadczenie „Trzecim Stanem”. I czuł, że chodzi nie tylko o to czyste światło padające na wzgórza, ale o światło, które emanuje z nich samych i z niego także, i że to z połączenia tych wszystkich promieni rodzi się „Trzeci Stan”, równie odległy od jawy, co głębokiego snu, a jednocześnie zupełnie od nich obu różny.

Żadna strata na świecie nie jest równie tragiczna jak pozbawienie nas „Stanu Trzeciego”. Zabijają go wiadomości radiowe, interesy, puste pragnienia i pogoń za głupstwami, za tym, co mało ważne. Wszystkie cierpienia, powiedział sobie Fima, cały bezsens i sprośność wynikają z utraty „Trzeciego Stanu” lub tego niepokojącego uczucia, które od czasu do czasu przypomina nam, że zarówno poza nami, jak i w nas, niemal w zasięgu ręki, jest coś, do czego pozornie dążymy, ale w końcu zawsze mylimy drogę. Wołają cię, a ty zapominasz pójść. Mówią, a ty nie słyszysz. Drzwi stają otworem, ale ty się spóźniasz, bo wolisz zaspokoić tę czy inną żądzę. „Morze milczenia odsłania tajemnice”, ale ty jesteś zbyt zajęty błahostkami. Wolisz zrobić wrażenie na kimś, kto sam przegapił swoją szansę, bo chciał wyrzucić wrażenie na kimś innym, kto także... i tak dalej, i tak dalej. Wszystko w proch się obraca. Raz po raz odrzucałeś to, co prawdziwe, dla tego, co nie jest i nigdy nie było, i co nie może istnieć. Gad Eitan miał rację, kiedy powiedział kpiąco, że wszędzie pleni się marnotrawstwo. Jego żona postąpiła słusznie, że uciekła póki czas. Wszystko się poplątało, przestaliśmy rozumieć, co jest najważniejsze, powiedział półgłosem ze smutkiem Fima. Jaka



szkoda, na przykład, że Cwi Kropotkin, taki pracowity człowiek, spędził trzy lata starając się odkryć nowe szczegóły dotyczące stosunku kościoła katolickiego do wypraw Magellana i Kolumba, niby ktoś sortujący guziki ubrań, które już dawno się zdarły. Albo Uri Gefen, rzucający się z romansu w romans, całkowicie przytomny, ale z uśpionym sercem.

W tej chwili Fima postanowił skończyć z beczynnym wystawianiem przy oknie i zacząć szykować mieszkanie na przyjeście ekipy remontowej, która była umówiona na początek tygodnia. Trzeba zdjąć ze ścian obrazy. I mapę Izraela, na której kiedyś zaznaczył ołówkiem rozsądne, kompromisowe granice. Wszystkie meble trzeba przesunąć na środek pokoju i przykryć folią. Zdjąć książki. I przenieść w bezpieczne miejsce wszystkie wazony i talerze, całe szkło i porcelanę. Może skorzystać z okazji i pozbyć się też stert starych gazet, magazynów i broszur? Półki trzeba rozebrać, a to wymaga pomocy Uriego. On wraca dziś wieczór? Czy jutro? Czy za dwa dni? Nina będzie mu mogła wreszcie zdać szczegółową relację o tym, jak nie raz, a dwa, starała się wyświadczyć Fimie stałą przysługę i przekonała się, że źródółko wyschło. Może Szula Kropotkin zechce przyjść z odsieczą i włączyć się w opróżnianie kuchni. Niewykluczone, że nawet Annette Tadmor miałaby ochotę trochę pomóc. Państwo Pizanti też zadeklarowali swoją gotowość, jeśli tylko nie wymordują się przedtem nawzajem. A Ted z przyjemnością wpadnie, żeby zdjąć zasłony i lampy. Może przyprowadzi ze sobą Dimiego. Ojciec ma rację, ta nora nie była doprowadzona do porządku przez ponad dwadzieścia lat. Sufit lepi się od brudu, osiadły na nim sadze z piecyka. Po kątach wiszą pajęczyny. W łazience jest wilgoć. Kafelki są popękane. Tynk odpada. Widać plamy pleśni. Panuje tu stęchły zapach potu przez cały rok – odór starokawalerstwa. To nie tylko stara „puszka robaków” na balkonie powoduje ten fetor. Tak do tego przywykłeś, że ci to nawet nie przeszkadza.

Święta prawda, że przyzwyczajenie jest źródłem wszelkiego zła. To właśnie miał na myśli Pascal, kiedy pisał o śmierci duszy.

Fima znalazł w papierach na biurku zielone ogłoszenie zapowiadające wielką wyprzedaż w lokalnym supermarkecie. Na brzeżku kartki zapisał pospiesznie:

„Przyzwyczajenie to początek śmierci. Nawyki to piąta kolumna”.

A niżej:

„Rutyna = kłamstwa”.

„Przyzwyczajenie – niszczenie – unicestwienie”.

Miał zamiar wrócić do tych myśli i rozwinąć je podczas weekendu. A ponieważ przypomniał sobie, że jutro sobota, domyślił się, że właśnie musi być piątek, z czego wynika, że powinien zrobić jakieś zakupy. Ale w piątki miał wolne, klinika była zamknięta, więc po co ten pośpiech? Czy jest sens zaczynać przesuwac meble o siódmej rano? Lepiej poczekać na posiłki. To nic pilnego. Choć, kiedy spojrział na zegarek, odkrył, że jest już nie siódma, a dwadzieścia po ósmej. Czas, żeby zamienić parę słów z Cwiką, który pewnie skończył rytuał golenia.

Czy stan telefonu polepszył się trochę? Fima podjął kolejną próbę. Wydawało się mu, że słyszy jakiś słabiutki dźwięk, ale nie przybrał on jeszcze mocy normalnego sygnału. Mimo to nakręcił numer Jael. I doszedł do wniosku, że jednak musi poczekać do pełnego wyzdrowienia pacjenta, bo jego niecierpliwe próby mogą opóźnić cały proces. A może to telefon Jael nie działa? Czy całe miasto zostało odcięte? Czy to jakiś strajk? Sabotaż? Sankcje? Czy w nocy wysadzili centralę? A może jakaś prawicowa grupa terrorystów przechwyciła wszystkie środki komunikacji i inne ważniejsze obiekty? Albo Syria przypuściła atak? Chyba że to Ted Tobias własną pierśią broni Jael dostępu do telefonu i nie pozwala jej odebrać. Fima poczuł niesmak, nie z powodu Teda, ale własnych

gier słownych. Zmiał reklamę z supermarketu i rzucił ją do kosza. Nie trafił, ale nie miał zamiaru wczołgiwać się po nią pod biurko. To nie ma sensu. Wkrótce całe mieszkanie zostanie przewrócone do góry nogami na przyjście ekipy remontowej.

Zrobił sobie drugą kawę, zjadł parę kromek czarnego chleba z dżemem, żeby stłumić napad głodu, po czym wziął kilka tabletek, żeby opanować atak zgagi. Potem poszedł się wysuszać. Był wściekły na swoje ciało, które wiecznie zawracało mu głowę swoimi potrzebami i nie dawało mu dokończyć spokojnie jednej myśli ani obserwacji. Stał kilka chwil bez ruchu, z głową przechyloną na bok jakby w zadumie, z półotwartymi ustami, z penisem w dłoni. Mimo parcia w pęcherzu nie mógł wydusić z siebie ani kropli. Uciekł się do swojego stałego fortelu, pociągając za rączkę spłuczki w nadziei, że plusk wody przypomni niemrawemu narządowi jego powinność. Ale na tamtym ta stara oklepana sztuczka nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Wydawało się, że sugeruje Fimie, aby opracował wreszcie jakąś nową strategię. Niechętnie, jak z łaski, wypuścił z siebie maleńką, cieniutką strużkę. Kiedy tylko zbiornik ucichł, ten heroiczny wysiłek także zamarł. Parcie w pęcherzu nie ustawało. Fima potrzęsnał swoim krnąbrnym członkiem, najpierw lekko, a potem mocniej, ale bez skutku. W końcu znowu szarpnął za rączkę spłuczki, ale zbiornik nie zdążył się jeszcze napełnić i zamiast szumu wodospadu wydał z siebie tylko głuche, pogardliwe prychnięcie, jakby kpił sobie z niedoli Fimy. Jakby tym lekceważącym pomrukiem wyrażał solidarność z telefonem. Fima jednak uparł się na dobre. Nie chciał ustąpić. Przeczeka. Zobaczymy, kto załame się pierwszy. Wiotki, podobny do mięczaka organ w jego palcach nasunął mu na myśl jaszczurkę, jakieś groteskowe stworzenie, które wynurzyło się z głębi procesu ewolucji i teraz przywarło do jego ciała, i za nic nie chce się odczepić. Za sto, dwieście lat ludzie prawdopodobnie zastąpią ten kłopotliwy dodatek zgrabnym urządzeniem mechanicznym, które za jednym dotknięciem będzie w stanie usuwać nadmiar płynów z organizmu. Non-

sensowne powiązanie funkcji oddawania moczu i kopulacji w jednym narządzie wydało się nagle Fimie obcesowym, ordynarnym żartem, w bardzo złym guście – podobnie niesmacznym, jak gdyby ludzie mieli rozmnażać się plując sobie nawzajem w usta albo wydmuchując nosy do ucha partnera.

Tymczasem zbiornik napełnił się znowu. Fima znów pociągnął za rączkę i udało się mu wymusić następny wąty strumyczek, który również ustał natychmiast, kiedy tylko woda przestała lecieć. Fima był wściekły – pomyśleć, ile wysiłku włożył przez ostatnie trzydzieści lat, żeby zaspokoić każdą zachciankę tego rozpaskudzonego, samolubnego, zepsutego, nienasyconego gada, który zamienia cię jedynie w swój środek lokomocji, jakby jedynym twoim zadaniem miało być wygodne przenoszenie go z kobiety w kobietę, a po tym wszystkim odplaca ci się taką niewdzięcznością.

– Dobrze – powiedział Fima, jakby zwracał się do nieznośnego dziecka. – Masz dokładnie minutę, żeby się zdecydować. Za następne pięćdziesiąt pięć sekund z zegarkiem w ręku zapinam spodnie i idę, a potem, jak dla mnie, może cię nawet rozerwać.

Te groźby zdały się tylko wzmocnić opór gada – miało się wrażenie, że kuli się w rękach Fimy. Fima nie miał zamiaru więcej mu ustępować. Z wściekłością zapiął rozporek i z hukiem zamknął klapę deski klozetowej. Wyszedł trzaskając drzwiami. Pięć minut później zatrzasnął też za sobą drzwi mieszkania, przemaszerował obok skrzynek na listy nie ulegając pokusie, żeby wyjąć stamtąd gazetę, i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku centrum handlowego. Postanowił pójść do banku, żeby dopilnować czterech operacji, które powtarzał sobie po drodze w duchu dla przypomnienia. Po pierwsze, wyciągnąć trochę gotówki. Miał dość chodzenia bez grosza w kieszeni. Po drugie, zapłacić wszystkie rachunki – telefon, olej, woda, gaz, elektryczność. Po trzecie, sprawdzić stan konta. Zanim doszedł do kiosku z gazetami i sklepu papierniczego na rogu, zapomniał, co miało być czwarte. Na próżno wysilał głowę.

Za to zauważył nowe wydanie „Polityki” wystawione wewnątrz sklepu. Wszedł do środka i przeczytał je uważnie, mocno poruszony artykułem Cwiego Kropotkina, który utrzymywał, że szansę na pokój są zerowe, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości. Musi pójść zobaczyć się z Cwiką jeszcze tego ranka, zdecydował, i zmyć mu głowę za ten inteligencki defetyzm – nie ten, o który tak ostro oskarża nas jastrzębia prawica, ale za coś dużo głębszego i na dłuższą metę bardziej groźnego.

Ten przyływ złości okazał się pożyteczny – Fima prosto ze sklepu przeszedł przez teren budowy do nie ukończonego jeszcze domu i ledwo zdążył rozpiąć rozporek, kiedy jego pęcherz opróżnił się gwałtownie. To zwycięstwo uradowało go tak bardzo, że nie przejął się nawet tym, że ubłocił nogawki. Kierując się na północ, minał obojętnie bank, ale z przyjemnością zauważył, że nie tylko jego migdałowe drzewko za domem nie poczekało na Nowy Rok Drzew. Choć z drugiej strony nie był tego całkiem pewien, bo nie wiedział, kiedy przypada ta data według kalendarza żydowskiego. Tak naprawdę nie miał pojęcia, jaki jest dzień. Bez wątpienia był dopiero luty, a tu już budzi się wiosna. Fima czuł, że ma to swoją wyraźną wymowę symboliczną – nie zastanawiał się nad jej znaczeniem, ale po prostu cieszył się nią. Tak jakby przyjął na siebie, nie proszony, odpowiedzialność za całe miasto i, ku własnemu zaskoczeniu, udało mu się choćby po części wywiązać ze swoich obowiązków. Błady błękit wczesnego poranka przerodził się w lazur, tak jakby nad miastem zawisło morze promieniejące dziecięcą radością. W ogródkach przed domami jaskrawiły się pelargonie i pnące bugenwille. Niskie, kamienne mury połyskiwały jak pod wpływem pieśczozy. „Niebrzydko tu, prawda?”, powiedział Fima w myśli do niewidzialnego gościa albo turysty.

Na zakręcie do Bayit Vagan stał młody mężczyzna, który sprzedawał bukiety kwiatów. Miał na sobie wojskową wiatrówkę i przewieszony przez ramię karabin. Namawiał, żeby Fima kupił sobie chryzantemy na niedzielę. Fima zastanawiał się, czy to nie jakiś

osadnik, który hoduje kwiaty na cudzej ziemi. Ale od razu doszedł do przekonania, że ktoś, kto gotów jest zawierać pokój z Arafatem, nie powinien odsądzać od czci i wiary swoich miejscowych przeciwników. Choć są argumenty za i przeciw. Ale nie mógł doszukać się w swoim sercu ani nienawiści, ani gniewu, być może z powodu tego promiennego światła. Tego ranka Jerozolima robiła wrażenie miejsca, gdzie wszyscy powinni szanować nawzajem swoje poglądy, więc sięgnął do kieszeni i spokojnie wyszukał trzy monety jednoszekłowe – bez wątpienia resztę, jaką poprzedniego wieczora dostał od swojego nowego ministra informacji. Przycisnął kwiaty do piersi, jakby chciał je osłonić przed chłodem.

– Słucham? – zapytał. – Czy pan coś mówił? Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

Sprzedawca uśmiechnął się szeroko.

– Życzyłem panu tylko szczęśliwego szabasu.

– Oczywiście – przytaknął Fima, kładąc podwaliny pod nowe porozumienie narodowe. – Dziękuję i nawzajem.

Powietrze było zimne i szkliste, choć nie wiał wiatr. Tak jakby samo światło zawierało w sobie olśniewająco czystą arktyczną domieszkę. Słowa „olśniewająco czysta” przeszły Fimę tajemnym, radosnym dreszczem. Trzeba zapomnieć o urazach, nawet jeżeli kryją się pod pozorem wierności własnym zasadom. Trzeba powtarzać sobie raz po raz, że prawdziwym wrogiem jest rozpacz. Najważniejsze to nie godzić się z rozpaczą, nie poddawać się jej. Młody Joezer i jemu współcześni, umiarkowani, rozsądni ludzie, którzy będą prowadzić swoje uważnie planowane życie tu w Jerozolimie, kiedy my już stąd odejdziemy, będą się dziwić, że zadawaliśmy sobie tyle cierpień. Ale przynajmniej niech nie mają prawa nas potępiać. Nie poddaliśmy się bez walki. Wytrwaliśmy w tym mieście tak długo, jak było to tylko możliwe, stawiając opór niewspółmiernie wielkim siłom i przeciwnościom. Nie zrezygnowaliśmy łatwo. I nawet

jeżeli zostaliśmy w końcu pokonani, nadal możemy się szczycić pascalowskim określeniem „trzciny myślącej”.

W ten sposób rozgorączkowany Fima, ubrany byle jak i ubłocony, zadzwonił piętnaście po dziesiątej rano do drzwi Teda i Jael, ściskając bukiet chryzantem i drżąc z zimna. Otworzyła mu Jael ubrana w szare sztruksowe spodnie i ciemnoczerwony sweter.

– Właśnie przechodziłem obok – powiedział Fima jak gdyby nigdy nic – i zdecydowałem wpaść na chwilkę, żeby wam życzyć szczęśliwego szabasu. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Lepiej, żebym zajrzał jutro? W przyszłym tygodniu będę miał w domu remont. Nieważne. Przyniosłem ci kwiaty na szabas. Czy mogę wejść na minutkę lub dwie?

**W Itace, nad brzegiem wody**

– W porządku – powiedziała Jael. – Proszę. Weź tylko pod uwagę, że niedługo muszę wyjść. Zaczekaj, zapnę ci porządnie koszulę. Powiedz, kiedy ją ostatnio zmieniałeś?

– Musimy porozmawiać – odezwał się Fima.

– No nie. Znowu – zaprotestowała Jael.

Poszedł za nią do kuchni. Po drodze zerknął do sypialni. Miał dziwną nadzieję, że zobaczy tam w łóżku siebie, śpiącego od tamtej nocy sprzed dwóch dni. Ale łóżko było zasłane i przykryte ciemnoniebieską wełnianą narzutą. Po obu stronach na identycznych stoliczkach nocnych stały bliźniacze lampki, obok których zobaczył po jednej książce i, tak jak w hotelu, po szklance wody, a także po notesie i ołówku. Stały tam nawet dwa takie same budziki.

– Dimiemu coś dolega – powiedział Fima. – Nie możemy udawać, że nic mu nie jest. Włóż lepiej kwiaty do wody. Są dla ciebie. Na szabas. Kupiłem je od osadnika. A poza tym w końcu lutego masz urodziny. Nie zrobiłabyś mi filiżanki kawy? Przyszedłem pieszo aż z Kiryat Yovel i zamarzłem prawie na śmierć. Sąsiad z góry próbował zamordować żonę o piątej rano, pognąłem na górę na ratunek i tylko się wygłupiłem. Nieważne. Chciałem pomówić o Dimim. Tamtego wieczora, kiedy wyszliście, a ja się nim opiekowałem...

– Posłuchaj no, Efraimie – przerwała mu Jael – dlaczego ty się mieszasz w nie swoje sprawy? Wiem, że Dimi nie radzi sobie



najlepiej. Albo może to my sobie z nim nie radzimy. Nie mówisz mi nic nowego. Ty też sobie nie radzisz, skoro już o tym mowa.

Fima zrozumiał, że powinien się pożegnać i wyjść. Ale usiadł na niskiej ławie w kuchni, spojrzał na Jael z psim oddaniem w swoich brązowych oczach, zamrugął i zaczął tłumaczyć, że Dimi jest nieszczęśliwym i niebezpiecznie samotnym dzieckiem. Wtedy, kiedy się nim opiekował, wydarzyło się coś – nie ma sensu wchodzić w szczegóły – ale odniósł wrażenie, że chłopiec, jakby to powiedzieć, chyba potrzebuje pomocy.

Jael włączyła czajnik. Wsypała do dwóch filiżanek kawę rozpuszczalną. Fimie wydawało się, że otwiera i zatrząskuje więcej szafek niż to jest naprawdę konieczne.

– Doskonale. Świetnie – powiedziała. – Więc przychodzisz, żeby mi dać wykład o dzieciach i problemach dorastania. Teddy ma takiego przyjaciela, psychologa dziecięcego z Afryki Południowej, i od czasu do czasu zasięgamy jego porady. Przestań więc wypatrywać katastrofy i powodów do zmartwienia. Przestań wszystkich dręczyć.

Kiedy Jael wspomniała Afrykę Południową, Fima z trudem opanował nagłą chęć, aby przedstawić jej swój scenariusz wydarzeń, do jakich dojdzie tam w najbliższej przyszłości, kiedy obecny reżim wraz z apartheidem zostanie obalony. Był przekonany, że nastąpi tam krwawa łaźnia, nie tylko pomiędzy białymi a czarnymi, ale także pomiędzy białymi a białymi, i czarnymi a czarnymi. Kto wie, czy podobne niebezpieczeństwo nie dotyczy również Izraela? Ale określenie „krwawa łaźnia” wydało się mu nagle wytartym banałem. Nawet pojęcie wytartego banału wydało się mu w owej chwili zbyt oklepane.

Obok niego na kuchennym stole leżała paczka herbatników. Nieświadomie sięgnął po nie i zaczął je pochłaniać jeden za drugim. Kiedy Jael podała mu kawę z mlekiem, opisał jej w nieco zawiły sposób, co wydarzyło się dwa dni temu i jak doszło do tego, że zasnął w jej łóżku, podczas gdy Dimi siedział przy komputerze o pierwszej w nocy. A w ogóle to nie było całkiem w porządku z waszej

strony, że pojechaliście do Tel Awiwu i nawet nie zostawiliście numeru telefonu w razie czego. A gdyby dziecko miało skręt kiszek? Albo poraził je prąd? Lub gdyby się zatrulo? Fima zaplatał się, bo nie chciał, nawet pośrednio, zdradzić sprawy z psem. A jednak wybąkał coś o dzieciach z sąsiedztwa, które najwyraźniej okropnie dokuczają Dimiemu.

– Wiesz, Jael, on jest od nich inny, nosi okulary, to taki poważny chłopiec, w dodatku albinos, krótkowidz, jest właściwie prawie ślepy i bardzo mały jak na swój wiek, może to z powodu jakichś zaburzeń hormonalnych, czym powinniście się zająć. Poza tym jest nadwrażliwy, skryty, nie, to niedobre określenie, jest introwertykiem, choć i to za mało powiedziane, może lepiej byłoby nazwać go dzieckiem uczuciowym lub uduchowionym, to trudno wyrazić. Ma twórczy umysł. Albo raczej oryginalną, interesującą, można nawet powiedzieć głęboką osobowość.

Potem Fima zaczął mówić, jak trudno dorastać w czasach okrucieństwa i przemocy. Co wieczór Dimi ogląda wiadomości, a przecież każdego wieczora trywializuje się na ekranie morderstwa. Opowiedział też o sobie, kiedy był w wieku Dimiego. Też był introwertykiem, nie miał matki, a jego ojciec systematycznie starał się doprowadzić go do obłądu. I powiedział, że najwyraźniej tylko z nim, Fimą, ten chłopiec zdołał nawiązać więź emocjonalną, choć jak Jael doskonale wie, on nigdy nie uważał się za dobry materiał na ojca. Ojcostwo zawsze śmiertelnie go przerażało, a jednak czasami ma wrażenie, że to była tragiczna pomyłka, że wszystko mogłoby ułożyć się zupełnie inaczej, gdyby tylko...

– Skończ kawę – ucięła lodowatym tonem Jael. – Muszę iść.

Fima zapytał, dokąd. Z przyjemnością będzie jej towarzyszył. Wszystko jedno gdzie. Nie ma tego ranka nic do roboty. Mogliby dalej rozmawiać. Wydawało się mu to niezwykle istotne i pilne. Czy lepiej zaczeka tutaj, aż Jael wróci i wtedy będą kontynuować przerwany temat? On może poczekać. To piątek, jego wolny dzień,

klinika zamknięta, a w niedzielę przychodzą do niego robotnicy, więc w domu ma przed sobą tylko przygnębiające rozmontowywanie i pakowanie wszystkiego. Co Jael na to, żeby wypożyczyć mu Teda na godzinę, dwie, w sobotę rano, żeby pomógł... Nieważne. Wie, że to wszystko głupstwa i nie ma żadnego związku ze sprawą. Czy może jej coś wyprasować, zanim wróci? Albo poskładać pranie? Kiedyś, innym razem, chciałby jej opowiedzieć o myśli, która go ostatnio zaprzęta, o idei „Trzeciego Stanu”. Nie, to nie ma nic wspólnego z polityką. To idea egzystencjalna, jeżeli nie jest to już zbyt staromodne określenie. Przypomnij mi o tym kiedyś. Powiedz tylko „Trzeci Stan”, a ja zaraz będę wiedział, o co chodzi, i wszystko ci wyjaśnię. Chociaż może to czysta głupota. W tej chwili to nieważne. Poza tym tu w Jerozolimie co drugi napotkany typ jest na wpół prorokiem, na wpół premierem. Nawet taki Cwi Kropotkin albo Szamir, ten nasz Breżniew. To miasto przypomina dom wariatów. Ale nie przyszedłem, żeby rozmawiać o Szamirze i Breżniewie. Chciałem mówić o Dimim. Dimi powiedział, że ty i Teddy nazywacie mnie za plecami pajacem. Pewno się zdziwisz, kiedy się dowiesz, że twój syn też zaczął się uznawać za małego pajaca. Czy to nie daje ci do myślenia? Nie przeszkadza mi takie przezwisko. Jest całkiem odpowiednie dla 3kogoś, w kim jego własny ojciec dostrzega szlemia i szlimazela. Choć on sam też jest dziwakiem. To znaczy ojciec, Baruch. W pewien sposób jest nawet dziwniejszy ode mnie albo Dimiego. To jeszcze jeden jerozolimski prorok, który ma swój osobisty przepis na zbawienie w trzech prostych etapach. Ma taką historyjkę o kantorze, który utknął samotnie na wyspie bezludnej w czasie świąt Nowego Roku. Nieważne. Ale, przy okazji – tata ostatnio zaczął trochę poświstywać. To znaczy sapie i charczy. Martwię się tym. Może zresztą przesadzam. Jak myślisz, Jael? Może mogłabyś z nim kiedyś porozmawiać, namówić go, żeby się przebadał w szpitalu? Zawsze miał do ciebie słabość. Jesteś jedyną osobą, która mogłaby zmiękczyć tego rewizjonistę. To najlepszy przykład, co miałem na myśli mówiąc, że co drugi Jerozolimczyk chce być Mesjaszem. Ale co z tego? Wszyscy musimy wydawać się dziwni

bezstronnemu obserwatorowi z zewnątrz. Nawet ty, Jael, z tymi swoimi silnikami odrzutowymi. Na co komu silniki odrzutowe, kiedy jedyne, czego nam naprawdę brakuje, to odrobina miłosierdzia i rozsądku? A my wszyscy, łącznie z bezstronnym obserwatorem, jesteśmy groteskowi z punktu widzenia gór. Albo pustyni. Nie uważasz, że Teddy jest groteskowy? Co za młot. Albo Cwika. Właśnie dziś rano czytałem jego artykuł, w którym stara się udowodnić naukowo, że rząd jest zupełnie oderwany od rzeczywistości. Tak jakby tę rzeczywistość Cwika miał w jednym palcu. Choć nie ma co przeczyć, że rząd roi się od tępaków, a niektórzy z nich są w dodatku dość niezrównoważeni. Ale czemu zesłaliśmy na rząd? Tak jest zawsze, decydujemy się, że w końcu pomówimy raz serio o sobie, o dziecku, o rzeczach, które naprawdę są ważne, i jakimś cudem do rozmowy wpycha się rząd. Dokąd się tak spieszysz? Nie musisz nigdzie iść. To wykręt. Ty też masz wolne w piątki. Kłamiesz, żeby się mnie pozbyć. Chcesz, żebym sobie poszedł. Boisz się, Jael. Ale czego? Boisz się pomyśleć, dlaczego Dimi zaczął nazywać siebie małym pajacem?

Odwrócona do niego plecami Jael, składała serwetki i odkładała je kolejno do szuflady.

– Efi – powiedziała cicho – raz na zawsze zapamiętaj sobie, że nie jesteś ojcem Dimiego. Teraz wypij kawę i idź. Jestem umówiona u fryzjera. Dziecko, które mogłeś mieć dwadzieścia pięć lat temu, zabiłam, bo go nie chciałeś. Więc nie zaczynaj. Czasem mam wrażenie, że nigdy nie oprzytomniałam po tamtym znieczuleniu. A teraz ty przychodzisz mnie dręczyć. Mówię ci, gdyby Tedy nie był taki tolerancyjny, gdyby nie był takim młotem, jak go nazwałeś, dawno wyrzuciłby cię z tego domu. Nie masz tu czego szukać. Zwłaszcza po tym, co zrobiłeś tamtej nocy. Jest tu dość ciężko i bez ciebie. Jesteś trudny. Trudny i nudzisz. I nie jestem przekonana, czy to nie ty jesteś jedną z głównych przyczyn zagubienia Dimiego. Powoli, ale skutecznie doprowadzasz to dziecko do szaleństwa.

– I trudno powiedzieć – dodała po chwili – czy to jakiś twój podstęp, czy tylko próżne gadanie. Gadasz i gadasz bez przerwy, tyle mówisz, że w końcu sam siebie przekonałeś, że cokolwiek czujesz. Że jesteś zakochany. Że jesteś jakby ojcem Dimiego. Wmówiłeś sobie różne takie niewczesne złudzenia. Dlaczego nawiązuję do uczuć, do miłości? Ty nawet nie wiesz, co to słowo znaczy. Kiedyś, kiedy czytałeś jeszcze książki zamiast gazet, musiałeś natknąć się na coś o miłości i o cierpieniu, i od tamtej pory po całej Jerozolimie mądrzysz się na ten temat. Już chciałam powiedzieć, że kochasz tylko samego siebie, ale nawet i to nie jest prawdą. Ty nawet siebie nie kochasz. Nic nie kochasz. Może tylko zwycięstwo w dyskusji. Nieważne. Wkładaj palto. Spóźniłam się przez ciebie.

– Czy pozwolisz, żebym tu na ciebie zaczekał? Będę cierpliwy. Jeśli trzeba, poczekam i do wieczora.

– W nadziei, że Teddy wróci przede mną? I znowu cię znajdzie w moim łóżku pod kołdrą?

– Przysięgam – wyszeptał Fima – że tym razem będę się zachowywał przyzwoicie.

I jakby chciał to udowodnić, podniósł się szybko i energicznie wylał kawę do zlewu. Nie tknął jej nawet, choć bezmyślnie zjadł wszystkie herbatniki. Widząc, że zlew jest pełen brudnych naczyń i garnków, podwinął jeden rękaw i odkręcił kran. Czekał, żeby woda się nagrzała. Nawet kiedy Jael powiedziała:

– Jesteś szalony, Efraimie, zostaw to, włożymy to do zmywarki po obiedzie – nie zważając na nią zabrał się ochoczo do zmywania, wykładając ociekające mydlinami naczynia na marmurowy blat zlewu.

– To mnie uspokaja – powiedział. – Za parę minut, kiedy tylko woda zdecyduje się wreszcie zrobić ciepłą, będzie po wszystkim. Z przyjemnością oszczędzę wam konieczności włączania maszyny. Naczynia będą dużo czystsze, a tymczasem możemy jeszcze trochę

porozmawiać. Który kran jest od gorącej wody, a który od zimnej? Gdzie my niby jesteście? W Ameryce? Tu wszystko jest na opak. Ale skoro naprawdę musisz iść, nie ma sprawy. Idź, Jael, i wracaj. Obiecuję ograniczyć się do kuchni. Nie będę łaził po całym mieszkaniu. Nawet nie skorzystam z łazienki. Czy mam ci wypolerować srebra? Albo wysprzątać lodówkę? Nie ruszę się stąd i żeby miało cię nie być nie wiem jak długo, poczekam, jak męskie wcielenie Solvejgi. Wziąłem od was tę książkę o łowcach wielorybów na Alasce i piszą tam o takim zwyczaju... Nieważne. Nie martw się o mnie, Jael. Mogę poczekać cały dzień. Zamiast martwić się o mnie, powinnaś martwić się o Dimiego. Jak to zabawnie określa Ted: Dimi jest „down”. Według mnie, po pierwsze powinniśmy zmienić chłopcu otoczenie. Może wysłać go do szkoły dla szczególnie utalentowanych dzieci? Albo odwrotnie, postarać się oswoić jednego czy dwóch chłopców z sąsiedztwa...

Nagle, tak jakby jej niesmak zamienił się gwałtownie w atak furii, Jael wyrwała mu ociekającą mydlinami gąbkę i patelnię z rąk.

– Koniec. Mam dość tej komedii. Mam was wszystkich po dziurki w nosie. Przychodzisz tu, zmywasz, stale chcesz wzbudzić we mnie litość. Nie mogę ci współczuć. Nie chcę wam wszystkim matkować. To dziecko ciągle knuje jakieś intrygi, choć naprawdę nie wiem, czego mu w życiu brak. Czego mu nie kupiliśmy? Wideo, komputer Atari, odtwarzacz kompaktów, co roku podróż do Stanów, a w przyszłym tygodniu dostanie nawet do pokoju swój własny telewizor. Myślałby kto, że wychowujemy tu księcia. I jeszcze ty stale tu wpadasz, mieszając mu w głowie. Wmawiasz mi poczucie winy i pytasz, co z nas za rodzice. To ty zarażasz Dimiego głupotami, które trzepocą się po twojej mózgowicy. Mam tego potąd. Nie przychodź więcej. Udajesz, że żyjesz sam, ale zawsze przyczepiasz się do innych. A ja odwrotnie. Wszyscy przyczepiają się do mnie, kiedy ja tylko chciałabym być wreszcie sama. Odejdź, Efraimie. Nie mam już nic do zaoferowania ani tobie, ani nikomu. I nie dałabym ci nic, nawet gdybym mogła. Z jakiego powodu miałabym to robić? Nie

czuję się nic nikomu dłużna. I od nikogo niczego nie oczekuję. Teddy jest zawsze na sto procent w porządku. Nigdy na dziewięćdziesiąt dziewięć. Z nim wszystko jest zaplanowane z zegarkiem w ręku. Dziś rano zaproponował, że w prezencie urodzinowym dla mnie założy w domu trzyfazową instalację elektryczną. Czy słyszałeś kiedykolwiek o mężu, który dałby żonie na urodziny trzyfazowy system elektryczny? A Dimi podlewa kwiatki rano i wieczorem, rano i wieczorem, aż gniją, i wtedy Ted kupuje nowe, a za jakiś czas i one zostają zatopione. Dimi umie nawet posługiwać się odkurzaczem. Ted go nauczył. Odkurza wszystko, nawet obrazy i lustra. Nawet nasze nogi. Nic go nie może powstrzymać. Pamiętasz mojego ojca, poczciwego towarzysza Naftalego Cwiego Levina, jednego z założycieli historycznej osady Jawne? Jest teraz weteranem, ma osiemdziesiąt trzy lata i zupełnie dziecięcinia. Siedzi w domu spokojnej starości w Afula, całymi dniami wpatrując się w ścianę i kiedy zada mu się jakiegokolwiek pytanie, na przykład jak się czuje, co słycać, czego mu trzeba, kim jest, kim ja jestem, gdzie boli, on ma na to zawsze tę samą odpowiedź: „A w jakim sensie?”. Mówi to z tym charakterystycznym hebrajskim zaśpiewem. Te słowa to wszystko, co pozostało mu z Biblii, Talmudu, Midraszu, chasydzkich opowieści, Haskalah, Bialika i Bubera, i wszystkich innych żydowskich źródeł, które znał dawniej na pamięć. Mówię ci, Efraimie, niedługo i mnie też zostanie jedno zdanie. Tylko nie „A w jakim sensie?”, ale „A dajcie mi wszyscy spokój”. Daj mi spokój. Nie jestem twoją matką. Pracuję nad projektem, który wlecze się już latami, bo cała zgraja osesków czepiła mi się rękawa, żebym im obcierała nosy. Kiedy byłam mała, mój ojciec, pionier, powiedział mi, żebym pamiętała, że to mężczyźni są naprawdę słabą płcią. Tak sobie zażartował. No, to skoro już i tak przepadła mi przez ciebie wizyta u fryzjera, pozwól, że ci coś powiem. Gdybym wiedziała wcześniej to, co wiem dzisiaj, wstąpiłabym do klasztoru. Albo wyszła za silnik odrzutowy. Z przyjemnością dałabym płci słabszej kosza. Daj im palec, a chcą całej ręki. Daj im całą rękę, a nie chcą już nawet palca. Siedź tylko cicho, rób kawę i nie przeszkadzaj. Nie zwracaj na siebie uwagi.

Zmywaj i prasuj, prześpij się z nimi i trzymaj buzię na kłódkę. Daj im od siebie odpocząć, a po dwóch tygodniach przyczolągają się do ciebie z powrotem, na kolanach. Czego ty naprawdę dziś ode mnie chciałeś, Efraimie? Szybkiego, porannego numerku przez pamięć na dawne czasy? Prawda jest taka, że wy wszyscy nawet na to nie macie ochoty. Dziesięć procent pożądania, a dziewięćdziesiąt procent komedii. Pojawiasz się tu, kiedy masz nadzieję, że nie zastaniesz Teda. Przychodzisz z wielkim bukietem kwiatów, sypiąc piękne słówka – specjalista w pocieszaniu wdów i sierot. Liczysz na to, że wreszcie zrobi mi się ciebie żal i pójdę z tobą na kwadransik do łóżka. Przekupię cię tym, żebyś sobie poszedł. Spałam z tobą ponad pięć lat i jedyne, czego ty kiedykolwiek chciałeś przez dziewięćdziesiąt procent tego czasu, to jak najszybciej z tym skończyć, ulżyć sobie, wytrzeć się, włączyć światło i dalej czytać swoją gazetę. Idź sobie, Efraimie. Mam czterdzieści dziewięć lat, a ty też nie jesteś już żółtodziobem. Tamta historia skończona. Powtórek nie będzie. Miałam z tobą dziecko, a ty go nie chciałeś. Więc jak grzeczna dziewczynka zamordowałam je, żeby nie rujnować ci kariery. Twojego poetyckiego powołania. Po co tu wracasz i niszczysz moje życie, a przy okazji wszystkich innych dookoła? Czego chcesz jeszcze ode mnie? Czy to moja wina, że roztrwonileś wszystko, co miałeś i co mogłeś mieć, i co odkryłeś w Grecji? Czy to moja wina, że życie przecieka przez palce i czas pożera wszystko? Czy to moja wina, że wszyscy każdego dnia trochę umieramy? Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

Fima wstał, czuł się winny, pokornie wymamrotał „przepraszam” i zaczął szukać płaszcza.

– To luty, Jael – powiedział nagle nieśmiało – niedługo twoje urodziny. Zapomniałem. Może one już były? Nie wiem, jaki dziś dzień. Nie mam nawet dla ciebie trzyfazowej sieci elektrycznej.

– Jest piątek, 16 lutego, 1989 roku. Godzina jedenasta dziesięć. No i co?



– Powiedziałaś, że my wszyscy czegoś od ciebie chcemy, a ty nie masz już dla nas nic.

– Ale niespodzianka! Coś do ciebie dotarło, udało ci się nawet zapamiętać pół zdania.

– Ale tak naprawdę to ja nic od ciebie nie chcę, Jael. Wręcz przeciwnie, chciałbym znaleźć coś, co mogłoby ci sprawić jakąś przyjemność.

– Nie masz nic do ofiarowania. Twoje ręce są puste. A w każdym razie nie martw się o moje przyjemności. Tak się składa, że co dzień czeka mnie prawdziwa uczta albo prawie codziennie. W pracy, przed deską kreślarską albo w tunelu aerodynamicznym. To moje życie. To jedyne miejsca, gdzie naprawdę trochę istnieję. Może powinieneś zacząć coś robić, Efraimie. W tym cały problem, że ty nic nie robisz. Tylko czytasz gazety i się zadreczasz. Czemu nie zaczniesz dawać prywatnych lekcji, nie zgłosisz się do obrony cywilnej, nie potłumaczysz trochę, nie pojedziesz do żołnierzy z wykładami na temat istoty etyki żydowskiej.

– Ktoś, chyba Schopenhauer, napisał, że intelekt wszystko rozdziela, podczas gdy intuicja łączy i przywraca utraconą jedność. Ale zaręczam ci, Jael, że nasza farsa nie dzieli się na dwie, ale na trzy sfery. Schopenhauer i oni wszyscy nie dostrzegają Trzeciego Stanu. Zaczekaj nie przerywaj. Daj mi choć dwie minutki, żebym ci to wyjaśnił.

Ale zaraz zamilkł, choć tym razem Jael mu nie przerywała. W końcu odezwał się:

– Dam ci wszystko, co mam. Wiem, że to niewiele.

– Ale ty nie masz nic, Efi. Poza tym, co wyrwiesz od reszty nas.

– Czy wróciłabyś do mnie? Ty i Dimi? Możemy pojechać do Grecji.

– I żywić się nektarem i ambrozją?

– Znajdę pracę. Będę handlowcem w firmie ojca. Stróżem nocnym. Nawet kelnerem.

– Pewno, kelnerem. Wszystko leciałoby ci z rąk.

– Albo moglibyśmy przenieść się do Jawne, wszyscy troje. Na starą farmę twoich rodziców. Moglibyśmy hodować kwiaty w szklarniach, jak twoja siostra z mężem. Doprowadzilibyśmy do porządku sad. Baruch da nam trochę pieniędzy i stopniowo odbudujemy wszystko. Będziemy mieli wzorcową farmę. My z Dimim zajmujemy się hodowlą zwierząt. Dla ciebie zbudujemy pracownię z komputerami i deską kreślarską. I nawet tunel aerodynamiczny, jeżeli wyjaśnisz mi, co to jest. Wieczorami, tuż przed zachodem słońca, będziemy chodzili razem obejrzeć sad. Wszyscy troje. O zmroku będziemy zbierać z uli miód. Jeżeli naprawdę chciałabyś, żeby pojechał z nami Ted, nie będę oponował. Stworzymy małą komunę. Będziemy żyć bez kłamstw, bez żadnych złości. Zobaczysz, Dimi rozkwitnie. A ty i ja...

– Tak, a ty oczywiście będziesz wstawał codziennie o wpół do piątej rano i sam jeden, w kaloszach, z motyką i sadzonką w dłoni radośnie ruszał na podbój bagnistych i pustynnych okolic.

– Nie nabijaj się, Jael. To prawda, że będę musiał nauczyć się kochać ciebie od nowa. Nie szkodzi, z czasem się tego nauczę. Zobaczysz.

– Pewnie. Zapiszesz się na kurs korespondencyjny. Albo zaczniesz studia na uniwersytecie.

– Ty mnie nauczysz.

I w nagłym przypiływie rozpaczliwej odwagi dodał:

– Wiesz doskonale, że to, co mówiłaś wcześniej, nie jest całą prawdą. Ty też nie chciałaś tego dziecka. Nawet Dimiego nie chciałaś. Przepraszam. Nie zamierzałem tego powiedzieć. Tak mi się wyrwało. Ale ja chcę Dimiego. Kocham go nad życie.

Jael, w znoszonych sztruksach i lekko wytartym czerwonym swetrze, stanęła nad skulonym na ławce Fimą, jak gdyby z całych sił powstrzymywała się, żeby nie trzepnąć go w pulchny policzek. Jej suche oczy ciskały pioruny, a twarz była stara i pomarszczona, tak jakby to nie Jael, ale jej matka nachylała się nad nim, pachnąc czarnym chlebem, oliwkami i zwyczajnym, toaletowym mydłem. Na jej ustach pojawił się dziwny, szydrczy uśmiech.

– To też było w zimie – powiedziała w zamyśleniu, tak jakby te słowa nie były skierowane ani do niego, ani do niej samej, ale gdzieś w przestrzeń. – Wtedy też był luty. Dwa dni po moich urodzinach. W 1963 roku. Kiedy ty i Uri byliście tak pochłonięci aferą Lavona. Drzewko migdałowe przed oknem naszej kuchni w Kiryat Yovel właśnie zakwitło. A niebo było dokładnie takie jak dziś, doskonale czyste i błękitne. Rano radio nadawało piosenki Szoszany Damari. A ja pojechałam rozklekotaną taksówką do tego ginekologa na ulicy Proroków, który powiedział, że przypominam mu Giuliettę Masinę. Dwie i pół godziny później wracałam do domu i los tak chciał, że była to ta sama taksówka z przyczepioną nad szybą małą fotografią księżnej Grace z Monako. Było po wszystkim. Pamiętam, że zamknęłam okiennice i zaciągnęłam zasłony. Położyłam się do łóżka i słuchałam w radiu Impromptu Schuberta, po którym był wykład o Tybecie i dalajlamie, i nie wstałam do wieczora, a wtedy zaczęło znowu padać. Ty wcześniej rano wyjechałeś z Cwim na jednodniową konferencję na uniwersytecie w Tel Awiwie. Prawda, proponowałeś, że możesz sobie darować i zostać ze mną. I to prawda, że powiedziałam, bzdura, to przecież nic gorszego niż usunięcie zęba mądrości. A wieczorem ty wróciłeś cały rozpromieniony, bo udało się ci przyłapać profesora Talmona na jakiejś drobnej nieścistości. Zamordowaliśmy je i nabraliśmy wody w usta. Do dziś nie chcę nawet wiedzieć, co z nimi robią. Mniejszymi od pisklaczka. Czy wrzucają je do ubikacji i spuszczają potem wodę? Zamordowaliśmy je oboje. Tylko że ty nie chciałeś słuchać ani kiedy, ani gdzie, ani jak. Chciałeś tylko usłyszeć ode mnie, że już po wszystkim i kropka.

Jedyne, co miałeś mi naprawdę do powiedzenia, to jak udało ci się doprowadzić do tego, że wielki Talmon stał na podium zawstydzony niby początkujący student oblewający egzamin ustny. Tego samego wieczora pospieszyłeś zaraz do Cwiki, bo w autobusie, w drodze powrotnej do Jerozolimy nie zdołaliście dokończyć dyskusji na temat implikacji afery Lavona. On miałby teraz dwadzieścia sześć lat. Sam mógłby już być ojcem. Mieć jedno albo dwoje własnych dzieci. Starsze mogłoby być w wieku Dimiego. A ty i ja pojechalibyśmy do miasta, żeby kupić akwarium i jakieś tropikalne rybki dla wnuków. Jak myślisz, dokąd trafiają ścieki Jerozolimy? Czy wpadają przez Nahal Shorek do Morza Śródziemnego? Jego wody sięgają Grecji, a tam córka króla Itaki mogła podnieść dziecko z fal. Teraz jest ono kędzierzawym młodzieńcem, który gra na lirze przy świetle księżyca u brzegów Itaki. Słyszałam, że Talmon zmarł parę lat temu. Czy to może był Prawer? I czy ostatnio nie zmarła też Giulietta Masina? Zrobię jeszcze kawy. Nie zdążę już do fryzjera. Tobie też nie zaszkodziłoby się ostrzyc. Choć i tak wiele to nie pomoże. Czy przynajmniej pamiętasz jeszcze Szoszanę Damari? Gwiazda świeci na niebie, a w wadi wyją szakale? O niej też wszyscy już zapomnieli.

Fima zamknął oczy. Był cały spięty. Nie jak ktoś, kto boi się, że za chwilę zostanie uderzony, ale jak ktoś, kto głęboko tego pragnie. Tak jakby to nie Jael, i nawet nie jej matka, ale jego własna matka nachylała się nad nim, nakazując mu oddać natychmiast niebieski kapturek, który schował. Ale dlaczego ona go podejrzewa? I dlaczego Jael przyjmuje, że to był chłopiec? A jeśli to była dziewczynka? Malutka Jael, z długimi miękkimi włosami i buzią Giulietty Masiny? Wyciągnął ręce na stole i nie otwierając oczu położył na nich swoją steraną głowę. Wydawało się mu, że słyszy wyraźnie nosowy, mentorski głos Talmona, który oświadcza, że marksistowskie rozumienie natury ludzkiej jest naiwne i dogmatyczne, żeby nie powiedzieć prymitywne, a w każdym razie jednostronne. Fima odparł mu teraz w duchu pytaniem starego ojca Jael:

„A w jakim sensie?”.

Im dłużej o tym myślał, tym trudniej było mu znaleźć odpowiedź. Tymczasem za ścianą, w sąsiednim mieszkaniu, jakaś młoda kobieta nuciła zapomniany przebój sprzed lat: „Nikt nie dorówna mojemu Johnny'emu, Johnny'emu, Johnny'emu Guitar”. To była banalna, infantylna melodyjka, a kobieta za ścianą nie miała talentu do śpiewu. Fima przypomniał sobie nagle, jak dawno, pół jego życia temu, kochał się z Jael w małym pensjonacie, kiedy pojechał z nią na konferencję naukową. Miała kaprys, żeby udawał, że jest jakimś obcym, a ona młodziutką dziewczyną, której nikt nigdy dotąd nie tknął. Niewinna, nieśmiała i nerwowa. Jego zadaniem było ją uwieść, powoli, bez pośpiechu. I zdołał sprawić jej rozkosz bliską bólu. Sprowokował wołania o pomoc, usilne prośby, zmysłowe jęki zdziwienia. Im mocniej wczuwał się w swoją rolę, tym silniejsza i głębsza stawała się przyjemność, a w koniuszkach jego palców rodziło się coś na podobieństwo słuchu, który uwrażliwił się na sygnały wszystkich komórek jej ciała, magiczna zdolność pozwalająca mu czuć z całą pewnością, co sprawi jej rozkosz, tak jakby w ciemnych zakamarkach labiryntu jej nerwów zasadził swoich szpiegów. Albo jakby stał się z nią jednym ciałem. Aż w końcu nie dotykali się już ani nie odbierali wzajemnie swoich pieścizot jak para kochanków, ale złączyli się w jedną, szukającą spełnienia, istotę. Tamtego popołudnia nie czuł się jak mężczyzna odbywający stosunek z kobietą, ale jak ktoś, kto zawsze mieszka w jej łonie; jakby to łono nie było jej, ale ich; jego penis nie jego, ale ich; jego skóra oblekała nie jego ciało, ale ich oboje.

Wczesnym wieczorem ubrali się i poszli na spacer jedną z zielonych dolin ścielących się u stóp góry Carmel. Do zmierzchu chodzili wśród bujnej roślinności nie mówiąc nic ani się nie dotykając, aż wreszcie odezwał się skądś ostry głos nocnego ptaka, który Fima identycznie powtórzył, a Jael zaśmiała się cicho i czule powiedziała: „Dobry Boże, czy masz jakieś rozsądne wytłumaczenie, dlaczego jest tak, że nagle cię kocham, choć nie jesteśmy krewnymi ani nic w tym rodzaju?”.

Otworzył oczy i zobaczył swoją byłą żonę, skurczoną, wyschniętą, starzejącą się Giuliettę Masinę, w szarych sztruksach i ciemnoczerwonym swetrze, odwróconą do niego tyłem, zajęta dalej składaniem serwetek. To niemożliwe, pomyślał, żeby miała tyle serwetek, składa je przecież bez końca. Chyba że robi to stale od nowa, bo nie jest zadowolona z tego, jak to jej wyszło za pierwszym razem. Wstał więc i bez wahania objął ją od tyłu, kładąc jedną dłoń na jej ustach, a drugą na oczach, i pocałował ją w kark, we włosy i w plecy. Poczł zapach zwykłego mydła toaletowego, ze śladem aromatu tytoniu z fajki Teda, i przepełniło go dziwne pożądanie, a zarazem smutek, który od razu je zgasił. Wziął na ręce to drobne, dziecinne ciało i tak jak dwa dni temu niósł jej syna, zaniósł teraz Jael do tego samego łóżka w sypialni, i tak jak gładził wtedy Dimiego, pogłaskał teraz jej policzek. Nie starał się odsunąć narzuty. Nie próbował się rozbierać, ani ściągać ubrania z Jael, ale przycisnął się do niej całym sobą mocno i utulił jej głowę w zagłębieniu swojego ramienia. Zamiast powiedzieć: „Było mi ciebie brak”, znużony wyszeptał: „Było mi ciebie wrak”. Leżeli tak obok siebie, blisko, ale nie obejmując się ramionami. Nieruchomi, milczący. Ciepło jego ciała przenikało w nią, a jej ciepło w niego. Aż powiedziała cicho: „Dobrze. Teraz bądź grzeczny i idź”.

Fima usłuchał bez słowa. Wstał i odszukał swoje palto, wypił resztkę drugiej kawy, która podobnie jak jej poprzedniczka była już zimna. Powiedziała, żebym poszedł do miasta i kupił akwarium, i jakieś tropikalne rybki dla Dimiego, pomyślał, i to właśnie zrobię. Wychodząc, zdołał zamknąć drzwi tak ostrożnie, że nie wydały najmniejszego dźwięku. Potem, kiedy szedł na północ, ta cisza trwała nadal, na ulicy i w jego myślach. Przeszedł pomału ulicą Hehaluz, próbując ku swojemu własnemu zaskoczeniu zagwizdać starą melodyjkę o facecie, którego nazywano Johnny Guitar. No i masz, powiedział sobie w duchu, można powiedzieć, że wszystko jest stracone albo że nic nie jest stracone do końca, i oba te zdania wcale nie wykluczają się nawzajem, Cała sytuacja wydawała się

dziwaczna, ale cudowna – nie przespał się ze swoją żoną, ale nie cierpiał z powodu niedosytu, raczej przeciwnie, przepełniała go radość, uniesienie, uczucie spełnienia, tak jakby w jakiś tajemniczy sposób doszło pomiędzy nimi do głębokiego i udanego zbliżenia. I tak jakby w tym akcie w końcu począł swojego syna, swojego jedyne go syna.

Ale w jakim sensie?

To pytanie wydało się bez znaczenia. W sensie, który nie ma sensu. No i co z tego?

Kiedy doszedł do ulicy Herzla, drobny deszcz przypomniał mu, że u Jael, na brzegu kuchennego stołu, zostawił czapkę. Ale nie przejmował się tym, bo wiedział, że wróci. Musi jeszcze wyjaśnić Jael i Dimiemu, a może nawet Tedowi, bo czemu by nie, tajemnicę „Trzeciego Stanu”. Ale nie teraz. Nie dzisiaj. Nie ma pośpiechu. Nawet na myśl o Joezerze i innych rozsądnych, zrównoważonych ludziach, którzy będą mieszkać w Jerozolimie zamiast nich za sto lat, nie czuł bólu, ale przeciwnie, wypełniał go przy tym jakiś nieśmiały wewnętrzny uśmiech. O co chodzi? Po co ten pośpiech? Niech sobie poczekają. Niech zaczekają spokojnie na swoją kolej. My na pewno nie załatwiliśmy jeszcze do końca swoich spraw. Może idzie nam kiepsko i opornie, ale tak czy inaczej nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.

Parę chwil później wszedł do pierwszego lepszego autobusu, który podjechał na przystanek. Nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć na numer albo kierunek trasy. Usiadł z przodu, dalej mruczając pod nosem, bezwstydnie fałszując, piosenkę o Johnnym Guitar. Nie uznał za stosowne wysiąść na ostatnim przystanku, który przypadła, jak się okazało, na ulicy Proroka Samuela. Pomimo chłodu i wiatru, Fima był w świetnym humorze.

## Przed szabasem

Był tak szczęśliwy, że nie czuł głodu, choć nie jadł nic od samego rana poza herbatnikami, które schrupał w kuchni u Jael. Kiedy wysiadł z autobusu, deszcz przestał padać. Spomiędzy szarych chmur wyjrzały wysepki błękitu. Z jakiegoś powodu miało się wrażenie, że chmury stoją w miejscu, a tylko niebieskie wyspy płyną na zachód. Fima czuł, że ten błękit patrzy na niego i woła go za sobą.

Ruszył naprzód ulicą Ezechiela, dwie pierwsze strofki piosenki o Johnnym Guitar nadal pobrzmiwały mu w piersi. Ale jak to szło dalej? Gdzież to ten Johnny wreszcie wylądował? Gdzie on się teraz podziewa?

W dzielnicy Bucharskiej unosił się zapach przygotowań do szabasu, choć było dopiero wpół do pierwszej. Fima próbował rozróżnić składniki tego ciężkiego zapachu, który przypominał mu dzieciństwo i to cudowne podniecenie, jakie ogarniało całą Jerozolimę, kiedy zbliżało się święto. Ten aromat zaczynał wypełniać powietrze już w czwartek po południu, wraz z praniem, szorowaniem i gotowaniem. Gospośia zwykle szykowała nadziewane szyjki kurcząt, które zszywała nitką. Mama robiła słodki jak ulepek kompot ze śliwek. Była też duszona marchewka, ryba w galarecie, placki albo strudel, lub ciasto z rodzynekami. I wszystkie rodzaje dżemów i marmolady, z których jedna nazywała się po rosyjsku „warenje”. Kiedy tak szedł, poczuł wyraźnie zapach i smak barszczu, esencjonalnej zupy w kolorze czerwonego wina, z pływającymi po wierzchu złotymi oczkami tłuszczu, które Fima wylawiał łyżką, kiedy był mały.



W każdy piątek w samo południe matka czekała na niego przy szkolnej bramie. Płowy warkocz okalał jej głowę niby wieniec, a z tyłu we włosy zatknięty był grzebyk z szylkretu. Chodzili razem zrobić ostatnie zakupy na bazarze Mahane Yehuda, Fima z tornistrem na plecach, a ona ściskając w dłoni wiklinowy kosz, na jej palcu błyszczał pierścionek z szafirem. Zapachy targowiska – ostre, aromatyczne, orientalne – napełniały ich oboje dziecięcą radością. Jak gdyby spiskowali wspólnie przeciwko ciężkiej, aszkenazyjskiej słodkości domowych ciast, sycącej marchewce, strudlowi, lepkiem dżemom i kompotowi. Rzeczywiście, ojciec nie lubił tych ich piątkowych wypadów na bazar. Ironicznie nadmieniał, że chłopiec powinien zająć się raczej odrabianiem lekcji albo jakimś sportem, a w ogóle to przecież wydają majątek na służącą, której obowiązkiem jest robienie zakupów. Zresztą, w ich okolicy na pewno można dostać wszystko, więc nie ma potrzeby wlec dziecka w to błoto, pomiędzy te obrzydliwe stragany. Lewant roi się od zarazków, a wszystkie te ostre przyprawy ze swoim mocnym zapachem tylko maskują brud. Żartował sobie ze słabości żony do cudów z tysiąca i jednej nocy, i z tej, jak to nazywał, cotygodniowej „wyprawy w poszukiwaniu Ali Baby”. Na wspomnienie tych zakazanych uciech – kiedy pomagał matce wybierać spośród wielu rodzajów czarnych oliwek, których zapach miał w sobie coś nieprzyzwoitego, a smak był tak oszałamiająco ostry – Fimę przeszył dreszcz. Czasami na wpół świadomie dostrzegał, jak jakiś sprzedawca zatrzymuje na matce uważne spojrzenie, i choć był zbyt młody, by to rozumieć, docierało do niego, niby we śnie, lekkie echo wibracji przebiegającej na wskroś ciała matki. Słyszał teraz z oddali jej głos: „Popatrz, co oni z tobą zrobili, głuptasie”. Ale tym razem odpowiedział jej wesoło:

– Nie przejmuj się, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.

Kiedy wracali do domu, zawsze upierał się, że będzie niósł kosz. Drugą ręką trzymał się matki. W te piątki jadali obiad w małej wegetariańskiej restauracji na ulicy Króla Jerzego, w lokalu o czerwonych firankach, który kojarzył się mu z zagranicą znaną z

filmów. Prowadziła go para uchodźców, pan i pani Danzigowie, urocze małżeństwo, oboje tak do siebie podobni, że wyglądali jak brat i siostra. A może rzeczywiście, pomyślał Fima, byli rodzeństwem? Kto wie? Ich łagodny sposób bycia wywoływał na twarzy matki promienny uśmiech, niby muśnięcie światła. Na to wspomnienie Fima poczuł ostre ukłucie tęsknoty. Pod koniec posiłku pani Danzig zawsze stawiała przed nim talerzyk z dwoma równiutkimi kwadracikami czekolady migdałowej.

– Gutt-kawaler, grzecznie zjadł.

W jej ustach „Gutt-kawaler” brzmiało jak jakieś imię. Pan Danzig natomiast, dość pulchny mężczyzna, miał jeden policzek przypominający surowe mięso. Fima nie wiedział, czy był to wynik jakiejś chronicznej choroby skóry, dziwne znamię czy też tajemniczy ślad rozległych oparzeń. Pan Danzig na koniec tych piątkowych obiadów niezmiennie recytował wierszyk:

„Efraim chłopczyk uroczy  
cały obiadek zjadł wreszcie  
i teraz zuch silny będzie  
zwycięzcą w całym mieście,  
A jakim mieście?”

Rolą Fimy w tym obrzędzie miała być odpowiedź:

– W Jerozolimie!

Ale raz zbuntował się i przekornie odparł: „W Danzig!”. Znał to miasto z kolekcji znaczków ojca, a także z grubego, niemieckiego atlasu, który potrafił przeglądać godzinami wyciągnięty na dywanie w salonie, zwłaszcza w zimowe wieczory. Ta odpowiedź wywołała zamyślony uśmiech pana Danziga, który powiedział coś, kończąc słowami „mein Kind”. Tymczasem oczy matki z jakiegoś powodu

zaszklili się łzami i nagle przycisnęła głowę Fimy do swojej piersi, i zasypała jego twarz szybkimi całusami.

Co stało się z panią i panem Danzigami? Prawdopodobnie umarli wieki temu. Oddział banku zajął miejsce tamtej małej, lśniącej czystością restauracyjki. Fima do dziś, tysiące lat później, miał stale w nozdrzach jej zapach, który kojarzył się mu w pewien sposób ze świeżym śniegiem. Na każdym stoliku, na nieskazitelnie białym obrusie, stał zawsze wazonik z pojedynczą, prościutką różą. Na ścianach wisiały spokojne pejzaże przedstawiające jeziora i lasy. Czasami przy stoliku w odległym rogu sali, przy doniczkowych palmach, jadał samotnie brytyjski oficer. Siedział sztywno na krześle, a jego czapka z daszkiem spoczywała u stóp róży. Gdzie się podziały tamte widoczki jezior i lasów? Gdzież może jadać teraz tamten samotny oficer? Miasto tęsknoty i szaleństwa. Obóz uchodźców, a nie miasto.

Ale jeszcze masz szansę się stąd wydostać. Możesz zabrać stąd Jael i Dimiego i przyłączyć się do jakiegoś kibucu na pustyni. Możesz oświadczyć się Tamarze albo Annette Tadmor, osiąść z którąś z nich w Magdiel, dostać posadę w banku, w służbie zdrowia albo w państwowym zakładzie ubezpieczeń i znów pisać wieczorami wiersze. Możesz zacząć wszystko od nowa. Zbliżyć się nieco do tego „Trzeciego Stanu”.

Same nogi zaniósły go w labirynt wąskich uliczek, które tworzą dzielnicę Bucharską. Szedł pomału pod jaskrawo przystrojonymi sznurami suszącej się bielizny, które rozciągały się ponad szarością ulicy. Na balkonach o rdzewiejących balustradkach z kutego żelaza widział wyschnięte szkielety palmowych budek pozostałych po Świącie Szalasów, stosy złomu i rupieci, wiszące kotły do gotowania bielizny, butwiejące skrzynki, nocniki, wszystkie niepotrzebne szpargały z tych zaniedbanych domostw. Prawie w każdym oknie wisiały kolorowe firanki. Na parapetach stały słoje z ogórkami, które pomału kisły w zalewie z czosnkiem, koprem i pietruszką. Fima

poczuł nagle, że te ciasne uliczki zbudowane wokół podwórzy z zabytkowymi kamiennymi studniami, pachnące smażonym mięsem, cebulą, piekącym się ciastem, przyprawami i dymem, dawały mu prostą, bezpośrednią odpowiedź na pytanie, którego nie był w stanie sformułować. Ale przecież coś łomotało mu w piersi, zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz coś go przywoływało i dławilo w gardle, jak dawno zapomniana melodia o Johnnym, jak jeziora i lasy ze ścian małej restauracyjki, do której zwykła zabierać go matka po zakupach w piątkowe wieczory. Więc powiedział sobie:

– Dość tego, przestań!

Jak ktoś, kto obsesyjnie drapie ranę, choć wie, że nie wolno tego robić.

Na ulicy Rabbenu Gershom minął trzy pulchne kobiety, które wydały się mu tak do siebie podobne jak siostry. A może to matka i córki? Popatrzył za nimi z zaciekawiony. Były to kobiety hojnie obdarzone przez naturę, o bujnych i wdzięcznych kształtach, nasuwające na myśl niewolnice z obrazów przedstawiających seraj. Wyobraził sobie, jak posłusznie i ulegle oddają swoje obfite, nagie ciała, niby kelnerki obdzielające ciepłą strawą kolejkę wygłodniałych mężczyzn, bez zadawania sobie trudu, aby rozróżnić wyciągające się ku nim dłonie łaknących; okazujące swą wielkoduszność odruchowo, z odrobiną znużenia. To znużenie i obojętność wydały się Fimie najbardziej podniecające i zmysłowe w świecie. Ale zaraz nadeszła fala wstydu, która zgasiła pożądanie. Dlaczego tego ranka wyrzekł się ciała Jael? Gdyby tylko poświęcił jej więcej czułości i czasu, gdyby nie dawał za wygraną, na pewno by mu uległa. Bez pożądania, ale co z tego? Czy chodzi o pożądanie?

Ale skoro tak, to o co chodzi?

Trzy kobiety zniknęły za rogiem, ale Fima stał dalej jak wrośnięty w ziemię, gapiąc się tępo przed siebie, pełen pożądania i wstydu. Prawda jest taka, że nie pragnął wymizerowanego ciała Jael dziś rano. Tęsknił raczej za jakimś nieokreślonym, innym rodzajem

zjednoczenia, nie czymś cielesnym, albo przypominającym związek pomiędzy matką a dzieckiem, być może nie chodziło w ogóle o zjednoczenie, ale o coś, czego sam nie umiałby nawet nazwać, a jednak czuł, że to doznanie, zbyt nieuchwytnie i delikatne, aby ująć je w słowa, mogłoby jeszcze odmienić jego życie na lepsze, gdyby choć jeden jedyny raz doświadczył jego błogosławieństwa.

Po zastanowieniu doszedł do innego wniosku. Określenie „odmienić jego życie na lepsze” wydawało się bardziej odpowiednie dla zagubionego, przyszczatego młodzieńca niż dla mężczyzny, który jest w stanie wyprowadzić kraj z kryzysu i zapewnić narodowi pokój.

Nieco dalej Fima zatrzymał się przy małym zakładzie szewskim. Zapach kauczuku i kleju był tak odurzający, że stanął tam jak zauroczony. Tymczasem dobiegł go fragment rozmowy pomiędzy jakimś nabożnym mężczyzną, który robił wrażenie kwestora na rzecz fundacji charytatywnej albo dozorca z synagogi, a tęgawym, niechlujnym, nie ogolonym rezerwistą w źle dopasowanym mundurze roboczym.

– Sprawa polega na tym, że chłopak opiekuje się stale babcią – powiedział żołnierz. – Nie odstępuje jej na krok. Co pół minuty sprawdza, czy nie daj Bóg znowu mu nie uciekła! W głowie jej się zupełnie poplątało, ale nogi ma jeszcze sprawne i, niech pan mi wierzy, jest zwinna jak kotka.

– Mózg w czaszce wygląda jak kawał sera – zauważył ze smutkiem ten starszy, „kwestor”. – Taki żółtawy, pomarszczony. Pokazywali w telewizji. A kiedy tracimy pamięć, to z brudu. Tak twierdzą naukowcy. Takie małe robaczki dostają się do środka i podgryzają ten ser. Aż robi się całkiem zepsuty. Czasem nawet czuje się ten zapach.

– To nie robaczki, to baktaarie – poprawił go przemądrzałym tonem żołnierz. – Są małe jak ziarenka piasku. Ledwo je widać nawet przez szkło powiększające. Co godzina rodzą się ich setki.

Fima ruszył w swoją stronę, myśląc nad tym, co właśnie usłyszał. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że czuje w nozdrzach zapach pleśniejącego sera. Potem zatrzymał się w wejściu do sklepu spożywczego. Skrzynki bakłażanów, cebuli, sałaty i mandarynek stały na chodniku. Wokół nich krążyły muchy i jedna czy dwie osy. Dobrze byłoby kiedyś przejść się tymi uliczkami z Dimim. W pustej dłoni poczuł na moment ciepło dziecięcej rączki. Starał się wyobrazić sobie, jakie mądre uwagi mógłby usłyszeć od refleksyjnego „Challengera”, kiedy by tak spacerowali tu razem; w jakim nowym świetle zobaczyłby wszystko to, na co teraz patrzy. Dimi z pewnością odkryłby aspekty przed nim ukryte, bo ma lepszy zmysł obserwacyjny niż Fima. Po kim to Dimi odziedziczył? Teddy i Jael zawsze skupiają się na bieżących zadaniach, podczas gdy Baruch jest zawsze pochłonięty swoimi anegdotkami i morałami. Może najlepiej byłoby się do nich wprowadzić? Mógłby zacząć choćby od czasowej inwazji, zdobycia przyczółków, pod pretekstem remontu, zapewniając ich, że to tylko na dzień, dwa, najwyżej tydzień. Nie będzie robił kłopotu. Chętnie prześpi się na materacu przy kuchennym balkonie. Od samego początku zacznie dla nich gotować, zmywać, prasować, zajmować się Dimim, kiedy ich nie ma, pomagać mu w lekcjach, prać bieliznę Jael, czyścić Tedową fajkę. Przecież oni są często poza domem, podczas gdy on jest panem swojego czasu. Po kilku dniach przyzwyczają się do tego układu. Docenią jego zalety. Uzależnią się od pomocy Fimy. Nie będą umieli już dać sobie bez niego rady. Może to właśnie Ted, człowiek o szerokich horyzontach, pozbawiony uprzedzeń, trzeźwo myślący naukowiec, pierwszy dostrzeże codzienne korzyści. Dimi nie będzie musiał całymi dniami wałęsać się samotnie po ulicy, zdany na życzliwość sąsiadów i łaskę i niełaskę ich złośliwych dzieci. Nie będzie też skazany na samotne wysiadywanie przed ekranem komputera. Z Teda natomiast spadnie ciężar obowiązku stałego życia sam na sam z Jael, więc i on poczuje się swobodniej. Jeśli chodzi o Jael, to trudno cokolwiek przewidzieć. Może zaakceptować nowy układ z obojętnym wzruszeniem ramion, może – jak to ona –

zaśmiać się bezgłośnie, ale może też obrócić się na pięcie i pojechać z powrotem do Pasadeny, zostawiając Dimiego Tedowi i mnie. Fima zapalił się niesamowicie do tej ostatniej możliwości. To naprawdę mogło być fantastyczne – komuna, miejski kibuc, żadnych kobiet, tylko trzech przyjaciół, prawdziwie sobie oddanych, opiekujących się sobą troskliwie nawzajem.

W całej dzielnicy odczuwało się gorączkowe przygotowania do szabasu. Kobiety niosły kosze pełne zakupów, handlarze chrapliwie zachwalali swój towar, poobtłukiwana mała ciężarówka ze stłuczonym tylnym reflektorem, niby podbite oko, manewrowała tam i z powrotem, cztery, a może pięć razy, aż w końcu udało się jej cudem zaparkować na chodniku pomiędzy dwoma równie sfatygowanymi pojazdami. Fima uradował się tym sukcesem, jakby dostrzegł w nim znak, że i dla niego jest jeszcze pewna szansa.

Jakiś blady, przygarbiony mężczyzna o wyłupiastych oczach, wyglądający na przybysza z Europy Wschodniej i wrzodowca albo może kogoś cierpiącego na jakąś jeszcze groźniejszą chorobę, ciężko dysząc pchał pod górę skrzypiący wózek wyładowany wiktuałami zapakowanymi w papierowe i plastikowe torby, w tym całe mnóstwo napojów bezalkoholowych. Na samym wierzchu tego stosu leżała wieczorna gazeta, której kartki powiewały na wietrze. Fima rzucił okiem na nagłówki, kiedy starzec wyciągnął rękę i starannie wetknął gazetę pomiędzy butelki, żeby jej nie zwiało.

– Nu. Szoin – burknął mu w jidysz starzec.

Obok przemknął bury pies z podkulonym ogonem. Nieśmiało obwąchał podejrzenie wyglądające nogawki Fimy, ale nie odkrył w nich nic specjalnego. Z nosem przy ziemi ruszył więc dalej. Czy to możliwe, zamyślił się Fima, że jest to potomek słynnego Balaka, który wściekł się tu osiemdziesiąt lat temu i był postrachem tych ulic, zanim skonał w męczarniach?

Na dziedzińcu spostrzegł pozostałości po zamczysku wybudowanym przez dzieci ze skrzynek i starych tekturowych pudeł.

Dalej, na murze synagogi o nazwie Mniejsze Sanktuarium Odkupienia Syjonu zobaczył różne bazgroły. Stał, żeby się im przyjrzeć. „Pamiętaj szabas święcić”, Fima pomyślał, że w tym hebrajskim zdaniu jest jakiś błąd, ale z niepokojem odkrył, że nie umiałby dokładnie powiedzieć, jaki. „Kahane – pan, Labur – dziad”. „Dla oszczerców nie ma być żadnej nadziei” Nie ma być? Nie może być? Nie powinno być? Znowu, nie miał pewności i postanowił to sprawdzić, kiedy dotrze do domu. „Szulamit Aloni różnie się z Arafatem”, „Pamiętaj, żeś proch jest tylko”, Fima zgodził się z tym ostatnim i nawet skinał głową. „Rachel Babaioff to śmieć”. Na lewo od tego napisu Fima ze smutkiem przeczytał: „Pokój na kredyt – przyjdzie nam słono za niego zapłacić”. Ale przecież wiedział, że nic nie jest łatwe. A dalej: „Oko za oko za...” – Fima uśmiechnął się i zastanowił chwilę, co też autor miał na myśli. Inna ręka napisała: „Malmilian – zdrajca – ZADUSZYŁBY własną matkę”. Fima rozumiał, że chodziło o słowo „zadusił”, a jednak ta pomyłka wydała się mu dość urocza. Jakby samo natchnienie poetyckie poprowadziło tamtą ręką i kazało jej napisać coś, czego sam autor nie był świadomy. Po drugiej stronie ulicy naprzeciw synagogi mieścił się maleńki sklepik-dziurka, gdzie sprzedawano artykuły papiernicze. Szyba wystawy upstrzonej przez muchy nosiła nadal ślady po skrzyżowanym przyklepcu zabezpieczającym w razie eksplozji – pamiątkę po jednej z tutejszych daremnie wygranych wojen. W głębi leżały różne rodzaje notesów, zeszytów, których zakurzone okładki powyginały się ze starości, wyblakła fotografia Mosze Dajana w mundurze generała, stojącego przed Ścianą Płaczu, której też nie oszczędziły muchy, a dalej kompas, linijki i tanie plastikowe piórniki, niektóre ozdobione wizerunkami pomarszczonych rabinów aszkenazyjskich lub sefardyjskich mędrców Tory w ozdobnych szatach. Pośród tych przedmiotów Fima wypatrzył gruby, kilkusetstronicowy zeszyt w szarej, tekturowej okładce – taki, jakiego zapewne używali dawni pisarze i myśliciele. Zatręsknił nagle za własnym biurkiem i z niechęcią przypomniał sobie o remoncie, który zagraża jego przyzwyczajeniom.



Za trzy, cztery godziny odezwie się tu syrena zwiastująca nadejście szabasu. Krzątania na ulicach stopniowo ustanie. Ze zboczy wzgórz otaczających Jerozolimę spłynie na miasto piękny, łagodny spokój – milczenie sosen, kamieni i metalowych okiennic. Odświętnie ubrani mężczyźni i chłopcy w wyszywanych tałasach udadzą się z powagą na wieczorne modlitwy do niezliczonych maleńkich synagog, rozsianych wśród tych wąskich ulic. Matki zapalą świece, a ojcowie zaintonują słowa błogosławieństwa z przyjemnym wschodnim zaśpiewem. Rodziny zbiorą się przy zastawionych stołach – ubodzy, spracowani ludzie, którzy wierzą w sens przestrzegania świętych przykazań i nie zagłębiają się w zbyt trudne dociekania, ludzie, którzy żyją nadzieją, wiedzą, co mają robić, i nie mają wątpliwości, że istniejące siły wyższe także wiedzą, co jest najlepsze, i działają mądrze. Sklepikarze, właściciele straganów, drobni przekupnie i domokrażcy, czeladnicy, skromni urzędnicy państwowi i handlowcy, pracownicy poczty, sprzedawcy i rzemieślnicy. Fima starał się wyobrazić sobie codzienny tryb życia w takiej dzielnicy i uroki szabasu i świąt. Choć zdawał sobie sprawę, że tutejsi mieszkańcy bez wątpienia zarabiają na swój skromny byt w pocie czoła, obarczeni długami, trapieni myślą, jak związać koniec z końcem i spłacić hipotekę, miał wrażenie, że życie ich jest uczciwe, pozbawione kłamstwa i spokojne – pełne zwyczajnych radości, jakich on nigdy nie zaznał i nie zazna aż do śmierci. Nagle zatęsknił, żeby znaleźć się we własnym pokoju, a może nawet w eleganckim salonie u ojca w Rehavii, wśród mebli na wysoki połysk, perskich dywanów, europejskich kandelabrow, książek, pięknej porcelany i szkła, i zająć się wreszcie tym, co naprawdę ważne. Ale co jest naprawdę ważne? Co to jest, na Boga?

Być może chodzi o to, aby za jednym pociągnięciem, zaczynając od zaraz, od nastania tego szabasu, odrzucić pustosłowie, całe to marnotrawstwo, kłamstwa, które zdominowały jego życie. Był gotów w pokorze przyjąć swój nieszczęsny los, pogodzić się w końcu z samotnością, na którą się skazał bezpowrotnie. Odtąd będzie żyć w

milczeniu, odetnie się od świata, zerwie swoje haniebne związki z wszystkimi kobietami o miękkim sercu, które wciąga do swojego mieszkania i życia, przestanie prześladować Cwikę i Uriego, i resztę paczki swoją kazuistyczną sofistyką. Będzie kochał Jael bez naprzykrzania się, z daleka. Nie musi nawet zawracać sobie głowy naprawą telefonu, który też może zamilknąć na zawsze, i dać spokój swoim przechwałkom i kłamstwom.

A co z Dimim?

Jemu poświęci swoją książkę. Bo od przyszłego tygodnia, zacznie spędzać po pięć, sześć godzin przed pracą w czytelni Biblioteki Narodowej. Systematycznie przebada wszystkie dostępne źródła, nawet te najbardziej wątpliwe i ezoteryczne, a po kilku latach będzie w stanie napisać rzeczową i bezstronną historię powstania i upadku Syjonistycznego Marzenia. Albo może napisze zamiast tego jakąś przewrotną, trochę zwariowaną powieść o życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Judasza z Kariotu, w oparciu o własną postać.

A tak naprawdę to lepiej nic nie pisać. Lepiej pożegnać się raz na zawsze z gazetami, radiem i telewizją. Co najwyżej będzie słuchał muzyki klasycznej. Każdego ranka, lato czy zima, będzie wstawał o świcie i spacerował przez godzinę w gaju oliwnym przy wyschniętym korycie rzeki, w wadi, niedaleko od domu. Potem zje lekkie śniadanie – jarzyny, jakiś owoc i jedna kromka czarnego chleba bez dżemu. Ogoli się – nie, po co miałby się golić – zapuści krzaczastą brodę, siądzie sobie po prostu, będzie czytał i rozmyślał. Po pracy poświęci zawsze godzinę lub dwie na przechadzkę po mieście. Pozna krok po kroku całą Jerozolimę. Stopniowo odkryje wszystkie jej tajemne skarby. Zbada każdą aleję, każde podwórze, wszystkie zakamarki. Dowie się, co kryje się za każdym kamiennym murem. Nie przyjmie już ani grosza od swojego dzieciennego ojca. I co wieczór stanie samotnie w oknie wsłuchując się w swój wewnętrzny głos, który dotąd starał się zawsze bezmyślnie zagłuszyć różnymi błazeństwami. Weźmie przykład ze sklerotycznego ojca Jael,

weterana pionierskich czasów – Naftalego Cwiego Levina, który całymi dniami siedzi gapiąc się w ścianę, a na każdą uwagę odpowiada: „A w jakim sensie?” To wcale nie takie głupie pytanie. Choć po zastanowieniu, nawet i to można podważyć ze względu na określenie „sens”, które samo najwyraźniej pozbawione jest sensu.

Zeszłoroczny śnieg.

„Azoj”.

Fima przypomniał sobie z niesmakiem, jak w zeszły piątek u Szuli i Cwiego Kropotkinów po północy rozmowa zeszła na rosyjską domieszkę, która wywarła tak silny wpływ na różne aspekty syjonizmu. Cwi zakpił z naiwnej fascynacji Tołstojem A.D. Gordona i jego uczniów, a Uri Gefen przypomniał, jak to niegdyś w Izraelu roilo się od zwolenników Stalina i wszędzie rozbrzmiewały pieśni o kawalerii Budionnego. A wtedy Fima wstał, przytupnął lekko i rozśmieszył całe towarzystwo deklamując egzaltowanym tonem typowy fragment wczesnego tłumaczenia rosyjskiej literatury:

„Czy łaskawy pan również bywał w tamtych stronach? Ja zamieszkuję obok Spasowa, blisko klasztoru, służąc Marfie Siergiejewnej, która jest siostrą Awdotii Siergiejewnej. Jeśli wasza miłość raczy sobie przypominać, złamała ona nogę wyskakując z powozu w drodze na bal. Teraz zamieszkuje ona przy klasztorze, a ja – w jej domu”.

– Mógłbyś chałturzyć, dając po kraju przedstawienia – powiedział Uri.

– To żywcem jak ze sceny ślubu w „The Deerhunter”, jaki to miało tytuł po hebrajsku? – odezwał się Teddy.

Tylko Jael wtrąciła sucho, jakby mówiła do samej siebie:

– Dlaczego go zachęacie? Popatrzcie tylko, co on z siebie robi.

Fima przyjął teraz te jej słowa niby policzek, ze łzami wdzięczności w oczach. I przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie wygłupi

się już w jej obecności. Ani przy reszcie przyjaciół. Odtąd nie będzie się rozdrabniał.

Kiedy tak stał, przygotowując się do nowego życia, wpatrując się w nazwiska mieszkańców wypisane na szeregu odrapanych skrzynek na listy w wejściu do szarego, kamiennego domu, zdziwiony, że tu też mieszka rodzina Pizantich i niemal spodziewając się zobaczyć niżej swoje nazwisko, zwrócił się do niego grzecznie pełen oglądy sefardyjski uczeń rabina, chudy młodzieniec w okularach, ubrany w strój aszkenazyjskiego chasyda. Ostrożnie, jakby obawiając się gwałtownej reakcji, poprosił, żeby Fima natychmiast zastosował się do nakazu przykrycia głowy.

– I to ma przyspieszyć pana zdaniem nadejście Mesjasza? – zapytał Fima.

Młodzieniec odpowiedział skwapliwie, tak jakby przygotowywał się na to właśnie pytanie:

– Będzie panu lżej na duszy – odparł śpiewnie z północno-afrykańskim akcentem. – Zaraz poczuje pan ulgę i radość, coś cudownego.

– A w jakim sensie? – zapytał Fima.

– To znany fakt, proszę pana. Wypróbowany i stwierdzony. Tefilin zawiązany na ręce oczyszcza ciało, a tefilin na głowie zmywa cały brud duszy.

– A skąd pan wie, że moje ciało i dusza skalane są brudem?

– Na Boga, nigdy nie powiedziałbym czegoś równie niegodnego. Boże uchronij mnie przed takim bluźnierstwem. Każdy Żyd, nawet z przeproszeniem grzesznik, był duszą na górze Synaj. To prawda dobrze znana. I dlatego dusza każdego Żyda promienieje niebiańskim blaskiem. Ale zdarza się czasem, i to bardzo smutne, że z powodu wszystkich naszych kłopotów, tego całego chaosu, który przytłacza nas w przyziemnej codzienności, niebiańskie światło

duszy traci, jak by to powiedzieć, swoją wewnętrzną czystość. Co robimy, kiedy zabrudzi się silnik naszego samochodu? Oczywiście dajemy go do oczyszczenia. To alegoria brudu gromadzącego się w duszy. Przykazanie nałożenia tefilinu pozwala usunąć cały brud natychmiast. Po chwili poczuje się pan jak nowo narodzony.

– A jaki z tego pożytek, że niewierzący włoży raz tefilin i będzie grzeszył dalej?

– Widzi pan, to jest tak. Na początek nawet raz może pomóc. Daje oparcie w jakimś porządku. Jedno przykazanie prowadzi do drugiego. To też jak z autem. Po wielu kilometrach trzeba zrobić mu przegląd, wyczyścić gaźnik, zmienić olej i tak dalej. Oczywiście, kiedy już zainwestujemy trochę w doprowadzenie go do porządku, zaczynamy bardziej o niego dbać. Żeby nie tracił na wartości. Stopniowo przyzwyczajamy się, żeby codziennie o niego zadbać. Przynajmniej ten przykład tylko po to, żeby łatwiej było panu zrozumieć, o co chodzi.

– Nie mam samochodu – powiedział Fima.

– No nie, naprawdę? Widzi pan, to prawda, co powiadają, że wszystko jest zrzędzeniem boskim. Mam coś dla pana. Niebywała okazja, taka trafia się raz w życiu. Ale najpierw określmy, co to jest sacrum, a co profanum.

– Nie umiem prowadzić – powiedział Fima.

– Za trzysta dolarów załatwimy panu zdany egzamin. Nieograniczona liczba lekcji. Albo pomyślimy, jak wliczyć to w cenę pojazdu. To coś wyjątkowego. W sam raz dla pana. Ale najpierw niech pan włoży tefilin, zobaczy pan, poczuje się pan jak młody lew.

Fima roześmiał się.

– I tak Bóg o mnie zapomniał.

– A po drugie – kontynuował niezrażony młodzieniec z rosnącym entuzjazmem – nie powinien pan nigdy mówić „niewie-

rzący”. Nie ma nic takiego jak niewierzący. Żaden Żyd na świecie nie może być niewierzący. Samo to określenie jest równoznaczne z oszczerstwem, a nawet, nie daj Bóg, można je uznać za bluźnierstwo. Księga mówi, że człowiek nie powinien uważać się za złego.

– Tak się składa – obstawał przy swoim Fima – że ja jestem w stu procentach niewierzący. Nie przestrzegam żadnego z przykazań. Mam na sumieniu tylko sześćset trzydzieści wykroczeń.

– Myli się pan – powiedział młody człowiek uprzejmie, ale stanowczo – jest pan w całkowitym błędzie. Na całym świecie nie ma Żyda, który nie przestrzegałby któregoś z przykazań. Nigdy czegoś takiego nie było. Jeden robi więcej, inny mniej. Jak mówi Rebe, to sprawa ilości, a nie jakości. Tak jak nie ma człowieka sprawiedliwego, który nigdy nie grzeszy, tak nie ma grzesznika, który nie spełnia nigdy dobrych, uczynków. Choćby czasami. Nawet pan, z całym szacunkiem, codziennie przestrzega przynajmniej kilku przykazań. Nawet jeśli ktoś uważa się za całkowitego *apikoros* i tak przestrzega kilku przykazań każdego dnia. Na przykład, już przez samo to, że pan żyje, przestrzega pan przykazania: wybieraj życie, a nie śmierć. Co godzina lub dwie, za każdym razem, kiedy przechodzi pan przez ulicę, wybiera pan życie, choć mógł pan, nie daj Boże, wybrać jego przeciwieństwo. Mam rację? A jeszcze to, że ma pan dzieci, Boże daj im zdrowie, czyli spełnił pan przykazanie: bądźcie płodni i mnożcie się. Albo to, że mieszka pan na ziemi Izraela – to następnych kilka przykazań. A jeśli czasami czuje się pan szczęśliwy, to jeszcze jedno. Każde kolejne przykazanie to już zwycięstwo! Czasem może pan mieć manko w Niebie, ale nigdy nie cofną panu kredytu. Niewyczerpany kredyt, oto czym pan dysponuje. A tymczasem, spełniając tych kilka przykazań, ma pan swój osobisty plan oszczędzania i codziennie inwestuje pan nieco więcej. Każdego dnia rosną panu odsetki i pana kapitał rośnie. Zdumiałby się pan, że jest pan tak bogaty, nic o tym nie wiedząc. Powiada się, że księga pozostaje otwarta, a ręka w niej pisze. Niech pan włoży na

pięć minut, nawet mniej, tefilin, proszę mi wierzyć, to nie boli, a dostanie pan dodatkowy bonus za szabas. Niezależnie od typu interesów, jakie pan prowadzi na tym ziemskim świecie, niech pan mi wierzy, nie ma innej pięciominutowej inwestycji, która mogłaby przynieść panu większy zysk. To fakt wypróbowany i stwierdzony. Nie? No to nic takiego strasznego. Może jeszcze nie nadszedł czas, żeby włożył pan swój tefilin. Kiedy ten czas przyjdzie, sam pan poczuje. Dostanie pan znak bez wątpienia. Najważniejsze, to niech pan nie zapomina, że brama skruchy zawsze stoi otworem. Jak to się mówi: na okrągło. Nigdy się jej nie zamyka. Nawet w szabas i święta. A teraz, jeśli chodzi o ten samochód i egzamin na prawo jazdy. Ma pan tu dwa numery telefonów.

– W tej chwili nie mam nawet telefonu – powiedział Fima.

Samozwańczy misjonarz spojrzał na niego uważniej, jakby starał się go lepiej oszacować i z wahaniem, głosem ściszym niemal do szeptu, zapytał:

– Nie wpadł pan przypadkiem w jakieś tarapaty? Czy skontaktować pana z kimś, kto mógłby pomóc? Niech się pan nie krępuje. Albo może niech pan najlepiej idzie ze mną i spędzi z nami ten szabas. Żeby pan raz poczuł się jak w domu.

– Nie, dziękuję – powiedział Fima. W jego głosie odezwało się teraz coś, co sprawiło, że młodzieniec nieśmiało życzył mu miłego szabasu i odszedł. Dwa razy obejrzał się i spojrzał z niepokojem na Fimę, tak jakby bał się, że idzie on jego śladem.

Przez chwilę Fima żałował, że nie dał temu handlarzowi pobożnych uczynków i używanych samochodów jakiejś jadowitej odpowiedzi, nie zadał jakiegoś teologicznego ciosu, który by go rozłożył na cztery łopatki i który dobrze by popamiętał. Mógł spytać, na przykład, czy za zabicie pięcioletniej Arabki dostaje się pięć punktów kredytu. Albo czy powołanie na ten świat dziecka, którego się nie chce i którego nie chce też matka, jest czynem szlachetnym, czy też grzechem. Ale zaraz potem o dziwo poczuł żal, że nie

powiedział „tak”, choćby tylko po to, aby zrobić małą przyjemność temu północnoafrykańskiemu młodzieńcowi w galicyjskim kostiumie. Mimo oczywistego cwaniactwa chłopak sprawiał wrażenie niewinnego i dobrego człowieka. Bez wątpienia on też starał się naprawić to, co nie mogło być naprawione.

Fima powoli szedł dalej ulicą, minął stolarza, mocno pachnący soloną rybą sklep spożywczy, masarnię, która wydała się mu lepka od krwi jak jakaś mordownia, a potem wyblakły sklepik ze wstążkami i perukami. Przy kiosku z gazetami zatrzymał się, żeby kupić świąteczne wydanie „Jedijot”, „Hadashot” i „Ma'ariv”. W ten sposób, obładowany gazetami – tym razem, z czystej ciekawości, kupił też ortodoksyjną „Jated Ne'eman” – Fima wkroczył do małego lokaliku na rogu ulicy Safoniasza. Była to domowa restauracyjka z trzema stolikami o blatach z wytartego różowego laminatu. Pojedyncza, słaba żarówka rzucała lepkie, żółtawe światło. Wszędzie snuły się leniwe muchy. Za kontuarem drzemał niedźwiedziowaty typ przygryzający włosy z brody i Fima przez chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie on sam za biurkiem recepcji przeniesiony tu jakimś cudem. Opadł ciężko na plastikowe krzesło, które nie wydawało się przesadnie czyste i próbował przypomnieć sobie, co zamawiała mu matka w te piątki, tysiąc lat temu, w restauracji Danzigów. W końcu poprosił o rosół z kury, gulasz wołowy, sałatkę mieszaną, pitkę, pikle i butelkę wody mineralnej. Jedząc, wertował stos leżących przed nim gazet, aż jego palce stały się czarne od farby, a stronicę pism potłuszczone.

W „Ma'ariv”, na drugiej stronie, był reportaż o młodym Arabie w Jenin, który spłonął, próbując podłożyć ogień pod dżip wojskowy, który stał zaparkowany w centrum miasta. Podobno dochodzenie wykazało, że tłum Arabów, który zgromadził się wokół palącego się chłopaka, uniemożliwił sanitariuszowi udzielenie mu pierwszej pomocy i nie dopuścił żołnierzy, którzy chcieli ugasić płomienie. Najwyraźniej Arabowie myśleli, że płonący przed nimi człowiek, to izraelski żołnierz. Przez około dziesięć minut, „przeraźliwie krzy-



cząc”, piekł się w ogniu, który sam wzniecił, aż w końcu skonał. Natomiast w mieście Or Akiva wydarzył się mały cud. Pięcioletni chłopiec spadł z wysokiego piętra, odniósł liczne obrażenia głowy i leżał nieprzytomny od Dnia Pojednania (Sądnego Dnia), Jom Kippur. Lekarze spisali go już na straty i odesłali do domu, gdzie miał dożyć w śpiączce reszty swoich dni. Ale jego matka, prosta kobieta, która nie umie ani czytać, ani pisać, nie chciała porzucić nadziei. Kiedy lekarze powiedzieli jej, że chłopiec nie ma szans i tylko cud mógłby go uratować, rzuciła się do stóp słynnego rabina w Bnei Brak, który kazał jej zatrudnić pewnego upośledzonego umysłowo ucznia, aby bez przerwy, w dzień i w nocy, powtarzał fragment Zohar o Abrahamie i Izaakowi do ucha leżącego bez czucia chłopca – który miał na imię Icchak albo Izaak. I rzeczywiście, po czterech dniach chłopczyk zaczął dawać pierwsze znaki życia, a teraz wyzdrowiał całkowicie. Biega i śpiewa hymny, jest uczniem szkoły religijnej z internatem, dostał specjalne stypendium i ma opinię przyszłego geniusza. Czemu by nie poczytać tego samego fragmentu z Zohar do ucha Icchakowi Rabinowi i Icchakowi Szamirowi, zachichotał pod nosem Fima, ale zaraz mruknął niezadowolony, bo opryskał siebie sosem spodnie.

W ortodoksyjnej gazecie „Jated Ne'eman” prześlizgnął się szybko przez alarmujące pogłoski o ucieczkach z kibuców. Według tej relacji młode pokolenie opuszcza kibuce, żeby wałęsać się po Dalekim Wschodzie wśród gór, przyłączając się do najrozmaitszych pogańskich sekt. A znów w „Ma'arivie” stały felietonista przekonywał, że rząd nie powinien spieszyć się z uczestnictwem w różnego rodzaju podejrzanych konferencjach pokojowych. Powinniśmy poczekać, aż wzmocnimy swoją pozycję. Nie powinniśmy zasiadać do negocjacji jako strona słabsza, czując na gardle miecz intifady. Dyskusje o pokoju są pożądane, ale tylko wtedy, kiedy Arabowie zdadzą sobie wreszcie sprawę, że nie mają żadnych szans – ani politycznych, ani militarnych, żadnego wyjścia w ogóle, i przyjdą z podkulonym ogonem błagając o rozejm.

W „Hadashot” trafił na satyryczny artykuł, który sugerował, że może zamiast wieszać Eichmanna, powinniśmy byli być bardziej przewidujący i oszczędzić go, żeby w obecnej sytuacji korzystać z jego doświadczenia i zdolności organizacyjnych. Eichmann na pewno cieszyłby się dużą popularnością wśród współczesnych oprawców Arabów i tych, którzy chcieliby ich masowo deportować na wschód – jak wiadomo, w tej dziedzinie Eichmann miał wyjątkowo bogate doświadczenie. Potem, w piśmie „Jedijot Acharonot” Fima natrafił na ilustrowany kolorowymi fotografiami artykuł o ciężkich przejściach pewnej, znanej niegdyś, piosenkarki, która wpadła w narkomanię, a teraz, kiedy zaczyna walkę z nałogiem, bezlitosny sędzia pozbawia ją prawa opieki nad maleńką córeczką, której ojcem jest słynny piłkarz – odżegnujący się zresztą od tego ojcostwa. Sędzia zdecydował, że dziecko zostanie oddane do rodziny zastępczej, choć pieśniarka protestuje, że przybrany ojciec jest Jugosłowianinem, który nie przeszedł ostatecznie na judaizm i może nawet nie jest obrzezany. Kiedy Fima przeszukał kieszenie spodni, koszuli, palta i niemal porzucił już wszelką nadzieję, w końcu udało się mu wyłowić złożony, dwudziestoszekłowy banknot. Widocznie Baruch zdołał mu go niepostrzeżenie wcisnąć. Zapłacił i mrużąc przepaszam, ruszył do wyjścia. Wszystkie gazety zostawił na stoliku.

Na dworze zrobiło się jeszcze chłodniej. W powietrzu unosił się już powiew wieczoru, choć dopiero minęło południe. Popękany asfalt, pordzewiałe bramki z giętego metalu, w których wzorach można było gdzieniegdzie wyczytać słowo „Syjon”, szyldy sklepów i warsztatów, szkół Tory, agencji handlu nieruchomościami, organizacji charytatywnych, szeregi pojemników na śmieci ustawionych wzdłuż krawężnika, widok odległych gór wyglądających sponad zaniedbanych ogródków – wszystko to zaczynały spowijać odcienie szarości. Od czasu do czasu w zwyczajny gwar uliczny wdierał się jakiś obcy dźwięk – bicie dzwonów, wysokie i powolne tony przerywane ciszą, lub też niskie, albo przenikliwe, albo ciężkie i

smętne, a czasem był to jakiś głośnik mówiący coś z oddali lub turkot młotów pneumatycznych i echo wyjącej syreny. Wszystkie te odgłosy nie były w stanie przełamać ciszy nad Jerozolimą, tej ciszy, która trwa tam wiecznie, jeśli wniknie się głębiej pod warstwę zewnętrznego hałasu tego miasta. Obok przeszedł wolno jakiś mężczyzna z chłopcem, może dziadek i wnuk.

– Przecież mówiłeś, że w środku świata płonie ogień, to czemu ziemia nie jest gorąca? – spytał chłopiec.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć, Jossel – powiedział dziadek.  
– Im więcej się nauczysz, tym lepiej będziesz rozumiał, że lepiej jest o nic nie pytać.

Fima przypomniał sobie, że kiedy był dzieckiem, po ulicach Jerozolimy krążył stary handlarz, który ciągnął za sobą rozklekotany, skrzypiący wózek, a na plecach niósł wór, skupując i sprzedając stare meble i ubrania. Fimę przeszyło na wskroś wspomnienie głosu tamtego starego człowieka, który brzmiał jak krzyk rozpacz. Najpierw słyszało się go kilka przecznic dalej – niewyraźny i złowieszczy, jakby nie z tego świata. Powoli, tak jakby człowiek ten pełził od ulicy do ulicy na brzuchu, ochryple i straszne wołanie zbliżało się coraz bardziej: „al-te za-chen!” – w tym krzyku brzmiała przeraźliwa samotność, błaganie o pomoc, tak jakby kogoś mordowano. Ten głos zawsze kojarzył się Fimie z jesienią, pochmurnym niebem, grzotem i pierwszymi, pełnymi miejskiego kurzu kroplami deszczu, z szumem sosen, ponurym, szarym światłem, kiedy ulice i ogrody pustoszeją i panuje w nich niepodzielnie tylko wiatr. Ogarniał go strach i czasami lęk ten nawiedzał też jego sny nocą. Niby ostateczne ostrzeżenie przed katastrofą, której nic już nie jest w stanie powstrzymać. Przez długi czas nie wiedział, co znaczą słowa „al-te za-chen”, i myślał, że ten potworny, skrzekliwy głos woła właśnie do niego po hebrajsku „Al tizdaken!” – „Nie starzej się!”. Nawet kiedy matka wytłumaczyła mu, że „alte zaken” to w jidysz „stare rzeczy”, Fima nadal pozostawał pod

wrażeniem tego mrożącego krew w żyłach proroctwa, które podchodziło ulicami coraz bliżej, pukając do bram ogrodów, ostrzegając go z oddali o nadejściu starości i śmierci, jak krzyk kogoś, kto sam padł już ofiarą strasznej choroby i ostrzega innych, że ich czas także nadejdzie.

Teraz, kiedy przypomniał sobie tamtą zmore, uśmiechnął się i pocieszył słowami bezrobotnego urzędnicy z lokaliku pani Scheinfeld, człowieka, o którym zapomniał Bóg:

– Nie ma się co przejmować, „i tak każde umiera”.

Idąc ulicą Straussa, Fima trafił na okazałą wystawę ortodoksyjnego biura podróży o nazwie „Orle Skrzydła”. Postać chwilę zapatrzonej w kolorowy plakat z wieżą Eiffla, pomiędzy wizerunkiem Big Bena i Empire State Building. Obok wieża w Pizie nachylała się w kierunku innych wież, a dalej widać było holenderski wiatrak, pod którym pasły się obojętnie dwie tłuściutkie krowy. Napis na plakacie głosił: „Z pomocą Boską – z nami w podróży, czas się Państwu nie dłuży!” Poniżej kaligraficznym pismem używanym zwykle w świętych księgach dodano: „Zapłać w sześciu dogodnych ratach, bez doliczania odsetek”. Było tam też zdjęcie z lotu ptaka pokrytych śniegiem gór, na których widniał niebieski napis: „Elegancko i koszernie – służymy Ci wiernie”.

Fima postanowił, że wejdzie i spyta o zniżkowe bilety do Rzymu. Ojciec na pewno nie odmówi mu pożyczki na przelot i za parę dni będzie mógł siedzieć z Urim Gefenem i mężem Annette w uroczej kafejce na Via Veneto, pośród zalotnych kobiet i mężczyzn wielbiących uciechy zmysłów, będzie sobie sączył cappuccino, rozprawiając ze swadą o Salmanie Rushdim i islamie, ciesząc oczy widokiem przechodzących obok zgrabnych dziewczyn. Albo też będzie siedział samotnie przy oknie małego zajazdu, o staromodnych zielonych okiennicach, wpatrzony w mury, z notatnikiem przed sobą i od czasu do czasu zapisze jakąś złotą myśl albo niebanalną refleksję. Może zablokowane źródło ożyje i powstaną nowe wiersze.

Pojawi się szansa nawiązania jakichś niezobowiązujących, przyjemnych znajomości, nieosiągalnych tu, w Jerozolimie, gdzie roi się od natrętnych proroków. Ostatnio wyczytał w gazecie, że pośrednicy z religijnych biur podróży potrafią organizować bilety lotnicze za bezcen. A tam, w Rzymie, pośród pięknej architektury życie płynie beztrąsko i wesoło, pełne rozrywek, wolne od poczucia winy i wstydu, a jeśli nawet zdarzają się tam akty okrucieństwa lub niesprawiedliwość, to nie ponosi się za nie żadnej odpowiedzialności, cierpienie innych nie obciąża naszego sumienia.

Otyły, młody człowiek w okularach, z gładko wygolonymi różowymi policzkami, ale w dużej czarnej jarmułce na głowie, podniósł swoje dziecinne oczy znad książki, którą spieszenie wsunął pod egzemplarz „Hamodii”. Przywitał Fimę z pełnym samozadowolenia, aszkenazyjskim akcentem:

– Dzień dobry łaskawemu panu.

Miał zaledwie około dwudziestu pięciu lat, ale robił wrażenie zadufanego w sobie człowieka sukcesu. I bardzo starał się być uprzejmy.

– Czym mogę panu służyć?

Fima odkrył, że poza zagranicznymi wycieczkami sprzedaje się tu kupony loterii państwowej i inne losy. Przerzucił broszurę z „wszechstronną ofertą wakacyjną” w cudownych hotelach dla wiernych w Safed i Tyberiadzie, gdzie łączono zabiegi sanatoryjne pod opieką wykwalifikowanego personelu z oczyszczeniem duszy poprzez modły przy „świętych grobach Lwów Tory i Orłów Mądrości”. W tej chwili, może pod wpływem spostrzeżenia, że kołnierzyk i mankiety białej, wykrochmalonej koszuli agenta biura podróży są tak samo nieświeże jak jego własne, Fima rozmyślił się i postanowił odłożyć swoją wyprawę do Rzymu. Przynajmniej do czasu, zanim porozmawia o tym z ojcem i poradzi się Uriego Gefena, który wraca dziś albo jutro. Czy też to miało być w niedzielę? Ale nie spieszył się. Przejrzał następną broszurę ze zdjęciami koszernych hoteli w „prze-

światnej Szwajcarii”, zawahał się, czy wybrać kupon loterii państwowej, zakłady piłkarskie czy też zainwestować w Magen David Adom, żeby nie sprawić zawodu agentowi, który cierpliwie i uprzejmie czekał na jego decyzję. Ale musiał się obyć i bez tego, bo w swojej kieszeni, poza kolczykiem Annette, znalazł tylko sześć szekli – resztę z upstrzonego przez muchy lokaliku na ulicy Safoniasza. W tej sytuacji przyjął z podziękowaniem kilka ilustrowanych folderów ze szczegółowymi informacjami na temat wycieczek dla grup Żydów Wiernych Torze. W jednym z nich, napisanym po hebrajsku, angielsku i w jidysz, wyczytał, że dzięki Wszchemogącemu Bogu znów można wznosić modły na świętych grobach w Polsce i na Węgrzech, odwiedzać „święte miejsca zburzone przez prześladowców, oby ich imiona zostały na zawsze zatarte!”, i cieszyć się „poszerzającymi horyzonty myślowe urokami Japheth – oraz całą atmosferą jidyszkeitu, ściśle koszerne, pod opieką wykwalifikowanych, głęboko religijnych i nabożnych przewodników, a wszystko to za błogosławieństwem i z polecenia Wielkich Mędrców Tory”.

– Może jednak wpadnie pan do nas znowu, kiedy się pan namyśli? – zaproponował agent.

– Kto wie. Zobaczymy. Na razie dziękuję i przepraszam za kłopot.

– Ależ nie ma o czym mówić, proszę pana. Cała przyjemność po naszej stronie. Życzę panu bardzo szczęśliwego szabasu.

Fima ruszył w kierunku budynku związków zawodowych i wtedy przyszło mu do głowy, że ten usłużny, przekarmiony młodzieniec, z paluszkami jak serdelki, ubrany w wykrochmaloną koszulę z wyszmelcowanymi mankietami i kołnierzykiem, jest mniej więcej w wieku syna, którego pozbyła się Jael bardzo blisko stąd, w klinice na ulicy Proroków. I uśmiechnął się smutno sam do siebie, bo – jeśli pominąć jarmułkę i tenorowy głos – jakiś bezstronny obserwator mógłby dopatrzeć się pewnego podobieństwa pomiędzy

Fi-mą a tym tęgawym, niechlujnym, wygadanyim pośrednikiem z biura podróży, który tak bardzo chciał być uprzejmy. A co do tego głosu, to też można było mieć wątpliwości. Czy Jael mogłaby żywić macierzyńskie uczucia wobec tej opasłej istoty o mętnych, niebieskich, przesłoniętych grubymi okularami oczkach i o pyzatyach różowych polikach? Czy byłaby w stanie zrobić mu na drutach wełniany, niebieski kapturek z pomponem? Czy brałaby go za rękę i pozwalała wybierać dla niej pikantne czarne oliwki na bazarze? A ty sam? Czy rzeczywiście miałbyś chęć od czasu do czasu wetknąć mu do kieszeni złożony banknot? Albo zamówić mu ekipę remontową? A wszystko to dowodzi, że Jael miała rację. Jak zawsze. Taka się już urodziła.

Chociaż, pomyślał kwaśno Fima, to przecież mogła być dziewczynka. Miniatura Giulietty Masiny z miękkimi jasnymi włoskami. Mogła mieć na imię – Liza, albo w hebrajskiej odmianie – Eliszewa. Choć temu na pewno sprzeciwiłaby się Jael.

Zimna, zgorzkniała kobieta, powiedział w duchu, nie spodziewanie dla siebie samego, Fima.

Czy to była naprawdę tylko twoja wina? Przez to wszystko, co jej zrobiłeś? Przez tę grecką obietnicę, której nie dotrzymałeś i nie umiałeś dotrzymać, i której nikt nie mógłby dotrzymać? Kiedyś, przy łóżku Niny Gefen, zobaczył powieść, której tytuł brzmiał: *Kobieta bez miłości*. Czy autorem był François Mauriac? André Maurois? A może Alberto Moravia? Musi zapytać kiedyś Ninę, czy jest to o kobiecie nie kochanej, czy o kobiecie, która nie jest do miłości zdolna. Tytuł można rozumieć dwojako. Chociaż w tej chwili wydało się mu nagle, że to rozróżnienie nie ma żadnego znaczenia. On i Jael bardzo rzadko mówili o „miłości”. Prawdopodobnie z wyjątkiem okresu podróży po Grecji, ale wtedy ani on, ani one trzy, nie byli zbyt skrupulatni w dobieraniu słów.

Wozy zakołowały i zniknęły.

Kiedy przechodził na drugą stronę jezdni, usłyszał gwałtowny pisk hamulców. Kierowca samochodu dostawczego zaklął i wrzasnął:

– Hej, ty, zwariowałaś?

Fima pomyślał chwilę, wzdrygnął się poniewczasie i głupawo wymamrotał:

– Przepraszam. Naprawdę. Bardzo mi przykro.

– Pieprzony półgłówek – krzyknął kierowca. – Ma pan więcej szczęścia niż rozumu.

Fima i nad tym się zastanowił, i zanim dotarł do przeciwległego krawężnika przyznał rację szoferowi. I Jael, która zdecydowała, że nie będzie mieć z nim syna. Pogodził się też z możliwością, że w ten szabas zostanie tu gdzieś przejechany, zamiast jechać do dalekiego Rzymu. Zginie jak tamten arabski chłopak, którego zabiliśmy w Gazie dwa dni temu. Zostanie wyłączony. Zamieniony w kamień. Odżyje w innym wcieleniu. Może jako jaszczurka. Zostawi Jerozolimę Joezerowi. Postanowił, że tego wieczora zadzwoni do ojca i zdecydowanie odwoła remont. Przecież i tak niedługo stąd wyjeżdża. Tym razem nie podda się ani nie pójdzie na kompromis. Dopilnuje wszystkiego. I raz na zawsze skończy z tym wtrącaniem się Barucha do zawartości jego kieszeni i życia.

Na rogu ulicy Straussa i Proroków, nie opodal Centrum Medycznego, zebrał się niewielki tłum. Fima podszedł i spytał, co się stało. Jakiś niewysoki mężczyzna z nosem jak dziób i ciężkim bułgarskim akcentem poinformował go, że znaleziono podejrzany przedmiot i mają tu przyjechać policyjni specjaliści od ładunków wybuchowych. Dziewczyna w okularach zdziwiła się: „Co też pan wygaduje? Chodzi o coś zupełnie innego. Na schodach zemdląła kobieta w ciąży. Karetka jest już w drodze”. Fima przepchnął się głębiej w tłum, bo był ciekaw, która z tych wersji jest bliższa prawdy. Choć zdawał sobie sprawę, że obie mogą być mylne. Albo w



rzeczywistości mogą też obie, być słuszne. Bo jeśli to kobieta w ciąży odkryła podejrzany obiekt i zemdląca na skutek szoku?

Z patrolowego samochodu policyjnego błyskającego lampkami i jadącego na sygnale ktoś kazał, żeby tłum się rozszedł. Fima, jako dobry obywatel, posłuchał od razu, ale i tak został brutalnie popchnięty przez spoconego policjanta w średnim wieku, którego czapka sterczała komicznie daszkiem do góry.

Fima był wściekły.

– Dobrze już, dobrze. Nie ma potrzeby tak pchać. Już się rozszedłem.

– Niech pan lepiej nie mędrkuje – ryknął na niego policjant z charakterystycznym rumuńskim „rrr”. – Prędeż, bo można oberwać.

Fima opanował się i ruszył w kierunku szpitala Bikur Holim. Zadawał sobie pytanie, czy będzie tak stale „rozchodził się”, aż któregoś dnia on sam zasłabnie na ulicy albo wyzionie ducha w domu jak karaluch, na kuchennej podłodze, i znajdą go dopiero po tygodniu, kiedy zapach wywędruje na klatkę schodową i sąsiedzi z góry, państwo Pizanti, wezwą policję i jego ojca. Ojcu na pewno nasunie się wtedy na myśl jakaś chasydzka przypowieść na temat nagłego, bezbolesnego zejścia, które nazywa się czasem „pocałunkiem śmierci”. Albo jak zwykle powie, że człowiek to paradoks – śmieje się, kiedy powinien płakać, i płacze, kiedy trzeba się śmiać, żyje bez sensu i umiera wbrew woli, jest słaby, jego dni są niczym trawa. Czy jest jeszcze szansa, żeby położyć kres temu rozchodzeniu się? Żeby skupić się w końcu na tym, co naprawdę ważne? Ale jeżeli tak, to od czego zacząć? I co, na Boga, jest ważne naprawdę?

Kiedy doszedł do domu towarowego na rogu Drogi Jafskiej, odruchowo skręcił w prawo i skierował się na Plac Dawidka. A ponieważ bolały go nogi, wsiadł do ostatniego autobusu jadącego do Kiryat Yovel. Nie zapomniał życzyć kierowcy dobrego szabasu.

Piętnaście po czwartej, tuż przed rozpoczęciem święta, wysiadł na przystanku niedaleko domu. Podziękował i powiedział do widzenia kierowcy. Wczesny zmierzch zaczynał złocić jasne chmury nad wzgórzami Betlejem. I nagle Fima z bólem serca zdał sobie sprawę, że jeszcze jeden dzień minął bezpowrotnie. Na ulicy nie widać było żywej duszy poza bawiącym się drewnianym karabinem smagłym dziesięciolatkiem, który wycelował w Fimę i zmusił go do podniesienia w górę rąk na znak, że się poddaje.

Fima z niechęcią pomyślał o swoim pokoju – od nadejścia nocy dzielił go jałowy obszar czasu, który faktycznie będzie trwał aż do soboty wieczór, kiedy może zbiorą się całą paczką u Szuli i Cwiego. Tyle miał na ten dzień planów, których nie zdołał zrealizować, a teraz jest już za późno – zakupy, poczta, telefon, gotówka z banku, Annette. I jeszcze coś bardzo pilnego, czego nie umiał sobie przypomnieć. A na domiar złego stale czekało go przygotowanie mieszkania na przyjście ekipy remontowej. Musi poprzesuwać i przykryć meble. Spakować książki i przybory kuchenne. Zdjąć obrazki i mapę kraju z zaznaczonymi ołówkiem granicami ugody. Trzeba poprosić pana Pizanti, żeby rozmontował mu półki. Ale zdecydował, że w pierwszej kolejności musi natychmiast zadzwonić do Cwiego Kropotkina. Wyjaśni mu taktownie, nie obrażając go tym razem i bez sarkazmu, że jego artykuł w ostatnim wydaniu „Polityki” jest oparty na mylnym i uproszczonym założeniu.

Pod warunkiem, że telefon jest już zdrów.

Przed wejściem do budynku, w białym samochodzie z zakręconymi szybami Fima zauważył jakiegoś potężnego mężczyznę, który trzymając ręce na kierownicy oparł o nie głowę, tak jakby drzemał. A jeżeli to zawał? Morderstwo? Atak terrorystyczny? Samobójstwo? Zbierając się na odwagę, Fima zapukał leciutko w okno. Uri Gefen natychmiast się wyprostował i opuścił szybę.

– No jesteś. Nareszcie – westchnął.

Zaskoczony Fima chciał powiedzieć coś dowcipnego, ale Uri przerwał mu, mówiąc łagodnie:

– Chodźmy na górę. Musimy porozmawiać.

Nina przyznała się mu do wszystkiego. Że z nią to zrobiłem. Że właściwie nie zrobiłem. Upokorzyłem ją. Ale co on tu w ogóle robi? Czy nie powinien być jeszcze w Rzymie? A może ma sobowtóra?

– Posłuchaj, Uri – zaczął – nie wiem, co powiedziała ci Nina, ale to prawda, że już od jakiegoś czasu...

– Nie teraz. Porozmawiamy na górze.

– To prawda, od jakiegoś czasu chciałem...

– Porozmawiamy w mieszkaniu, Fimo.

– Ale kiedy ty wróciłeś?

– Dziś rano. Wpół do jedenastej. Masz zepsuty telefon.

– Długo tak na mnie czekałeś?

– Jakieś trzy kwadranse.

– Czy coś się stało?

– Zaczekaj. Porozmawiamy na górze.

Kiedy weszli do mieszkania, Fima zaproponował, że zrobi kawy. Choć mleko chyba się skończyło. Uri robił wrażenie tak zmęczonego i zamyślnego, że Fimie było wstyd poruszyć sprawę rozmontowywania półek.

– Nastawię najpierw wodę – powiedział.

– Zaczekaj. Usiądź. Posłuchaj uważnie. Mam złe wiadomości – i mówiąc to położył swoją dużą, ciepłą, chłopską dłoń, szorstką jak kora oliwkowego drzewa, na karku Fimy. Jak zawsze ten dotyk przeszył Fimę przyjemnym dreszczem. Przymknął oczy jak pogłaskany kot.

– Szukaliśmy cię od południa – powiedział Uri. – Cwi był tu dwa razy i zostawił wiadomość w drzwiach. Twoja klinika nie działa w piątki, więc Teddy i Szula ze dwie godziny starali się zlokalizować twoich lekarzy. Nie wiedzieliśmy, dokąd poszedłeś po wyjściu od Jael. Zostawiłem więc tylko walizki i przyjechałem prosto tutaj, żeby cię złapać, jak tylko wrócisz.

Fima otworzył oczy. Rzucił w kierunku wysokiej postaci Uriego niespokojne, błagalne, dziecinne spojrzenie. Nie był zdziwiony, bo zawsze spodziewał się, że to będzie coś takiego. Prawie bezgłośnie poruszając ustami zapytał:

- Dimi?
- Dimi czuje się świetnie.
- Jael?
- Chodzi o twojego ojca.
- Nie jest w dobrej formie. Wiem. Już od kilku dni...
- Tak – odparł Uri. – Nie. To coś gorszego.

W tajemniczy i cudowny sposób Fimie udzieliło się typowe dla Uriego opanowanie.

- Kiedy to się stało? – zapytał cicho.
- W południe. Cztery godziny temu.
- Gdzie?

– W domu. Siedział w swoim fotelu, pijąc rosyjską herbatę z dwiema starszymi paniami, które przyszły prosić go o pieniądze na jakiś cel dobroczynny. Na Towarzystwo Ociemniałych czy coś w tym rodzaju. Mówią, że właśnie zaczynał opowiadać dowcip czy historyjkę, kiedy nagle jęknął i stracił przytomność. Tak po prostu. Siedząc w fotelu. Nie miał czasu, żeby cokolwiek poczuć. I od tamtej pory wszyscy cię szukamy.

– Ach, tak – powiedział Fima, wkładając z powrotem palto. Dziwnie słodko było czuć zamiast żalu i bólu, wypełniającego serce, gwałtowny przyływ trzeźwej, praktycznej energii.

– Gdzie on teraz jest?

– Jeszcze stale w domu. W fotelu. Była policja. Wynikło jakieś opóźnienie z przewiezieniem go. To teraz bez znaczenia. Sąsiadka z dołu, która jest lekarką, była tam po paru minutach i stwierdziła, że już po wszystkim. Najwyraźniej to też bliska znajoma twojego ojca. Cwi, Teddy i Szula mówili, że będą tam na ciebie czekać. Nina przyjedzie prosto z pracy, kiedy tylko załatwi konieczne formalności.

– Dobrze – powiedział Fima. – Dziękuję ci. Jedźmy.

A po chwili dodał:

– A ty jak się masz, Uri? Prosto z samolotu. Rzuciłeś tylko rzeczy i przyjechałeś mnie szukać?

– Nie wiedzieliśmy, dokąd poszedłeś.

– Powinienem przynajmniej poczęstować cię kawą – powiedział Fima.

– Daj spokój – zaprotestował Uri. – Skup się tylko i pomyśl, czy nie powinieneś czegoś zabrać.

– Nie, nic – odparł bez zastanowienia Fima wojskowym tonem z nietypową dla siebie stanowczością. – Nie ma czasu do stracenia. Zbierajmy się. Porozmawiamy po drodze.

**Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe**

Piętnaście po piątej Uri zaparkował samochód przy Alei Ben Maimon. Słońce skryło się już za sosnami i cyprysami, ale niebo nadal rozświetlone było dziwną, szarawą, pełną poblasków poświatą, która nie należała ani do dnia, ani do nocy. Ulicę i kamienne domy ogarnęła miękka, rozdzierająca serce melancholia szabasu. Tak jakby Jerozolima nie była już miastem, a stawała się na powrót tylko złym snem.

Deszcz już nie padał. Powietrze było wilgotne, Fima wyczuł w nim zapach gnijących liści. Przypomnił sobie, jak kiedyś, kiedy był dzieckiem, o tej porze, tuż przed szabasem, jeździł wymarłą ulicą na rowerze. Popatrzy! w górę i zobaczył na balkonie matkę z ojcem. Wyprostowani, mniej więcej jednakowego wzrostu, oboje ubrani na ciemno, stali bardzo blisko siebie, ale się nie dotykali. Jak para figur woskowych. Fima miał wrażenie, że oboje noszą żałobę po gościu, na którego nadejście dawno stracili nadzieję, którego jednak nie przestawali wyglądać. Po raz pierwszy w życiu poczuł wtedy niejasno głębię wstydu kryjącego się w ciszy, która pomiędzy nimi panowała przez całe jego dzieciństwo. Nie było żadnych sprzeczek, narzekania lub nieporozumień. Tylko uprzejme milczenie. Zsiadł ze swojego roweru i spytał nieśmiało, czy ma już wracać do domu.

– Jak chcesz – powiedział Baruch.

Matka nie odezwała się wcale.

To wspomnienie obudziło w Fimie nagłą potrzebę, żeby coś wyjaśnić, zadać Uriemu pytanie, przeprowadzić śledztwo. Miał wrażenie, że zapomniał sprawdzić coś najważniejszego. Ale co by to

miało być, to najważniejsze, tego nie wiedział. Chociaż czuł, że w tej chwili warstwa jego ignorancji stała się bardziej przejrzysta, niby tiulowa firanka, za którą poruszają się mgliste cienie. Lub jak wytarte ubranie, które zakrywa ciało, ale już go nie grzeje. Jednocześnie całe jego jestestwo mówiło mu, jak bardzo pragnie trwać dalej w swojej nieświadomości.

Kiedy wchodzili po schodach na drugie piętro, Fima położył dłoń na ramieniu Uriego. Widział jego zmęczenie i smutek. Chciał gestem dodać otuchy swojemu rosłemu przyjacielowi, który był niegdyś słynnym pilotem bojowym i nadal chodził z zawadiacko podniesioną głową, z nowoczesnym zegarkiem pilota na rękę, a jego oczy zdawały się czasami patrzeć na wszystko z góry.

A jednak był to serdeczny, uczciwy i oddany przyjaciel.

Na drzwiach widniała metalowa tabliczka z czarnymi literami na szarym tle: Rodzina Nombergów. Poniżej, na kwadratowym kartoniku Baruch swoim wyrobionym pismem dodał: „Uprzejmie proszę unikać dzwonięcia pomiędzy godziną trzynastą a siedemnastą”. Fima odruchowo spojrział na zegarek. Ale i tak nie trzeba było dzwonić, drzwi zostawiono uchylone.

W holu przejął ich Cwi Kropotkin, niby sumienny funkcjonariusz, który ma za zadanie udzielać wstępnych informacji nowo przybyłym, zanim wejdą do głównej sali. Pomimo strajku kierowców karetek dzielna Nina zdołała załatwić telefonicznie z biura, żeby zabrano ojca do kostnicy w szpitalu Hadassah. Fimę wzruszało zakłopotanie Cwiego – bardziej niż na słynnego historyka i dziekana wydziału wyglądał na jakiegoś nieznanego przywódcę młodzieżowego, który zaczyna się już garbić, albo może dyrektora prowincjonalnej szkoły. Fima lubił sposób, w jaki oczy Cwiego mrugały za grubymi szklami okularów, jakby raziło go światło, i jego zwyczaj nieświadomego pocierania palcami wszystkiego, co znalazło się w zasięgu ręki – naczyń, mebli, książek, ludzi, tak jakby zawsze trapiła go ukryta wątpliwość, co do trwałości tych rzeczy. Gdyby nie

ta cała obsesja na temat Jerozolimy, Hitlera i opętanie żydowskim poczuciem odpowiedzialności, ten skromny naukowiec osiadłby gdzieś w Cambridge albo w Oxfordzie i spokojnie dożył setki, dzieląc czas pomiędzy grę w golfa a kruczaty albo pomiędzy tenis a Tennysona.

– Dobrze, że go przewieźliście – powiedział Fima. – Co on by tu robił przez całą sobotę i niedzielę?

W salonie zaraz otoczyli go przyjaciele, każdy starał się dotknąć lekko jego ramienia, policzka, włosów, tak jakby poprzez śmierć ojca stał się kaleką. Jakby mieli obowiązek sprawdzić, czy nie jest rozpalony albo zmarznięty, albo czy nie ma dreszczy, lub nie planuje skrycie opuścić ich bez ostrzeżenia. Szula wetknęła mu do rąk filiżankę herbaty z cytryną i miodem. A Ted posadził go łagodnie na obitej brokatem sofie, na której rozrzucono haftowane poduszki. Wydawało się, że wszyscy wyczekują niecierpliwie, żeby coś powiedział. Fima uległ tej presji.

– Jesteście wszyscy cudowni. Przepraszam, że tak zepsułem wam piątkowy wieczór.

Fotel ojca stał dokładnie naprzeciw niego – głęboki, szeroki, obity czerwoną skórą, z czerwoną skórzaną poduszką pod głowę. Sprawiał wrażenie zrobionego z surowego mięsa. Podnózek był jakby lekko przesunięty na bok. Z prawej strony, niby berło królewskie, stała oparta laska ze srebrną rączką.

– W każdym razie – powiedziała Szula – jedno jest pewne. Nie cierpiał. W przeciągu chwili było po wszystkim. To właśnie nazywa się „pocałunkiem śmierci”, tylko sprawiedliwym jest on pisany, tak powiadają.

Fima uśmiechnął się.

– Sprawiedliwy czy nie, pocałunki zawsze były ważną częścią jego repertuaru.



Kiedy to powiedział zauważył coś, czego nie widział wcześniej – Szula, z którą spotykał się ponad trzydzieści lat temu, zanim nastąpił rok amorów, i która wówczas miała tyle ulotnego dziewczęcego wdzięku, teraz się postarzała i posiwiała. Jej biodra stały się ociężałe jak u jakiejś pobożnej, wyniszczonej rodzeniem dzieci kobiety, która przyjmuje swój ciężki los z całkowitą rezygnacją.

W powietrzu wisiał intensywny, duszny zapach grubych dywanów i antycznych mebli, które oddychały własną atmosferą przez wiele lat, i Fima musiał przypomnieć sobie, że czuł go tu zawsze i że nie jest to zapach starzenia się pani profesorowej Kropotkin. Jednocześnie do jego nozdrzy dotarł ślad dymu. Rozglądając się dokoła zobaczył na brzegu popielniczki papierosa. Został zgaszony niemal natychmiast po zapaleniu. Zapytał, kto tutaj palił. Okazało się, że jedna ze starszych pań, znajomych ojca, które były tu z misją zebrania pieniędzy, zostawiła ten ledwie nadpalony papieros. Czy zgasiła go, kiedy zauważyła, że Baruch charczy? Czy kiedy było już po wszystkim? A może właśnie wtedy, kiedy jęknął i skonał? Fima poprosił, żeby wynieść popielniczkę. I z zachwytem patrzył, jak Ted rzucił się w te pędy do wypełnienia jego rozkazu. Cwi, dotykając swoimi długimi palcami kaloryferów, zapytał, czy Fima chciałby, żeby go tam zawieźć. Fima nie zrozumiał pytania. Cwi z największym trudem, starając się opanować zakłopotanie, wyjaśnił:

– Tam. Do Hadassah. Żeby go zobaczyć. Może...

Fima wzruszył ramionami.

– A co tam jest do oglądania? Spodziewam się, że jest elegancki jak zwykle. Po co go niepokoić?

I polecił, żeby Szula zrobiła mocną czarną kawę dla Uriego, który był stale w ruchu, odkąd rano wysiadł z samolotu.

– Właściwie powinnaś mu też dać coś do zjedzenia. Pewno umiera z głodu. Sądzę, że wyszedł z hotelu w Rzymie około trzeciej w nocy. Naprawdę ma za sobą długi, ciężki dzień. A skoro już przy tym jesteśmy, to ty też, Szulo, wyglądasz na przemęczoną. Robisz wrażenie, jakbyś była wyczerpana. A gdzie Jael i Dimi? Chcę, żeby tu była Jael. I Dimi też.

– Są w domu – spiesznie usprawiedliwił ich Ted. – Chłopiec przyjął to dość ciężko. Można powiedzieć, że był wyjątkowo przywiązany do twojego ojca. Dalej tłumaczył, że Dimi zamknął się w spiżarni i musieli dzwonić do swojego przyjaciela, psychologa dziecięcego z Afryki Południowej, żeby spytać, co robić. A on kazał im zostawić dzieciaka w spokoju. I rzeczywiście, po jakimś czasie Dimi wyszedł i z kolei przysnął się do komputera. Przyjaciół z Afryki Południowej poradził im...

– Pieprzenie – powiedział Fima. A po chwili cicho i zdecydowanie dodał: – Chcę, żeby tu byli oboje.

Kiedy to mówił, zaskoczyła go jego własna pewność siebie, którą zyskał po śmierci ojca. Tak jakby dała mu ona jakiś nieoczekiwany awans, uprawniający go odtąd do wydawania dowolnych rozkazów i wymagania bezwzględności posłuszeństwa.

– Oczywiście – powiedział Ted. – Można po nich podjechać. Ale z tego, co mówił tamten psycholog, wydaje mi się, że byłoby lepiej...

– Jeśli byłbyś tak dobry – uciał natychmiast te dywagacje Fima.

Ted zawahał się, odbył cichą naradę z Cwim, spojrzął na zegarek i powiedział:

– Dobrze, Fimo. Jak sobie tylko życzysz. Świetnie. Wpadnę po Dimiego. Jeżeli Uri zechce mi pożyczyć kluczyki od wozu. Nasz samochód ma Jael.

– Jael też, proszę.

– W porządku. Mam do niej zadzwonić? Spytać, czy może przyjechać?

– Oczywiście, że może. Powiedz, że nalegam.

Ted wyszedł i w tej samej chwili przybyła Nina. Drobna i chuda, praktyczna osóbką, w ruchach ostra jak brzytwa. Na jej szczupłej, lisiej twarzy malowała się trzeźwość myśli i zdrowy instynkt samozachowawczy. Tryskała energią, tak jakby spędziła ten dzień na ratowaniu ludzi z płomieni, a nie na załatwianiu pogrzebu. Była ubrana w jasnoszary kostium, okulary jej błyszczały, miała przy sobie sztywną, skórzaną walizeczkę, której nie wypuściła z rąk nawet wtedy, kiedy krótkim i szorstkim gestem objęła Fimę i pocałowała go w czoło. Ale nie umiała znaleźć żadnych słów.

– Idę do kuchni zrobić wam wszystkim coś do picia – oświadczyła Szula. – Co kto pije? Czy ktoś chce omlet? Albo jakąś kanapkę?

– A był taki dziarski – niepewnie wtrącił Cwi. – Pełen energii. Z tym błyskiem w oku. I tak bardzo kochał życie, dobre jedzenie, interesy, kobiety, politykę, wszystko. Nie tak dawno wpadł do mnie do pracy na górę Scopus i dał mi płomienny wykład o tym, jak to Yeshayahu Leibowitz zbija demagogiczny kapitał na Majmonidesie. Ni mniej, ni więcej. Kiedy starałem się oponować, bronić Leibowitza, przerzucił się na jakąś historyjkę o rabinie z Drohobycza, któremu ukazał się we śnie Majmonides. Można powiedzieć, że w twoim ojcu była wielka żądza życia. Zawsze myślałem, że dożyje sędziwej starości.

Fima, tak jakby ostatecznie rozsądzał spór, którego nie wszczywał, oświadczył:

– I tak się stało. Przecież nie zgasł w kwiecie wieku, mimo wszystko.

– To istny cud – wtrąciła Nina – że udało się nam załatwić formalności. Wszystko umówione na niedzielę. Wierzcie mi, że to był

szaleńczy wyścig z czasem, żeby zdążyć, zanim nastąpi szabas. Jerozolima staje się gorsza niż Teheran. Nie gniewasz się, że nie czekaliśmy na ciebie, Fimo? Po prostu zapadłeś się nam pod ziemię. Dlatego pozwoliłam sobie zająć się formalnościami. Chciałam zdjąć ci kłopot z głowy. Zamówiłam nekrologi w „Ha'arets” i „Ma'ariv”. Może powinnam zadzwonić też do innych gazet, ale po prostu zabrakło czasu. Ustaliliśmy, że pogrzeb odbędzie się pojutrze, w niedzielę, o piętnastej. Okazuje się, że sam wybrał sobie miejsce, nie w Sanhedriya, obok twojej matki, ale na Górze Oliwnej. Nawiasem mówiąc sąsiednie miejsce kupił dla ciebie. Tuż obok siebie. I zostawił dokładne i szczegółowe instrukcje dotyczące pogrzebu w testamencie. Nawet wybrał sobie kantora, swojego ziomka. To istny cud, że udało mi się go wytropić i powiadomić telefonicznie tuż przed szabaszem. Zaplanował nawet napis na nagrobek. Coś rymowanego. Ale to może poczekać do końca miesiąca, a może nawet do rocznicy. Jeżeli na pogrzeb przyjdzie jedna czwarta ludzi, którzy skorzystali z jego dobroczynności, musimy spodziewać się przynajmniej pół miliona żałobników. W tym burmistrza i przeróżnych rabinów, i polityków, nie mówiąc już o wdowach ze złamanymi sercami i rozwódkach.

Fima pozwolił jej skończyć. Dopiero wtedy zapytał cicho:

- Otworzyłaś sama testament?
- W biurze. W obecności świadków. Po prostu myśleliśmy, że...
- A kto ci pozwolił to zrobić?
- Szczerze mówiąc...
- Gdzie on jest, ten testament?
- Tutaj, w teczce.
- Daj mi go.
- Teraz?

Fima wstał i zabrał jej czarną teczkę. Otworzył ją i wyciągnął ze środka brązową kopertę. W milczeniu poszedł na balkon i stanął tam samotnie, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie tysiąc lat temu, w piątkowy wieczór stali jego rodzice, niby para rozbitków na bezludnej wyspie. Ostatnie promienie słońca dawno już zgasły. Ulica zamarła w bezruchu. Latarnie jarzyły się drżąca, żółtawą poświatą zmieszana ze strzępkami wędrującej mgły. Kamienne domy stały w milczeniu, pozamykane na cztery spusty. Panowała martwa cisza. Tak jakby ta chwila zamieniła się w odległe wspomnienie. Nagły podmuch wiatru przyniósł ze sobą odgłos szczekania z Doliny Krzyża. „Trzeci Stan” to łaska, której można dostąpić jedynie poprzez wyzbycie się wszelkich pragnień, stojąc pod nocnym niebem jak istota wyzwolona od wieku, płci, czasu, rasy, od wszystkiego. Ale kto umiałby tak stać?

Niegdyś, kiedy Fima był dzieckiem, tu, w Rehavii, mieszkali uczeni o nienagannych manierach; drobnej postury niby porcelanowe figurki, nieśmiali i łagodni. Mieli zwyczaj witać się na ulicy przez uniesienie kapelusza. Jakby chcieli przekreślić Hitlera. Jakby chcieli wyczarować Niemcy, jakich nigdy nie było. A ponieważ woleliby raczej wydać się roztargnieni czy śmieszni niż nieuprzejmi, unosili kapelusze nawet wtedy, kiedy nie byli pewni, czy nadchodząca osoba jest naprawdę znajoma, czy też tylko kogoś im przypomina.

Niedługo przed śmiercią matki, kiedy Fima miał dziewięć lat, szedł pewnego razu ulicą Alfasi z ojcem. Baruch przystanął i wdał się w dłuższą rozmowę, po niemiecku, a może po czesku, z jakimś korpulentnym, wytwornym starszym panem w staromodnym garniturze i ciemnej muszce. W końcu cierpliwość dziecka się wyczerpała, Fima tupnął nogą i zaczął ciągnąć ojca za rękę. Ojciec trzepnął go po głowie i ryknął: „Ty durak, ty smarkacz!”. Potem wyjaśnił mu, że to był profesor, światowej sławy uczoney. Wy tłumaczył mu, co oznacza „światowa sława” i jak się do niej dochodzi. Fima nigdy nie zapomniał tamtych wyjaśnień. Samo to

wyrażenie do dziś budziło w nim podziw zmieszany z pogardą. A innym razem, siedem czy osiem lat później, o wpół do siódmej rano, kiedy Fima szedł z ojcem ulicą Rashbam, zobaczyli idącego na przeciw nich dziarskim krokiem premiera Ben Guriona, który mieszkał wówczas na rogu Ben Maimon i Ussishkin i lubił zaczynać dzień od szybkiej przechadzki.

– Czy byłby pan łaskaw poświęcić mi chwilę czasu? – zapytał unosząc kapelusz Baruch.

Ben Gurion zatrzymał się.

– Łupatin! – wykrzyknął. – Co ty robisz w Jerozolimie? A kto pilnuje Galilei?

– Nie jestem Łupatinem – odparł Baruch spokojnie.

– A pan nie jest Mesjaszem, na przekór temu, co z pewnością szepczą panu do ucha pana tępi zwolennicy. Radzę, żeby pan im nie wierzył.

– Co, pan to nie Grisza Łupatin? Jest pan pewien, że się pan nie myli? Bardzo pan go przypomina. Czyli to nieporozumienie. A wobec tego, kim pan jest? – spytał premier.

– Tak się składa, że należę do opozycji – powiedział Baruch.

– Wobec Łupatina?

– Nie, wobec pana. I jeśli wolno mi to powiedzieć...

Ale Ben Gurion ruszył już dalej, rzucając tylko na odchodnym:

– A, to niech pan sobie oponuje, proszę bardzo. Aby tylko to oponowanie nie przeszkodziło panu wychować tego uroczonego chłopca na prawdziwego patriotę i obrońcę swojego narodu i ziemi. Reszta jest bez znaczenia.

To mówiąc pomaszerował dalej, a w ślad za nim jakiś przystojniak, którego zadaniem było niewątpliwie chronić premiera przed natrętami.

– Dżingis Chan! – powiedział Baruch i dodał: – Sam widzisz, Efraimie, kogo wyznaczyła Opatrzność na zbawcę Jerozolimy. To przecież jeżyna z przypowieści biblijnej.

Fima miał wówczas szesnaście lat. Teraz uśmiechnął się w ciemności na wspomnienie, jaki był zaskoczony, że Ben Gurion jest od niego niższy i ma brzusek, ogromną i czerwoną twarz, nogi karła, głos skrzekliwy i donośny niby handlarka na targu rybnym. Co ojciec usiłował wtedy powiedzieć premierowi? Co on sam by mu teraz powiedział, poniewczasie? I kto to był ten Łupatin albo Łupatkin, który zaniedbał obowiązki obrońcy Galilei?

Czy dziecko, którego nie chciała Jael, mogłoby kiedykolwiek wyrosnąć na światową sławę?

A Dimi?

Nagle Fima doznał olśnienia – zdał sobie sprawę, że to właśnie Jael ze swoją pracą nad pojazdami z napędem odrzutowym mogła najłatwiej z nich wszystkich osiągnąć to, o czym ojciec wiecznie marzył dla niego. I zadał sobie pytanie, czy to nie on sam jest przysłowiową jeżyną. Cwika, Uri, Teddy, Nina, Jael – wszyscy oni są niczym owocujące drzewa i tylko ty, panie Eugeniuszu Onieginie z Kiryat Yovel idziesz przez życie fałszywie i głupio. Plotąc bzdury i zawracając wszystkim głowę. Tocząc spory z karaluchami i jaszczurkami.

Dlaczego nie miałby od dziś albo od jutra skupić się na usuwaniu im przeszkód spod nóg? Weźmie na swoje barki trud wychowania dziecka. Nauczy się gotować i pracować. Codziennie rano będzie ostrzyć kolorowe ołówki leżące przy deskach kreślarskich. Od czasu do czasu wymieni taśmę w komputerze. Pod warunkiem, że w komputerze są taśmy. I tak, z pokorą, niby bezimienny żołnierz, wniesie swój skromny wkład w postęp w dziedzinie napędu odrzutowego i przyczyni się do zdobywania światowej sławy. W czasach jego dzieciństwa, w ciepłe letnie wieczory, tutaj w Rehavii, zza zamkniętych okiennic słychać było pojedyncze dźwięki pianina.

Nawet duszne powietrze zdawało się podchwytować ich melodię. Teraz zamilkły i dawno popadły w zapomnienie. Ben Gurion i Lupatin nie żyją. Uczeni-uchodźcy ze swoimi filcowymi kapeluszami i muszkami nie żyją. A pomiędzy nimi i Joezerem jesteście my – z naszymi kłamstwami, cudzołóstwami i morderstwami. Co pozostało? Sosny i cisza. I trochę zniszczonych niemieckich ksiąg ze złotymi napisami na grzbietach, które też już blakną.

Nagle Fimę ogarnęła tak wielka tęsknota, że siłą musiał powstrzymać łzy. To była tęsknota nie za tym, co umarło albo co kiedyś tu żyło i znikło bezpowrotnie, ale za tym, co być mogło, a nie było i nigdy nie będzie. I powróciły do niego słowa „jest obcy na swojej ziemi”. Ale na próżno starał się przypomnieć sobie, od kogo usłyszał to straszne zdanie w ciągu ostatnich dni.

Teraz uderzyła go odkrywczość i trafność tego stwierdzenia.

Minarety na wzgórzach wokół Jerozolimy, ruiny i otaczające tajemnicze klasztory kamienne mury, posypane na górze ostrymi kawałkami tłuczonego szkła, ciężkie żelazne bramy, misternie kute kraty, piwnice, ponure sutereny, ta zadumana, bolesna Jerozolima, tkwiąca po uszy w snach o ukamienowanych prorokach, ukrzyżowanych zbawicielach i porąbanych na kawałki zbawcach, otoczona łańcuchem pustynnych, skalistych wzgórz, odludne zbocza znaczone jaskiniami i wąwozami, zablakane drzewa oliwne, które niemal przestają być drzewami, ale przyłączają się do królestwa świata nieożywionego, samotne kamienne domki w zagłębieniach dolin, a za nimi wielkie pustynne tereny ciągnące się na południe aż do Bab Al-Mandab i na wschód do Mezopotamii, a na północ do Hamy i Palmiry, krain żmii i węża, przestrzenie kredy i soli, domena pędzących stada czarnych kóz nomadów, z mściwymi nożami w fałdach szat, ciemne pustynne namioty, a pośród tego wszystkiego Rehavia, ze swoimi melancholijnymi dźwiękami pianina, dobiegającymi z przytulnych pokoi wieczorami, jej wątli uczeni, starsi panowie, półki niemieckich ksiąg, wykwintne maniery, unoszone na



znak powitania kapelusze, cisza pomiędzy pierwszą a piątą, kryształowe żyrandole, emigranckie meble na wysoki połysk, brokatowe i skórzane obicia, porcelanowe serwisy, kredensy, rosyjski temperament jego ojca, Ben Gurion i Lupatin, i aureole światła padającego na biurka nieustępliwych, ascetycznych uczonych, gromadzących notatki na swojej drodze do światowej sławy, i my podążający ich śladem z bezradnym, beznadziejnym zakłopotaniem, Cwika z Kolumbem i kościołem, Ted i Jael ze swoimi pojazdami o odrzutowym napędzie, Nina dyrygująca likwidacją ortodoksyjnego „seks-shopu”, Wahrhaftig walczący o enklawę cywilizacji w swoim aborcyjnym piekle, Uri Gefen rzucający się z podboju w podbój, zmieniający partnerki i z przewrotnym humorem wykpiwający swoje zwycięstwa, Annette i Tamara, te nie chciane, i ty sam, z tym twoim „sercem chrześcijaństwa” i jaszczurkami, nocnymi listami do Icchaka Rabina i ceną przemocy w czasach upadku moralnego. I Dimi ze swoim zamordowanym psem. Gdzie też to wszystko prowadzi? W którym miejscu zbłądziła Rosa i zgubiła drogę na stronę aryjską?

Tak jakby nie była to dzielnica miasta, ale obóz wielorybników, którzy osiedli gdzieś na skraju świata, na opuszczonym przez Boga wybrzeżu Alaski, stawiając naprędce kilka chwiejnych domostw i byle jaki płot w bezkresnym pustkowiu, pośród krwiożerczych koczowniczych plemion, a potem wypłynęli wszyscy daleko w szare wody na poszukiwania nie istniejącego wieloryba. I Bóg o nich zapomniał, tak jak powiedziała wczoraj właścicielka lokalu z przeciwka.

Fima miał wrażenie, że oto stoi na warcie, samotny w ciemności, ponad opuszczonym obozowiskiem myśliwych. Na słupie kołysze się latarnia rzucająca słabe, migocące światło, które tonie w czarnym pustkowiu, i jak Pacyfik długi i szeroki, na północ aż do bieguna i na południe aż do koniuszka Tierra del Fuego, jest to jedna jedyna lampa. Zbłąkany robaczek świętojański. Niedorzeczny. Obcy na swojej ziemi. A jednak jarzący się tak cudownie. I twoim

zadaniem jest chronić go tak długo, jak to tylko możliwe. Nie wolno pozwolić mu zgasnąć pośród zmarzniętych pustkowi, u stóp pokrytych śniegiem lodowców. Do ciebie należy, aby osłonić go przed wiatrem. Przynajmniej dopóki tu jesteś i zanim przybędzie Joezer. Nieważne, kim jesteś i czym jesteś, i co masz wspólnego z łowcami wielorybów, których nigdy nie było, ty, ze swoją krótkowzrocznością, wiotkimi mięśniami, sflaczałą piersią, ze swoim idiotycznym, niezgrabnym ciałem. Na tobie spoczywa odpowiedzialność.

Ale w jakim sensie?

Wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu tabletki przeciwko zgadze, ale zamiast małej fiołki jego palce wyłowiły srebrny kolczyk, który w świetle balkonowego okna zamigotał przez chwilę jak zaczarowany. Kiedy cisnął go w serce ciemności, miał wrażenie, że słyszy kpiący głos Joezera:

– To już twój problem, mój drogi.

A on, zwrócony twarzą w noc, odpowiedział mu cicho i stanowczo:

– Zgadza się. To jest mój problem. I mam zamiar z nim sobie poradzić.

I znowu uśmiechnął się sam do siebie. Ale tym razem nie był to jego zwyczajny, ponury grymas politowania dla siebie samego, ale wyraz zaskoczenia człowieka, który przez długi czas szuka skomplikowanej odpowiedzi na trudne pytanie i nagle odkrywa, że odpowiedź jest całkiem prosta.

I wtedy Fima odwrócił się i wszedł do środka. Od razu zauważył Jael, która pogrążona w rozmowie z Urim Gefenem siedziała na kanapie, ich kolana się stykały. Fima miał wrażenie, że na jego widok śmiech zamarł im na ustach. Ale nie czuł zazdrości. Przeciwnie, wezbrała w nim tajemna radość na myśl, że spał z każdą kobietą obecną w tym pokoju. Szulą, Niną i Jael. A wczoraj z Annette Tadmor. A jutro jest nowy dzień.

W tej chwili spostrzegł Dimiego, to nad wiek dojrzałe, filozoficzne dziecko, które klęcząc w kącie na dywanie wolno obracało palcem wielki, oświetlony od wewnątrz globus. Lampa umieszczona w środku sprawiała, że morza jarzyły się błękitem, a lądy złotem. Chłopiec wydawał się skupiony i daleki, całkowicie pochłonięty tym, co robi. A Fima, niby ktoś przypominający sobie w myśli, gdzie jest walizka albo przełącznik elektryczny, zauważył, że kocha to dziecko bardziej, niż kiedykolwiek kochał jakąkolwiek istotę na świecie. Nie wyłączając kobiet. Nie wyłączając matki chłopca. Nie wyłączając jego własnej matki.

Jael podniosła się i podeszła do niego, jakby niepewna, czy powinna uścisnąć mu rękę, czy tylko położyć na chwilę dłoń na jego rękawie. Fima nie czekał, aż Jael się zdecyduje, ale uścisnął ją mocno i przytulił jej twarz do swojego ramienia, jak gdyby to ona, a nie on, potrzebowała i zasługiwała na pocieszenie. Tak jakby ofiarowywał jej swoje nowe sieroctwo. Jael wymamrotała coś w jego pierś, czego Fima nie zrozumiał i nawet nie miał ochoty słyszeć, bo miło mu było czuć, że Jael, podobnie jak premier Ben Gurion, jest od niego niższa prawie o głowę. Chociaż on sam nie zaliczał się do wysokich.

Po chwili Jael wyrwała się z jego objęć i pospieszyła, a może raczej uciekła, do kuchni pomóc Szuli i Teddy'emu, którzy szykowali kanapki. Fimie przyszło do głowy, żeby poprosić Uriego albo Cwikę, aby zadzwonili w jego imieniu do obu ginekologów i Tamary, a właściwie, czemu by nie i do Annette Tadmor? Poczuli nagłą potrzebę zebrania wszystkich, którzy mieli jakiś związek z jego nowym życiem. Tak jakby tkwił w nim jakiś podświadomy zamiar odprawienia swego rodzaju obrzędu. Jakby chciał wygłosić przed nimi kazanie. Spróbować powiedzieć im coś zupełnie nowego. Ogłosić, że od tej pory...

Ale być może mylił żałobę z przyjęciem pożegnalnym. Pożegnalnym z czym? Jakie kazanie mógłby wygłosić? Na jaką

nowinę stać kogoś takiego jak on? Życie bogobojnie, wolni od grzechu, przygotowując się do przejścia w „Trzeci Stan”?

Fima rozmyślił się i porzucił zamiar organizowania spotkania.

Jednak nagle zdecydował, że nie siądzie na miejscu zwolnionym przez Jael na kanapie obok Uriego, ale na fotelu ojca. Oparł nogi wygodnie na wyściełanym stołeczku. Rozkoszował się miękkością fotela, który przyjął jego ciało, tak jakby był zrobiony dla niego na miarę. Bezmyślnie, stuknął dwa razy w podłogę laską. Ale kiedy wszyscy ucichli i spojrzeli na niego z uwagą, gotowi na jego rozkazy, gotowi wyrazić mu swoje oddanie i współczucie, Fima uśmiechnął się dobrotliwie i powiedział:

– Czemu nic nie mówicie? Nie przeszkadzajcie sobie.

Cwi, Nina i Uri starali się wciągnąć go w rozmowę, żeby go czymś zająć. Prowokowali niezobowiązującą wymianę zdań na tematy bliskie jego sercu – mówili o sytuacji na terytoriach okupowanych, jak komentuje ją włoska telewizja, którą Uri oglądał w Rzymie, i o znaczeniu amerykańskich prób nawiązania rokowań. Fima jednak nie dał się w to wciągnąć. Ograniczył się do roztargnionego uśmiechu, który nie schodził mu z ust. Przez chwilę myślał o Baruchu, który leży w podziemiach szpitala Hadassah w jakiejś przegródce ściany lodowatych szuflad, przypominających plaster miodu – zaludnionych, częściowo lub całkowicie, przez jerozolimskich zmarłych. Spróbował wyobrazić sobie fizycznie tamten mróz, ciemność szuflady, mroczny ocean północy rozpościerający się u stóp wielorybniczej bazy. Ale nie umiał odnaleźć w sobie bólu. Ani lęku. Nie. Było mu lekko na sercu i metalowy plaster szuflad kryjący ciała nieboszczyków wydał się mu niemal zabawny. Przypomniał sobie anegdotę o sporze pomiędzy szefami kolei amerykańskiej i izraelskiej, i historię o słynnym rabinie i rozbójniku, którzy zamienili się płaszczami. Zdał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć. Ale nie miał pojęcia, co mógłby oznajmić przyjacielom. Jednocześnie jego niewiedza stawała się coraz mniej istotna. Niby

welon, który tylko w połowie przesłania twarz. Wstał i poszedł do ubikacji. Tam odkrył na nowo, że u ojca wodę spuszcza się przez odkręcenie kranu, co można robić dowolnie, bez żadnych wyścigów, uczucia porażki, bez stałych upokorzeń. Zatem jeszcze jeden kłopot z głowy.

Kiedy wrócił, podszedł do Dimiego i uklęknął obok niego na dywanie.

– Znasz legendę o Atlantydzie? – zapytał.

– No pewnie – odparł chłopiec. – Kiedyś widziałem taki program w telewizji edukacyjnej. To właściwie nie jest legenda.

– A co? Może to prawda?

– Nie, pewno, że nie.

– A skoro nie legenda i nie fakt, to co takiego?

– To mit. Mit to nie to samo co legenda. To bardziej jak prapoczątek.

– A gdzie mniej więcej była ta Atlantyda?

Dimi lekko obrócił jarzący się glob i delikatnie wskazał bladą dłonią na ocean, który połyskiwał z głębi od palącej się wewnątrz żarówki, gdzieś pomiędzy Afryką a Ameryką Południową. Palce chłopca również ogarnęła ta niesamowita poświata.

– Mniej więcej tutaj. Ale to nie ma znaczenia. To bardziej sprawa wyobraźni.

– Powiedz mi coś, Dimi. Czy myślisz, że kiedy umieramy, to jest coś jeszcze?

– Czemu nie?

– Sądzisz, że dziadek może nas teraz słyszeć?

– Nie ma tu znowu nic takiego do słuchania.

- Ale czy może?
- Czemu nie?
- A my, czy możemy go słyszeć?
- W naszych myślach, tak.
- Jesteś smutny?
- Tak. Obaj jesteście smutni. Ale to nie rozstanie. Kochać można dalej.
- No to nie powinniśmy się bać śmierci, prawda?
- Nie, to byłoby niemożliwe.
- Powiedz mi coś Dimi. Czy jadłeś dziś kolację?
- Nie jestem głodny.
- To podaj mi rękę.
- Po co?
- Po nic. Tak sobie, do potrzymania.
- Po co?
- Tak po prostu.
- Przestań, Fimo. Wracaj do swoich gości.

W tej chwili ich rozmowa została przerwana, do pokoju bowiem wkroczył zamaszycie doktor Wahrhaftig. Był czerwony na twarzy, zdyszany i wzburzony, jakby przybył tu nie z kondolencjami, ale by położyć kres jakiejś skandalicznej awanturze. Fima nie mógł pohamować uśmiechu, bo zauważył nagle, że doktor przypomina nieco Ben Guriona, który czterdzieści lat temu nawrzeszczał na jego ojca na ulicy Rashbam. Wahrhaftigowi towarzyszyła Tamara Greenwich, roztrzęsiona, na granicy płaczu i pełna dobrych chęci. Fima powitał ich, cierpliwie dając się objąć i ściskając ich dłonie, ale

nie rozumiał sensu ich słów. Z jakiegoś powodu wymamrotał bezmyślnie:

– Nie szkodzi. Nic się nie stało. To się zdarza.

Najwyraźniej oni też nie usłyszeli, co powiedział. Szybko podano im herbatę.

O wpół do dziewiątej, siedząc znów w fotelu ojca, z wygodnie skrzyżowanymi nogami, Fima odsunął od siebie jogurt i rogalik z marynowanym śledziem, które postawił przed nim Teddy. Zdjął rękę Uriego ze swojego ramienia. I nie pozwolił Szuli okryć swoich kolan pledem. Jednym ruchem podał Ninie brązową kopertę, którą wcześniej wyjął z jej teczki i polecił, żeby przeczytała na głos testament.

– Teraz?

– Teraz.

– Choć zwykle...

– Choć zwykle.

– Ale Fimo...

– Teraz, proszę.

Po chwili wahania i szybkiej wymianie spojrzeń z Cwim, Jael i Urim, Nina zdecydowała się spełnić jego życzenie. Wyciągnęła z koperty dwie gęsto zapisane na maszynie strony. W ciszy, jaka zapadła, zaczęła czytać. Najpierw z pewnym zażenowaniem, a potem już swoim zwykłym, urzędowym tonem – spokojnym i beznamiętnym.

Najpierw były szczegółowe i skrupulatne zalecenia dotyczące pogrzebu, ceremonii żałobnej i nagrobka. Potem następowała część zasadnicza. Borys Baruch Nomberg przeznaczał dwieście czterdzieści tysięcy dolarów amerykańskich w równych częściach dla szesnastu fundacji, organizacji, zrzeszeń i komitetów, które zostały

spisane w porządku alfabetycznym, a przy każdej nazwie wymieniono odpowiednią sumę. Na liście znalazło się i Stowarzyszenie Popierające Pluralizm Religijny, i Ortodoksyjna Szkoła Umiłowania Tory. Po wyszczególnieniu wszystkich, podpisy zmarłego, notariusza i świadków, następowały zdania:

„Z wyjątkiem posiadłości na ulicy Reines, w Tel Awiwie, o której mowa w aneksie, niniejszym przeznaczam i pozostawiam wszystko, co posiadam, mojemu jedynakowi, Efraimowi Nombergowi Nisanowi, który jest biegły w odróżnianiu dobra od zła, z nadzieją, że odtąd nie zadowolili się samym ich odróżnianiem, ale poświęci swe siły i wspaniałe talenty, aby czynić to, co dobre, unikając, na ile to tylko możliwe, wszystkiego co złe”.

Ponad podpisami następowała jeszcze jedna linijka napisana ręcznie: „Podpisane, opieczetowane i dostarczone przez testatora przy zdrowych zmysłach, w Jerozolimie, w miesiącu Heszwan 5749, czyli 1988 roku świeckiego kalendarza, w czterdziestym roku niepełnego wyzwolenia Izraela.

Z aneksu wynikało, że posiadłość, na ulicy Rheines w Tel Awiwie, o której Fima nigdy nie słyszał, jest to skromny budynek mieszkalny. Starszy pan zapisywał go swojemu „ukochanemu wnukowi, radości swoich oczu, Izraelowi Dimitriemu, synowi Theodore'a i Jael Tobiasów. Zanim ukończy on osiemnaście lat, własność ta ma być zarządzana przez moją drogą synową, Panią Jael Nomberg Nisan Tobias, z domu Levin, która niechaj korzysta z niniejszej własności, zbierając kapitał dla mojego wnuka”.

Dalsza część aneksu wyjaśniała, że odtąd jedynym właścicielem niewielkiej, ale dobrze prosperującej fabryki kosmetyków będzie Fima. Dostanie również mieszkanie, w którym się urodził i wychował, i w którym, w odstępie ponad czterdziestu lat, zmarli jego rodzice. To było duże mieszkanie na drugim piętrze, o przestronnych pokojach i szerokich parapetach, w spokojnej, zamożnej dzielnicy, urządzone luksusowo porządnymi meblami w staromodnym,



środkowoeuropejskim stylu. Fima otrzymywał również różne akcje i udziały, parcelę budowlaną w Talpiyot, jawne i tajne konta w różnych bankach w Izraelu i w Belgii, skrytkę depozytową zawierającą gotówkę i kosztowności, w tym biżuterię jego matki, złotą i srebrną, wysadzaną drogimi kamieniami. Dziedziczył również bibliotekę zawierającą wiele tysięcy tomów, łącznie z księgami Talmudu i innych wykwintnie oprawionych świętych pism, kolekcję midraszy – niektóre z nich były niezwykle rzadkie, a poza tym setki powieści po rosyjsku, czesku, niemiecku i hebrajsku, a także dwie półki książek na temat chemii w tych właśnie językach. I wiersze Uriego Cwiego Greenberga, w tym unikalne wydania, studia biblijne doktora Izraela Eldada, prace Graetza, Dubnowa, Klausnera, Kaufmana i Urbacha. I gablotkę starych erotyko w po niemiecku i czesku, choć Fima tych języków nie znał. Co więcej, stawał się odtąd właścicielem kolekcji znaczków i starych monet, dziewięciu zimowych garniturów i sześciu letnich, około dwudziestu pięciu krawatów w tradycyjnym, dość staromodnym stylu i pięknej laski ze srebrną rączką.

Fima nie zastanawiał się, co zrobi z tym wszystkim, ale dumiał, co ktoś taki jak on może rozumieć na temat produkcji i sprzedaży kosmetyków. A ponieważ język hebrajski nie toleruje takiej konstrukcji, od razu poprawił się w myśli: produkcji kosmetyków i ich sprzedaży.

Ale nagle powiedział sobie w duchu:

– Nie toleruje? No to niech sobie nie toleruje!

O dziesiątej, kiedy zaprowadził Dimiego do sypialni i opowiedział mu krótką historię o przygodach Argonautów i Złotym Runie, odesłał wszystkich swoich przyjaciół do domu. Odrzucił ich propozycje i protesty. Nie, dziękuje bardzo, nie ma potrzeby, aby ktokolwiek zostawał z nim na noc. Nie, dziękuje bardzo, nie chce, żeby go odwiedzić do domu, do Kiryat Yovel. Nie chciał też przenocować u kogoś z nich. Zostanie na noc tutaj. Chce być sam.

Tak. Na pewno. Dziękuję. Nie. Na pewno. Nie ma potrzeby. Ale miło z ich strony, że mu to proponują. Są cudowni.

Kiedy odeszli, kusiło go, żeby otworzyć okno i wpuścić nieco świeżego powietrza. Ale po namyśle poniechał tego zamiaru. Zamknie na chwilę oczy i spróbuje określić dokładny skład dziwnego zapachu tego mieszkania. Zapach nieszczęścia. Chociaż nie było wyraźnego związku pomiędzy tym zapachem a smutnym wydarzeniem, jakie miało tu miejsce. To mieszkanie zawsze było nienagannie czyste i wysprzątane. Przynajmniej zewnątrz robiło takie wrażenie. Zarówno przed śmiercią matki Fimy, jak i po niej. Dwa razy w tygodniu przychodziła gosposia, żeby wypucować wszystko, nawet lichtarze, mosiężne lampy i srebrne puchary, których używano do religijnych obrzędów. Jego ojciec codziennie rano brał zimny prysznic. Lato czy zima. A regularnie co pięć lat mieszkanie było odnawiane.

Skąd więc bierze się ten zapach?

Odkąd przestał tu mieszkać po odbyciu służby wojskowej, jego nozdrza wzdragały się przed tym zapachem za każdym razem, kiedy przychodził odwiedzić starszego pana. Był to cień czegoś cuchnącego, niewyraźnego pośród innych zapachów. Czy to nie wyniesione śmieci? Brudna bielizna, która za długo leży w koszu na pranie w łazience? Wada systemu kanalizacyjnego? Kulki na mole w szafie? Opary gotowania ciężkiego, przesłodzonego, wschodnioeuropejskiego jedzenia? Leżący zbyt długo na talerzu owoc? Woda stojąca w wazonach, którą zapomniano wymienić, choć zawsze, dwa razy w tygodniu, kupowano do nich świeże kwiaty? Mimo całej elegancji i porządku, w powietrzu zawsze wisiała jakaś cierpkość, coś właściwie nieuchwytnego i utajonego, a jednak zakorzenionego głęboko i uporczywego niby wilgoć. Czy była to nie dająca się usunąć pozostałość tamtej nieprzeniknionej, lodowatej uprzejmości, którą okazywali sobie rodzice, a która przenikała i mroziła atmosferę

całego domu i trwała tu nawet po śmierci matki? Czy to możliwe, że teraz w końcu wyparuje bez śladu?

Pomyślałby kto, dumał Fima z ironią, że w twoim mieszkaniu w Kiryat Yovel w powietrzu unosi się zapach mirry i kadzidła, ty panie trockistowskiej kuchni ze swoją „puszką robaków” na balkonie i niesprawną ubikacją.

Wstał i otworzył okno. Po chwili zamknął je znowu. Nie z powodu zimna, ale dlatego, że zrobiło mu się żal tego ciężkiego od nieszczęścia zapachu, którego prawdopodobnie nigdy nie zdoła przywołać, kiedy już raz pozwoli mu odejść. Niech zostanie tu jeszcze przez kilka dni. Przyszłość dopiero się zaczyna. Jak miło byłoby się teraz w kuchni nad szklanką gorącej rosyjskiej herbaty i podyskutować ze staruszką do późna w noc. Poważnie, bez odgrywania komedii. Niby para zżytych ze sobą adwersarzy. Nie uciekając się do chasydzkich przypowieści i całej tej kazuistyki, dowcipkowania, anegdot i wymyślnej gry słów. Nie prowokując starszego pana, nie urażając go przewrotnym szarganiem świętości, ale naprawdę serdecznie. Jak para obserwatorów, reprezentujących dwa obce państwa w rozmowach, którzy potrafią jednak iść na ugodę, współpracować ze sobą jak profesjonaliści przy wytyczaniu dokładnych granic. Jak mężczyzna z mężczyzną. Porządkując w końcu, co było, co jest, co się skończyło raz na zawsze, a co może być jeszcze możliwe, jeżeli tylko zabierzemy się do tego z całych sił, jakie nam pozostały.

Ale co takiego miałby właściwie z ojcem uporządkować? Jaka granicę określić? Co powinien udowodnić staruszkowi? Albo Jael? Albo Dimiemu? Co takiego ma do powiedzenia, co nie byłoby cytatem, paradoksem, negacją albo kalamburem?

Spadek ani go nie przytłaczał, ani go nie uskrzydlał. Rzeczywiście, nie wie nic o kosmetykach, ale tak naprawdę, to przecież nie zna się na niczym w ogóle. Być może właśnie to daje mu pewną przewagę, ale w tej chwili Fima nie zawracał sobie głowy

określeniem, na czym miałyby ta przewaga polegać. Co więcej, nie miał żadnych potrzeb. Poza tymi najprostszymi, podstawowymi potrzebami – jedzenia, ciepła, schronienia. Nie miał też pragnień, poza być może niejasną tęsknotą, aby ukoić wszystkich dokoła, pogodzić zwaśnionych, siać ziarno pokoju. Ale jak tego dokonać? Jak można odmienić serca? Wkrótce czeka go spotkanie z pracownikami zakładów, zapoznanie się z warunkami ich pracy. Trzeba będzie zastanowić się, co można ulepszyć.

W rezultacie, musi się wiele nauczyć. A nauka to jedyna rzecz, na której się zna. Więc będzie się uczył. Stopniowo.

Zacznie od jutra. Chociaż jutro to właściwie teraz – było już po północy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy położyć się do łóżka ojca i spać tam w ubraniu. Ale zaraz doszedł do wniosku, że szkoda zmarnować tak niezwykłą noc. Powinien obejrzeć mieszkanie. Odkryć jego tajemnice. Zacząć zdobywać jakąś orientację w labiryncie nowego królestwa.

Grasował do trzeciej nad ranem, otwierając szafy, badając zakamarki masywnej czarnej komody, zaglądając do każdej szuflady, szperając pod materacami i między poduszkami, i w stosie białych, czekających na prasowanie koszul ojca. Gładząc brokatowe obicia. Dotykając i ważąc w dłoni srebrne lichtarze i kielichy. Wodząc ręką po lakierowanej powierzchni staromodnych mebli. Porównując tace do podawania herbaty. Odnajdując pod muślinową zasłoną milczącą maszynę do szycia Singera i wydobywając jeden głuchy dźwięk z lśniącego pianina Bechsteina. Wybierając kielich z rżniętego szkła i nalewając sobie do niego trochę francuskiego koniaku, wznosząc toast do trzech bukietów wysokich mieczyków, stojących w wazonach. Z szelestem celofanu otworzył wykwintne pudełko szwajcarskich czekoladek i spróbował jego doskonałej zawartości. Pawim piórem znalezionym na biurku muskał kryształowe żyrandole. Bardzo ostrożnie stuknął w cieniutką

porcelaną Rosenthala, która w odpowiedzi zadzwoniła cichutko. Przerzucił stos wyszywanych serwetek, lekko perfumowanych chusteczek do nosa, koronkowych i wełnianych szali, mnóstwo dzieciennych rękawiczek i cały wybór parasoli, pośród których odkrył jakiś staromodny, z niebieskiego jedwabiu. Wertował płyty z włoskimi operami, które ojciec lubił nastawiać na cały regulator na starym adapterze i wtórować śpiewakom swoim kantorskim tenorem, czasami w towarzystwie jednej lub dwóch przyjaciółek, które rzucały mu pełne zachwytu spojrzenia, popijając herbatę z przytrzymywanych z uniesionym paluszkim szklanek. Wyciągnął śnieżnobiałe serwetki ze złożonych kólek ozdobionych gwiazdą Dawida i słowem „Syjon”, wyrytym pismem hebrajskim i antykwą. Przyglądał się wiszącym w salonie obrazom, z których jeden przedstawiał urodziwego Cygana z tańczącym uśmiechniętym niedźwiedziem. Poklepał brązowe popiersia Herzla i Żabotyńskiego i spytał ich uprzejmie, jak się miewają dziś wieczór, potem nalał sobie jeszcze trochę koniaku, poczęstował jeszcze jedną czekoladką i w jakiejś bocznej szufladzie odkrył kolekcję tabakierok wysadzanych perłami i kamieniami półszlachetnymi, a pośród nich dostrzegł szylkretowy grzebyk, którym podpinała włosy matka. Ale nigdzie nie było włóczkowego, dziecięcego kapturka z pomponikiem. Wanna miała lwie łapy z brązu, a na półce za nią Fima odkrył zagraniczne opakowania soli kąpielowych i olejków, kremów, lekarstw i tajemniczych maści. Zaskoczył go widok wiszących nad wanną staroświeckich jedwabnych pończoch ze szwem. Patrząc na nie poczuł lekki ucisk w łądzwiach. Przeglądając kuchnię odnotował w myślach zawartość lodówki i pojemnika na chleb. Potem wrócił do sypialni, gdzie przyłożył nos do jedwabnej bielizny, starannie ułożonej na półkach. Przez chwilę miał wrażenie, że jest jakimś niestrudzonym, pedantycznym detektywem badającym centymetr po centymetrze miejsce zbrodni w poszukiwaniu pewnego konkretnego śladu, drobiazgu, który ma jednak rozstrzygające znaczenie dla sprawy.

Ale o jaki ślad chodzi? I jaką zbrodnię? Nie zawracał sobie głowy rozważaniem tej kwestii, bo z minuty na minutę czuł coraz większe uniesienie. Przez wszystkie te lata tak bardzo pragnął odnaleźć miejsce, gdzie mógłby się czuć jak w domu, i nigdy mu się to nie udało, ani we własnym mieszkaniu, ani w klinice ginekologicznej, ani u któregokolwiek z przyjaciół, ani we własnym mieście, ani w kraju, ani w czasie. Być może w samym założeniu takie marzenie skazuje na porażkę. Jest nie do spełnienia – dla niego i dla nikogo w ogóle. Tej nocy także, pośród tych poruszających wyobrażeń przedmiotów, które ze wszystkich sił starały się ukryć przed nim to, co naprawdę istotne, tamto uporczywe pragnienie nadal zdawało się daremne, powiedział więc sobie:

– No dobrze. Czyli wygnanie.

I dodał:

– No i co z tego?

Szekspirowski król Ryszard na próżno ofiarowywał królestwo za konia. Tymczasem Efraim Nisan tuż przed trzecią nad ranem był gotów zamienić całe swoje dziedzictwo za jeden dzień, godzinę nawet, całkowitego wewnętrznego wyzwolenia i poczucia, że jest u siebie, w domu. Chociaż podejrzewał, że pomiędzy jednym i drugim tworzy się pewne napięcie, a nawet sprzeczność, której nie będzie w stanie rozwiązać nawet Joezer ani jego szczęśliwi przyjaciele, którzy będą tu żyć za sto lat.

O piątej rano zasnął w ubraniu i spał do jedenastej. Nawet wtedy nie obudził się z własnej woli – ale z nadejściem przyjaciół, którzy wrócili, żeby mu towarzyszyć i utulić jego żal. Kobiety przyniosły słoiki zupy i razem z mężczyznami robiły wszystko, żeby okazać Fimie serdeczność, otoczyć go miłością i ciepłem. Znowu wszyscy starali się wciągnąć go w dyskusje polityczne, do których Fima nie chciał się przyłączyć, ale łaskawie uśmiechał się od czasu do czasu i kiwał głową. Zawołał Dimiego i był zachwycony, że Dimi

ma ochotę na kolekcje znaczków i monet, pod warunkiem, że Fima będzie z nim w spółce. Fima nie zdradził mu, że w szufladzie odkrył setki ołowianych żołnierzyków z dzieciństwa. To będzie dla „Challengera” niespodzianka.

W sobotę wieczór, pod koniec szabasu, Fima nagle założył zimowe palto ojca i, zostawiając przyjaciół z żałobą, wyszedł zaczerpnąć powietrza, obiecując, że wróci za jakiś kwadrans.

Następnego ranka o ósmej zamierzał odwiedzić biuro zakładów w przemysłowym rejonie Romemy. Pogrzeb był wyznaczony na piętnastą, w ten sposób mógłby wcześniej już wejść w swoją nową rolę. Ale dziś wieczór na pewno może pozwolić sobie na jeszcze jedną, ostatnią włóczęgę bez celu.

Niebo było ciemne i czyste, a gwiazdy wychodziły wprost z siebie, żeby zwrócić jego uwagę. Tak jakby „Trzeci Stan” był czymś oczywistym i nie pozostawiającym żadnych wątpliwości. Upojony nocnym powietrzem Jerozolimy Fima zapomniał o swoim przyrzeczeniu. Zamiast wrócić do przyjaciół, postanowił, że nie będzie przestrzegał zwyczajów żałoby i pozwoli sobie na małą przerwę. Dlaczego by nie pójść w końcu samemu na wczesny seans do kina, na komedię z Jeanem Gabinem, o której jak dotąd słyszał tylko pochlebne opinie? Stał się cierpliwie w kolejce, poczekał dwadzieścia minut, kupił bilet i wchodząc do sali kinowej tuż po rozpoczęciu projekcji usiadł w jednym z tylnych rzędów, które były niemal puste. Ale po dłuższej chwili zdziwienia zdał sobie sprawę, że nie grają już filmu z Gabinem – najwyraźniej tego dnia zmienili właśnie repertuar. Zdecydował więc wyjść i sprawdzić, co nowego wśród pięknych, starych zaułków Nahalat Shivy, które uwielbiał od dziecka i po których szedł z Rosą tamtej nocy, kilka dni temu. Ale ponieważ był zmęczony, a może i dlatego, że było mu lekko na sercu i duszy, pozostał w fotelu, otulony ojcowskim płaszczem, patrząc na ekran i zadając sobie pytanie, czemu na Boga bohaterowie filmu skazują się nawzajem na tyle cierpień, bólu i upokorzeń. Dlaczego

nie umieją od czasu do czasu zdobyć się na odrobinę miłosierdzia? Gdyby tylko zechcieli go chwilę posłuchać, z łatwością wytłumaczyłby im, że jeśli pragną czuć się jak w domu, powinni dać sobie nawzajem spokój, i sobie samym też. Powinni starać się być dobrzy. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Przynajmniej, dopóki oczy widzą, a uszy słyszą, nawet w obliczu rosnącego znużenia.

Być dobrzy, ale w jakim sensie?

To pytanie wydało się czystą sofistyką. Bo przecież wszystko jest takie proste. Bez wysiłku śledził koleje losu pokazywane na ekranie. Aż w końcu oczy mu się zamknęły i Fima zasnął.